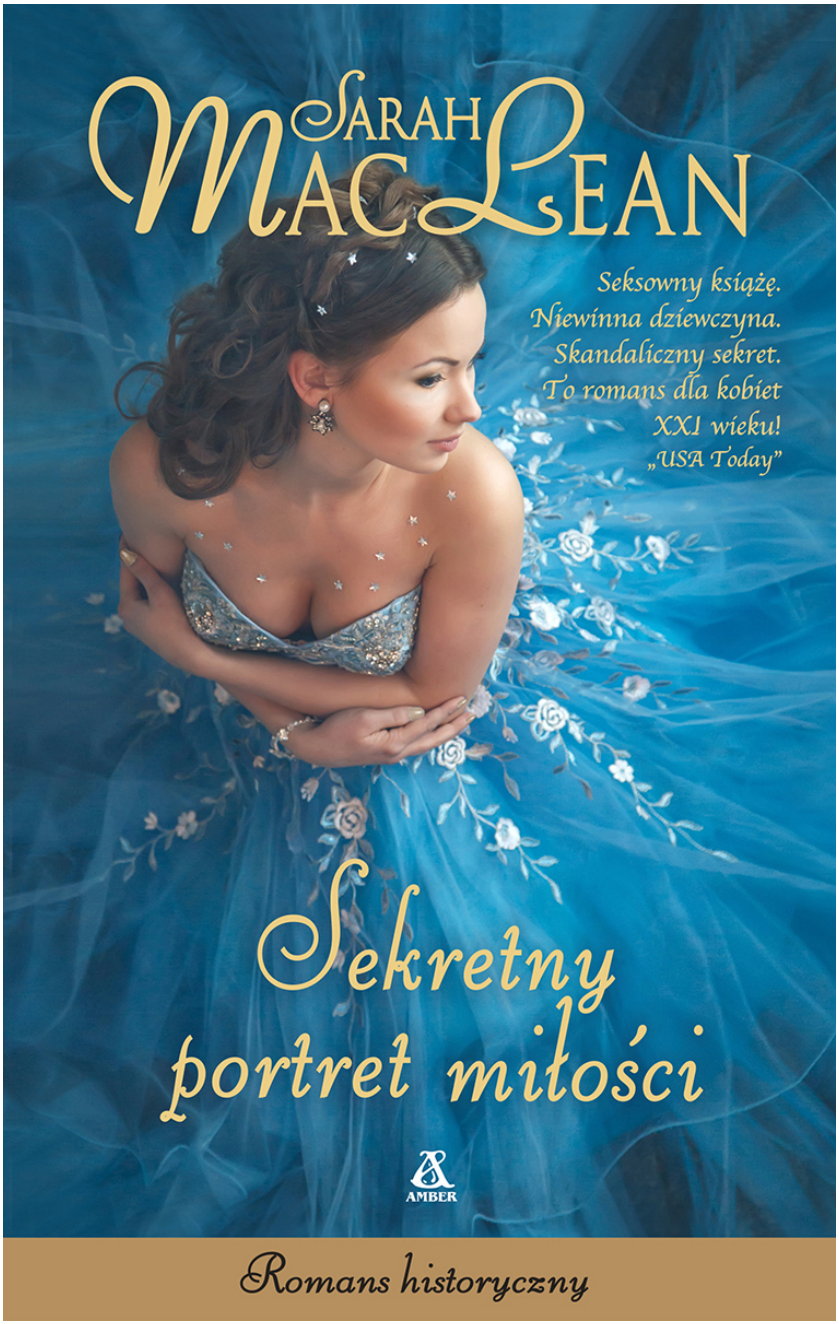
SARAH MACLEAN
Seksowny książę.
Niewinna dziewczyna.
Skandaliczny sekret.
To romans dla kobiet
XXI wieku!
„USA Today"
Sekretny portret miłości
AMBER
Romans historyczny

Sekretny portret miłości

SARAH MACLEAN

Przekład
Agnieszka Dębska

AMBER

Korekta
Anna Raczyńska

Projekt graficzny okładki
Małgorzata Cebo-Foniok

Zdjęcie na okładce
© Sofia Andreevna/Shutterstock

Tytuł oryginału
A Scot in the Dark

Copyright © 2016 by Sarah Trabucchi
Published by arrangement with HarperCollins Publishers.
All rights reserved.
Wszelkie prawa zastrzeżone.
Żadna część tej publikacji nie może być reprodukowana
ani przekazywana w jakiejkolwiek formie zapisu
bez zgody właściciela praw autorskich.

For the Polish edition
Copyright © 2016 by Wydawnictwo Amber Sp. z o.o.

ISBN 978-83-241-6183-9

Warszawa 2016. Wydanie I

Wydawnictwo AMBER Sp. z o.o.
02-954 Warszawa, ul. Królowej Marysieńki 58

www.wydawnictwoamber.pl

Konwersja do wydania elektronicznego
P.U. OPCJA

Dziewczętom skandalistkom

Skandale i Nicponie

Rocznik 2/Numer 1 Niedziela, 9 maja 1834

WARNICK I NIESFORNA PODOPIECZNA?

Jak się dowiadujemy z godnego zaufania źródła, w St. James przyjmuje się zakłady, że pewien książę powróci do Londynu, by udzielić reprymendy swojej nazbyt już podrośniętej podopiecznej, o której krążą niekorzystne plotki. Książę Warnick zamierza zatem wydać tej wiosny za mąż pannę Lillian Hargrove, znaną ostatnio również pod przydomkiem Muzy, zwłaszcza tym, którzy słyszeli o pewnym śmiałym obyczajowo malowidle (lub, jeszcze lepiej, widzieli je). Wywołało ono skandal wśród socjety i zmusiło Szkockiego Łajdaka do podróży na południe! Spodziewane przybycie Biesa z Highlands (zwanego również Niechętnym Księciem) wywoła z pewnością wielkie poruszenie. Można się spodziewać, że tej wiosny w Londynie oraz w kręgach towarzystwa ujrzymy niemało tartanów.

Wkrótce nowe wiadomości.

Prolog
Spustoszenie wśród książąt!
Kres i krach w ciągu kilku mrocznych dni

Marzec 1829

Bernard Settlesworth wierzył, że nazwisko to przeznaczenie.

Skoro jest się bowiem trzecim z kolei w rodzinie doradcą prawnym arystokracji, trudno w coś takiego nie wierzyć. Bernard był niesłychanie dumny ze swej pracy, którą wykonywał niemalże przez cały boży rok. W końcu, powiadał sobie, brytyjska arystokracja wspiera się na ciężkiej pracy takich ludzi jak on. Bez różnych Bernardów Settlesworthów, fachowo prowadzących księgi rachunkowe i sprawnie zarządzających olbrzymimi majątkami ziemskimi, Izba Lordów rozpadłaby się i zostałby po niej tylko proch, podobnie jak po wielu dawnych rodach i fortunach.

Pracował więc dla lordów, zapewniając arystokracji przetrwanie. No i wypłacalność.

A chociaż dumny był z wszystkich aspektów swojej pracy, nic nie cieszyło go bardziej niż kontakty z nowymi spadkobiercami, bo właśnie wtedy robił to, do czego był powołany z racji swego nazwiska: *settling worth* – wyceniał wartość.

Bernard czuł się zresztą w tej roli jak najlepiej, póki książęcego rodu Warnick nie dotknęła tragedia.

Dwóch markizów. Sześciu różnych hrabiów i baronetów. Właściciel ziemski i jego trzech synów. Proboszcz. Kapitan statku. Kapelusznik. Hodowca koni. I książę.

Straty będące skutkiem tych tragedii nie ograniczały się jedynie do wywróconego powozu, nieszczęśliwego wypadku na polowaniu, pechowego włamania, utonięcia w Tamizie, fatalnej influency i niezwykle wstrząsającego wydarzenia związanego z kormoranem.

Siedemnastu książąt – Bernard założył, że dobrze porachował – straciło życie. I

to wszyscy w ciągu dwóch tygodni.

Taka seria siedemnastu wydarzeń nigdy jeszcze nie miała miejsca w brytyjskiej historii. Ale Bernard był z pewnością oddanym, a nawet więcej niż oddanym doradcą, gdy przypadło mu w udziale odgrywanie roli opiekuna równie starego i szacownego tytułu, jego rozległych posiadłości ziemskich (jeszcze rozleglejszych wskutek kolejnych śmierci siedemnastu mężczyzn, z których wielu zmarło bezpotomnie, i wielkich fortun – jeszcze większych z tego samego powodu).

Dlatego właśnie stał teraz w wielkim, kamiennym przedsionku Dunworthy Castle na zimnym, wietrznym pustkowiu szkockim, twarzą w twarz z Alekiem Stuartem, niegdyś siedemnastym w kolejce do tytułu księcia Warnick, a teraz ostatnim jego spadkobiercą.

Stwierdzenie, że stał z nim twarzą w twarz, nie było ścisłe. Bernard najpierw został przywitany przez piękną młodą kobietę, potem zaś pozostawiono go, by czekał wśród wielkich tapiserii i kilku sztuk starej broni porozwieszanej tu i ówdzie na ścianach.

Czekał tak i czekał.

Po trzech kwadransach pojawiły się dwa wielkie psy, większe niż inne kiedykolwiek przezeń widziane, szare i dzikie. Podeszły do niego w podejrzanie powolny sposób. Bernard przywarł do kamiennej ściany w nadziei, że znajdą sobie jakąś inną, atrakcyjniejszą ofiarę. One natomiast siadły tuż przy nim, sięgając mu włochatymi łbami niemal do piersi, i wyszczerzyły zęby, bez wątpienia uważając go za wcale smaczny kąsek.

Bernardowi było to obojętne, lecz po raz pierwszy w swojej karierze zaczął się zastanawiać, czy bycie doradcą prawnym nie jest przypadkiem niezbyt przyjemną profesją.

A potem pojawił się mężczyzna o wyglądzie jeszcze dzikszym niż psy. Miał ciemne włosy i był wielki jak góra. Bernard nigdy nie widział kogoś tak ogromnego. Mierzył, jak się doradcy zdawało, blisko sześć i pół stopy, a jego potężne, muskularne ciało mogło ważyć dobre dwadzieścia kamieni[1], choć wcale nie był otyły. Bernard mógł coś o tym powiedzieć, bo mężczyzna nie miał na sobie koszuli.

Nie miał też na sobie spodni.

Nosił kilt. A także miał u boku pałasz.

Przez chwilę Bernard zastanawiał się, czy nie został przeniesiony w czasie i przestrzeni, Szkot wyglądał bowiem tak, jakby pochodził z epoki o trzysta lat wcześniejszej.

Olbrzymi mężczyzna, nie zwracając wcale na niego uwagi, rzucił swoją broń na

ścianę, do której pałasz przylgnął jakby samą siłą woli właściciela. A ów właściciel odwrócił się do Bernarda plecami i najwyraźniej miał zamiar odejść.

Bernard odchrząknął, a dźwięk ten zabrzmiał w rozległej kamiennej sali dużo donośniej, niżby sobie życzył. Na tyle donośnie, że mężczyzna odwrócił się i zmierzył wzrokiem postać doradcy, w porównaniu z nim zaskakująco drobną. Po długim milczeniu spytał:

– Kim pan jest?

A przynajmniej coś takiego powiedział, bo Bernard ledwie rozumiał jego bełkotliwy szkocki dialekt.

– Ja… ja… – Bernard nieco oprzytomniał i chciał zapanować nad jąkaniem, mimo że znalazł się wśród istnych bestii, zarówno ludzkich, jak i psich. – Czekam na audiencję u pana tego domu.

Mężczyzna wydał głuchy pomruk, który, jak Bernard mógł przypuszczać, świadczył o rozbawieniu.

– Ciszej. Te kamienie nie lubią, kiedy ktoś gada, że mają pana.

Bernard zamrugał ze zdumienia. Słyszał o zbzikowanych Szkotach, ale nie spodziewał się spotkać kogoś takiego. Może nie zrozumiał, co ten człowiek mówi, bo twardo wymawiał „r” i połykał niektóre sylaby.

– Przepraszam?

Mężczyzna przyglądał mu się uważnie przez dłuższą chwilę.

– Mnie pan przeprasza czy te ściany?

Bernard nie był pewien, co ma powiedzieć. Przecież nie przepraszał wcale zamku? Spytał więc:

– Czy pan Stuart jest w domu?

Olbrzym zakołysał się na piętach, a Bernard wyraźnie poczuł, że jego zakłopotanie bawi wielkiego brutala. Tylko że właśnie ów brutal powinien był okazać zakłopotanie, skoro chodził na wpół nago po zamku.

– Aye. To znaczy – jest.

– Czekam na niego prawie od godziny.

Psy wyczuły jego irytację i zerwały się na nogi, najwyraźniej nią urażone. Bernard z trudem przełknął ślinę.

– Angus, Hardy! – Po tym okrzyku psy natychmiast cofnęły się ku swemu panu.

Dopiero wtedy Bernard wszystko zrozumiał.

Spojrzał na półnagiego mężczyznę i powiedział:

– To pan?

– A jakże, ale ciągle nie wiem, kim pan jesteś.

– Alec! – Głos młodej kobiety rozległ się echem w zamku. – Ktoś tu przyszedł

do ciebie. Mówi, że jest doradcą prawnym z Londynu!

Nowy książę Warnick, nie spuszczając wzroku z Bernarda, odparł donośnie:

– Mówi też, że czeka na mnie od godziny!

– Chyba nic nam dobrego nie przyjdzie z jakiegoś tam londyńskiego doradcy! – rozległ się ponownie kobiecy głos. – Po co sobie w ogóle zawracasz głowę sporem z tym człowiekiem?

– Sam nie wiem, po co – odrzekł Szkot. – Wybaczy pan, ale moja siostra nie lubi Anglików.

Bernard skinął głową i spytał:

– Czy moglibyśmy gdzieś porozmawiać bardziej prywatnie?

– Jeszcze mniej dbam o Anglików niż moja siostra – odparł książę – więc po co te ceregiele? Możesz pan wszystko powiedzieć tu i teraz. A potem się wynieść stąd.

Bernard uznał, że opinia tego człowieka o Anglii może ulec pewnej zmianie, gdy się dowie, że został parem królestwa. I to niezmiernie bogatym.

– Oczywiście. Z wielką przyjemnością oznajmiam, że od dwudziestu dni jest pan księciem Warnick.

W swojej karierze zawodowej Bernard obserwował już różne reakcje na odziedziczenie tytułu. Stykał się z rozpaczą po stracie ukochanych ojców, widział ulgę na twarzach ludzi uwolnionych od nielubianych krewnych. Był świadkiem zaskoczenia dalekich spadkobierców i radości tych, których los odmieniał się w mgnieniu oka. A w najgorszych przypadkach dostrzegał obezwładniające brzemię dziedzictwa, gdy nowo mianowany arystokrata odkrywał, że wraz z tytułem nie dostaje mu się nic oprócz przygniatającego długu.

Ale przez ponad dwadzieścia lat, odkąd służył najwyższej arystokracji, nigdy nie spotkał się z obojętnością.

Dopiero teraz, gdy Szkot, którego szukał po całym tym kraju, powiedział spokojnie: „A tam” i odszedł, z psami podążającymi tuż za nim.

Settlesworth nie zdołał ukryć zmieszania.

– Ależ… Wasza Wysokość!

W odpowiedzi usłyszał donośny wybuch śmiechu.

– Mam w nosie angielskie tytuły. A już na pewno nie chcę słyszeć, że jestem jakąś tam wysokością!

I po tych słowach osiemnasty książę Warnick, ostatni z czcigodnego rodu oraz dziedzic iście królewskiej fortuny, poszedł sobie.

Bernard czekał przez kolejną godzinę w przedsionku i trzy dni w jedynej oberży najbliższego miasta, ale książę ani myślał mówić z nim po raz drugi.

Podobnie działo się przez następne pięć lat. Książę rzadko pokazywał się w Londynie, a kiedy już to robił, unikał wszystkiego, co arystokratyczne. Przez całe miesiące londyńska socjeta doświadczała jego wzgardy i w końcu zadecydowała, że to w istocie ona nim pogardza, a nie odwrotnie.

Niechciany Książę, jak utrzymywano, nie był wart niczyjego czasu ani energii. W końcu osiemnasty z kolei książę praktycznie wcale nie był księciem.

Taki pogląd odpowiadał Alecowi Stuartowi, dumnemu Szkotowi, jak najbardziej i żył, nie dbając o przywileje związane z jego tytułem. Ale że nie był potworem, zarządzał swymi nowymi, rozległymi posiadłościami skrupulatnie i starannie, tak że jego dzierżawcom wiodło się dobrze i cieszyli się powodzeniem. Sam książę unikał Londynu, uważając, że jak długo Anglia ignoruje jego, tak długo on może ignorować Anglię.

Anglia zaś ignorowała go, dopóki tylko on nie przestał tego robić.

Dopóki nie otrzymał listu, ujawniającego, że prócz ziem, służby, malowideł i dywanów, które odziedziczył, i prócz tytułu, którym wcale nie był zainteresowany, księciu Warnick dostało się też w spadku coś całkiem innego.

Kobieta.

1. Prześliczna Lily stała się Muzą!

Kwiecień 1834
Wystawa Akademii Królewskiej
Somerset House, Londyn

Lillian Hargrove była najpiękniejszą kobietą w całej Anglii.

Był to stwierdzony empirycznie fakt i nie wymagał absolutnie żadnego potwierdzenia przez ekspertów. Wystarczyło raz ujrzeć jej porcelanową cerę, symetryczne rysy, kształtne kości policzkowe, pełne wargi, subtelny zarys uszu, a także piękny, prosty nos przywodzący na myśl najdoskonalsze klasyczne rzeźby – i już się o tym wiedziało.

Prócz tego miała jeszcze rude włosy, wcale zresztą nie w jakimś jaskrawym odcieniu, tylko świetliście złote, niczym najcudowniejszy zachód słońca, oraz oczy szare jak letnia burza – nie można więc było żywić co do tego wątpliwości.

Lillian Hargrove była pięknością nieskazitelną.

I to tak bardzo, że choć wzięła się właściwie znikąd, nie miała tytułu, pozycji towarzyskiej ani posagu i nie wiadomo skąd wytrzasnęli ją najlepsi artyści Londynu, których żoną wcale nie była – wszystko to w jakiś dziwny sposób stawało się bez znaczenia, gdzie tylko się pojawiała. W końcu każdy dżentelmen, który ma oczy (czy to utytułowany, czy też nie), nade wszystko ceni sobie piękność. Co każdej, pragnącej wydać za mąż swoje pociechy matce, posiadającej wstęp do Almacka, działa na nerwy.

Dlatego właśnie żeńska połowa arystokracji z niezwykłą satysfakcją przyjęła wydarzenia z dwudziestego czwartego kwietnia 1834 roku, w dniu otwarcia wystawy współczesnej sztuki w Akademii Królewskiej, gdyż wtedy właśnie Lillian Hargrove – ulubiona piękność bulwarowych gazetek – wywołała prawdziwy skandal.

A także zrujnowała swoją reputację. Raz na zawsze.

Później, gdy ta sama połowa dobrego towarzystwa komentowała gorączkowym szeptem to, co się wówczas stało, a białe rękawiczki zakrywały palce zabrudzone

farbą plotkarskich pisemek, których te panie, wedle ich gorących zapewnień, nigdy nie czytały, rozmowy owe kończyły się zawsze słowami pełnymi zgrozy i zarazem radości: „Ta nieszczęsna dziewczyna wcale się tego nie spodziewała”.

I rzeczywiście się nie spodziewała.

Przeciwnie, sądziła, że będzie to najwspanialszy dzień jej życia.

Czekała na niego przez dwadzieścia trzy lata i czterdzieści osiem tygodni. Tego właśnie dnia bowiem Derek Hawkins miał się jej oświadczyć.

Nie znaczyło to, że znała go przez całe życie. Skądże. Tylko przez sześć miesięcy, trzy tygodnie i pięć dni. Odkąd pewnego popołudnia, w Dzień Świętego Michała, podszedł do niej, gdy w Hyde Parku siedziała w słońcu podczas jednego z ostatnich ciepłych dni roku, a potem dał jej wyraźnie do zrozumienia, że zamierza się z nią ożenić.

– Jest pani objawieniem – powiedział zwięźle i spokojnie, odrywając ją od lektury.

Ktoś inny mógłby uznać, że to właśnie jego nieoczekiwane pojawienie się zaparło jej dech, ale na Lily zrobiło wrażenie co innego. Zaparło jej dech to, że wybrał właśnie ją, nie zważając na jej skromną pozycję. Mimo urody Lily była samotna i trzykrotnie została osierocona. Najpierw przez ojca, rządcę majątku ziemskiego, potem przez wielu książęcych opiekunów, zmarłych nagłą śmiercią, a wreszcie przez obojętność aktualnego księcia na jej los.

W samotności nauczyła się nie zwracać niczyjej uwagi, kiedy więc Derek Hawkins ją zauważył – kiedy ją ujrzał z całą oślepiającą mocą swojego wzroku – zakochała się. Natychmiast.

Starała się udawać, że jego słowa nie zrobiły na niej wcale wrażenia. W końcu nie darmo czytywała każdy londyński magazyn dla dam, jaki ukazywał się w ciągu ostatnich pięciu lat. Spojrzała na Hawkinsa, starając się uśmiechnąć jak najskromniej, i powiedziała:

– Ależ my się wcale nie znamy.

Derek siadł koło niej, wyjął z jej ręki książkę i zauroczył ją błyskiem olśniewająco białych zębów oraz jeszcze bardziej oślepiającą arogancją.

– Ktoś tak piękny jak pani nie powinien tracić czasu na książki.

Zamrugała, patrząc w jego, chłodne i błękitne oczy. Pod ich spojrzeniem poczuła się tak, jakby nikogo prócz nich nie było w Londynie, a nawet na całym świecie.

– Ale ja lubię książki.

Pokiwał głową.

– Nie tak bardzo, jak powinna pani lubić mnie.

Rozbawiła ją ta przechwałka.

– Wydaje się pan bardzo pewny siebie.

– Ja zaś jestem bardzo pewien, że rozmawiam z pięknością – odparł, uniósł jej dłoń i złożył gorący pocałunek na rękawiczce. – Nazywam się Derek Hawkins. A pani jest muzą, której szukałem. Zamierzam zatrzymać sobie panią. Na całą wieczność.

Słowa te zaparły jej dech. A także sposób, w jaki potem wypowiedział inne, o bardziej formalnym charakterze.

Z pewnością spotkanie z nim ją zbulwersowało. Czytywała o nim od lat. Był prawdziwą legendą, malarzem i zarazem gwiazdą sceny, znanym w całym Londynie i poza nim jako jeden z najzdolniejszych ludzi teatru swego pokolenia. Wieści o jego talencie i urodzie wyprzedzały go, a mimo że Lily nie mogła wówczas potwierdzić pierwszego, drugie okazało się całkiem wiarygodne.

Ale to nie jego fama podbiła Lily. Była osobą rozsądną. Nie marzyła wcale o sławnym adoratorze, tylko o kimś, kto mógłby sprawić, że nigdy więcej nie będzie samotna.

W końcu była samotna przez całe życie.

Przez następne dni i tygodnie Derek zalecał się do niej, odgrywając rolę idealnego dżentelmena. Chodził z nią na jesienne festyny i zimowe bale, wynajął nawet starą służącą, żeby służyła jej za przyzwoitkę, kiedy gdzieś wychodzili.

A potem, pewnego zimowego styczniowego popołudnia, przysłał po nią powóz i znalazła się w jego pracowni – najświętszym miejscu artysty.

Sama.

Tam zaś, w zalanym światłem pokoju i wśród mnóstwa płócien, powiedział jej wiele różnych rzeczy, złożył dużo obietnic, z zachwytem chwalił jej urodę i przysiągł zatrzymać ją u siebie. Na zawsze.

Były to słowa piękne, kuszące i właśnie takie, jakie zawsze pragnęła usłyszeć od mężczyzny – przystojnego, utalentowanego i niesłychanie wysoko cenionego. Doznała wówczas więcej szczęścia i nadziei, niż była sobie w stanie wyobrazić.

Przez dwa miesiące i pięć dni wciąż tam powracała, pozując mu z niemałą dumą w pokoju ogrzewanym zimowym słońcem i jego spojrzeniami. Dała mu wszystko, czego żądał. Bo tak właśnie robią kobiety, które kochają.

A oni się kochali, co miała potwierdzić właśnie ta chwila, gdy znaleźli się w wielkim holu Królewskiej Wystawy, wśród najsłynniejszych i najbardziej szacownych mieszkańców Londynu. Lily stała o pół kroku za prawym ramieniem Dereka (bo lubił, żeby tak robiła), w bladożółtej sukni (nieco bardziej wydekoltowanej, niż się jej podobało, ale to on ją wybrał), z włosami upiętymi w ciasny kok (tak właśnie, jak lubił).

Gdy jechali na wystawę, zmusił ich do schronienia się w jego powozie deszcz, który wybijał rytm na dachu i przesłaniał widok na zewnątrz. Derek ujął wtedy jej dłoń w swoją i wyszeptał:

– Dzisiejszy dzień zmieni mój los. Na zawsze. Jutro wszystko stanie się inne. Moje nazwisko będzie powtarzać cały świat. A twoje również.

Spojrzała na niego zdumiona, z bijącym sercem, wiedząc, że może to oznaczać tylko jedną rzecz. Małżeństwo. Uśmiechnęła się i odparła, także szeptem:

– Będziemy razem.

Powóz zwolnił w chwili, gdy przybyli na wystawę, lecz ona usłyszała jego zgodę wśród szumu deszczu.

Razem.

Potem znaleźli się na wystawie, a ona czuła się bardziej dumna niż kiedykolwiek w życiu, i z powodu tego mężczyzny, który wkrótce miał zostać jej mężem, i z siebie samej. W końcu nie każdego dnia osierocona córka rządcy zyskuje przywilej stanięcia z ukochanym przed całym Londynem.

Sala była rozległa, a wysokie na sześć metrów ściany pokryto obrazami. Ale jedno, środkowe miejsce nad podium, na samym końcu, zakrywało coś w rodzaju kurtyny, jakby to, co się pod nią znajdowało, miano odsłonić w sposób bardzo uroczysty.

Derek odwrócił się i mrugnął do niej.

– To miejsce dla nas dwojga.

Lily uśmiechnęła się. „Dla nas dwojga”. Co za prześliczne wyrażenie.

Od dawna pragnęła być częścią tych „nas”.

– Panie Hawkins… – Sekretarz Akademii wyszedł im naprzeciw na samym środku sali i potrząsnął energicznie dłonią Dereka, a potem szepnął mu do ucha: – Całe szczęście, że pan już przybył. Gotowi byliśmy wygłosić oświadczenie, gdy tylko pan nadejdzie.

Derek skinął głową, a na jego ustach pojawił się szeroki uśmiech, znak triumfu.

– Zawsze jestem gotów wysłuchać podobnego oświadczenia.

Lily rozejrzała się po sali i gęstym tłumie. Wszyscy czekali na inaugurację wystawy. Rozpoznała kilka najbardziej znanych w Londynie osób. Działała jej na nerwy świadomość, że znalazła się wśród ludzi utytułowanych i bogatych. Zesztywniała, żałując nagle, że Derek nie oświadczył się jej wczoraj, tak by mogła wyciągnąć ku niemu ramię, chcąc w nim zyskać oparcie wobec wszystkich tych oczu.

– Przyprowadził ze sobą tę Hargrove.

Lily zdusiła w sobie chęć odwrócenia się na dźwięk swego nazwiska,

wypowiedzianego wprawdzie szeptem, ale zbyt głośnym, by go nie dosłyszeć. Doszła do wniosku, że taki właśnie był zamiar tej osoby.

– No, oczywiście – padła zjadliwa odpowiedź – on się wyraźnie delektuje jej uwielbieniem. Spójrz, jak ona na niego patrzy. Niczym pies na kość.

Pierwsza z kobiet syknęła z niesmakiem.

– Jakby nie dość było jej wyglądu.

Lily usiłowała tego nie słuchać, wpatrzona w kark Dereka, gdzie jego czarne włosy wiły się w nieskazitelnych lokach.

Nieważne, co mówią.

Liczył się tylko Derek.

Liczyła się tylko ich przyszłość. Wspólna przyszłość.

Nas dwoje.

– Wiadomo, że kiedy ktoś patrzy w taki sposób jak ona, to po prostu skandal. Niewiarygodne, że przywlókł ją tu ze sobą. Właśnie dzisiaj. Przecież wśród publiczności są książęta!

– Słyszałam, że może pojawić się nawet królowa.

– Jeśli to prawda, jeszcze bardziej obrzydliwe jest to, że się ośmielił wziąć ją ze sobą.

– Niby własną małżonkę! – padły słowa wypowiedziane ze śmiechem, jakby to miało być zabawne.

Nie było.

Lily nie chciała podejrzewać, że można ją uważać za kogoś innego niż narzeczoną Dereka. Całkiem jakby chodziło tu o skandal. Ale jeśli nawet go nie było – bo przecież nie ma nic skandalicznego w miłości – zaczęły ją palić policzki, a w sali zrobiło się jakby za gorąco.

Odwróciła się ku Derekowi. Chciała, żeby usłyszał, co mówią te kobiety. Żeby im powiedział, że nie tylko robią coś niestosownego, lecz zachowują się nieodpowiednio wobec jego przyszłej żony.

On jej jednak nie słuchał. Odszedł już od niej i wstępował po stopniach ku miejscu, gdzie wisiała zasłona skrywająca jego arcydzieło. Oczywiście nie pozwolił, żeby je obejrzała. Nie chciał kusić losu. Znała jednak jego biegłość i wiedziała, że wybrał na wystawę coś, co weźmie Londyn szturmem.

Powiedział jej to ledwie kilka minut wcześniej.

A kiedy weźmie Londyn szturmem, te kobiety z tyłu za nią będą musiały zamilknąć.

Derek był już na środku podium i ostentacyjnie zajrzał za zasłonę, nim zwrócił się ku tłumowi, gdy sir Martin Archer Shee, przewodniczący Akademii

Królewskiej, powitał cały Londyn zebrany na wystawie. Przemowa, imponująca i wygłoszona donośnie, z silnym irlandzkim akcentem, mówiła o godnej szacunku historii akademii oraz jej ekspozycjach.

Bo też obrazy na ścianach były dobre. Oczywiście nie tak bardzo, jak Dereka, ale w każdym razie wysoce artystyczne. Wisiało tam sporo ładnych pejzaży.

A potem nadeszła ta chwila.

– Każdego roku Akademia ma zaszczyt wystawiać po raz pierwszy obraz jednego z najwybitniejszych współczesnych artystów brytyjskich. W przeszłości pokazywaliśmy już niezrównane dzieła Thomasa Gainsborough, Josepha Turnera i Johna Constable'a, jedno chwalone bardziej od drugiego. Tego roku z wielką dumą prezentujemy malowidło słynnego artysty sceny i pędzla, Dereka Hawkinsa.

Derek wystąpił naprzód.

– Powinienem powiedzieć coś więcej, gdy obraz zostanie odsłonięty, ale teraz oświadczę tylko tyle: to najwybitniejszy akt naszych czasów. – Przerwał na chwilę. – Nie, to największy akt wszystkich czasów!

Po sali przeszedł szmer. Lily jednak nie mogła go już słyszeć, bo w jej uszach rozbrzmiewało głośno słowo „akt".

Wiedziała, że Derek namalował tylko jeden.

– Ten obraz przewyższa Rubensa – ciągnął, gdy odpoczywała na kobaltowo błękitnej sofie w jego pracowni, wśród atłasowych poduszek i lśniących tkanin. – To wspanialsze od Tycjana.

Słowa te nie były jednak wyłącznie wspomnieniem. Wypowiedział je znowu teraz, wodząc aroganckim spojrzeniem po tłumie.

– Sprawi on, że Ingres będzie wyglądał na kogoś, kto winien ponownie pójść do szkoły. – Zwrócił się ku przewodniczącemu: – Oczywiście do Akademii Królewskiej.

Ta przechwałka – i zniewaga wobec jednego z największych artystów ówczesnych – poruszyła całe zgromadzenie, a chaotyczny chór westchnień sprawił, że Lily zrobiło się jeszcze bardziej gorąco.

– Co za zuchwalstwo – powiedział ktoś koło niej.

A on dał jej słowo, że nikt poza nim go nie będzie oglądał!

– Nigdy nie słyszałem czegoś równie zarozumiałego.

A on jej obiecał, że nikt nigdy go nie będzie oglądał!

Kobiety z tyłu za nią znów zaczęły mówić coś nieprzyjemnego i obłudnego.

– Oczywiście. Dlatego wziął ją tu ze sobą.

Niemożliwe. Nie mogło chodzić o nią.

Nie mogło.

– Bez wątpienia – przytaknęła druga. – Jest na tyle nikim, że może być modelką.

– Zbyt uprzejme określenie. Sugeruje jakąś wartość. Ona nie zasługuje na nie. Wpuszczono ją tutaj tylko dzięki uprzejmości…

Odwróciła się i spojrzała prosto na owe dwie damy, żeby słowa uwięzły im w gardle. Łzy zabłysły w jej oczach, choć nie chciała płakać. Nie zrobiło to żadnego wrażenia na tych kobietach. Nadal patrzyły na nią tak, jakby była jakimś robakiem.

– Ten jej opiekun zrozumie chyba wyraźnie, że piękność to nie wszystko.

Ostre słowa sprawiły, że odeszła od nich co prędzej. Po pierwsze, chciała po prostu oddalić się od tych okropnych kobiet, a po drugie – pragnęła uciec przed własnym lękiem.

A także by powstrzymać Dereka od ukazania wszystkim jej nagości.

Przepychała się przez tłum, który coraz bardziej gęstniał wokół podium i obrazu, choć wciąż jeszcze zakrytego. Na całe szczęście. Sir Martin znów zaczął coś mówić, ale do Lily nie docierał sens słów, bo skoncentrowała się tylko na tym, żeby dotrzeć do podium.

Do malowidła.

Wspięła się na stopnie z powodu uczucia dużo silniejszego niż zażenowanie.

Był to wstyd.

Wstydziła się tego, co zrobiła. Tego, że mu zaufała. Że mu uwierzyła.

Wiary w to, że mogła być czymś więcej niż tylko samotną dziewczyną.

Wiary w to, co obiecywały słowa „dla nas dwojga”.

Potem stanęła na podium, Derek zaś odwrócił się ku niej, a sala raz jeszcze ucichła, zaszokowana jej postępkiem. Przewodniczący Akademii otworzył szeroko oczy.

Derek zaś, najzupełniej swobodny, skinął ku niej dłonią.

– Ach! Oto i moja muza.

A wtedy ona z kolei otwarła szeroko oczy. Zrujnował jej reputację. Zupełnie jakby ją rozebrał do naga na oczach całego Londynu. Osobiście. I wciąż się do niej uśmiechał, jakby sobie z tego nie zdawał sprawy.

– Moja prześliczna Lily! Dzięki tobie objawił się mój geniusz. Uśmiechnij się, kochanie.

Nigdy sobie nie wyobrażała, że te słowa mogą w niej wzbudzić taką furię. Nie zatrzymała się i nie uśmiechnęła.

– Przyrzekłeś mi, że nikt go nie zobaczy!

Sala wstrzymała dech. Jakby nawet samym jej ścianom zabrakło tchu.

– Ależ skąd! – zdumiał się Derek.

Kłamca!

– Powiedziałeś, że ten obraz będzie tylko twój.

Uśmiechnął się, jakby to wyjaśniało wszystko.

– Muszę się dzielić moim geniuszem z innymi, bo jest zbyt wielki, kochanie. On jest cały dla świata. Raz na zawsze.

Spojrzała na tłum, na te setki oczu, a siła ich zbiorowego spojrzenia sprawiła, że kolana zaczęły się pod nią uginać, a serce walić.

Poczuła, że rośnie w niej furia.

– Mówiłeś, że mnie kochasz!

Derek przechylił głowę z niedowierzaniem.

– Naprawdę?

Znalazła się gdzieś poza czasem i przestrzenią. Nie czuła, gdzie jej ciało jest w tej chwili. Pokręciła głową.

– Mówiłeś tak. Oboje mówiliśmy. Mieliśmy się pobrać.

Zaśmiał się. Zaśmiał! Jego śmiech rozległ się echem w sali i tak już pełnej westchnień i szeptów, ale Lily nie dbała o nie. Jego śmiech całkiem wystarczył, żeby ją uśmiercić.

– Moja droga – odparł z ironią – mężczyzna taki jak ja nie żeni się z dziewczyną taką jak ty.

Powiedział to wobec całego Londynu.

Przed tymi ludźmi. A ona zawsze marzyła, by stać się jedną z nich. Przed tym światem. A ona zawsze miała nadzieję, że będzie mogła się w nim znaleźć. Przed tym mężczyzną, którego, jak marzyła, będzie zawsze kochać.

Ale on jej nigdy nie kochał.

A zamiast tego dał jej poczuć wstyd.

Odwróciła się ku zasłonie, chcąc zniszczyć jego arcydzieło w taki sposób, w jaki on zniszczył ją. Nie dbając, że cały ten tłum chciał je ujrzeć.

Szarpnęła za zasłonę. Czerwony aksamit ustąpił bez oporu, może dzięki sile, jaką dała jej wściekłość – odsłaniając…

Gołą ścianę.

Nic tam nie wisiało.

Spojrzała znów na tłum. Śmiechy i szepty zaskoczonej ciżby uderzyły w nią jak kula armatnia.

Obrazu nie było.

Poczuła gwałtowną i przemożną ulgę. Spojrzała w twarz mężczyźnie, który ją zdradził.

– Gdzie on jest?

Błysnął białymi zębami.

– W bezpiecznym miejscu – odparł donośnym głosem i zwracając się ku sali, oznajmił:

– Spójrz na nią, Londynie! Bądź świadkiem jej namiętności! Jej uczuć! Jej piękności! A potem powróć tutaj za miesiąc, ostatniego dnia wystawy, aby ujrzeć to wszystko w jeszcze piękniejszej formie. Jeszcze bardziej pełnej namiętności. Wycisnę łzy dorosłym dzięki memu dziełu. Poczują się, jakby stanęli twarzą w twarz z Bogiem!

W sali rozległ się chóralny jęk zachwytu. Całkiem jakby oglądali sztukę z Derekiem w roli głównej.

Nie rozumieli, że zrujnował jej życie. Że zdruzgotał jej serce swoim idealnie lśniącym butem.

Nie rozumieli, że zniszczył ją na ich oczach.

A może zresztą rozumieli.

Być może dlatego właśnie tak im się to wszystko spodobało.

2. Szkot zmuszony do wyjazdu na południe

Dwa tygodnie i cztery dni później
Berkeley Square

Podopieczna. Gorzej, angielska podopieczna.

Można by się spodziewać, że Settlesworth powinien był coś mu o tym wspomnieć.

Można by się spodziewać, że prócz mnóstwa rezydencji, dziesiątków powozów, setek służących, tysięcy dzierżawców i setek tysięcy żywego inwentarza Settlesworth powinien był mu powiedzieć o istnieniu pewnej młodej kobiety.

Młodej kobiety, która mimo całkowitego braku powściągliwości wykazanego w liście bez wątpienia zemdleje, gdy znajdzie się twarzą w twarz ze swoim szkockim opiekunem.

Angielki doskonale potrafią mdleć.

Przez trzydzieści cztery lata nie spotkał takiej, która by jawnie, wyraźnie i groteskowo temu zaprzeczyła.

Ale Settlesworth nie wspomniał mu o dziewczynie nawet przelotnie: „Nawiasem mówiąc, jest jeszcze podopieczna, i to wyjątkowo kłopotliwa". A przynajmniej nie wspomniał o niej, póki nie stała się na tyle kłopotliwa, by zażądać obecności Aleca w Londynie. Potem zaś dodała jeszcze, że Wasza Wysokość to, że skandal tamto i że musi do niej przybyć jak najszybciej, żeby ratować jej reputację. Tym się kończył list.

Settlesworth mógł sobie być doradcą prawnym najlepszym z możliwych, lecz gdyby Alec miał jakiś interes w pomaganiu arystokratom, zamieściłby teraz w „News of London" ogłoszenie, chcąc ich ostrzec, że on się absolutnie do tego nie nadaje.

O istnieniu podopiecznej człowiek powinien się dowiadywać na samym początku, a nie dopiero wtedy, kiedy przeklęta kobieta zrobi coś krańcowo głupiego i rozpaczliwie będzie potrzebować pomocy.

Gdyby miał choć trochę rozumu, zignorowałby jej prośbę.

Tylko że najwyraźniej go nie miał, jak zresztą wszyscy uważali, i dlatego właśnie Alec Stuart, dumny Szkot i osiemnasty książę Warnick, który to tytuł przyjął bardzo niechętnie, stał przed numerem 45 na Berkeley Square, czekając, aż mu ktoś otworzy te cholerne drzwi.

Po raz trzeci w ciągu wielu już minut spojrzał na zegarek, nim zastukał w nie ponownie, pozwalając całej swojej irytacji wyładować się na wielkiej dębowej płycie. Kiedy już to zrobił, odwrócił się tyłem, by popatrzeć na skwer, idealnie wypielęgnowany, ogrodzony, pełen kiełkującej zieleni i przeznaczony dla mieszkańców tej nieskazitelnie eleganckiej części Londynu – dla nikogo innego. Na miejsce tak nieznośnie brytyjskie, że aż mu skóra cierpła.

Niech diabli porwą jego siostrę!

– Podopieczna! – Catherine aż zapiszczała z zachwytu, kiedy o tym usłyszała. – Jakież to ekscytujące! Jak uważasz, czy jest czarująca i śliczna?

Kiedy zaś powiedział Catherine, że sądząc z jego doświadczenia, piękność to przyczyna większości skandali, a on nie jest zainteresowany paraniem się akurat z tym jednym, siostra uparła się, by natychmiast spakował bagaże.

– A jeśli ktoś ją szkaluje? A jeśli jest samotna? A jeśli trzeba jej przyjaciela? Albo obrońcy?

A potem urwała, popatrzyła wielkimi, błękitnymi oczami i dodała:

– A gdyby to chodziło o mnie?

Młodsze siostry są najwyraźniej karą za grzechy w życiu przyszłym.

A również w doczesnym.

Skrzyżował ręce na piersi, tak że wełniany surdut zaczął go uwierać w ramionach, sprawiając mu podobną przykrość, co cała ta architektura ze swoimi żelaznymi kratami i kamienną fasadą. Nienawidził jej.

„Anglia cię zniszczy”.

Z najbliższych drzwi pod numerem 44 na Berkeley Square wyszła grupka rozgadanych kobiet, schodząc po stopniach ku czekającemu na nie powozowi. Jedna z tych młodych dam ujrzała go i zrobiła wielkie oczy, nim cofnęła się oszołomiona, odwróciła od niego wzrok oraz wyszeptała coś do swoich towarzyszek, które natychmiast zaczęły się wszystkie na niego gapić.

Zrobiło mu się gorąco od tych spojrzeń, a potem zaczęły go one wprost parzyć, gdy najstarsza z nich wszystkich – matka lub ciotka, jeśli już miał zgadywać – powiedziała na głos:

– No oczywiście. Całkiem odpowiedni dla niej mężczyzna. Czeka, żeby go przyjęła.

– Wygląda doprawdy na dziką bestię.

Cała grupka zachichotała z rozbawieniem, Alec zaś natychmiast poczuł chłód. Zignorował przypływ furii, o którą przyprawiło go to stwierdzenie, i znów skupił uwagę na drzwiach.

Gdzie, u diabła, podziała się służba?

– Ona pewnie wynajmuje tam pokoje – stwierdziła jedna z dziewcząt.

– A także co innego – padła złośliwa odpowiedź. – Jest na tyle bezczelna, żeby to robić.

W jakiż do licha rodzaj skandalu wplątała się ta dziewczyna?

List Settleswortha był krańcowo pobieżny. Przepraszał w nim za to, że nie powiadomił go wcześniej o istnieniu podopiecznej, i polecał dziewczynę jego uwadze. „Tkwi w samym środku skandalu, z którym sobie nie da rady, jeśli pan nie przyjedzie. Konieczny wielki pośpiech”.

Alec mógł nienawidzić wszystkiego, co angielskie, ale nie był potworem. Nie mógł rzucić dziewczyny na pożarcie przeklętym angielskim wilkom. A jeśli te wilczyce z sąsiedniego domu były jakąś wskazówką, dobrze w takim razie zrobił, że się tu udał, bo inaczej nieszczęśnica już by padła ich ofiarą.

Wiedział, co to znaczy dostać się w ręce Angielek.

Oparł się chęci powiedzenia tym babom, żeby wsiadły do swojego powozu i pojechały prosto do piekła, a potem uniósł pięść i załomotał jeszcze raz w drzwi.

Otworzyły się natychmiast i gdy tylko Alec w imponujący sposób otrząsnął się z zaskoczenia, spiorunował wzrokiem stojącą przed nim kobietę w najbardziej nijakiej szarej sukni, jaką kiedykolwiek zdarzyło mu się widzieć.

Uznał, że liczy sobie najwyżej dwadzieścia pięć lat, ma wysokie kości policzkowe, porcelanową cerę, pełne wargi i rude włosy. W jakiś osobliwy sposób błyszczały one niczym złoto, mimo że stała w ciemnym przedsionku. Całkiem jakby nosiła ze sobą własne słońce.

Suknię może miała i nieciekawą, ale nie byłoby przesadą stwierdzenie, że to najwyraźniej najpiękniejsza kobieta w całej Wielkiej Brytanii.

Jasne, że tak.

Nic nie czyni złego dnia jeszcze gorszym od pięknej Angielki.

– Do diabła, był już najwyższy czas! – warknął.

Otrząśnięcie się z zaskoczenia zajęło dziewczynie kilka sekund, podobnie jak zwrócenie oczu ku górze, na jego piersi i twarz, a brwi unosiły się jej po każdym przebytym przez spojrzenie centymetrze.

Alec znieruchomiał. Oczy miała szare: nie ciemnoszare czy stalowe, ale barwy najciemniejszych chmur deszczowych, i połyskujące srebrzyście. Zastygł bez ruchu, a zbyt ciasny surdut znów go zaczął uwierać w ramionach, przypominając

mu, że jest w Anglii. Nie obchodziło go, kim ta kobieta była. Prócz tego, że stała pomiędzy nim a jego natychmiastowym powrotem do Szkocji.

– Może byś mnie wpuściła, dziewczyno?

Uniosła jedną kasztanowatą brew.

– Nie zrobię tego.

I zamknęła drzwi.

Alec przez krótką chwilę mrugał z zaskoczenia i niedowierzania, póki nie przemogła tych uczuć krańcowa utrata cierpliwości. Odstąpił w tył, ocenił rozmiar drzwi, a potem zamachnął się i wyłamał je jednym mocnym pchnięciem.

Padły na posadzkę przedsionka z potężnym łomotem.

Nie potrafił sobie odmówić odwrócenia się ku kobietom z sąsiedniego domu, które zamarły teraz w zbiorowym szoku, z wytrzeszczonymi oczami.

– Hej, moje damy, czy waszym zdaniem jest ze mnie należycie dzika bestia?

Pytanie pobudziło je do działania. Zaczęły się pchać, jedna przez drugą, chcąc wsiąść do powozu. Alec, zadowolony, skupił uwagę na domu numer 45, po czym, ignorując ból w ramieniu, przekroczył próg.

Dziewczyna stała tam, gdzie przedtem, wpatrzona w wielkie dębowe drzwi.

– Mogłeś mnie zabić.

– Wątpię – odparł. – Te drzwi nie są na tyle ciężkie, żeby kogoś pozbawić życia.

Spojrzała mu w twarz.

– Numer osiemnasty, jak przypuszczam?

Nie mogła zawrzeć w tych słowach więcej pogardy. Alec puścił je mimo uszu, uniósł drzwi i z powrotem osadził je we framudze. Mówił z jeszcze silniejszym szkockim akcentem, co zrobił celowo.

– To ty wiesz, kim ja jestem?

– Wątpię, czy ktokolwiek w Londynie nie byłby w stanie cię poznać. Choć mógłbyś się nauczyć należytej wymowy słowa „wiem”, jeśli chcesz być rozumiany.

Uniósł brwi, słysząc ciętą odpowiedź.

– Nie dbam, czy mi się każe czekać u drzwi własnego domu.

Dziewczyna spojrzała na drzwi osadzone znów na miejscu.

– Masz zwyczaj niszczyć rzeczy, jeśli ci się nie podobają?

Alec powściągnął szczerą chęć zaprzeczenia jej słowom. Spędził większą część dorosłego życia na udowadnianiu, że nie jest nieokrzesanym prostakiem i brutalem. Nie chciał jednak tłumaczyć się przed tą kobietą.

– Płacę solidnie za ten przywilej.

Przewróciła oczami.

– Nadzwyczajne.

Nie dał poznać po sobie, że go to zdumiało. Choć miał rzadki kontakt ze służbą arystokratów, był całkiem pewien, że nie ma ona zwyczaju odcinać się własnym panom. Nie dał się jednak sprowokować, tylko wszedł do nieskazitelnie utrzymanego domu szerokimi, pełnymi zakrętów schodami, ze wspaniałymi i wielkimi olejnymi pejzażami na ścianach i z widocznymi tu i ówdzie złoceniami, wskazującymi raczej na współczesny gust niż na krzykliwy efekt. Wstępował w to wnętrze i podziwiał wysokie sufity i ogromne lustra, które chwytały i odbijały światło umieszczonych wysoko okien, zalewając całą przestrzeń naturalną jasnością, i pozwalały dostrzec przelotnie przez otwarte pobliskie drzwi wielki, barwny dywan oraz płonący kominek.

Taki dom powinien należeć do księcia z imponującym rodowodem i bez wątpienia urządzony był przez jakąś poprzednią księżnę.

Zatrzymał się.

Czy istniała jakaś poprzednia księżna? Założyłby się, że skoro było siedemnastu martwych książąt, to musiała też być i niejedna poprzednia księżna.

Aż prychnął gniewnie na tę myśl. Akurat potrzebna mu jakaś wdowa, kiedy miał już na głowie uwikłaną w skandal podopieczną i pyskatą służącą.

Domniemana służąca dosłyszała jego niezadowolony pomruk.

– Wiedziałam, że nazywają cię Niechętnym Księciem, ale nie sądziłam, że będziesz takim…

Urwała impertynencką uwagę, lecz Alec domyślił się niewypowiedzianych słów: Paskudnym, Prostackim, Bez Ogłady. Stracił cierpliwość.

– Sprowadź mi zaraz lady Lillian.

– To tylko panna Hargrove. Nie jest wysoko urodzona.

Uniósł brwi.

– Tu jest Anglia, prawda? Czy może Anglicy odmienili reguły? Ośmielasz się poprawiać księciów?

– Robię to, kiedy jakiś książę się myli. Choć masz pewnie rację, ale mówisz z takim okropnym akcentem, że niewiele można zrozumieć i nie wiadomo, czy to prawda, czy się mylisz.

– Najwyraźniej rozumiesz mnie całkiem dobrze.

Uśmiechnęła się zbyt słodko.

– Prawdziwe to dla mnie szczęście, jak przypuszczam.

Oparł się chęci parsknięcia śmiechem po jej szybkiej ripoście. Ale ta kobieta nie była wcale zabawna. Zasłużyła sobie, żeby ją natychmiast wylać ze służby.

– A co z szacunkiem należnym tytułowi?

– Żywią go ci, jak sądzę, którym tytuł imponuje.

– A tobie nie imponuje?

Skrzyżowała ręce na piersi.

– Niespecjalnie.

– Mogę spytać dlaczego?

– Było ich siedemnastu przed tobą. Albo, wyrażając się dokładniej, siedemnastu w ciągu dwóch tygodni, a potem ty zostałeś księciem. Przed pięciu laty. A mimo że po raz pierwszy postawiłeś w tym domu nogę, i on, i wszystko, co w nim jest, należy do ciebie. Dbano o ten dom dla ciebie. Podczas twojej nieobecności. Jeśli to nie świadczy, że tytuły są śmiechu warte, sama już nie wiem, co może lepiej tego dowodzić.

Nie mówiła niczego, w co by nie wierzył. Nie znaczyło to jednak, że nie upadła na głowę – całkiem tak samo jak ta inna kobieta w tym domu.

– Choć twoje nieposłuszeństwo robi wrażenie, a ja przynajmniej w części się zgadzam z twoją logiką, mam już tego dość – odparł. – Chcę mówić z panną Lillian, a twoim obowiązkiem, czy ci się podoba, czy nie, jest sprowadzić ją tutaj.

– W jakim celu przybyłeś?

Pozwolił, żeby przez dłuższą chwilę trwała między nimi głucha cisza, usiłując w ten sposób onieśmielić ją na tyle, żeby wreszcie zrobiła to, czego żądał.

– Sprowadź tu swoją panią.

Ani trochę nie straciła rezonu.

– Bawi mnie, że nazywasz ją panią tego domu. Całkiem jakby nie była w nim uwięziona.

Wtedy wszystko zrozumiał.

W każdym razie jego podopieczna nie była mdlejącym typem.

Nim jednak zdołał coś powiedzieć, ciągnęła:

– Jakby nie należała do niego, całkiem jak te drzwi, które wyłamałeś niby wielki szkocki brutal.

Nie chciał tego słyszeć.

Tylko że w jakiś dziwny sposób, stojąc przed nieskazitelną Angielką, w nieskazitelnym angielskim pałacu, w niezgrabnym stroju i ledwie się mieszcząc w drzwiach, czuł, że jest za duży i całkiem nie na miejscu. Nic więc nie mógł poradzić na te słowa.

Nic nie mógł poradzić, choć czuł, że zbyt dobrze ono do niego pasuje, całkiem jak za ciasny halsztuk na jego szyi.

Jakże często je słyszał od pięknych kobiet. Szeptane ze zbożnym lękiem, jakby zbyt skwapliwie sobie wyobrażały potężne zagłębienie, wygniecione przez jego

ciało w ich łóżkach, by nie dać wyrazu najskrytszym myślom. Kiedy ma się tak wielkie ciało, kobiety skłonne są go pożądać, jakby to była dla nich gratka. Jakby był bykiem na wiejskim jarmarku.

Potężnym i nieludzkim.

Słowa te czyniły ich pożądanie czymś zaszczytnym, ale jego poniżały.

Całkiem jak pełne rozgoryczenia słowa jego matki. Jej zdaniem był zawsze za duży, by go polubiła. Zbyt masywnie zbudowany, by jej był wart. Zbyt nieokrzesany. Zanadto szkocki.

Budził w niej zbyt wiele myśli o jej pełnym rozczarowania życiu.

Gardziła jego potężnym ciałem. Jego siłą. Tym, że był podobny do ojca. I to gardziła tak bardzo, że go opuściła, żegnając jedynego syna jednym jedynym słowem.

Brutal.

Teraz zaś, gdy je usłyszał w tym miejscu, wypowiedziane przez inną piękną Angielkę z równie bezbrzeżną pogardą, nie mógł go uniknąć.

Nie zdołał też oprzeć się pokusie odpłacenia jej pięknym za nadobne.

– Miałem nadzieję, że nie okażesz się piękna.

Zmrużyła oczy.

– W twoich ustach nie brzmi to jak komplement.

W tej chwili błysnęła mu nagle w wyobraźni wizja tej oszałamiająco pięknej kobiety rozciągniętej na łóżku, z włosami rozrzuconymi niczym złote płomienie na białej pościeli, z rozchylonymi wargami. Smukłe członki zdawały się go zapraszać. Pożądanie przeniknęło go niczym ból, zmusił się jednak, żeby sobie przypomnieć, kim jest.

Był jej opiekunem. A ona jego podopieczną.

I do tego Angielką.

Nie była dla niego.

– Nieważne – odparł. – To czyni znacznie prawdopodobniejszym twój postępek.

Oczy miała wspaniałe, o wiele bardziej pełne wyrazu, niż sobie mógł wyobrazić, ale też pełne wyzwania.

– Jaki postępek?

– Zrujnowanie sobie reputacji.

Gniew zmienił się w coś innego, co znikło tak szybko, że nie rozpoznałby tego, gdyby nie było mu nieznośnie znane.

We wstyd.

A w jej wstydzie, który dziwnie mu przypominał jego wstyd, było coś takiego, że natychmiast pożałował swoich słów. Co za szkoda, że je wypowiedział.

– Nie powinienem był…

– Czemu? To przecież prawda.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę. Stała przed nim śmiało, wyprostowana, z wysoko uniesioną głową. Brakowało jej zapewne siły, ale nie honoru.

– Może zaczniemy od nowa? – spytał.

– Wolałabym, żebyśmy nie zaczynali wcale – odrzekła, a potem odwróciła się i poszła sobie, zostawiając go w przedsionku, gdzie słyszał jedynie odgłosy ze skweru napływające przez otwarte drzwi.

Akurat tak samo był jej potrzebny Niechętny Książę, jak dziura w głowie.

Zamknęła za sobą drzwi bawialni i wsparła się o nie plecami, by odetchnąć głęboko. Pragnęła, żeby wyniósł się z tego domu. Żeby zniknął też z jej życia. W końcu wcale się nią nie interesował przez ostatnie pięć lat.

Tylko że, oczywiście, był tutaj i dosłownie włamał się do jej domu, całkiem jakby mógł się do niego wpakować niby mściwy król, bo była jego własnością wraz ze swoim skandalem.

Co też, rzecz jasna, uczynił.

Niech diabli porwą Settleswortha razem z jego długim listem.

Niech diabli porwą też księcia, co się jej zwalił na głowę, nieproszony. Niepożądany.

Lily miała pewien plan i nie wymagał on obecności księcia. Nie powinna go była zachęcać. Nie powinna mu była ubliżać. W końcu nie zwabi się much na ocet zamiast miodu, a książę był wcale sporą muchą.

Podeszła do kredensu na drugim końcu pokoju.

Nie. Nie sporą.

Nalała sobie kieliszek złocistego trunku.

Był istnym wcieleniem siły. Lily nie mogła zapomnieć widoku dębowych drzwi wylatujących z zawiasów, jakby były z papieru, a nie z drewna. No i chyba nigdy nie przestanie jej zapierać tchu widok potężnego mężczyzny, wielkiego jak góra i niewiarygodnie przystojnego, który stał nad uczynionym przez siebie rumowiskiem w promieniach słońca, jakby same niebiosa go zesłały.

Dość tych myśli!

Co za bzdury. Siedziała tu przez dwa tygodnie i cztery dni, kryjąc się przed resztą Londynu, widocznie więc oszołomił ją napływ świeżego powietrza, kiedy ów człowiek wyłamał drzwi.

Zresztą już sam ten fakt każdej kobiecie podziałałby na nerwy.

Zwłaszcza takiej, którą wystawił przedtem do wiatru inny przystojny

mężczyzna.

Lily nie zainteresowały jakoś jego potężne barki, brązowe oczy ani pełne wargi, które robiły jednocześnie wrażenie miękkich i niesłychanie kuszących. Nie zwróciły nawet jej uwagi policzki, nos i podbródek, tak silnie zarysowany, jakby go wykuł z żelaza najzdolniejszy ze szkockich kowali.

Pociągnęła powoli łyk whisky.

Nie, ją interesowało tylko to, jak ma się księcia Warnick pozbyć.

– Lillian.

Odwróciła się raptownie i ujrzała człowieka, który jej zgoła nie interesował, stojącego w otwartych drzwiach. Spojrzenie brązowych oczu powędrowało ku trzymanemu przez nią w dłoni kieliszkowi.

– Jest ledwie wpół do dziesiątej rano.

Pociągnęła długi łyk. W bardzo zdecydowany sposób. Jeśli kiedykolwiek był czas na drinka, to właśnie teraz.

– Chcesz się pewnie przekonać, czy te drzwi należycie funkcjonują?

Uniósł jedną z brwi i patrzył na nią przez dłuższą chwilę, nim powiedział:

– Jak już mamy pić, to ja bym też sobie łyknął.

Odwróciła się do niego tyłem, napełniając drugi kieliszek, a gdy z kolei odwróciła się w jego stronę, chcąc mu go podać, on podszedł już do niej. Bezgłośnie. O mało się nie cofnęła gwałtownie. Był za duży. Zanadto władczy.

Robił za duże wrażenie.

Wziął od niej kieliszek.

– Dziękuję.

– To twój drink – odparła i kiwnęła głową. – Powitalny.

Nie zaczął pić, tylko cofnął się w stronę kominka i wpatrywał w duży, klasycystyczny akt męski. Śpiącemu pod wierzbą mężczyźnie przyglądała się przepiękna kobieta w świetle świtu. Lily zacisnęła zęby, zdając sobie sprawę, że i ona przygląda się temu malowidłu. Znów akt! Niepokojąco przywiódł jej na myśl…

– Czy moglibyśmy pomówić o skandalu?

– Nie.

Zaczęły ją palić policzki, co się jej nie podobało.

– A czy wydarzył się jakiś skandal?

Zwrócił wzrok ku niej.

– Napisałaś, że tak.

– Ano cóż, sądzę, że wieść o wyłamaniu przez ciebie drzwi w biały dzień szybko się rozejdzie.

W jego oczach błysnęło coś na kształt rozbawienia. I to również się jej nie podobało.

– Czy to prawda, dziewczyno?

W tejże chwili, po tych czterech słowach wypowiedzianych szorstkim szkockim akcentem, ale nie bez życzliwości, tak serdecznej, że niemal nie do zniesienia, zapragnęła znaleźć się jak najdalej, po raz pierwszy bowiem ktoś ją o coś zapytał.

A ona zapragnęła z całej duszy, żeby odpowiedzieć inaczej niż:

– Lepiej byś sobie stąd poszedł.

Przez chwilę stał bez słowa, a potem powiedział:

– Przyjechałem, żeby ci pomóc.

Roześmiała się, ale bez wesołości.

– Wasza Wysokość mówi doprawdy jak troskliwy opiekun.

– Przyjechałem, jak tylko się dowiedziałem o twoim kłopocie.

Najwyraźniej wszyscy już o nim wiedzieli.

– Tak z miejsca dowiedziałeś się o nim w Szkocji?

– Plotki rozchodzą się lotem błyskawicy. Wiem coś o tym.

– Plotkowano o tobie?

– Gorzej, niż chciałbym o tym mówić.

Zrozumiała, że powiedział prawdę.

– A te plotki były prawdziwe?

Myślała, że wcale nie odpowie, tak długo milczał, zdumiało ją więc, kiedy odparł po prostu:

– Były.

Jeszcze nigdy w życiu nie zaciekawiło jej tak bardzo jedno jedyne słowo. Oczywiście, gadał bzdury. Jeśli w ogóle spowodował jakiś skandal, to nie taki, jak ona. Nie został bowiem przez niego zniszczony.

Nie musiał przez niego uciekać.

Spojrzała mu w oczy.

– No i co? Udało ci się odzyskać reputację?

– Mam w nosie moją reputację. Jestem tu po to, żebyś ty odzyskała swoją.

Kłamstwo. Nikt nigdy nie dbał o jej reputację – przynajmniej od śmierci ojca. Nikt się nią nie opiekował. Nie miała nigdy przyjaciół.

Nikt jej też nie kochał.

Groziło jej, że zaraz się rozpłacze. Duszące ją w gardle, niechciane łzy gniewały ją. Wciągnęła raptownie powietrze i odwróciła się ku kredensowi, nie chcąc, żeby je dojrzał.

– Dlaczego?

Zmarszczył brwi.

– Czemu pytasz?

– Przecież nawet mnie nie znasz.

Po chwili wahania odparł:

– Odpowiadam za ciebie.

Nie mogła się powstrzymać. Parsknęła śmiechem.

– Nigdy się mną nie interesowałeś. Nie wiedziałeś nawet, że istnieję. – Dojrzała w jego oczach poczucie winy. I prawdę. – Ale chyba lepsze to niż co innego.

– A co?

– Że wiedziałeś o mnie od lat, tylko cię to wcale nie obchodziło.

Nie byłby jedyny.

– Gdybym wiedział, że… – Zawiesił głos.

– Że co? Wróciłbyś wtedy do Londynu, całe lata temu? Żeby natychmiast się okazać dzielnym opiekunem i zbawcą?

Przestąpił z jednej nogi na drugą, a ona z lekka pożałowała swoich słów: wiedziała, że nie zasłużył na jej oskarżenia. Zamilkła więc, ale nie przeprosiła. Chciała, żeby sobie już poszedł. Żeby się tu nigdy nie zjawił.

Żeby te życzenia się szybko spełniały…

– Nie jestem jakimś monstrum – odparł w końcu. – Nie prosiłem się o tę odpowiedzialność, ale na pewno bez wahania bym się tobą zajął.

Zawsze to samo. Obietnica pieniędzy. Dachu nad głową i wiktu. Łatwo obiecywać coś takiego.

Prócz niczego, co ma prawdziwą wartość.

Wskazała ruchem dłoni na piękny pokój.

– Mam wszystkiego pod dostatkiem. Spójrz, w jakiej pięknej klatce się znalazłam. – Nie czekała na odpowiedź. – Zresztą to nieważne. Boję się, że przybyłeś za późno. – Cofnęła się raptownie ze słowami: – Zamierzam sobie radzić bez opiekuna i obrońcy. A jeśli czegoś się nauczyłam przez ostatnie kilka lat, to tego, żeby się bronić samej. Być swoim własnym opiekunem.

Nic nie powiedział, póki nie był już przy samych drzwiach bawialni.

– Jesteś starsza, niż się spodziewałem.

Stanęła jak wryta. Obejrzała się.

– Przepraszam?

Nie ruszył się z miejsca.

– Ile masz lat?

Odparła równie impertynencko:

– A ile masz ty?

– Tyle, żeby wiedzieć, że jesteś już zbyt duża na podopieczną.

– Gdyby nie twoja ignorancja względem tej kurateli, znałbyś odpowiedź na to pytanie.

– Nie bierz sobie tego do serca.

– Czego? Długiej ignorancji?

– Kiedy już wiem o twoim istnieniu, jestem nim jak najbardziej zainteresowany.

– A chyba powinieneś, zwłaszcza teraz. Jestem niby jakaś osobliwość w szklanej gablocie, wystawiona na pokaz, żeby być przestrogą.

Uniósł jedną z czarnych brwi i skrzyżował ręce na potężnej piersi.

– Chwilę wcześniej mówiłaś, że siedzisz w klatce niczym ptak.

– Interesują cię metafory? – odpaliła.

Nie wahał się z odpowiedzią.

– Nie, ty.

Rozzłościło ją to, choć nie powinno.

– Szkoda, że ty mnie wcale nie interesujesz.

– A powinnaś. Zdaje się, że wolno mi kontrolować podopieczne.

– Podlegam opiece domu książęcego Warnick. Na twoim miejscu nie zależałoby mi jednak zbytnio na niej.

– Czyż nie jestem księciem Warnick?

– Od niezbyt dawna. Twój ród ma istną smykałkę do umierania.

– Cieszy cię to?

– Kobiecie wolno pomarzyć.

Wargi mu drgnęły przy tych słowach w lekkim uśmiechu, a Lily, gdyby miała powiedzieć prawdę, niemal ucieszyło, że go rozbawiła. Tyle że nie interesowała ją wcale ta prawda.

– No, ale jeszcze żyję, Lily, więc jesteś skazana przez jakiś czas akurat na mnie. Lepiej więc odpowiadaj na moje pytania. – Urwał na chwilę, a potem powtórzył. – Jesteś już trochę za duża na podopieczną, prawda?

Pewnie, że była za duża. Ta kłótnia zaczęła ją wciągać. Ojciec zmarł, powierzając ją opiece księcia, i wszystko było w porządku przez parę lat, póki książę nie umarł. Potem zaś szesnastu następnych. A teraz miał się nią zająć ten legendarny Szkot, któremu obojętne było wszystko, co angielskie, i który nawet nie zwrócił się do parlamentu o wydanie mu odpowiedniego patentu.

No i o Lily zapomniano.

Została bez posagu. Bez możliwości uczestnictwa w sezonie. Bez przyjaciół.

Patrzyła na niego, szukając jakiegoś sposobu, żeby mu to wyjaśnić. Żeby zrozumiał swoją rolę w żałosnej farsie, jaką było jej życie, ale tak, by nie musiała

znów mieć tego życia przed oczami. A że nie było na to sposobu, ograniczyła się jedynie do słów:

– Rzeczywiście, jestem już trochę za duża na podopieczną.

Siadła na małym, ślicznym krzesełku chippendale, patrząc na niego. Tak samo, jak on na nią. Jakby nie mogła się przed nim wywnętrzyć, póki on się jej przyglądał.

Jak na ironię mogłaby to zrobić rok wcześniej. Mogłaby mu wtedy odpowiedzieć na wszystkie pytania i być wobec niego całkiem szczera.

Uśmiechnęła się ze smutkiem na tę myśl. Dałaby mu wtedy poznać nagą prawdę o sobie pod każdym względem. Szczęściem było już na to o rok za późno, a ona zupełnie się zmieniła.

– Jestem podopieczną domu książęcego, póki nie wyjdę za mąż.

– A czemu nie wyszłaś?

Odpowiedziała, zaskoczona:

– Wiele osób uznałoby to pytanie za nieprzyzwoite.

Znów uniósł brew i wskazał na wyłamane drzwi.

– Czy wyglądam na kogoś, kto dba o przyzwoitość?

Istotnie. Nie dbał.

Nie wyszła za mąż z mnóstwa powodów. Miały one coś wspólnego z jej sieroctwem, osamotnieniem, a także z tym, że zakochała się w niewłaściwym człowieku. Nie zamierzała jednak dzielić się tą wiedzą z kimkolwiek. Wybrała więc prostszą, nie mniej zresztą godziwą prawdę.

– Nikt mnie nie chciał.

– Niemożliwe.

– Dlaczego?

– Bo mężczyźni wszystko by dali za kobiety takie jak ty.

Kobiety takie jak ona. Zesztywniała. Swoją urodę odczuwała właśnie tak, jak mówił o niej ten mężczyzna.

– Niech Wasza Wysokość liczy się ze słowami. Te pochlebstwa mnie rozkapryszą.

Usiadł, kuląc się cały w foteliku, który jakby zmalał wobec jego potężnych rozmiarów.

– Alec.

– Przepraszam… o co chodzi?

– Mów mi po imieniu. Jestem Alec.

– Może to ujdzie w szkockiej dziczy, Wasza Wysokość, ale tutaj jest całkiem niestosowne.

– Znów stosowność – mruknął. – No, dobra. Mów mi w takim razie Stuart. Albo posłuż się jakimś wyzwiskiem, bo pewnie znasz ich mnóstwo – dodał. – Nasłuchałem się ich, zanim zostałem księciem.

– Przecież nim jesteś.

– Nie z własnej chęci. – Wypił w końcu whisky i skrzywił się. – Chryste. Co za popłuczyny. – Wylał resztę trunku do kominka.

Lily uniosła na ten widok brwi.

– Pogardzasz swoim tytułem i szkocką whisky?

– Po pierwsze nie powinna się tak nazywać. To co najwyżej jakieś zlewki. – Urwał na chwilę. – A po drugie, nie pogardzam moim tytułem, tylko go nie cierpię.

– A jakże, ty nieszczęśniku. Spadł ci nagle z nieba jeden z najszacowniejszych tytułów w dziejach, coś strasznego. Jakże trudno z nim wieść okropną, utytułowaną egzystencję!

Nie miał pojęcia, jaką rozporządza potęgą i przywilejem. Czegóż by ona nie zrobiła, żeby tylko je mieć.

Rozparł się w małym foteliku.

– Żyję za własne pieniądze, uczciwie zarobione w Szkocji. Zapewniłem dzierżawcom i służbie dobrobyt zależny od księcia, ale nie zażądałem tytułu, nie czerpię zatem z niego korzyści.

– Tylko że jedną z nich jestem ja. – Nie potrafiła się powstrzymać od tych słów.

– No, więc przybyłem tu, prawda? Wezwany przez moją podopieczną. Chyba się to jakoś liczy.

– Nie wzywałam cię.

– Może nie skrobałaś sama piórem po papierze, dziewczyno, ale wezwałaś mnie tu, całkiem jakbyś mnie wołała po imieniu.

– Mówiłam już: nie potrzeba mi ciebie.

– A mnie mówili, że wszyscy myślą inaczej.

– Niech się powieszą! – parsknęła, wpatrując się w ogień na kominku. – Razem z tobą!

– Jestem tu, żeby cię ratować. Chyba zasłużyłem na trochę wdzięczności.

Jego arogancja nie miała granic.

– Czemu zawdzięczam takie szczęście?

Westchnął, słysząc jej sarkastyczny ton.

– Mimo twoich kaprysów jestem tu, żeby… żeby… – szukał odpowiedniego słowa – …załagodzić twoje kłopoty.

Brwi Lily niemal się zetknęły.

– Chyba moje kaprysy.

– Zaprzeczysz temu?

Z pewnością chciała tak zrobić.

– Kaprysić może dziecko, któremu odmówiono słodyczy.

– Jakże nazwiesz swoje zachowanie, jeśli nie kaprysami?

A ona była wściekła. Niemądra. Rozdrażniona. Zdesperowana.

Zhańbiona.

– Nieważne – odparła wreszcie. – Już za późno. – Po chwili dodała stanowczo:

– Obmyśliłam pewien plan, ale nie ma w nim miejsca dla ciebie, książę.

Spojrzał na nią z irytacją.

– Może nie należało ci tego mówić, ale nie cierpię swojego tytułu.

– Nigdy nie należy ujawniać swoich słabości przed wrogiem.

– Czy jesteśmy wrogami?

– Na pewno nie przyjaciółmi.

Był zgnębiony, widziała to wyraźnie.

– Mam tego dość. Powinienem był inaczej zacząć. Settlesworth doniósł mi, że zrujnowałaś sobie reputację w obecności całego Londynu.

Choć nieraz myślała dokładnie tak samo, te słowa wypowiedziane przez kogoś innego zabolały ją dotkliwie. Poczuła wstyd, ale starała się tego nie okazać.

Poniosła porażkę.

– Jak mogło dojść do tego, żebym ja ją sobie zrujnowała, a on nie…

Urwała.

Domyślił się jednak.

– A więc powodem był mężczyzna.

Spojrzała mu znów w oczy.

– Nie udaj, że nie wiesz.

– Nie udaję, ale Settlesworth nie napisał mi o tym zbyt wiele. Nie jestem idiotą i kiedy na ciebie patrzę, wyraźnie widzę, że poszło o mężczyznę.

– Kiedy na mnie patrzysz. – Nie miał pojęcia, jak dotknęły ją te słowa.

Nie słuchał jej.

– A więc tak to wygląda. Nie zrujnowałaś sobie sama reputacji. Ktoś ci ją zrujnował.

– Na jedno wychodzi.

– Nie – odparł stanowczo. – To dwie różne rzeczy.

– Nie dla tego, o kogo chodzi.

Po chwili milczenia spytał:

– Co się stało?

Nie wiedział! Zdumiewające. Nie wiedział, co zrobiła! Zdany był tylko na

niejasne słowa doradcy prawnego i własne domysły. W tych domysłach nie było zaś, dziwna rzecz, żadnej wiedzy o jej przeszłości.

A chociaż wiedziała, że to tylko kwestia czasu, że wkrótce usłyszy o skandalu wywołanym przez Prześliczną Lily, Samotną Lily, Porzuconą Lily i jak tam jeszcze skandalizujące gazetki ją przezywały, nie chciała, żeby dowiedział się o nim teraz.

Nie chciała mu więc o nim mówić.

– Czy to się liczy?

Spojrzał na nią, jakby straciła rozum.

– Pewnie, że się liczy.

Pokręciła głową.

– Ależ nie. Ani trochę. Liczy się tylko to, w co ludzie wierzą. Właśnie tak działa skandal.

– Fakty się liczą, Lillian. Powiedz mi, co się stało. Jeśli przesadzają, wytapetuję Londyn ogłoszeniami, że to nieprawda.

– Cóż za szczęście mieć takiego opiekuna i obrońcę – odparła w nadziei, że sarkazm zirytuje go i przestanie ją wtedy wypytywać.

Mruknął po gaelicku coś, czego nie zrozumiała, lecz domyśliła się z miejsca, że to przekleństwo. Szarpnął za halsztuk, krępujący mu szyję, podobnie jak surdut, który uwierał go w ramionach. Spodnie z kolei były za ciasne w biodrach. Wszystko miał większe, niż należało. Może właśnie dlatego natychmiast domyślił się prawdy i jasno ujrzał jej błędy.

Podobne do jego błędów.

Powrócił do angielskiego.

– Nie poradzimy sobie, jeśli nie poznam szczegółów.

– Tylko nie żadne „my", Wasza Wysokość – odparła z pełnym przekonaniem. – Aż do dzisiaj Wasza Wysokość nie znała mnie wcale.

– Ale prędko cię poznam, dziewczyno.

Tylko że nie dzięki niej samej, choć w jakiś dziwny, groteskowy sposób było to ważne. Co oznaczało też, że mogła być dla niego kimś innym niż dla pozostałych.

– Nie martw się tym – odpowiedziała. – Za dziesięć dni moja sytuacja będzie jasna.

W taki czy inny sposób.

Jeśli to wystarczy, może jej uwierzy. Może i ona sama w to uwierzy.

– Co się stanie za dziesięć dni?

Obraz zostanie odsłonięty.

Nie tylko to zresztą.

– Skończę dwadzieścia cztery lata.

– No i co wtedy? – Alec pochylił się ku przodowi w foteliku, wsparł łokcie na kolanach i splótł palce.

No i obraz zostanie odsłonięty. Przed całym Londynem.

Patrzyła na niego, nie myśląc o tym, co powiedziała. To było bez znaczenia. Miała swój plan.

– Zgodnie z regułami urzędu opiekuna otrzymam pieniądze, dzięki którym zostawiłabym Londyn i mój skandal za plecami.

Zdziwiło go to.

– Musiałoby chodzić o grubszą gotówkę, dziewczyno, żeby wymazać cię z pamięci.

– Och, tak. Mogłabym opuścić Londyn i nigdy tu nie wrócić. Widzi więc Wasza Wysokość – dodała, pozwalając sobie na triumfalny ton – że mam własny plan ratunku. Nie trzeba mi opiekuna. Zamierzam uciec.

Nienawidziła tego planu, bo wiedziała, że Derek dzięki niemu wygra. Razem z Londynem. Razem z pożądanym przez nią życiem, które się jej wymykało. Nie miała jednak wyboru. Nie było innego sposobu, żeby przetrwać skandal, który napiętnowałby ją na zawsze.

Alec patrzył na nią przez dłuższą chwilę, nim kiwnął głową i siadł głębiej w foteliku, znowu pomniejszając go swoim wielkim ciałem.

– To tylko jeden sposób ratunku.

Nie spodobały się jej te słowa.

– Tylko jeden?

– Kochasz go?

Lily zbladła.

– Nie mówiłam, że chodzi o mężczyznę.

– Zawsze chodzi o mężczyznę, dziewczyno.

Mieli się pobrać. Znów łzy napłynęły jej do oczu. Gorące, gniewne i niechciane. Zapragnęła, żeby znikły.

– Nie wiem, czy to twój interes.

Szkoda, że go w ogóle spotkałam.

Szkoda, że…

Szkoda, że tak strasznie jej wstyd.

Kiwnął głową, jakby mu odpowiedziała tymi właśnie słowami. Jakby powziął jakąś decyzję.

– Wystarczy.

A ona w jakiś sposób podjęła decyzję. Przechyliła głowę na bok.

– Czego wystarczy?

Wstał, ogromny i nagle jakby jeszcze bardziej okazały – bardziej niż wtedy, gdy sprawił, że drzwi wyleciały z zawiasów. Jakby był królem, a nie kimś, kogo całkiem niedawno poznała. Gdy zaś przemówił, to z taką pewnością, że przez moment mu uwierzyła.

– Nie powinnaś uciekać.

3. Bójka w Upadłym Aniele: Szkocki Brutal jednym palcem obala na ziemię wytwornego fanfarona

Alec odwiedził jedyne miejsce w Londynie, gdzie meble mogły pomieścić sporego mężczyznę. A że w owym miejscu była również whisky z jego gorzelni, ring stosowny do walki bokserskiej – gdyby przyszła mu na nią ochota – karty i stół bilardowy, jak również przebywało tam kilka osób, które nie budziły w nim pogardy, stanowiło to wszystko dodatkową premię.

– Warnick wrócił! – Markiz Eversley, znany wszystkim jako king podniósł się z obszernego fotela. – Ciekaw jestem wieści.

– Jestem już po pracy – stwierdził cierpko Duncan West, magnat prasowy, ze swojego fotela stojącego tuż przy tym, gdzie siadł Alec. – Choć, przyznaję, ciekawi mnie bardzo, po co nas tu wezwał Niechciany Książę.

Wstęp do Upadłego Anioła, najbardziej ekskluzywnego domu gry, dozwolony był tylko za zaproszeniami i miał niewiele wspólnego z fortuną lub tytułem. Ludzi z lepszych sfer, uczęszczających do klubu White'a lub Brook and Boodle, najczęściej nie zapraszano do Anioła.

King był takim członkiem, podobnie jak West, mimo że magnat prasowy miał na koncie kilka publicznych kłótni z właścicielami domu gry. A że Alec obydwu uważał za swoich przyjaciół, życzliwie go tam przyjmowano mimo braku członkostwa, za co był im wdzięczny. Musiał nawet przyznać, że w Szkocji nie ma takich domów gry. Nawiasem mówiąc, gdzie indziej również.

Alec spojrzał na Kinga.

– Dziękuję za zaproszenie.

Przyjaciel uniósł brwi.

– Skoro o nie prosiłeś, nie trzeba dziękować.

– Potrzebuję dobrze się napić.

– Mógłbyś łatwo otrzymać członkostwo, skoro Anioł jest jedynym miejscem w Londynie, gdzie można dostaćstuartowską whisky. – King zerknął na surdut Aleca.

– A także, na miłość boską, potrzeba ci lepszego krawca. Skąd wziąłeś ten surdut?

Alec wzruszył jednym ramieniem, bo tylko na to pozwalało mu ciasne ubranie.

– Z Mossband.

Eversley parsknął śmiechem, słysząc odpowiedź. Mossband było miasteczkiem po angielskiej stronie szkockiej granicy.

– Można to poznać.

Alec zignorował przytyk.

– Ani londyńskie stroje, ani londyńskie kluby nie są konieczne w Szkocji.

– Ale w Londynie do nich zaglądasz – wtrącił się West.

– Nie jestem jednak do cna zepsuty – odparł Alec, pociągając solidny łyk, nim zagłębił się w masywnym skórzanym fotelu i spojrzał na Westa z powagą. West był właścicielem najbardziej dochodowych gazet brytyjskich, a trzy z nich powszechnie uważano za najlepsze tytuły ówczesnego dziennikarstwa.

Jednakże nie pisma na wysokim poziomie interesowały teraz Aleca, ale skandalizująca bulwarówka.

– Dzisiejszego wieczoru nie jesteś jednak tak całkiem po pracy – zwrócił się do dziennikarza.

West rozparł się wygodnie w fotelu.

– Może i nie.

– Tak się złożyło, że mam podopieczną.

West uniósł jedną z płowych brwi.

– Tak się złożyło?

– Mój doradca prawny zapomniał mnie o tym powiadomić.

– Na mój rozum to dość fatalny doradca.

– Wziął dosłownie to, co mówiłem, kiedy mu powiedziałem, że nie interesują mnie pułapki czyhające w Londynie na księcia.

King zachichotał.

– Nazywasz dziewczynę pułapką? Chryste! Lepiej jej tego nie mów. Sądząc z mojego doświadczenia, kobiety nie lubią, kiedy tak się o nich myśli.

Istotnie. Alec nie przypuszczał, żeby Lily to lubiła.

– Teraz się jednak dowiedziałem, że istnieje.

– Wszyscy teraz o niej wiedzą – rzucił West.

– Z powodu skandalu – odparł Alec.

– Z jej powodu – uściślił West. – Jest powszechnie uznawana za najpiękniejszą kobietę w Londynie.

– Może sobie być najpiękniejsza – stwierdził Alec. Bo rzeczywiście nie widział piękniejszej.

– Nie jest wcale najpiękniejsza – powiedzieli jednocześnie King i West.

Alec przewrócił oczami.

– Oczywiście prócz waszych żon.

Obydwaj przyjaciele uśmiechnęli się szeroko i West ciągnął dalej:

– Panna Hargrove jest też kobietą osobliwą. Piękna niewiasta, powiązana z domem książęcym, nie wprowadzona oficjalnie w krąg socjety, lecz regularnie pokazująca się z jednym spośród największych i najbardziej podziwianych pyszałków tejże socjety.

Alec poczuł niesmak po usłyszeniu tych słów.

– Pewnie właśnie to jest źródłem skandalu?

– Nie chcesz spytać jej o szczegóły? – zdziwił się West.

Z miejsca przypomniał mu się jawny wstyd Lily.

– Chyba nie ma ochoty mi tego powiedzieć.

– Hm.

– Co to oznacza? – spytał zgryźliwie.

– Tylko tyle, że oboje nie mają ochoty przekazać tego nam. – Dziennikarz ożenił się z kobietą, która sama była czymś w rodzaju skandalistki, siostrą księcia i niezamężną matką córki, obecnie zaś źródłem jego ojcowskiej dumy na równi z własnymi dziećmi.

– Na szczęście to nie ona jest moim problemem – powiedział Alec.

– One zawsze są naszym problemem – przerwał mu gwałtownie King.

– Nie Lillian Hargove. Inaczej niż cała reszta Londynu, nie wiedziałem o niej dwa tygodnie temu i nie mam zamiaru wiedzieć dwa tygodnie później. Ona jest problemem dla tego typa, który ją pozbawił szacunku. – Alec spojrzał uważnie na Westa. – Chcę tylko wiedzieć, co to za jeden.

West spojrzał ku pobliskiemu stołowi do gry w faraona i zatrzymał na nim wzrok przez dłuższą chwilę. Alec poszedł za jego przykładem. Mężczyzna ubrany cały na biało siedział tam z trzema innymi, błyskając zębami w szerokim uśmiechu skierowanym do tego, kto rozdawał karty. Leżało przed nim mnóstwo monet.

Alec spojrzał na przyjaciół.

– Kto to jest?

King spojrzał na Westa, ten zaś siadł jeszcze głębiej w fotelu.

– Czy mam ci powiedzieć, że wiem, co mi wiadomo o skandalu twojej podopiecznej?

Alec skinął głową i przestał zwracać uwagę na stół do faraona.

– Obraz.

– Jakiego rodzaju? – zdziwił się Alec.

Po chwili King mruknął:

– Podobno akt.

Alec cały zesztywniał. Słowa przyjaciela rozległy się donośnym echem w jego uszach. Nie słowa, jedno jedyne słowo. Akt. Smukłe członki. Pełne wargi. Strome piersi. Krągłe biodra. Jedwabista skóra. I oczy jak błysk pioruna podczas burzy.

Niemożliwe.

– Czyj akt?

West rozłożył szeroko ręce, jakby chciał powiedzieć: „Czyż to nie jest oczywiste?”

Rzecz jasna, było.

Alec zerwał się z fotela.

– „Podobno”. Powiedziałeś „podobno”.

– Żadne tam „podobno” – odparł West.

– Widziałeś go? – Alec zwrócił się ku dziennikarzowi.

– Ja nie, ale moja żona tak. – West przerwał na chwilę. – Georgiana jest w Komitecie Akademii Królewskiej, który wybiera dzieła na wystawę.

Serce Aleca przyspieszyło raptownie tempo.

– I to jest akt Lillian?

West milczał. Alec pytał dalej, chcąc się upewnić, czy może być inaczej.

– Skąd wiadomo, że właśnie ona do niego pozowała? Wy wiecie i ja także, że w skandalu rzadko chodzi o prawdę.

– W tym wypadku jest to prawda – odrzekł West.

– Skąd o tym wiesz?

West unikał jego wzroku.

– Bo jestem wyjątkowo dobry w moim fachu i znam różnicę między plotką a faktem.

Alec zastanawiał się nad kobietą, którą poznał kilka godzin wcześniej. Owszem, była pięknością, ale przecież nie idiotką. Pokręcił głową.

– Nie w tym wypadku. Spotkałem się z tą dziewczyną. Niemożliwe, żeby pozowała do aktu.

– Miłość zmusza nas do dziwnych rzeczy.

Słowa Kinga były proste i bezpośrednie. Alec znienawidził jednak wyczuwalną w nich prawdę.

Nie chciał jej przyjąć. Nie chciał sobie wyobrażać Lillian obnażającej się przed mężczyzną. Już i tak niełatwo mu przychodziło nie wyobrażać sobie jej nagości.

A jednak tak było.

– Widocznie się zakochała.

Spytał ją o to wcześniej. Odpowiedziała mu na pytanie bez słów. Nie potrzebowała ich. Widział smutek w jej oczach. Rzewny smutek. Całkiem jakby pragnęła, żeby ów mężczyzna pojawił się w jej bawialni.

Znał takie pragnienie. Lepiej też od innych wiedział, że źle ulokowane uczucie mogło ją pchnąć ku jakiemuś miernemu artyście, który nią manipulował i nadużył jej zaufania. Spojrzał w oczy Westowi.

– Gdzie jest ten obraz?

– Nikt nie wie. Ma być pokazany jako ostatni na Królewskiej Wystawie, za dziesięć dni – wyjaśnił West. – Oni wybierają wtedy najlepsze dzieło, Warnick. A Georgiana mówi, że jest niezrównany.

– Najpiękniejsza z namalowanych kiedykolwiek podobizn – wtrącił się King.

– Nie wiemy, czy właśnie ją przedstawia.

– Sama się przyznała, Warnick.

Alec ponownie zastygł bez ruchu.

– Do czego?

– Wtargnęła na estradę. Zrobiła scenę. Oświadczyła, że go kocha. Odtrącił ją. Wobec całego Londynu – odezwał się West. Już samo to wystarczyło, żeby ją zniszczyć w oczach socjety, a niektórzy z jej członków uważają, że się do niej zalicza. I ona, i ten jej artysta przyczynili się do famy malowidła, która wyprzedza jego obwożenie po kraju. Po całym świecie.

Alec zaklął i pokręcił głową.

– Czemu to zrobiła? Czemu zrujnowała sobie reputację? Siedzi teraz zamknięta w moim domu i czeka na pieniądze, żeby uciec.

Tylko że ich od niego nie dostanie.

Widział już kobiece ucieczki. Widział też, co się dzieje z tymi kobietami, kiedy nie mają już gdzie uciec.

Lillian Hargrove nie powinna uciekać.

– Żąda ich od ciebie? – Tym razem zabrał głos King.

Alec skinął głową.

– Za dziesięć dni je odziedziczy.

West zakręcił w palcach kieliszkiem z whisky.

– Niezły termin, skoro obraz ma być odsłonięty właśnie za dziesięć dni.

– Co ty gadasz? – Alec spojrzał ku niemu.

Jedno z ramion Westa uniosło się lekko, a potem opadło.

– Za dziesięć. Pomyśl tylko o *Monie Lisie*.

– Kogo, u diabła, obchodzi przeklęta *Mona Lisa*? – spytał Alec z irytacją.

– Myślę, że mnóstwo ludzi.

Alec spiorunował go wzrokiem.

– Mam po dziurki w nosie twojej błyskotliwości, West, choć zawdzięczasz ją samemu sobie.

Dziennikarz uśmiechnął się ironicznie.

– A czy ty nie zawdzięczasz wszystkiego samemu sobie? Tylko że brak ci błyskotliwości.

– Mała szkoda, sądząc z rozmiarów twojej błyskotliwości – dociął mu King. – Myślę, że ludzie mówią prawdę. Nie zawsze można wszystko osiągnąć.

Alec przeklął w myśli obydwóch.

– No dobrze. Co z tą *Moną Lisą*?

– Wyobraź sobie, jaką zyskałaby sławę, gdybyśmy tylko wiedzieli, jak się naprawdę nazywała.

Oniemiał z zaskoczenia.

– Myślisz, że Lillian chciała takiej sławy? – Przez moment ujrzał te jej szare oczy zamglone smutkiem. – Nie!

– Ożeniłem się z Niebezpieczną Córką – stwierdził z ironią King. – Żywy dowód tego, że niektóre o niej marzą.

Ledwie sześć miesięcy wcześniej markiz Eversley znalazł w swoim powozie pasażerkę na gapę, pochodzącą z jednej z najbardziej osławionych rodzin Londynu. Stała się nieoczekiwanie towarzyszką jego podróży, a gdy cała historia zrobiła się znana – najbardziej skandalicznym członkiem rodziny. Oraz markizą Eversley.

– Nigdy byś się nie ożenił, gdyby nie ja.

King spojrzał na niego ze złością.

– O, tak. Twoja rola w tej grze doczekała się jak najżyczliwszego przyjęcia. Nie narzekałbym na nią.

– Masz szczęście, że nie narzekasz – odparł Alec. – Ktoś musiał nauczyć cię rozumu.

– Będę ci za to dozgonnie wdzięczny – padła zaskakująco szczera odpowiedź.

– Och. – Alec rozejrzał się wokoło. – Nie ma nic gorszego niż wielki pan, który kocha swoją żonę.

– Uważaj, co mówisz, książę. Chętnie czy niechętnie, też nim teraz jesteś. I trzeba ci tylko żony.

Nigdy tak nie będzie. Za każdym razem, kiedy o tym myślał, dochodził do wniosku, że otrzymał gorzką lekcję. Za każdym razem się nie liczył. Z braku pieniędzy, tytułu, ogłady. Za każdym razem pożądano tylko jego ciała i niczego więcej. Szkocki Brutal.

Pokiwał głową.

– Miałem dosyć kłopotów z kobietami. Pięknie dziękuję.

– Dlatego że robisz krzywdę tym stworzonkom – powiedział King, przedrzeźniając jego szkocki akcent.

– Tej jednej wcale nie skrzywdziłem. – Lillian Hargrove chciała bez wahania stanąć z nim do walki. – Dopiełaby swego, gdyby się trochę bardziej postarała.

– Jeszcze jeden powód, żeby uwierzyć, że mogła wywołać skandal – stwierdził West. – Prześliczna Lily, unieśmiertelniona raz na zawsze.

Znienawidził ten epitet, ale nie chciał dać tego poznać po sobie.

– Nie wiedziałem, że mówi o sobie Lily – odparł i znów pociągnął łyk. Nie podobało mu się, że ci dwaj wiedzą o niej więcej od niego.

Nie podobało mu się też, że mogą mieć rację. Że Lily mogła bez wahania zniszczyć swoją reputację dla jakiegoś mężczyzny. Pomyślał znowu o niej i o ich wcześniejszym spotkaniu. Nie robiła wrażenia, że jest dumna ze swego skandalu. Nie obnosiła się z nim zbytnio. Widział w jej wzroku żal. A także wstyd.

Ujrzał go tam tak wyraźnie, jak własny wstyd.

Znów pokiwał głową.

– Nie zrobiła tego celowo.

– A więc ta scena na wystawie… – zaczął King.

West dokończył jego myśl.

– …nie była wcale świadomie odegraną sceną. – Spojrzał na Aleca. – Biedna dziewczyna. I co teraz?

„Zamierzam uciec”.

Nie powinna była uciekać. Gdyby miał nawet zburzyć cały Londyn cegła po cegle, żeby jej zapewnić bezpieczeństwo, powinna była w nim pozostać i odzyskać reputację. Anglia zaś nie powinna jej przepędzić ani zniszczyć w sposób, w jaki tak łatwo niszczyła tych, którzy jej nie odpowiadali.

Pozostawało jedno jedyne rozwiązanie – bezpieczne, szybkie i całkowicie do przyjęcia. Tempo było tu z pewnością błogosławieństwem. Pozwalało na jego powrót do domu, do Szkocji, z dala od Londynu i Lillian Hargrove, która okazała się bardziej kłopotliwa, niż przypuszczał.

– Możesz się z nią ożenić. – Słowa Kinga przerwały rozmyślania Aleca.

– Z kim?

West uśmiechnął się chytrze.

– Londyński klimat zaćmił ci chyba umysł, Szkocie. Z tą dziewczyną. Panną Hargrove. King ci podsuwa pomysł, żebyś ją poślubił.

Znów błysnęła mu w myśli wizja Lily, doskonale pięknej w skromnej szarej sukni, z porcelanową cerą i pełnymi ognia oczami. Oświadczyłby się jej z miejsca,

zauroczony jej pięknością, rozpaczliwie spragniony, by zdobyć jej serce. Żeby ją mieć tylko dla siebie.

Mimo swojej postury. Niezgrabności. Braku wdzięku. Dobrze jednak o czymś wiedział. Nadawał się tylko do czegoś niższego od małżeństwa.

– Przecież jestem jej opiekunem…

– Co za nonsens! – przerwał mu King. – Gdybym dostał funta za każdego opiekuna, który poślubił podopieczną, byłbym krezusem.

– Już nim jesteś – odciął się Alec. – Tak czy owak, nie chciałaby mnie. – Dopiero po chwili dotarło do niego, że West i King wpatrują się w niego ze zdumieniem.

– O co wam chodzi?

West pierwszy odzyskał mowę.

– Mówię chyba za nas obydwu. Ta dziewczyna powinna ci na klęczkach dziękować, gdybyś się jej oświadczył.

Szkocki Brutal.

Taki wielki. Taki wstrętny. Dobry tylko do łóżka.

Wspomnienia dotkliwie go nękały. Ileż Angielek pozwalało mu na coś więcej niż miłość cielesną? Ileż wolało wybrać kogoś innego? Nawet gdyby był tą dziewczyną zainteresowany. Nawet gdyby była czymś więcej niż kłopotliwą pięknością, dla której znalazł się z dala od domu… Pokiwał głową.Nie nadaję się na jej męża.

Wiedział, że King mu się przygląda. Ale on nie widział w nim teraz kogoś znanego mu od czasów szkolnych. Nawet gdyby markiz powiedział: „No, to co?”

– Jestem księciem, prawda?

King zawahał się przed wypiciem resztki whisky.

– Dowiódłbyś tego patentem. A księciu wolno czynić wedle woli.

West znów uśmiechnął się ironicznie.

– Słyszałem, że to uboczna korzyść z tytułu.

– Niech ją poślubi ten, kto zrujnował jej reputację. – Alec kiwnął głową.

Przerwał mu rwetes przy pobliskim stole do gry w faraona. Alec spojrzał w tamtą stronę i po raz kolejny dostrzegł, że strojniś w białym ubiorze solidnie oberwał, o czym mówił szok widniejący na jego twarzy.

Tak to bywa w domach gry. Raz się jest na górze, raz na dole.

A jeśli chodzi o kobiety, bywa podobnie – i łajdak Lily szybko się powinien o tym przekonać.

Alec zwrócił się do przyjaciół.

– Ożeni się z nią, gdybym nawet miał go zmusić, przystawiając mu pistolet do

łba.

King powiedział z wahaniem.

– Może i tak.

– Jestem szkockim brutalem, co mi pomoże. Kto to taki? – spytał Westa.

– Powiem ci coś więcej. – West skończył drinka i wskazał na stół karciany. – Poznasz nazwisko i adres tego typa. Widzisz przed sobą Dereka Hawkinsa, artystę malarza i teatralnego geniusza. To ten mężczyzna w białym stroju, który wciąż nie może się otrząsnąć z doznanego szoku.

Nie do uwierzenia.

Alec nie mógł sobie wyobrazić tego nędznika rozmawiającego z Lillian. Niemożliwe, żeby przyzwoita niewiasta zakochała się na śmierć i życie w jawnym pyszałku, który puszy się jak paw. Spojrzał na Kinga, jakby dla potwierdzenia.

– Nie wierzę.

King pokiwał głową.

– A jednak. Artysta, teatralny geniusz – i zupełny osioł.

Nie wiedział o tym, kiedy sobie wyobrażał kogoś poważniejszego. Nie takiego dandysa. Alec nie byłby zaskoczony, gdyby chodziło o mężczyznę niesłychanie przystojnego, niewiarygodnie bogatego lub też pełnego nieodpartego uroku. Ale ten człowiek – ten pompatyczny pyszałek – nie był godny nawet tego, by spacerować z Lily po mieście.

„Kochasz go?”

Alec spodziewał się kogoś, kto byłby jej wart.

Nagle jego plan przestał mu się wydawać doskonały.

Spojrzał na przyjaciół i zadał jedno jedyne pytanie, które przyszło mu do głowy.

– Dlaczego?

Nim zdołali odpowiedzieć, przy stole faraona wybuchła kolejna kłótnia. O ile Alec zdołał się zorientować, ten Hawkins wołał:

– Moje nazwisko będzie wkrótce znane na całym świecie! Jak śmiesz mi odmawiać?!

Pracownik kasyna poprawił na nosie okulary i pokiwał głową.

– Zapewniam cię – wybuchnął Hawkins – że zzieleniejecie, gdy do was dotrze, komu odmówiliście forsy. Będę najsławniejszym Anglikiem wszech czasów! Newton, Milton, Szekspir zbledną w porównaniu z Hawkinsem! Będziecie mnie błagać, żebym raczył tu zajść, a ja odmówię z powodu twojej – i machnął ręką ku okularom rozmówcy – jawnej krótkowzroczności.

– O Boże. Jest gorzej, niż przypuszczałem – uznał Alec.

– On się dopiero rozgrzewa – zauważył West, zamawiając kolejny kieliszek.

– Skoro nie masz forsy, Hawkins, to nici z gry – powiedział któryś z partnerów, najwyraźniej chcąc wrócić do kart.

– Mam forsę. Tylko nie przy sobie – odparł Hawkins, zwracając się do majordomusa. – Czy jesteś równie głuchy, jak ślepy? Nie rozumiesz, że rozmawiasz z największym artystą wszech czasów?!

Przy stole zaczęto z niego głośno drwić. Alec nie potrafił powstrzymać się od śmiechu. Ten człowiek był nie do zniesienia! Spojrzał na przyjaciół.

– Mylicie się. W żaden sposób nie wywołałaby skandalu dla niego.

Lillian nie zdołałaby wytrzymać ani chwili z tym nadętym osłem. Z miejsca by go przejrzała.

A osioł ciągnął dalej, najzupełniej pewny siebie:

– Jestem Derek Hawkins! Nie przesadzam, mówiąc o jakości mego dzieła! Mam w sobie więcej geniuszu, niż świat kiedykolwiek widział!

Alec spojrzał na Kinga.

– Czy on zawsze jest taki?

– Jeśli przez „takiego” rozumiesz pompatycznego durnia, to owszem – padła sucha odpowiedź. – Przez jakiś czas zalecał się do mojej bratowej. Potrafię zrozumieć, czemu dała mu kosza.

– Nie mogę zmuszać Lillian do małżeństwa z nim.

– Chyba jednak go kochała.

– Nie dbam o to – odparł Alec. I rzeczywiście nie dbał. Nie było sposobu, żeby ją wydać za tego błazna.

Musiał sobie poradzić z tą sytuacją w inny sposób.

– Chcę mówić z właścicielem! – upierał się Hawkins.

A wtedy, całkiem jakby go wywołał z niebytu, pojawił się jeden z właścicieli kasyna. Wysoki, rudy finansista klubu powiedział z całkowitym spokojem:

– Hawkins, ile razy musimy ci powtarzać, że masz u nas za mało fartu, żebyśmy ci dawali pożyczkę bez zabezpieczenia?

– Brak ci zrozumienia dla sztuki, Cross – oznajmił Hawkins. – Niech tu się zjawi ktoś bystrzejszy. – Wprost błagał, żeby przyszedł inny właściciel. – Bourne. Albo Chase. On będzie rozsądny. Zabezpieczeniem pożyczki jest moje nazwisko. Moje dzieło. Jestem gwiazdą tegorocznej Wystawy Królewskiej. Nie wiesz o tym?

– Mylisz mnie z jej kuratorem. – Cross był niewzruszony. – Idź i wróć z pieniędzmi, a wtedy pogadamy. Na razie gramy bez ciebie. – Odwrócił się na znak, że rozdający karty powinien teraz to zrobić.

– Mylisz się. Moja noga tu nie postanie, kiedy tylko malowidło zostanie odsłonięte. To największy akt od czasów Rubensa! – Alec zgrzytnął zębami,

słysząc ponownie słowo „akt”. – Lepszy niż Rubens. Jestem Leonardem! Jestem Michałem Aniołem! Jestem najlepszy! Schowaj się ze swoimi zyskami! Będziesz mnie potem błagał, żebym tu wrócił!

– Nikt jeszcze nie widział tego legendarnego obrazu, Hawkins! – powiedział ktoś. – Wróć tu za dziesięć dni, a wtedy sami zadecydujemy, jakim jesteś rodzajem geniusza.

Hawkins zwrócił się ku niemu.

– Wiesz, że zostanie odsłonięty za dziesięć dni, a to mi mówi, że zamierzasz rzucić nań okiem!

– Na Prześliczną Lily we własnej osobie? Masz piekielną rację, chłopie!

Alec zerwał się na nogi z zaciśniętymi pięściami, nim zdołał pomyśleć.

– Warnick! – King z miejsca znalazł się u jego boku. – Uspokój się. Jeszcze wszystko pogorszysz!

Alec był później dumny z siebie, że nie rozszarpał nędznika na strzępy, jak początkowo zamierzał, tylko zamiast tego powiedział z silnym szkockim akcentem:

– Dam z miejsca taką pożyczkę artyście.

W sali zapadła cisza i wszyscy zwrócili twarze ku niemu.

– Kim pan jest? – spytał Hawkins, z zaskoczeniem i zarazem z ulgą, patrząc mu w oczy.

Alec rozłożył szeroko ręce w geście niewinnej afektacji.

– Darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda, prawda?

– Nie – odparł Hawkins. – Niekoniecznie. Ale wolałbym wiedzieć, komu będę dłużny.

– Czy to ma znaczenie? – spytał Alec. – Nikt inny nie zapewni ci forsy dzisiejszego wieczoru.

Hawkins przymrużył oczy i przekrzywił głowę, jakby chciał ocenić Aleca. Zatrzymał wzrok na jego szerokich barach i przyciasnym surducie ze źle leżącymi rękawami. Zauważył też kiepski akcent.

– A jeśli się zgodzę? Co wtedy?

– Będziesz grać dalej.

Hawkins jeszcze bardziej przekrzywił głowę.

– No i co?

– Jeśli wygrasz, wygrana będzie twoja.

– A jeśli przegram?

– Wtedy odbiorę swoje pieniądze. Razem z procentem.

Hawkins zmrużył oczy.

– Z jakim?

– Z obrazem.

– Z obrazem na wystawę? – zdumiał się Hawkins.

– Właśnie z nim.

Hawkins zerknął na Kinga i Westa, a ci porozumieli się wzrokiem. Wreszcie pojął, o co tu chodzi, i spojrzał z kolei na Aleca. Był mniejszym głupcem, niż Alec się spodziewał.

– Książę Warnick? Opiekun Lily, który gdzieś się zapodział?

Lily. Alec nienawidził dźwięku jej imienia w ustach tego dandysa.

– Dla ciebie panna Hargrove! – palnął.

Ale Hawkins rozumiał już, z kim mówi.

– Nigdy bym pana nie rozpoznał. Mówili mi, że jest pan potężnej budowy, ale przy swoim bogactwie mógłby pan sobie znaleźć lepszego krawca. Krój tego surduta jest obrzydliwy.

Hawkins wzruszył ramionami i wskazał na swój rękaw z pogardliwym uśmiechem.

– Chcesz forsy czy nie?

– Czyżby chciał pan za pożyczkę na karty kupić arcydzieło? – Hawkins wypiął pierś z dumą i niestosowną pewnością siebie. – To dzieło geniusza. Nie spodziewam się po kimś w pańskim stroju zrozumienia, co to oznacza. – Zamilkł na chwilę i przyglądał się Alecowi, kręcąc głową. – Zaparłoby panu dech na resztę życia.

Alec zbliżył się ku niemu o krok.

– Już ja ci pokażę, co to znaczy stracić dech.

– Warnick! – ostrzegł go znów King. Alec mógł sobie dopowiedzieć resztę: „Nie pogarszaj wszystkiego”.

Otaczała ich coraz większa ciżba widzów, świadomych, że zaraz dojdzie do bójki.

Alec zaczerpnął głęboko tchu.

– Dziesięć tysięcy.

Suma była porażająca. Większa zapewne niż wartość malowidła.

W oczach Hawkinsa pojawił się błysk chciwości.

– Obraz nie jest na sprzedaż.

– Wszystko jest na sprzedaż – powiedział Alec. Sam wiedział o tym najlepiej. – Dwadzieścia tysięcy.

W ciżbie rozległo się zbiorowe westchnienie. Dwadzieścia tysięcy funtów urządziłoby Hawkinsa na całe lata. A może i na resztę życia.

Oferta była jednak błędem ze strony Aleca. Zdradziła zbyt wiele. Zbyt wielką chęć uratowania dziewczyny. Do diabła, Hawkins na tym zyskał.

Malarz uśmiechnął się złośliwie.

– Proszę tylko pomyśleć, jakiemu zdarzeniu pańskie poczucie odpowiedzialności, całkiem zresztą nie na miejscu, mogłoby rok wcześniej zapobiec.

Alec ani drgnął. Nie połknął haczyka. Oparł się chęci rozwalenia dandysowi łba, na co w pełni zasługiwał.

– Gdyby pan był kim innym, książę, to mógłby ją jeszcze uratować.

Hawkins nie mógł wiedzieć, że właśnie te słowa podziałają na Aleca niczym płachta na byka. Nie zdołał przewidzieć ich siły. Alec zacisnął pięści, a każdy z jego mięśni stwardniał, szykując się do desperackiego ataku.

– Masz na myśli to, co jej zrobiłeś?

W oczach Hawkinsa coś błysnęło.

– Zapewniam Waszą Wysokość, że wcale jej nie zmuszałem – powiedział z niedwuznaczną sugestią. – Aż się do tego rwała.

Otaczający ich mężczyźni zaczęli kpić i gwizdać na te słowa, na zawartą w nich ruinę Lillian. Śmiechy i krzyki urwały się jednak, gdy Alec ruszył przed siebie niczym pies spuszczony z łańcucha.

Uniósł Hawkinsa, chwytając go za kołnierz jego wytwornego żakietu, jakby malarz nic nie ważył.

– Zrobiłeś błąd.

– Postaw mnie zaraz na ziemi! – krzyknął piskliwie Hawkins, wpijając się kurczowo w pięść Aleca.

West zerwał się z krzesła.

– Nie tutaj, Warnick. Nie wobec wszystkich.

Alec cisnął nędznikiem o podłogę, a potem stanął nad nim i raz jeszcze spytał:

– Ile?

Hawkins zdołał jakoś stanąć na nogi.

– Jak śmiesz mną poniewierać! Ja jestem…

– Mam to w nosie. Ile za ten obraz?

– Nigdy go nie dostaniesz! – zaskowyczał przerażony Hawkins z fałszywą brawurą. – Nie wziąłbym od ciebie pieniędzy, nawet gdybyś mi dawał dziesięć razy tyle, ty szkocki zbirze! Pasujesz do niej jak ulał! Tak samo niewiele jesteś wart jak ona, tyle że miałeś więcej szczęścia!

Przypomniało to Alecowi, że przedtem chciał tego sukinsyna zmusić do małżeństwa z Lily.

Całkiem jakby mu wolno się było do niej w ogóle zbliżyć.

Całkiem jakby mu wolno było oddychać tym samym powietrzem co ona.

– Byłem zanadto uprzejmy – powiedział, zbliżając się do Hawkinsa, przy akompaniamencie pomruków zebranych gapiów.

Ktoś spośród nich zawołał głośno:

– Stawiam dwadzieścia funtów na Szkota!

Alec zignorował to.

– Chciałem zapłacić ci za obraz. Porządnie. Bardziej niż porządnie.

– Nikt nie podejmie tego zakładu! Spójrz na niego! Ma pięści niczym dwa udźce!

A te pięści rozwierały się i zaciskały ponownie.

– Płacę za sam widok walki!

– Nie zdziwiłbym się, gdyby zaciągnął Hawkinsa do ołtarza!

– Stawiam dwadzieścia funtów na niego!

Hawkins zaś nadal gardłował:

– Całkiem jakbym chciał się żenić z nisko urodzoną, samotną, smętną Lillian Hargrove! Jakby geniusz miał poślubić muzę! A ja mógłbym mieć każdą. Nawet królewskiego rodu!

– Stawaj z nim na ringu, Warnick! Pokaż mu, żeś temu nierad!

– Nie trzeba mi ringu. – Alec nie był Hawkinsowi nierad. Chciał go zabić. – Słuchaj mnie uważnie – zwrócił się do malarza cicho, z ledwie dosłyszalnym akcentem. – Zakonotuj sobie w pamięci moje słowa. Bo ja chcę, żebyś przez najbliższe dwa tygodnie łamał sobie głowę, jak mi się to udało zrobić.

– Co? – spytał Hawkins z przestrachem.

– Zniszczyć cię.

Hawkins zamrugał powiekami, Alec zaś zobaczył, że grdyka chodzi mu w górę i w dół, jakby namyślał się nad odpowiedzią. Wreszcie pokręcił głową, obrócił się na pięcie i czmychnął za zasłonę w drzwiach wejściowych, a potem prosto w londyńską noc. Goniły za nim śmiechy i drwiny pozostałych bywalców domu gry.

Po dłuższej chwili King pojawił się u boku Aleca.

– Chyba nie jest w końcu głupcem. Ucieczka była dobrym wyjściem z sytuacji.

„Zamierzam uciec”.

Usłyszał w sobie echo słów Lily, pełnych żalu. Przypomniały mu o kimś, kto też uciekł i został zniszczony.

Pokiwał głową.

– Ten człowiek nigdy jej nie zabierze z Londynu. Po moim trupie.

Dołączył do nich West.

– Chyba już nie chcesz jej za niego wydać?

Ujrzał oczami wyobraźni Lily w ramionach Hawkinsa, z włosami rozsypanymi na plecach, splecionych z jego palcami. Jej usta na jego wargach. Zapragnął przewrócić najbliższy stolik do kart.

– Nawet za całą forsę Londynu! – prychnął.

– Co teraz?

– Nieważne, za kogo wyjdzie. Byle tylko wyszła za mąż.

King i West spojrzeli na siebie, a potem na Aleca, tym razem niezłomnie pragnącego zrealizować zmodyfikowany plan. Czekał, aż któryś z nich zacznie mówić. Milczeli, więc zapytał:

– No i co?

Po długiej chwili odezwał się West.

– Nic. Wydaje mi się, że to pierwszorzędny plan.

King uniósł brwi.

– Niemożliwe, żeby się nie powiódł.

Alec wyczuł jego sarkazm, a potem dosadnie, po gaelicku, precyzyjnie mu wyjaśnił, co ma ze sobą zrobić, nim odwrócił się na pięcie i poszedł ku bokserskiemu ringowi.

Przydałaby mu się teraz walka.

4. Niechciany Książę wkracza z psami do rezydencji

Lily powinna była się zorientować, gdy o ósmej rano ujrzała służącą pędzącą w dół po schodach, że zaszła jakaś zmiana.

Powinna była wyczuć już dzięki ciszy zalegającej dom, że przebywał w nim ktoś niezwykle ważny. Ale nie wyczuła.

Póki nie dotarła do niej woń smażonej szynki.

Przez całe pięć lat Lily schodziła po tych samych schodach, zawsze o tej samej porze, żeby napić się herbaty i zjeść grzankę w saloniku porannym. Wcale nie dlatego, żeby chciała jeść na śniadanie grzankę z herbatą – po prostu to jej właśnie podawano. A i tak zdarzały się dni, kiedy kucharka zapominała o niej i Lily musiała sama rozejrzeć się za śniadaniem. Były to, szczerze mówiąc, najlepsze dni, bo pozwalały jej na wchodzenie do kuchni i przebywanie tam w czyimś towarzystwie.

Lily egzystowała na marginesie życia pod 45 numerem na Berkeley Square. Nie była ani osobą wysoko urodzoną, ani służącą; zbyt dobrego pochodzenia, żeby żyć razem ze służbą; nie na tyle jednak dobrego, aby ją służba traktowała z szacunkiem. Przez pierwszy rok szczerze chciała się z nią zaprzyjaźnić, ale podczas drugiego stała się po prostu częścią pewnego rytuału. Poruszając się wśród służących, była traktowana wprawdzie uprzejmie, lecz jakby… niedostrzegana.

Choć od lat nie lubiła tego braku zainteresowania, ostatnio zaczął jej odpowiadać.

Ostatecznie nie była już dłużej niedostrzegana poza tym domem.

Była również zbyt wyraźnie dostrzegana poza nim.

Pozostawało jednak faktem, że ktoś niedostrzegany nie dostaje szynki na śniadanie. Skoro zaś służąca zniknęła w długim korytarzu, a woń smażonej wędliny dolatywała do Lily z porannego saloniku, zdała sobie sprawę, że nie jest w tym domu sama.

Że książę postanowił objąć w posiadanie rezydencję.

Gdy otwarła drzwi, zobaczyła, że siedzi zasłonięty gazetą, ze stertą talerzy przed nim, tak że widać było tylko rękawy jego koszuli.

Rękawy koszuli. Nie był nawet na tyle uprzejmy, żeby zasiąść do stołu w należytym stroju.

Lily nie zdobyła się jednak na uprzejmość.

– Spałeś tutaj?

Alec Stuart nawet nie odłożył gazety, gdy weszła do pokoju.

– Dzień dobry, Lillian.

Słowa zabrzmiały donośnie w jej uszach, wypowiedziane z wyraźnym szkockim akcentem, na który postanowiła nie zwracać uwagi, bo wypowiedziano je zbyt cicho, zbyt powoli i zanadto bezpośrednim tonem.

Rzecz jasna, musiały brzmieć bezpośrednio, bo ten mężczyzna rozsiadł się za jej stołem, jakby to miejsce należało do niego. Choć, oczywiście, tak właśnie było.

Zatrzymała się w pół drogi przed długim stołem i zapytała:

– Nie zostaniesz tu chyba?

Dopiero wtedy dostrzegła psy siedzące po obu jego stronach, dwa ogromne, szare wilczarze irlandzkie ze zmierzwioną sierścią, wywieszające zaślinione jęzory długie na kilka centymetrów.

– One chyba tu nie zostaną?

– Nie lubisz psów? – spytał, nie odkładając gazety.

Lubiła je. Zawsze zresztą chciała mieć własnego.

– Czy to mają być psy? Sądziłam, że to małe konie.

– Ten wabi się Angus – powiedział i nadal osłonięty gazetą pogładził potężny łeb psa po lewej. – A ten Hardy. – Pogłaskał również i tego drugiego. – Łagodne jak baranki. Polubisz je.

– Chyba nie będę miała takiej szansy, skoro tu nie zostajesz. Wasza Wysokość ma przecież osiem innych rezydencji w Londynie, nie mówiąc już o tych, gdzie sypiał, bywając w stolicy. Z pewnością książę może sobie znaleźć jakąś inną, która będzie mu odpowiadać.

Odchylił róg gazety.

– Skąd wiesz, że bywałem przedtem w Londynie?

– Dobry Boże! – zawołała. – Co się stało z twoją twarzą?

– Dama nie zwróciłaby na to uwagi.

Prawe oko miał podbite i czarne, z odcieniem zieleni.

– Byłaby chyba ślepa!

Jeden kąt jego obrzmiałych warg uniósł się w nieznacznym uśmiechu.

– Szkoda, że nie widziałaś mojego przeciwnika.

I wrócił do lektury.

Powinna być mu wdzięczna za tę walkę. Za sposób, w który został pozbawiony pięknego wyglądu warg, bo ją ich widok niesłychanie rozpraszał. Jeszcze nigdy w życiu nie zwróciła uwagi na męskie wargi, a teraz mogła tylko mieć nadzieję, że opuchlizna z nich zejdzie. Byłoby fatalne, gdyby takie usta uległy trwałemu uszkodzeniu.

Ale jej przecież nie powinny interesować jego usta.

Wcale a wcale.

Odchrząknęła.

– Co on ci zrobił?

– Nic – odparł, jakby cały ten poranek był czymś absolutnie zwyczajnym. – Chciałem się trochę poboksować.

Mężczyźni zawsze ją zdumiewali.

– Dlaczego?

– Bo się zdenerwowałem.

Odłożył gazetę.

Otwarła szeroko oczy ze zdumienia.

– Nosisz tartan!

Pled w kolorze głębokiej czerwieni przecinał na ukos jego tors i biegł przez ramię, gdzie stykał się z innym fałdzistym pasem wełnianej tkaniny, do którego przytwierdzony był cynową zapinką. Ubiór ten podkreślał dobitnie, jak bardzo Alec czuł się tutaj nie na miejscu – w tym domu, który odziedziczył tak niechętnie.

W tym świecie, którego ona wcześniej tak rozpaczliwie pragnęła, nim równie rozpaczliwie chciała się potem od niego wyzwolić.

– Uznałem, że będzie mi w nim wygodniej.

– A czy nosisz spodnie? – spytała, nim się ugryzła w język.

Spojrzał na nią uważnie zdrowym, brązowym okiem.

– Nie.

Jeszcze nigdy nie czuła się tak zażenowana prostym, pojedynczym słowem. Chętnie by wlazła pod stół i może zrobiłaby tak, gdyby nie to, że nie chciała znaleźć się zbyt blisko źródła swego zażenowania.

Na szczęście zmienił temat.

– Nie odpowiedziałaś mi.

Nie mogła sobie przypomnieć, o co pytał. Jeszcze żadne pytanie nie umknęło jej tak szybko z pamięci. Poczuła się straszliwie skonfundowana.

– Skąd wiesz, że bywałem już wcześniej w Londynie?

– Czytuję gazety, jak i ty – odparła. – Jesteś ich ulubionym tematem, kiedy się tu

zjawiasz.

– Naprawdę? – spytał, całkiem jakby o tym wcale nie wiedział.

– Naprawdę – odparła i przypomniało się jej, jak bulwarówki nazywały go „mrocznym marzeniem dam”. Przypuszczała, że istotnie damy mogły o nim marzyć, jeśli któraś lubiła wysokie, potężne i nieokrzesane typy. Lily ich nie lubiła. Ani trochę. – Cały Londyn ostrzega się wtedy, żeby przygotować wytrzymałe meble, gdyby ci przyszła ochota wpaść na herbatę.

Drgnął mu lekko mięsień w policzku, a ją zaskoczyło, że nie odczuła wcale spodziewanej satysfakcji z docinka. Zamiast tego doznała lekkiego poczucia winy.

Chciała go przeprosić, ale ugryzła się w język podczas długiej chwili kłopotliwego milczenia, kiedy on bez słowa przyglądał się jej chłodno. Mogliby tak siedzieć bez końca i nieustannie przymawiać sobie, gdyby jednemu z psów nie kapnęła z pyska ślina na dywan.

Lily spojrzała na to miejsce, nim powiedziała:

– Ten dywan kosztował trzysta funtów.

– Co ty mówisz?

Uśmiechnęła się z zadowoleniem, widząc jego zaskoczenie.

– A teraz kapie na niego ślina jednego z twoich psów.

– Po co u licha wydałaś trzysta funtów na dywan? Żeby ludzie mieli po czym deptać?

– Dałeś mi wolną rękę w sprawie dekoracji domu, postąpiłam więc, jak mi się podobało.

– Niczego takiego nie zrobiłem.

– Ach, rzecz jasna – odparła – nie ty osobiście, tylko twój doradca prawny. A skoro już mam żyć w tej klatce, można ją w takim razie pozłocić, nie uważa pan, milordzie?

– Wracamy do metafory z ptakiem?

– Podcięte skrzydła i tak dalej.

Ponownie uniósł gazetę i odparł cierpko:

– Zdaje mi się, że twoje skrzydła są w zupełnym porządku, dzierlatko.

Zamilkła, bo nie podobała się jej niepokojąca wiedza zawarta w tych słowach, i powróciła do poprzedniego tematu.

– Wasza Wysokość nie ma powodu, by się interesować tym domem, nie wiem więc, po co miałby w nim mieszkać.

Odpowiedział spoza gazety:

– Uważam, że teraz mam powód.

Chłodne stwierdzenie przypomniało jej, po co tu przyszła. Zaczerpnęła głęboko

tchu.

– Przecież ty nie…

– Zostanę tutaj. Nie jestem głuchy.

Nie wątpiła w to, że słyszy, tylko w sens jego słów. Nieważne zresztą. Dom był na tyle duży, że mogła unikać spotkania z księciem, póki nie nadejdą jej pieniądze. A potem uwolni się od niego. I od Londynu.

Nim jednak zdołała to wszystko powiedzieć, przerwało im pytanie kamerdynera, Hudginsa.

– Witam Waszą Wysokość – wychrypiał staruszek i wszedł niezdarnym krokiem do środka, wsparty na lasce, z długim pakietem pod pachą.

– Pismo do pana.

Lily odwróciła się w stronę kamerdynera – zawsze wątpiła, czy zdoła on przejść z pokoju do pokoju, nie robiąc sobie żadnej krzywdy – i wzięła od niego pakiet.

– Nie musiałeś się tu fatygować osobiście, Hudgins.

Kamerdyner spojrzał na nią z wyraźną urazą i odebrał jej gwałtownym ruchem paczuszkę.

– Panno Hargrove, jestem jednym z najlepszych kamerdynerów w całym Londynie. Na pewno mogę sam przynieść korespondencję panu tego domu.

Wyniosły ton sługi sprawił, że zrobiło się jej gorąco. Pożałowała swoich słów. Jego odpowiedź nie tylko ujawniła, że poczuł się urażony, ale miała też przypomnieć Lily, gdzie jest jej miejsce: nie na samej górze, ale też i nie na dole. A z całą pewnością nie wolno jej było pouczać służby w obecności księcia.

Od razu zaczęła się zastanawiać, jak naprawić swą gafę; sługa przydreptał już do księcia i położył kopertę na stole.

– Dziękuję, Hudgins – powiedział spokojnie Alec z jeszcze wyraźniejszym szkockim akcentem – Zanim odejdziesz, możesz mi pomóc w jeszcze jednej sprawie.

O Lily zapomniano. Kamerdyner wyprostował się najbardziej, jak tylko mógł, dając wyraźnie do zrozumienia, że z pewnością zdoła Alecowi pomóc.

– Oczywiście, Wasza Wysokość. Czego tylko pan sobie życzy. Cała służba jest na pana usługi.

– To bardzo ważna sprawa, nie chciałbym więc, by pomagał mi ktoś prócz ciebie.

Lily ze zmarszczonym czołem siliła się, żeby jakoś podkreślić kruchość staruszka. Żeby dać do zrozumienia, że kamerdyner już właściwie nie pełni tu służby w tradycyjnym sensie. Że choć codziennie wstaje i wkłada liberię, nie robi wiele poza otwieraniem drzwi – jeśli w ogóle zdoła dosłyszeć stukanie, co zdarzało

się coraz rzadziej. Hudgins zasłużył sobie na wygodne, spokojne życie po wycofaniu się z pracy. Czy Szkot tego nie widzi?

– Chciałbym poznać całkowitą wartość, jaką mają cenne przedmioty w kilku pokojach tego domu – powiedział Warnick. – Obrazy, sprzęty, rzeźby, srebra… – Zawiesił na chwilę głos po słowie „srebra", a potem dodał: – …i dywany.

Co takiego? Dlaczego? – zdumiała się Lily.

– Oczywiście, Wasza Wysokość – powtórzył kamerdyner.

– Ale nie chodzi mi o wszystkie pokoje. Tylko o te najważniejsze. O główne salony, bawialnie, bibliotekę, cieplarnię i tym podobne.

– Oczywiście, Wasza Wysokość.

– Sądzę, że ten spis nie zajmie ci więcej niż miesiąc i będzie możliwie gruntowny.

Prawdę mówiąc, Hudginsowi wystarczyłby tydzień, ale Lily nie powiedziała tego na głos.

– Trochę to potrwa – odparł Hudgins.

– Znakomicie. To wszystko.

– Żegnam Waszą Wysokość. – Hudgins ukłonił się z wysiłkiem i wyszedł powoli z pokoju, powłócząc nogami. Lily odczekała, póki nie zamknął wreszcie za sobą drzwi, i dopiero wtedy zwróciła się do księcia.

– Jak na kogoś, kto niechętnie przyjął tytuł, najwyraźniej cieszy cię komenderowanie służbą – powiedziała, zbliżając się do niego. – Co za bezsensowne żądanie! Wycena zawartości domu! Dobra Waszej Wysokości warte są miliony funtów. A także szynka.

Wyrwało się jej wbrew woli to słowo.

– Powiedziałaś „szynka"?

Pokręciła głową.

– To bezsensowne. Cóż cię może obchodzić, co jest w bawialni domu, o którego istnieniu nie wiedziałeś tydzień temu.

– Rzeczywiście nie wiedziałem.

Ciągnęła dalej, nie zwracając uwagi na jego odpowiedź.

– Nie mówiąc już o tym, jak nużąca będzie to praca. Każde z tych pomieszczeń zajmie Hudginsowi całe dni, zważywszy jego niezdolność do jej zakończenia… – Urwała.

Rzucił kawałek szynki psu po lewej.

– Och! – powiedziała tylko.

A kęs chleba temu po prawej.

– Bawialnie. Salony. Biblioteka. I tak dalej. – Alec milczał. – Wszystkie

należycie wyposażone pokoje. Zajmie mu to z miesiąc.

– Ma swoją dumę. Nie musi wiedzieć, że powinien się już wycofać z pracy.

Aż zamrugała ze zdziwienia.

– To bardzo uprzejme z twojej strony.

– Nie martw się. Ja nadal będę się zachowywał okropnie wobec ciebie.

Pogładził wielką dłonią psa po głowie, a Lily przyłapała samą siebie na tym, że nie może oderwać oczu od smagłej skóry i długiej, białej blizny zaczynającej się dwa, trzy centymetry niżej od pierwszego członu kciuka. Wpatrywała się w nią przez dłuższą chwilę. Czy go to bolało? Na pewno.

– Powiedz mi, czy chodzi ci tylko o tego staruszka? Czy o to, że służba wcale nie zwraca na ciebie uwagi?

Uniosła gniewnie podbródek. Że też musiał to zauważyć!

– Nie wiem, co masz na myśli.

Przyglądał jej się przez dłuższą chwilę, nim położył przesyłkę na stole. Patrzyła, jak podważa długim palcem woskową pieczęć, otwiera list i wyjmuje z niego kartkę papieru.

– Myślałam, że wcale nie czytasz korespondencji.

– Uważaj, co mówisz, Lillian. Nie chciałabyś wcale, żebym nie zwrócił uwagi na ten list.

Serce zaczęło jej gwałtownie bić.

– Dlaczego?

Odłożył kartkę na tyle daleko, żeby nie mogła dojrzeć, co w niej jest.

– Napisałem do Settleswortha, kiedy powiedziałaś mi o swoich planach.

Zaparło jej dech.

– Moje pieniądze!

– Moje, jeśli mam mówić prawdę.

Spojrzała na niego z gniewem.

– Miały przyjść za dziewięć dni.

Siadł głębiej w fotelu.

– Czy nigdy nie słyszałaś, że muchy łatwiej zwabić na miód?

– Nigdy nie rozumiałam, po co ktoś miałby wabić muchy – odparła i celowo uśmiechnęła się z triumfem. – Ale tak się właśnie stało. Będę odtąd myśleć o tobie jak o wielkim owadzie. – Wskazała na papiery. – Jaką korzyść miałabym z tych pieniędzy?

Położył dłoń na papierach.

– Przede wszystkim właśnie to. Korzyść.

Nie odrywała wzroku od wielkiej, ogorzałej dłoni spoczywającej na

dokumencie, który wydawał się jej najważniejszą rzeczą pod słońcem. Na dokumencie, który umożliwiał jej plany co do wolności. Obietnica zawarta w tych papierach tak skupiła na sobie jej uwagę, że prawie go nie słuchała.

Nie umknęło mu to. Ani jego brązowym oczom, które patrzyły na nią uważnie, z niepokojem.

– No i co teraz?

Zrobił prawdziwe przedstawienie, karmiąc jednego z psów grzanką. Czy Hardy'ego? Nie, Angusa. Zresztą nieważne.

– Widziałem wczoraj pewnego mężczyznę. Tak zarozumiałego, aroganckiego i obrzydliwego, że trudno to wyrazić słowami.

Serce załomotało jej z przerażającą szybkością.

– Czy zobaczyłeś go może w lustrze?

– Nie, zobaczyłem Dereka Hawkinsa.

Serce w niej zamarło.

Na szczęście nie musiała nic mówić, bo ciągnął dalej:

– Rozglądałem się zresztą za nim.

Oznaczało to, że wiedział. O wszystkim. O jej głupocie. Desperacji. Naiwności. O tym, że chętnie robiła wszystko, czego Derek zapragnął.

Palił ją wstyd. Nienawidziła siebie samej.

Nienawidziła też jego, bo kazał jej wszystko przeżywać od nowa.

Przełknęła z trudem ślinę.

– Po co?

– Możesz mi wierzyć albo nie – odparł, a ona zdołała wyczuć w jego głosie pewne zaskoczenie – ale miałem zamiar go zmusić, żeby się z tobą ożenił.

Co on takiego powiedział?

Była pewna, że się przesłyszała. Wpadła w panikę. Czy stracił rozum?

– Nie zrobiłeś chyba tego?!

– Nie zrobiłem. Kiedy się z nim zetknąłem, zrozumiałem, że nie pozwolę, żebyś padła jego ofiarą.

Ofiarą. Nienawidziła tego słowa. Jego brutalności. Tego, że kojarzyło się z desperacją. Z obsesją. Z dokuczliwą, niemądrą tęsknotą.

„Mówiłeś, że mnie kochasz".

Znów poczuła wstyd, gdy przypomniała sobie te słowa, głośno i rozpaczliwie wypowiedziane przed całym tłumem londyńczyków, przy wtórze ich szyderczego śmiechu. I jego śmiechu.

Teraz zaś Alec Stuart, osiemnasty książę Warnick, jedyny człowiek w Londynie, który nie wiedział, w jakich okolicznościach najadła się wstydu, poznał je. A co

gorsze, zamierzał ją ratować.

Panika w niej rosła.

– Nigdy nie chciałam paść jego ofiarą.

– Słyszałem jednak, że nią padłaś, dziewczyno. W dodatku publicznie.

Zamknęła oczy, jakby nie widząc go, mogła nie słyszeć prawdy. Wiedział. Wiedział o wszystkim, co się wiązało z Derekiem. Ale w jakiś osobliwy sposób nie widział prawdy. Że wszystko, czego kiedykolwiek pragnęła i o czym kiedykolwiek marzyła… stało się teraz niemożliwe.

Z jej winy.

Zacisnęła kurczowo pięści i otworzyła oczy. Ujrzała, że wpatrywał się w nią tak, jakby chciał wejrzeć w samą jej duszę. Odwróciła od niego wzrok.

– Zaskoczyło by cię, jak zrujnowanie sobie reputacji na oczach całego Londynu może wpłynąć na czyjeś pragnienia?

Czekał przez dłuższy czas, żeby znów na niego spojrzała.

Nie zrobiła tego.

W końcu westchnął głośno i powiedział:

– Możesz mi wierzyć lub nie, Lillian, ale Hawkins jest chyba najbardziej godnym pogardy człowiekiem, jakiego na swoje nieszczęście spotkałem.

Spojrzała teraz na niego, pragnąc, żeby uwierzył w to, co mu teraz powie.

– Nie chcę Hawkinsa. Ani twojej pomocy. Chcę tylko jednego: żyć własnym życiem i być wolną od…

Od skandalu. Od wstydu.

Nie chciała wypowiedzieć tych słów na głos.

– …od tego wszystkiego.

Pragnęła uciec. Zacząć na nowo. Kiedyś zdoła w końcu zapomnieć o swoich marzeniach. O małżeństwie, rodzinie. O tym, żeby mieć przy sobie kogoś bliskiego.

Na szczęście nie musiała tego wyjaśniać księciu Warnick, który zebrał ze stołu papiery i oświadczył:

– Zamierzam umożliwić ci takie życie, Lillian.

Poczuła niewypowiedzianą wprost ulgę. A więc nie myślał już o wydaniu jej za mąż. Uśmiechnęła się, nie mogąc pohamować radości. Mogła zacząć na nowo. Mogła zapomnieć o Dereku Hawkinsie. O jego matactwach. O jego pełnych uroku kłamstwach.

– Alecu Stuarcie, jesteś najwspanialszym opiekunem na świecie.

Zdołała widocznie zwabić tę muchę.

Wstał raptownie i krzesło zachwiało się niebezpiecznie na dwóch nogach, nim

runęło z trzaskiem na podłogę, a jej zaschło nagle w ustach, gdy zobaczyła pled w całej okazałości, opadający w równych plisach aż do kolan. Poniżej zaś kształtne, muskularne łydki, jakich nigdy przedtem nie zdarzyło się jej oglądać, piękne w linii i prężne.

Dobry Boże. Prawdziwy z niego Herkules.

Nic dziwnego, że damy go uwielbiały.

Wzrok jej powędrował ku skrajowi tartanu. Wpatrzyła się w krągłości i zagłębienia kolan. Zdołała jakoś przełknąć ślinę, choć okazało się to istnym wyzwaniem. Dziwne, że nigdy przedtem nie zauważyła, jak wygląda męskie kolano.

Śmiechu warte. Po cóż ma myśleć o czyichś kolanach? Teraz, kiedy jej wolność leży na tym stole?

– Moje pieniądze!

Nachylił się nad blatem i zajrzał do papierów.

– Dostaniesz, jak rozumiem, pięć tysięcy funtów na dwudzieste czwarte urodziny.

Zrobiło się jej nagle gorąco, nie mogła spokojnie myśleć. Odetchnęła głęboko, czując ogromną, wspaniałą ulgę. Od dawna nie była tak szczęśliwa.

Szczęśliwsza niż kiedykolwiek.

Dzięki jego wielkiemu, szkockiemu sercu.

Było tego dosyć, żeby mogła porzucić Londyn. Kupić sobie gdzieś jakiś skromny domek. Zacząć wszystko na nowo.

– Za dziewięć dni.

– Tego samego dnia mają odsłonić obraz.

– Jednocześnie dostaję piękny prezent urodzinowy i drugi, szkaradny – odparła ze słabym uśmiechem. – Nie mogę sobie przypomnieć, kiedy po raz ostatni dostałam cokolwiek na urodziny.

– Musisz wiedzieć jeszcze o czymś, Lily.

Usłyszała imię, którym Alec nigdy jej jeszcze nie nazwał. Tak nazywała w myślach siebie. Tak ją nazywał Derek. Podobnie jak bulwarówki, które ogromnie lubił.

Imię, które zmieniło się w epitet. Prześliczna Lily. Samotna Lily.

Wpatrzyła się w niego.

Coś tu się kryło niedobrego.

– Skoro nie jesteś zamężna, otrzymasz te pieniądze dopiero wtedy, kiedy ja o tym zadecyduję. – Urwał, a ona znienawidziła go w jednej chwili, domyślając się, co powie, nim jeszcze to usłyszała. – A ja żądam, żebyś wyszła za mąż.

5. Prześliczna Lily sinieje wprost ze złości... sprzeciwia się księciu... i znika!

Nie możesz mnie zmusić do małżeństwa!

Mówiła to już po raz szósty. Najwyraźniej miała skłonność się powtarzać, gdy ogarniało ją rozgoryczenie. Co więcej, miała też najwyraźniej skłonność do ignorowania w takich chwilach Aleca.

Wychodziło jej to chyba na zdrowie, bo furia, z jaką przyjęła wiadomość o warunkach jego opieki i zamiarze wydania jej za mąż, wskazywała wyraźnie, że z chęcią obaliłaby go na ziemię, gdyby tylko uznała to za możliwe.

Wciąż jednak mogła podjąć taką próbę i właśnie dlatego wolał stać z daleka od niej, patrząc, jak krąży po pokoju. Dostatecznie już oberwał na ringu dzień wcześniej.

Zawahała się, stojąc na drugim końcu pokoju, i wyjrzała przez wielkie okno wychodzące na ładny ogród z tyłu za domem. Angus i Hardy leżały przy kominku, z wielkimi, szarymi łbami wspartymi na łapach, śledząc falujący skraj jej sukni. Alec patrzył na jej dłoń, którą nerwowo miętosiła tkaninę, nim odwróciła się ku niemu, znów pełna gniewu.

– Ty… – Urwała, bo musiała zaczerpnąć tchu.

Alec założyłby się o całą swoją fortunę, że Lily zaraz powie coś zgoła niestosownego dla damy. W rezultacie nie był pewien, czy czuje się usatysfakcjonowany, czy też rozczarowany, gdy odwróciła się od okna ze słowami:

– Ty mi przecież nie możesz tego zrobić!

Nigdy nie mógł pojąć kobiet. Powinien był więc liczyć się z tym, co ona może teraz odczuwać. Ale to i tak nie miałoby znaczenia. Liczyło się tylko jedno: był już o krok od wyjazdu z Anglii.

Z przeklętej Anglii.

Jedynego miejsca na ziemi, gdzie takie głupstwa cokolwiek znaczą.

Było mu jej jednak żal.

– Zgodnie z tym, co twierdzi Settlesworth, masz rację. Nie mogę zmusić cię do

małżeństwa.

Obróciła się wokół własnej osi, żeby na niego spojrzeć.

– Wiem o tym!

Ale tak czy owak, ona wyjdzie za mąż, i już. Skrzyżował ręce na piersi i wsparł się o kominek.

– Ile miałaś lat, kiedy zmarli twoi rodzice?

Podeszła do niego, jakby chciała go zmusić, żeby wrócił do poprzedniego tematu, ale najwyraźniej raz jeszcze się pohamowała.

– Moja matka zmarła, kiedy miałam ledwie rok. W połogu. Dziecko też nie przeżyło.

Ujrzał w jej oczach smutek. Żal. Tęsknotę za czymś, co nigdy nie mogło nastąpić. Dobrze mu znane uczucia, które przyciągały go do niej nieodparcie. Podszedł do Lily.

– Przepraszam. Wiem, czym jest samotne dzieciństwo.

– Straciłeś rodziców?

Zaprzeczył ruchem głowy.

– Ledwie mnie zauważali. Jakby byli nieobecni.

– Sądziłam, że masz siostrę.

Nie potrafił ukryć uśmiechu na myśl o Cate.

– Przyrodnią. Młodszą ode mnie o szesnaście lat. Przyszła na świat, kiedy ja byłem… – zawahał się i odchrząknął – …kiedy byłem w szkole. Poznaliśmy się dopiero, jak miałem osiemnaście lat, mój ojciec zmarł, a ja wróciłem do domu, żeby się o nią zatroszczyć.

– Przepraszam. Przykro mi, że zmarł twój ojciec.

Odparł jej, mówiąc prawdę.

– A ja go wcale nie żałowałem.

Zdumiała ją ta szczera odpowiedź, lecz on natychmiast zmienił temat.

– Cate jest tak kłopotliwa, że mogłaby uchodzić za rodzoną siostrę.

Oczy Lily były szare jak Morze Północne, kiedy odparła:

– Nie znam takich kłopotów, bo zawsze byłam sama. – Nim zdołał odpowiedzieć, dodała: – W każdym razie po stracie ojca. Miałam wtedy jedenaście lat.

Przypomniało mu to o przyczynie jego pytania. Skinął głową.

– No, ale się o ciebie należycie zatroszczył.

Lepiej niż jego ojciec o niego. Zawsze ojcu przypominał matkę. A matce zawsze przywodził na myśl to, że mogła wybrać inaczej.

Zaśmiała się, ale bez rozbawienia.

– Powierzył mnie opiece rodziny, która nie była moja. A stała o tyle wyżej ode mnie, że…

Urwała, lecz Alec i tak się wszystkiego domyślił.

– Skąd on znał księcia?

– Pracował dla niego. Był rządcą jego majątku. Widocznie robił to dobrze, skoro książę zgodził się mną zaopiekować. Szkoda, że nowy książę nie podziela tych uczuć.

Odwróciła wzrok. Szare światło poranka spowiło ją ulotną światłością. Chryste, ależ była piękna. Alec nie wątpił, że obraz Hawkinsa naprawdę będzie, jak malarz się przechwalał, arcydziełem.

Myśl o malowidle przerwała mu pełne rozmarzenia myśli. Chciał być dla niej dobry. Pocieszyć ją. Jak prawdziwy opiekun.

– Przecież wiesz, że jest inaczej. Troszczę się o ciebie, wziąłem na siebie odpowiedzialność za twoją osobę. Próbuję zapewnić ci takie życie, jakiego pragniesz, Lily.

– Nie nazywaj mnie w ten sposób.

– Czemu?

– Nie masz prawa.

Hawkins też nie miał do tego prawa, ale i tak się nim posługiwał.

Oparł się chęci przytaknięcia jej słowom. Nie myliła się. Było zanadto poufałym mianem. Mógł się do niej zwracać co najwyżej „Lillian”, a należało ją nazywać panną Hargrove. Nie mogła być Lily.

Nieważne, że chciał, aby nią była.

Tylko że z pewnością nie miał prawa chcieć, żeby była czymkolwiek. Była jego podopieczną, co oznaczało odpowiedzialność i kłopoty. Nic innego.

Zgoda. Mógł odgrywać rolę angielskiego opiekuna, chłodnego, nieczułego i obojętnego. Bóg jeden tylko wie, jak tego nienawidził. Podjął znowu rozmowę.

– Warunki sprawowania opieki nad tobą zawierają zastrzeżenia, o których dobrze ci wiadomo. Nie wolno ci wyjść za mąż bez zgody księcia i choć otrzymasz pieniądze w dniu dwudziestych czwartych urodzin, uznano, że będziesz mogła wtedy wyjść za mąż, gdyż ustalono, że przechowam te pieniądze w depozycie, póki kogoś nie poślubisz, chyba że uznam cię…

Teraz on z kolei zawiesił głos.

Nie pozwoliła mu na to.

– Gdybyś mnie uznał za co?

– Za osobę nieodpowiedzialną.

Zaczerwieniła się.

– Co, rzecz jasna, robisz.

– Nie – odparł, nim zdołał się zastanowić.

– Ależ tak. Ostatecznie któryż opiekun postąpiłby inaczej, gdyby się dowiedział o równie strasznym skandalu?

W jej głosie znów słychać było upokorzenie.

Zamordowałby Dereka Hawkinsa, gdyby tylko miał sposobność.

– Nie uważam cię za nieodpowiedzialną. Sądzę tylko, że twoje pragnienie ucieczki jest nierozsądne.

Spojrzała na niego z pogardą.

– A czy małżeństwo z kimś, kogo nie znam, jest czymś rozsądniejszym?

Wzruszył ramionami.

– Wybierz kogoś, kogo znasz i kto ci się spodoba.

Straciła cierpliwość.

– Tylko że ja nikogo nie znam! Możesz mi wierzyć albo nie, ale ja nie mam zwyczaju poznawać mężczyzn. Znałam Dereka. A teraz ciebie. Niewiele zaś się od niego różnisz jako kandydat na męża. Wybacz, ale jedyną różnicą jest to, że on nie pokazywał gołych nóg.

Jedyna różnica! Alec stracił całe opanowanie i odpalił tej nieznośnej dziewczynie, istnej wariatce:

– Ale on się stroi niczym biały paw, a ja uważam, że lepiej byś już zrobiła, wybierając tartan, dziewczyno!

Spojrzała na niego ze złością. Alec ciągnął dalej:

– Czy mam ci wyliczyć, czym jeszcze różnię się od niego?

– Nie sądzę, żebym mogła Waszej Wysokości tego zabronić.

Nie tylko sama była wariatką, ale innych też mogła przyprawić o szaleństwo.

– Zacznę od rzeczy oczywistych. Nie zawierałem z tobą znajomości po to, żeby cię potem skompromitować przed całym Londynem.

– Naprawdę?

Pytanie było szybkie, proste i krańcowo denerwujące.

– Co masz na myśli?

Nie odpowiedziała, tylko zacisnęła zęby z taką determinacją, jakby miała zamilknąć raz na zawsze.

Wzmogło to jego rozdrażnienie.

– Tak czy owak, Lillian, ja ci się nie oświadczałem.

– Dzięki niebu choćby za to.

Zamilkł nieoczekiwanie przy tych słowach. Zamierzała mu dokuczyć, ale nie mogła wiedzieć, jak bardzo go to dotknęło, wraz z całą falą wstydu. A także

wspomnień o pożądanych przez niego kobietach, dla których zawsze był nie dość wysoko urodzony. Nieodpowiedni. Nie dość dobry.

Lily dostałby się zaś ktoś całkiem dobry.

– Kręcimy się wciąż w kółko – powiedział. – Wyjdziesz za mąż i już.

– A jeśli nie będę chciała wyjść za człowieka, którego mi wybierzesz?

– Nie mogę cię zmuszać.

Pokręciła głową.

– Tak chce prawo, bo każdy wie, że wymuszone małżeństwo…

– Nic nie rozumiesz. Nie mogę cię zmusić, bo osobna klauzula w umowie o opiekę głosi, że wolno ci wybrać sobie męża, ale do czasu małżeństwa z nim pozostaniesz pod kuratelą domu książęcego.

Otworzyła usta i zaraz je zamknęła.

– A widzisz, Lillian? Twój ojciec zatroszczył się należycie o ciebie.

Dojrzał łzy w jej oczach. Chętnie by ją teraz przygarnął i sam się o nią należycie zatroszczył. Ale że nie mógł tego zrobić, powiedział tylko:

– Mógłbym dodać, że dzieje się tak, bo jesteś najstarszą podopieczną na całym świecie i właśnie dlatego pozostajesz moim kłopotem.

Podziałało. Łzy zniknęły, oczy się zwęziły.

– Chętnie sama byłabym własnym kłopotem, gdybyś tylko dał mi pieniądze. Nie prosiłam, żeby stać się twoim brzemieniem, i przestanę nim być, gdy tylko się mnie zechcesz pozbyć.

Jak na ironię, gdyby dał jej pieniądze i pozwolił odejść, byłby już teraz w drodze do Szkocji.

Tylko że nie mógł ich dać. Bo to by nie wystarczyło.

– Dlaczego? – spytała, jakby wdzierając się w jego rozmyślania. Czyżby wypowiedział te słowa na głos?

– O co pytałaś?

– Dlaczego upierasz się, żebym wychodziła za mąż?

Bo inaczej zrujnowałaby sobie reputację. Bo miał siostrę ledwie pięć lat od niej młodszą, ale równie impulsywną, łatwo więc mógł ją sobie wyobrazić padającą ofiarą takiego samego łajdaka, jak Hawkins. Bo wolałby za Catherine oddać życie, gdyby znalazła się w podobnej sytuacji. A chociaż jak najbardziej mógłby odwrócić się plecami od tego, co w Londynie zostało jeszcze z majątku książęcego, to nie mógł odwrócić się plecami od Lillian.

– No, bo małżeństwo jest czymś, co robią kobiety.

Uniosła brwi.

– Mężczyźni również to robią, a nie widzę, żeby ci się spieszyło do ołtarza.

– Nie. Mężczyźni tego nie robią.

– Naprawdę? Kogo więc poślubiają wszystkie te kobiety kroczące wzdłuż głównej nawy?

Ależ była irytująca.

– To nie to samo.

Znowu się zaśmiała, ale znowu bez humoru.

– Niemożliwe.

Nie podobało mu się to. Nie lubił przegrywać, a czuł, że przegrywa każdą potyczkę z Lillian.

– Alec – powiedziała miękko, spokojnie i w piekielnie kuszący sposób. – Pozwól mi uciec. Pozwól mi opuścić Londyn. Niech sobie mają ten przeklęty obraz, tylko mnie puść.

O mało go nie przekonała. Nie wydawało się to niemożliwe, póki nie powiedziała, cicho i z desperacją:

– Tylko w ten sposób mogę uratować swoje życie.

Wciągnął gwałtownie dech. Słyszał już przedtem te słowa. Wymówiła je inna kobieta, ale z tym samym niezłomnym przekonaniem.

– Muszę sobie stąd pójść – powiedziała jego matka, kładąc mu ręce na ramionach. – Nienawidzę tutaj wszystkiego. To mnie zabija.

No i poszła sobie. I tak czy owak umarła.

Alec nie mógł temu zapobiec.

Mógł jednak, do licha, zapobiec temu, by się to nie powtórzyło.

– Nie sposób uciec przed tym obrazem, Lillian. – Zmarszczyła brwi, a on uparcie ciągnął dalej. – On będzie głównym dziełem na objazdowej Wystawie Królewskiej.

– Co to oznacza?

– Najpierw zacznie podróżować po całej Wielkiej Brytanii, a potem objedzie resztę świata. Znajdzie się w Paryżu, Rzymie, Nowym Jorku, Bostonie. Nigdzie przed nim nie uciekniesz. Myślisz, że wszyscy wiedzą o tobie wyłącznie teraz? Poczekaj tylko! Gdziekolwiek się udasz, ludzie będą tam mieli dostęp do wiadomości i będą budzić ich ciekawość nieprzystojne plotki – a dodam, że tak jest wszędzie, gdzie tylko byłem – no i zostaniesz rozpoznana.

– Nikogo to nie będzie obchodzić. – Wyprostowała się jak struna, ale głos ją zdradził. Wiedziała, że mówi nieprawdę.

– Wszystkich będzie obchodzić.

– Nikt mnie nie rozpozna. – Dosłyszał desperację w jej głosie.

Chryste, jakże była piękna. Wysoka, smukła, absolutnie doskonała, jakby

otwarło się niebo i sam Stwórca zesłał ją tutaj, w to miejsce, gdzie była z góry skazana na splugawienie.Myśl, że nikt jej nie zauważy, że nikt jej nie rozpozna, to niedorzeczność. Odparł, łagodniejszym już tonem:

– Każdy cię rozpozna, dziewczyno.

Pokiwał głową.

– Nawet gdybym ci dał dwa razy tyle pieniędzy. Nawet dziesięć razy tyle. Ten przeklęty obraz wszędzie cię dogoni.

Opuściła ramiona na tyle, by zauważyć, że słabnie.

– To moja hańba.

– Pomyliłaś się tylko w ocenie – poprawił ją.

Uśmiechnęła się kwaśno.

– To zbyt łagodne określenie.

– Wszyscy popełniamy błędy – powiedział, pragnąc z jakiegoś idiotycznego powodu, żeby się poczuła lepiej.

Spojrzała na niego nagle.

– Czyżbyś też zrobił taki błąd?

Zrobił ich więcej, niż mógł zliczyć.

– Jestem prawdziwym królem błędów.

Wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę.

– Ale mężczyźni nie hańbią się raz na zawsze.

Alec nie odrywał od niej wzroku. W jej słowach słyszał prawdę o sobie.

– Nie. My się nie hańbimy.

Skinęła głową, a on dostrzegł, że znów się jej zbiera na płacz. Oparł się chęci, by ją objąć, wiedząc instynktownie, że jeśli jej dotknie, zmieni się wszystko.

Nienawidził siebie za to, że jej nie objął, gdy podeszła do drzwi.

– A ty uważasz, że możesz mi znaleźć kogoś, kto zechce mnie poślubić. Co za bzdura.

– Dałbym ci posag, Lillian.

Zatrzymała się, już z ręką na klamce, ale jej nie nacisnęła.

Wziął jej milczenie za znak, że go wysłucha.

– Nic nie miałaś. Pewnie dlatego, że tak młodo zostałaś książęcą podopieczną. Może dlatego nikt się tobą nie zainteresował. Ale teraz będzie inaczej. Dostaniesz dwadzieścia pięć tysięcy funtów.

Odparła, zwrócona twarzą do drzwi:

– Co za mnóstwo pieniędzy.

Więcej, niż potrzebowała, żeby złapać męża.

Tylko że mogła go złapać i bez nich.

– Znajdziemy ci kogoś – powiedział, choć nagle poczuł niesmak na myśl, że kupuje jej męża. Jakże prostym rozwiązaniem wydawało mu się to poprzedniej nocy. Ale teraz, będąc w tym pokoju razem z nią, czuł, że wszystko mu się wymyka.

– Znajdziemy ci jakiegoś mężczyznę – powtórzył. – Dobrego.

Alec zawlókłby go przemocą do ołtarza, gdyby było trzeba.

– Mamy dziewięć dni – dodał.

– Żeby przekonać kogoś do podjęcia ryzyka, skoro o moim skandalu wszyscy wiedzą?

– Żeby go przekonać, że jesteś na tyle warta, by się nim nie przejmował.

Lily odwróciła się ku niemu. Szare oczy błysnęły gniewnie.

– Na tyle warta?

– Masz urodę i pieniądze. Dwie rzeczy, dzięki którym świat się toczy.

Nie tylko dzięki nim, chciałby powiedzieć. Są jeszcze inne.

Skinęła głową.

– Nim obraz zostanie odsłonięty. Ale nie potem.

Otwierał już usta, żeby coś jej odpowiedzieć, ale nie znalazł właściwych słów. Oczywiście, że przedtem. Kiedy wszyscy ujrzą ją nagą, to…

– Zanim moja hańba stanie się wszystkim znana – odezwała się cicho. Z przekonaniem. – Nie potem.

Puścił to mimo uszu.

– Małżeństwo da ci wszystko, czego pragniesz, dziewczyno.

– Skąd wiesz, czego pragnę?

– Wiem, czego kobieta chce od życia. – Nagle stwierdził, że nie może znieść jej wzroku. – Małżeństwa. Nie pieniędzy.

Parsknęła śmiechem.

– Każda kobieta godna tego miana pragnie jednego i drugiego.

Miał ją teraz w garści.

– Dostaniesz jedno i drugie. Tak, jak chciałaś.

– Chciałam wyjść za mąż z miłości.

Cofnął się przed tą myślą. Miłość była celem śmiechu wartym. Nie tylko czymś niewygodnym, ale też nieistniejącym. Wiedział o tym lepiej niż ktokolwiek inny. Ale że miał siostrę, wiedział też co nieco o kobietach, a niewątpliwie wiedział i o tym, że wierzą w tę zwodniczą złudę. Skłamał więc:

– No to znajdziemy ci mężczyznę, którego pokochasz.

Stanęła twarzą do niego, przechyliła głowę i patrzyła na niego tak, jakby był jakąś osobliwością w szklanej gablocie, fascynującą, ale i odpychającą.

– Niemożliwe.

– Dlaczego?

Wzruszyła jednym ramieniem.

– Miłość jest tylko dla szczęśliwców.

– Cóż to znaczy? – spytał, a jej słowa wzburzyły go wewnętrznie, bo zawierały przykrą prawdę.

– Tylko tyle, że nie należę do szczęśliwców. Wszyscy, których kochałam, opuszczali mnie.

Nie zdążył jej odpowiedzieć, bo wyszła, zostawiając go z psami i z jej słowami, które wciąż jeszcze rozbrzmiewały w pustym pokoju.

Angielki uchodziły za łagodne i potulne.

Najwyraźniej nikt o tym jednak nie powiedział Lillian Hargrove.

Kiedy Alec oznajmił, że chce jej dać posag, który pozwoli jej poślubić każdego, kogo wybierze, mógł uważać, że będzie mu dziękować na klęczkach. W końcu dwadzieścia pięć tysięcy funtów to fortuna godna króla. A nawet kilku królów naraz. Wystarczyłoby tego i jej, i wybranemu przez nią mężczyźnie – obojętne, jakiemu – na takie właśnie życie, jakiego pragnęła. A może zapewniłoby jej i miłość, jakiej pragnęła.

Jasne, Lillian Hargrove nie była typem kobiety mdlejącej z wrażenia, ale jakąś wdzięczność mogłaby mu w końcu okazać. Nawet uronić łezkę czy może dwie.

A zamiast tego odrzuciła jego ofertę.

Zostawił ją w spokoju na cały dzień, żeby miała czas zmienić zamiary, oswoić się z tą możliwością i zdać sobie sprawę, że jego decyzja była podyktowana wyłącznie życzliwością. Ostatecznie chciała przedtem wyjść za mąż – chociaż za ostatniego osła – po namyśle zgodzi się więc, czego był pewien, że to najlepsze wyjście.

Fatalna sytuacja mogłaby się skończyć małżeństwem, dziećmi i poczuciem bezpieczeństwa, o jakim marzą kobiety.

„Nie należę do szczęśliwców”.

No i wszystko wzięło w łeb.

Skoro kobieta pragnie miłości, to powinna ją mieć, do diaska. Mógł w to nie wierzyć, ale chciał, żeby tak się właśnie stało, jeśli już koniecznie trzeba.

Był jej opiekunem i chciał nim być, do diaska. Chciał ratować jej reputację, wrócić do Szkocji, a potem niech sobie inni radzą z tym kłopotem.

Tylko że nie mieli wyboru. Nie było sposobu, żeby uciekła przed tym obrazem, chyba żeby chciała żyć jak pustelnica. Z pewnością jednak nie mogła przez resztę

życia błąkać się po domu pod numerem 45 na Berkeley Square. Już teraz była zbyt dorosła na podopieczną, a jak będzie miała czterdzieści czy sześćdziesiąt lat?

Śmiechu warte. Na pewno ona też zdaje sobie z tego sprawę.

Wcześnie wrócił na popołudniowy posiłek z zamiarem przejrzenia korespondencji, nim ona się pojawi i przeprosi go lub powie coś rozsądnego.

Po kwadransie zadzwonił po jedzenie. Po pół godzinie skończył z korespondencją, ale dalej siedział i udawał, że ją czyta. Nie chciał, żeby myślała, że czekał na nią. Po trzech kwadransach zadzwonił po świeże jedzenie, bo to, które mu poprzednio przyniesiono, już wystygło.

A po godzinie wezwał Hudginsa, któremu przyczłapanie do jadalni zajęło kolejne dziesięć minut.

– Czy panna Hargrove źle się czuje? – spytał, kiedy sługa wreszcie się zjawił.

– Nic mi o tym nie wiadomo – odparł Hudgins. – Czy mam ją tu sprowadzić?

Alec zrozumiał, że staruszkowi zajmie to tyle samo czasu, ile jemu przeszukanie całego domu. Podziękował mu więc i sam poszedł po nią.

Nie było jej w kuchni, w bibliotece, w cieplarni ani w żadnej z bawialni. Wspiął się na schody i zaczął przeszukiwać sypialnie od tego piętra, gdzie sam spał w apartamentach, które, jak mu powiedziano, były „pokojami księcia". Okazały się całym ciągiem perfekcyjnie wysprzątanych, pięknie umeblowanych, obszernych, dobrze wywietrzonych i najwyraźniej przez nikogo nieużywanych pomieszczeń. Zastanawiał się, ilu właściwie ludzi miało mieszkać w tym przeklętym domu?

No i gdzież był pokój Lily, jeśli nie tam?

Wszedł na trzecie piętro, sądząc, że znajdzie tu pokoje równie duże jak te, gdzie sam mieszkał, rozległe i pełne jej rzeczy. Przekonał się jednak, że w miejscach, które obejrzał, nic nie wskazywało, by ona w nich mieszkała. W ciągu dwu dni spędzonych w pałacu nie natknął się choćby na jedną rzecz świadczącą o jej pobycie. Nie było żadnej książki leżącej na stole, filiżanki czy szala.

Do diabła, Cate tam, w Szkocji, po prostu siała wokoło siebie mnóstwo rzeczy. Sądził, że wszystkie kobiety tak robią.

Trzecie piętro było ciemniejsze niż drugie, a korytarz węższy. Otwarł pierwsze z brzegu drzwi, wiodące do czegoś, co jak sądził, musiało być pokojem dziecinnym lub może lekcyjnym, obszernym wnętrzem, gdzie unosiła się woń drewna i tabliczek, a w smugach złotego, popołudniowego światła wirowały pyłki kurzu. Zamknął drzwi i poszedł dalej ciemnawym korytarzem, gdzie młoda służąca wkładała nowe świece do kinkietu.

– Przepraszam – powiedział, ale czy sprawił to jego szkocki akcent, uprzejmość lub po prostu to, że był od niej o ponad pół metra wyższy, w każdym razie

przestraszył ją tak bardzo, że omal się nie przewróciła.

– Wasza… Wasza Wysokość… – wyjąkała i złożyła mu ukłon godny wizyty u królowej.

Uśmiechnął się w nadziei, że ją to uspokoi, ale cofnęła się gwałtownie. On zrobił to samo i nagle sobie uświadomił, że zupełnie nie pasuje do tej ciasnej przestrzeni. Wolałby być mniejszy, jak zresztą zawsze w tym przeklętym kraju, gdzie meble groziły połamaniem się jak zapałki pod jego ciężarem.

Odegnał jednak od siebie te myśli i spytał dziewczynę o to, o co mu chodziło.

– Gdzie jest pokój panny Lillian?

Otworztyła oczy jeszcze szerzej, a on natychmiast zrozumiał, co ją tak przestraszyło.

– Nie mam żadnych złych zamiarów, dziewczyno. Po prostu jej szukam.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Ona sobie poszła.

Z początku jej nie zrozumiał.

– Gdzie poszła?

– Poszła stąd i tyle – wyjaśniła dziewczyna.

– Kiedy?

– Dziś rano.

A więc po fatalnym śniadaniu.

– A kiedy wróci?

Dziewczyna zrobiła jeszcze większe oczy.

– Nigdy, Wasza Wysokość.

No, cóż. Nie podobało mu się to.

– Pokaż mi, gdzie jest jej pokój.

Usłuchała natychmiast. Poszła z nim krętym korytarzem do najdalszego chyba zakątka w tym domu – do miejsca, gdzie kuchenne schody wiodły ku służbówkom na poddaszu. Do tak osobliwego miejsca, że omal nie powtórzył jej swojego żądania, pewny, że go nie zrozumiała.

Nie zrobił jednak tego. Otworzyła przed nim nędzne drzwi i zaraz się cofnęła, żeby mógł tam wejść.

– Dziękuję ci.

– Ehm… bardzo mi miło… – wyjąkała, a zaskoczenie w jej głosie kazało Alecowi raz jeszcze znienawidzić cały ten kraj wraz z jego śmiechu wartymi poglądami na wdzięczność i służbę. Bo przecież zawsze dziękuje się komuś za pomoc, niezależnie od jego społecznego stanu. Do diabła! Właśnie z powodu tego stanu.

– Możesz odejść – mruknął i pchnął drzwi do pokoju Lillian, tak niedużego i ciasnego, że ledwie można było otworzyć drzwi, bo niemal się ocierały o kraniec maleńkiego łóżka.

Z jednej strony pokój miał ukośnie ścięty sufit, za którym znajdowały się kuchenne schody; sprawiało to, że cała jego przestrzeń wręcz tchnęła ciasnotą. Był jednak, podobnie jak tamten pokój dziecinny, słoneczny i ciepły, ale wrażenie to mogła wywierać również sama jego zawartość.

Tu znajdowały się wszystkie rzeczy Lillian, których daremnie szukał w pozostałych pokojach: sterty książek, liczne koszyczki do robótek z nićmi i włóczką we wszystkich kolorach tęczy; mały hamak pełen starych gazet; sztalugi z niedokończonym obrazkiem przedstawiającym dachy i rozkwitające drzewka – widokiem, który można było dostrzec przez maleńkie okienko w przeciwległej ścianie.

Na łóżku leżało mnóstwo poduszek i kołder, dużo liczniejszych niż Alec kiedykolwiek widział na o wiele obszerniejszych łożach. Wszystkie w powłoczkach o jasnych, wesołych kolorach, kontrastujących ostro ze sobą.

Właśnie to okazało się najbardziej zaskakujące – nie rozmiary pokoju, nie panujący w nim nieład i nie to, że znajdował się jak najdalej od reszty domu, choć z pewnością wszystko to było zdumiewające – tylko mnóstwo kolorów.

Ogromnie się to różniło od wszystkiego, co o niej wiedział.

Pokój był niepodobny do reszty domu, urządzony w najnowszym stylu niezliczonych pism dla dam. Tu, w tej cudownie chaotycznie przestrzeni, pełno było różnych sprzęcików, kolorów i…

Pończoch.

W nogach łóżka, gdzie zatrzymał wzrok Alec, para ślicznych, jedwabnych pończoch wisiała na drewnianej poręczy, porzucona tak niedbale, że niemal widział, jak Lillian z roztargnieniem ściąga je z nóg.

Skłamałby, gdyby nie przyznał, że znieruchomiał na chwilę, by sobie wyobrazić Lily, gdy z jedną nogą wspartą na tym kolorowym łóżku rozwiązuje białe wstążeczki u góry pończoch, ściąga je z nóg i wiesza na poręczy łóżka, potem zaś pada na poduszki, chcąc odpocząć.

Wyobrażał sobie zresztą nie tylko ów odpoczynek po ściągnięciu pończoch, ale i ją samą, rozciągniętą na małym łóżku, z włosami rozsypanymi w nieładzie na poduszce, z przymkniętymi oczami i rozchylonymi wargami, kiwającą dłonią.

Na niego.

Z miejsca poczuł, że jest wściekły na siebie. Odkaszlnął. Był przecież jej opiekunem. A ona? Podopieczną, która od niego uciekła.

Znalazł się przecież w tym pokoju tylko dlatego, że chciał ją odszukać. Obojętne, w pończochach czy bez nich.

Drgnął gwałtownie, tak go to rozdrażniło. Oczywiście, że w pończochach. W jej pończochach.

Odwrócił się od tych gorszących części garderoby i przestał myśleć o swoim ciele, spojrzał natomiast na to, co jeszcze było w tym pokoju, stanowiącym azyl Lillian, tak że czuł się jak najgorszy z przestępców, naruszając jego przestrzeń. Jakby był włamywaczem kradnącym klejnoty koronne. Profanem bezczeszczącym święte miejsce. Później przyszło mu na myśl, że gdyby nawet próbował powstrzymać się przed wejściem do jej dziwnego pokoiku, i tak nie byłby w stanie tego zrobić.

Otworzył więc drzwi najszerzej, jak się tylko dało, i zaraz zauważył małe biureczko wciśnięte pod ukośną ścianę, gdzie leżało kilka rozrzuconych kartek, a na nich pióro. Biel papieru plamił atramentowy kleks. Alec nachylił się i przeciągnął palcami po kartce w dobrze mu znanym kolorze kości słoniowej. Pomyślał o innym liście – tym, który go wezwał tu, na południe, i sprawił, że poznał tę wariatkę.

Bo z pewnością była wariatką, skoro właśnie w tym pokoju mieszkała. Miała do wyboru pół tuzina innych, a jednak wybrała tę nędzną klitkę.

Koło biureczka stał spory kuferek. Wieko nie było zamknięte na klucz. Alec uniósł je. Pełno w nim było listów z całą kolekcją podniszczonych kopert; najwyraźniej wciąż je otwierano. W każdej tkwił list, wielokrotnie odczytywany.

Wziął do ręki jeden z nich, choć wiedział, że nie powinien tego robić, że postępuje po łajdacku; zanadto jednak przykuło jego wzrok imię Lily nakreślone zamaszyście na kopercie, by mógł się pohamować. Otworzył ją i z miejsca ujrzał podpis.

„Hawkins”.

Dziwne, jak szybko jeden mężczyzna może znienawidzić drugiego.

Przebiegł oczami treść listu. Same bzdury.

„Najpiękniejsza dama Londynu”.

„Moja muza”.

Ktoś naszkicował na marginesie listu kwiat, piękną lilię, wysmukłą i perfekcyjną. Alec przypuszczał, że zrobił to Hawkins. Szkoda, że z takim talentem.

„Moja Lily”.

Z niechęcią dostrzegł to poufałe miano, tchnące zuchwałą pewnością siebie. Przypomniał sobie jej słowa z poprzedniego dnia.

„Nie nazywaj mnie tak. Nie masz prawa”.

Ten dureń Hawkins również nie miał do tego prawa.

A ona należała się jemu, nie tamtemu.

Alec na tę myśl podniósł się gwałtownie i z takim impetem, że uderzył głową o skośny sufit, zaklął więc głośno i całkiem nieprzystojnie po gaelicku. Podniósł się z dłonią na głowie, nadal ciskając soczyste przekleństwa. Przyszło mu jednak na myśl, że powinien być wdzięczny losowi za tego guza, bo wraz z nim powrócił mu rozsądek.

Lillian Hargrove nie należała mu się wcale.

Robił przecież, co mógł, żeby mieć ją raz na zawsze z głowy.

A gdyby tak dać jej pieniądze? Nie te pięć tysięcy, do których wkrótce zyska prawo, tylko dwadzieścia pięć tysięcy? Pięćdziesiąt tysięcy? Tyle, aby mogła wynieść się z Anglii. Na kontynent albo do którejś z Ameryk. Byle gdzie indziej. Żeby zyskała fortunę zdolną przynieść jej wspaniałą przyszłość, gdzie tylko zechce się udać.

Wyobraził ją sobie w Paryżu, w jedwabiach, atłasach i gigantycznej peruce, z całym światem u stóp. Nikogo by wtedy nie obchodziło, że niegdyś żyła w Londynie i mieszkała w służbówce pod kuchennymi schodami.

Mimo wszystko nie była jego siostrą. Gdy Cate liczyła sobie osiemnaście lat, nie wiedziała nic o świecie, Lily miała wiedzę, którą kobiety zyskują z wiekiem. Pozowała przecież do tego przeklętego aktu.

Sama się w to wszystko wpakowała. A była już na tyle dorosła, żeby mieć świadomość, co robi. Musiała wiedzieć, co może z tego wyniknąć.

Wstyd pójdzie za nią wszędzie.

Doskonale wiedział, że nigdy już się go nie pozbędzie. Przylgnie do niej na zawsze. Nie umknie przed nim, nawet jeśli zdoła uciec od tych, którzy pragną, by się nim okryła.

On też się nigdy nie pozbył własnego wstydu.

Nachylił się, żeby odłożyć list. Pamiętał miejsce, gdzie przedtem leżał, a także, co mu objawił.

Odgarnął cały stos korespondencji, pod którym kryło się mnóstwo białej tkaniny. Białych strojów.

Były to maleńkie dziecięce ubranka, z haftowanymi i obszytymi koronką kołnierzykami – sukienki, czepeczki i kaftaniki. Odruchowo wyciągnął dłoń, żeby ich dotknąć. Żeby wziąć do ręki te bielutkie, najwyraźniej nieużywane jeszcze przez nikogo rzeczy. Sukieneczka, którą trzymał w palcach, miała rząd ślicznych niebieskich kwiatków wyszyty na obrąbku. Druga – rządek brązowych koników w galopie, ze złotymi siodełkami i uprzężą. Na trzeciej widniał księżyc i gwiazdy w

pięknym żółtym kolorze.

Poznał od razu, że szyła je Lily. Dla swoich dzieci. Najpewniej dla tych, które spodziewała się mieć z tym kretynem Hawkinsem.

Alec bez zastanowienia grzebał nadal w kuferku, znajdując kolejne czepeczki, pończoszki, a wreszcie parę miękkich bawełnianych bucików o podeszwach z czerwonej skórki. Niczym w przypływie szaleństwa uniósł je do nosa; wdychał woń cienkiej skóry i czuł jej miękkość na swojej skórze. Zupełnie jak wariat.

Upuścił je potem, jakby go parzyły, ale nie mógł oderwać od nich wzroku, gdy znów znalazły się na atłasach i koronkach, które wyglądały tak, jakby wcale nie były przeznaczone dla dzieci.

Spojrzał przez ramię na otwarte drzwi. Naszła go nagle myśl, co by powiedział, gdyby stanęła w nich służąca, ale dziwnie mało go to obchodziło. Za daleko już zaszedł.

Wyjął z kuferka jakiś strój i z miejsca poznał, co znalazł. Był śnieżnobiały i nikt go jeszcze nie nosił, podobnie jak dziecięcych ubranek – ale, dziwna rzecz, dużo od nich cenniejszy. O wiele ważniejszy.

Miał przed sobą suknię ślubną Lillian. Bez wątpienia szytą podczas marzeń o szczęściu, o przyszłości pełnej miłości i bliskich.

Chciała wyjść za mąż.

Marzyła o ślubie i o rodzinie, którą ślub by jej przyniósł.

A gdy trzymał w rękach tę suknię – dowód jej marzeń i pragnienia, by nie być samotną przez całe życie – zrozumiał, że musi zmienić plany.

Miał ją chronić, troszczyć się o nią. Chciał to zrobić. Wydać ją za mąż. Spełnić jej marzenia.

Ale w takim razie musiał ją najpierw odnaleźć, co było niemożliwe, póki stał w tym pokoju czy też raczej szafie pod kuchennymi schodami. Pewnie poszła z wizytą do przyjaciół.

Rozmyślania przerwało mu jakieś stuknięcie, a potem kilka głuchych odgłosów i wybuch stłumionego śmiechu. Alec zrozumiał, że pokoik był nie tylko maleńki, ale i akustyczny. Mógł słyszeć, co robi służba po drugiej stronie ściany.

Po cóż, u licha, sypiała akurat w takim miejscu?

Nie miał czasu na rozważania, bo bliskość służby okazała się w tej chwili czymś bardzo pożytecznym. Wyszedł z pokoju Lillian i wyjrzał na kuchenne schody, którymi właśnie schodził lokaj i dwie pokojówki.

– Hej, wy tam…

Zamarli bez ruchu, a jedna z dziewcząt aż pisnęła ze strachu.

Lokaj oprzytomniał pierwszy.

– Wasza Wysokość!

– Kto najczęściej odwiedzał pannę Hargrove?

Milczeli.

Alec spróbował znowu.

– Miała jakichś przyjaciół?

Jedna z dziewcząt pokręciła głową.

– Żadnego.

Uniósł brwi ze zdumienia.

– Żadnego?

Druga też pokręciła głową.

– Ani jednego. Ona nie ma przyjaciół.

Na ciemnawych schodach słowa te zabrzmiały tak bezwzględnie, że Alec musiał się pohamować, żeby nie spytać odruchowo: „Czyż to możliwe?" Lillian była piękna, bystra i wspierana przez książąt. Jakże więc mogło jej brakować przyjaciół? Pewnie po prostu nie przychodzili do tego domu. Odparł więc:

– Dziękuję. – Skinął głową.

– Wasza Wysokość… – odezwał się niepewnie lokaj.

– Ach, w Szkocji najwyraźniej dziękuje się częściej niż tutaj, w Anglii – wyjaśnił mu Alec. – Nie patrzcie na mnie jak na lwa w klatce.

Cała trójka, zdumiona, odparła chórem:

– Tak, Wasza Wysokość.

Alec wrócił na podest schodów, a służący już odeszli, ale po chwili jedna z dziewcząt zawołała, wsadzając głowę w drzwi:

– Widywała doradcę!

Teraz z kolei zdumiał się Alec.

– Doradcę?

– Starszy pan. W okularach. Nazywa się Starswood czy jakoś tak – wyjaśniła.

– Settlesworth?

– O właśnie! – odparła uradowana. – Przychodził raz na miesiąc. Jedna z dziewcząt powiada, że przynosił Lillian… – poprawiła się z miejsca – …pannie Hargrove forsę. – Znów urwała. – Znaczy się… pieniądze.

No oczywiście.

Nie mogła przecież opuścić domu bez grosza przy duszy. A sakiewkę trzymał Settlesworth. Alec odwrócił się już od dziewczyny, ale znów mu coś zaświtało. Odwrócił się więc ponownie do niej i zobaczył, że wciąż patrzy na niego.

– Czemu ona tu sypia? – spytał, wskazując pokoik.

Dziewczyna spojrzała na pokój tak, jakby go przedtem nigdy nie widziała.

Pokręciła głową.

– Sama nie wiem – wykrztusiła w końcu. – Ale od początku tak było.

Alec kiwnął głową, słysząc tę niezbyt jasną odpowiedź, podziękował dziewczynie i ruszył do biura swego doradcy.

6. Książę schodzi na psy!

Jeśli chciał ją wydać za mąż, to najpierw musiał ją odszukać.

Książęta Warnick mogli się poszczycić ośmioma londyńskimi rezydencjami. Cztery z nich rozsiane były pomiędzy Westminsterem a Mayfair; jedna znajdowała się na wschodzie, nad Tamizą; o domu na Fleet Street mówiono jej, że „trzymany jest dla zysków" (choć nie oznaczało to, by księciu brakowało pieniędzy); zapuszczony budynek z rozległym ogrodem stał w dzielnicy Kensington; mały domek w Shoredith był zapewne pełen przeciągów.

Lily zawsze uważała dom pod numerem 45 na Berkeley Square za najlepszy, jako że należał do księcia Warnick, którego akurat znała najlepiej, czwartego z kolei – tego, który zmarł pięć lat wcześniej, rozpoczynając fatalną serię zgonów siedemnastu innych księciów Warnick, wzbogacającą tytuł książęcy o liczne inne rezydencje dzięki opuszczeniu tego świata przez kolejno go piastujących książąt zmarłych bez potomstwa, żon lub dalszych krewnych. Bernard Settlesworth, zajmując się tym, co w Londynie zostało po książętach, nabył kilka z nich w ciągu miesięcy i lat następujących po ich śmierci. W rezultacie stały się teraz własnością Aleca Stuarta, osiemnastego z kolei księcia.

Chyba jednak nie wiedział o ich istnieniu, co stwarzało pewien problem.

Lily zaś o nich wiedziała. I nie obawiała się z tego skorzystać.

Nie żeby je widziała. Nigdy jej zbytnio nie interesowały. Na pewno interesowała się jednak nimi z konkretnego powodu, bo mimo że należały do księcia, z pewnością było w nich niewiele służby, a ona zawsze uważała, że lepszy znany diabeł niż nieznany. Dom pod numerem 45 na Berkeley Square utracił książę, któremu tytuł się należał niewiele ponad kwadrans.

Nie była jednakże kimś, kto zagląda darowanemu koniowi w zęby, a to, że mogła osiąść w różnych innych miejscach poza Berkeley Square, było nadzwyczaj pomyślną okolicznością.

Dlatego właśnie poprzedniego wieczoru przybyła do domu nr 38 na Grosvenor Square, serdecznie witana przez pana i panią Thrushwill, ogrodnika i jego żonę, gospodynię. Podzielili się z nią swoją skromną kolacją i umieścili ją w jedynym

pokoju, jaki z dumą wysprzątali i wywietrzyli z tej okazji.

Lily położyła się do łóżka, rozmyślając, co zrobić, żeby uniknąć szalonego pomysłu księcia Warnick, który chciał ją zaprezentować na targowisku małżeńskim.

Był to pierwszy krok, żeby się uwolnić od księcia Warnick.

Z pewnością numer 38 na Grosvenor Square byłby świetnym początkiem, bo książę musiał się tam najpierw zjawić i ją odszukać. Ten dom zapewniał jej dwa dni zwłoki. A może i więcej.

W mroku, w świeżej, wykrochmalonej pościeli, po raz pierwszy od dwóch tygodni i pięciu dni poczuła ulgę. Po raz pierwszy poczuła się jak kapitan sterujący własnym statkiem.

Wkrótce jednak ulgę zastąpiły myśli, które nękały ją od czasu otwarcia Wystawy Królewskiej. Myśli o Dereku. I o jej głupocie.

Gdybyż widziała całą prawdę! Że nigdy jej nie szanował. Że nigdy nie zamierzał nawet tego robić. Że wszystkie jego obietnice, wszystkie te śliczne słówka, jakich jej nie szczędził, były kłamstwem.

Leżała w mroku cichego domostwa, rozpamiętując te kłamstwa wciąż na nowo i przypominając je sobie z bólem, nękana pragnieniem miłości, a także czymś dużo bardziej niebezpiecznym.

Nadzieją.

Ileż razy marzyła o tym, by ją dostrzeżono, kochano, szanowano.

A ona gwałtownie zniszczyła każdą możliwość, żeby tak się stało.

Podczas śniadania na Berkeley Square ujrzała w oczach Aleca prawdę. A także współczucie. Nie. Nie współczucie.

Litość.

Przyjechał tu z litości. Z litości też pozostał i przedstawił jej groteskową obietnicę wielkiego posagu oraz małżonka. Ale jakże go miała zdobyć przez osiem dni? Czyste szaleństwo.

Tylko że ta druga możliwość…

„Obraz wszędzie cię dogoni”.

Wstyd podąży w ślad za nią.

„Pomyliłaś się tylko w ocenie”.

Nienawidziła tych słów, a jej milcząca zgoda w gruncie rzeczy też ją zawstydzała. Nigdy się już od wstydu nie uwolni. Nie chciała temu wierzyć, ale najwyraźniej było to prawdą. W końcu gdyby nawet wyszła za mąż, dobre towarzystwo nigdy jej łaskawie nie przyjmie do swego grona. A już na pewno nie pogodzi się z jej hańbą mężczyzna, który by ją zechciał. Pieniądze nic by tu nie

pomogły.

Jeszcze raz jakiś mężczyzna czynił jej skandal jeszcze gorszym. Wprawdzie nieobecny opiekun miał jak najlepsze intencje, ale było to bez znaczenia.

Gdybyż tylko zechciał zrozumieć jej sytuację.

Zresztą nie tylko tego nie rozumiał, pomyślała w ciemności i westchnęła. Nigdy nie ujrzy, że płakała potajemnie w poduszkę pod osłoną nocy.

Przestała jednak myśleć o tym domu, póki się nie zbudziła po źle przespanej nocy i oczy stanęły jej w słup, gdy odkryła, że gospodyni wstała dużo wcześniej od niej, po czym usunęła mnóstwo pokrowców, ujawniając, że cały dom pełen jest psów.

Było ich tu więcej, niż mogła sobie wyobrazić, malowanych, tkanych i rzeźbionych. Złocone psy widniały na jedwabnym obiciu ścian, owczarki wyrzeźbione były na listwach przypodłogowych, dwa psy pilnowały z obu stron drzwi wejściowych, a starannie wykonane podobizny spanieli zdobiły kinkiety.

Lily zeszła powoli na dół, urzeczona niesłychaną dekoracją, a na ostatnim stopniu schodów powiodła palcami po kunsztownie wyrzeźbionym w mahoniu łbie buldoga na samym początku balustrady. Ona właśnie zrobiła na niej największe wrażenie, z otwartym pyskiem, ostrymi zębami, a nawet wysuniętym nieco językiem.

Ze zdumieniem obróciła się wokoło, rozważając, ile tych psów może być, i uznała, że być może popełniła błąd, wybierając numer 38 na Grosvenor Square, żeby ukryć się przed księciem.

A potem usłyszała jego głos dobiegający z tyłu domu i była już pewna swojej pomyłki. Skoro postanowiła jednak ukrywać się przed Alekiem Stuartem możliwie jak najdłużej, podeszła prosto ku wyjściu.

Należało sobie wybrać jakąś inną książęcą siedzibę.

– Dopiero zeszłego wieczoru usłyszeliśmy, że chce pan otworzyć ten dom, Wasza Wysokość – mówiła piskliwym, podniesionym głosem gospodyni. – Zrobiliśmy, co było można, ale potrzeba nam więcej służby. – Urwała, po czym dodała pospiesznie: – Albo może, skoro pan zamierza się tu zatrzymać, wezwiemy jakichś służących z Berkeley Square?

Lily miała ledwie kilka sekund na ucieczkę.

– Och, panna Hargrove! Dzień dobry! – zawołała pani Thrushwill.

Lily zamarła. Była już niemal za drzwiami.

– Wybierasz się gdzieś, dziewczyno?

Zaczerwieniła się na widok brązowych oczu Aleca i jego idealnie wykrojonych warg, z jednym kącikiem uniesionym w aroganckim rozbawieniu. Zdobyła się na

pogodny uśmiech i odparła:

– Zamierzałam przejść się po skwerze. Dzień dobry, pani Thrushwill.

Starsza kobieta odwzajemniła jej uśmiech.

– Mam nadzieję, że pokój okazał się wygodny?

– Jak najbardziej.

Pani Thrushwill spojrzała na księcia.

– Wywietrzymy zaraz drugi pokój dla Waszej Wysokości.

Co? Niemożliwe.

– Książę tu nie zostanie.

– Och – gospodyni nieco zmarkotniała – myślałam, że…

– Zostanę – odparł książę. – Dziękuję pani.

– Och – powiedziała znów gospodyni. – Oczywiście, oczywiście. – Dygnęła przed nim i pospiesznie odeszła, bez wątpienia chcąc wszystkim powiedzieć, jak uprzejmy, miły i przystojny jest książę.

Nie był przystojny.

Giganci nie są przystojni. A już na pewno nie tacy, którzy próbowali zrujnować jej życie.

– Twoje oko zmienia kolor – stwierdziła. – Jest teraz sine i żółte.

– Pójdziemy na spacer? – spytał.

Gdy się już powiedziało a, trzeba powiedzieć b.

– Uwielbiam naturę.

– Naturę?

Kiwnęła głową.

– Jak najbardziej.

– Grosvenor Square nie jest żadną naturą.

– Ale tyle tu zieleni. No i drzewa.

– Z każdej strony skwer otaczają sztachety i budynki.

– Po zastanowieniu się stwierdzisz, że całą naturę otaczają budynki – wytknęła mu. – Może tylko niewłaściwie dostrzegasz granice.

Niezdolny wymyślić odpowiedzi tak stanowczej, jakby sobie życzył, dopiero teraz zauważył psią dekorację.

– Co u dia… – Urwał z oczami utkwionymi w wyjątkowo barwnym wizerunku charta na jednej ze ścian. Pies leżał w imponująco swobodnej pozie, podkulając smukłe łapy, z wydłużonym pyskiem wspartym na czerwonej, atłasowej poduszce.

– Czy on ma na łbie koronę?

Lily zbliżyła się do obrazu, żeby lepiej przyjrzeć się temu, co pies miał na głowie, i odcyfrowała napis na złoconej ramie.

– „Klejnot koronny” – przeczytała na głos. – Jak sądzisz, czy on się wabił Klejnot?

– Sądzę, że obrzydliwie go potraktowano.

– Może Angusowi i Hardy’emu podobałyby się korony? – spytała.

Wydawał się zgorszony samą myślą o czymś podobnym.

– Ten dom jest ohydny.

– Mnie się całkiem podoba. Czuję się tu jak u siebie.

Było w nim coś cennego, z psami czy bez nich.

– Myślałem, że nie lubisz psów.

– A ja myślałam, że Wasza Wysokość je lubi.

Puścił przytyk mimo uszu.

– Nie będziemy tu mieszkać.

– Masz rację. Nie zrobimy czegoś takiego. Zostawię ci Berkeley Square w całości. I to z przyjemnością. Wolę domy, gdzie nikt nie wyważa drzwi.

– Uciekłaś w nocy.

– To nie była ucieczka.

– Rzeczywiście niezbyt udana, skoro oboje tu jesteśmy. Nawiasem mówiąc, Settlesworth przesyła ci pozdrowienia.

Przymknęła oczy ze złości.

– Settlesworth to zdrajca.

– Settlesworth usiłuje uratować twoją sytuację i na szczęście zdołał mi przekazać pewną ważną wiadomość.

– Czy to takie ważne, gdzie przebywam?

Poczuła, że niemal westchnął, nim jej odpowiedział.

– No jasne, że ważne.

– Racja! – parsknęła, nie chcąc uwierzyć w jego dobre zamiary. – Bo lubisz wiedzieć, gdzie się znajdują twoje najgorsze kłopoty.

– Nie możesz przede mną uciec. Czemu więc nie chcesz mi iść na rękę? Moglibyśmy uratować twoją sytuację, a ja bym wtedy mógł wrócić do Szkocji. Oboje bylibyśmy zadowoleni.

– Ładnie to brzmi, ale ty zamierzasz wydać mnie za mąż za kogoś całkiem mi nieznanego.

– Mówiłem ci już, że możesz sobie wybrać każdego, kto ci się spodoba. Nie mam zamiaru się temu sprzeciwiać.

– Wybieram siebie – odparła. – Wolę polegać na sobie niż na tobie czy kimkolwiek innym. Uważam, że najlepiej jest polegać na sobie samej.

Znów westchnął, a ona poczuła, że z rozdrażnieniem i jeszcze z czymś innym,

czym pogardzała.

– Nie śmiej się nade mną litować – powiedziała z furią. – Nie chcę litości.

Zaskoczyło go to jednak.

– Nie lituję się nad tobą.

– W takim razie co czujesz?

Uśmiechnął się nieznacznie, powiedziałaby, że ze smutkiem, gdyby choć przez chwilę wierzyła, że może go odczuwać.

– Żal.

Żal mu było bez wątpienia własnych planów. I tego, że miał ją na głowie.

– Wszyscy robimy rzeczy, których potem żałujemy, książę.

Wiedziała o tym lepiej niż ktokolwiek inny.

Po długiej chwili milczenia zmienił temat.

– Do kogo należało to wstrętne miejsce?

Bez wahania odpowiedziała:

– Do Numeru Trzynastego.

– Ach, tak. Podobno zabiła go owca.

– No właśnie.

– Co mu się naprawdę stało?

– Właśnie to. Został zabity przez owcę.

– Chyba żartujesz.

– Ani trochę. Spowodował to upadek z klifu.

– Numeru Trzynastego?

– Nie, owcy. Książę odbywał właśnie poranny spacer dla zdrowia. Poniżej klifu. – Złożyła razem dłonie. – Został wręcz zmiażdżony.

Usta mu się wygięły w niedowierzającym uśmiechu.

– Niemożliwe.

– Przysięgam, że to prawda. – Uniosła dłoń.

Rozejrzał się dokoła.

– Chyba te psy powinny były go ostrzec.

Nie mogła się powstrzymać. Parsknęła śmiechem.

– Skoro przetrwały, widocznie świat zwierząt miał z tym coś wspólnego.

Roześmiał się i on, głęboko, donośnie, i bardziej ją to pocieszyło, niż chciała przyznać.

Skarciła się w duchu za tę myśl.

– Nie powinniśmy szydzić z jego nieszczęścia.

Podszedł bliżej, wciąż jeszcze rozbawiony.

– Wszystkich nas dotykają nieszczęścia. Cóż by nam pozostało, gdybyśmy nie

mogli się z nich śmiać?

Spojrzała na niego ostro.

– Znów chcesz mi przypomnieć o swoich cierpieniach z powodu bogactwa, a także wpływów, i to tylko dlatego, że siedemnastu nieszczęśników zostało zabitych przez spadającą owcę?

Wciąż się do niej zbliżał.

– Chyba spadła tylko jedna owca?

– Która dopełniła na księciu zemsty. Powinieneś być ostrożniejszy na łonie natury.

– Mówisz o naturze na Grosvenor Square?

– Czujność ci nie zaszkodzi.

Znowu się roześmiał.

– A Lady Trzynasta? Co się z nią stało?

– Numer Trzynasty był wdowcem. Nie miał też krewnych.

– Tylko psy?

– Podobno psom był obojętny wystrój tego domu.

Zaśmiał się z cicha, co ją dziwnie ucieszyło, ale nie usłyszałaby tego, gdyby nie to, że był już tak blisko niej. Kiedy zdołał ku niej podejść? No i dlaczego pachniał tak wspaniale, świeżo i czysto? Czy nie mógł pachnieć jak inni mężczyźni? Perfumami albo zaduchem niemytego ciała?

Jeśli nie będzie się miała na baczności, to go jeszcze polubi.

A on zacznie może lubić ją.

– Czemu uciekłaś ode mnie, Lillian? – spytał łagodnie, lecz na tyle dobitnie, że głęboko odczuła jego pytanie. – I to właśnie tutaj?

Bo nie miała gdzie.

No cóż. Nie mogła mu tego powiedzieć.

Nim zdołała wymyślić odpowiedź, dodał jednak:

– Dlaczego czujesz się samotna?

Milczała. Zrobiło się jej zimno, a potem gorąco. Była samotna. Okropne słowo. Ale aż za dobrze pasowało do tego, co czuła. Cofnęła się znów ku ścianie z koronowanym psem na atłasowej poduszce.

Kochano go bardziej niż ją kiedykolwiek.

Pokiwał głową i też się cofnął.

– Przepraszam. Nie powinienem był o to pytać. Tylko że… – Urwał i zmienił taktykę. – Miałem na myśli to, że nigdy nie byłaś przedstawiona podczas sezonu.

– Wcale tego nie chciałam – skłamała.

– Każda kobieta chce.

– Nie jestem arystokratką… – zaczęła ponownie.

– Ale jesteś podopieczną jednego z najbogatszych domów książęcych w Anglii – odparł. – Nie mogłaś znaleźć kogoś, kto by cię wsparł?

– Niestety, Wasza Wysokość, pieniądze nie wystarczą, żeby dziewczynie zapewnić wsparcie.

– Dziewczynie? – zdziwił się. – Czy dziewczynie takiej jak ty?

Poczuła ulgę. Znów byli przeciwnikami, jak poprzednio.

– O co ci chodzi? – spytała zdumiona.

– Dziewczynie, która pozowała do aktu.

Rozgniewała się nagle. Pytanie przypomniało jej o doznanej krzywdzie, a ona dała sobie słowo, że nie będzie jej więcej rozpamiętywać.

– Każdej dziewczynie – odrzekła ostrym tonem. – Żeby się bawić podczas sezonu, trzeba mieć koneksje.

– Przecież je masz. Do diabła, w końcu jestem księciem.

– Zapominasz – odparła – że nikt mnie nie wspiera, bo po prostu nikt mnie nie chciał. Nie zwrócę uwagi Londynu dzięki księciu, który bawi gdzieś daleko. Dziwne, ale tak właśnie jest.

– Ale teraz jestem tutaj.

– No tak – potwierdziła z ironią. – Dziwna rzecz, ale twój dom książęcy stał się jakby mniej… oddalony ode mnie.

– Dlaczego, do diaska?

Ostentacyjnie powiodła palcem po tartanie na jego ramieniu i po torsie, aż do miejsca, gdzie zwisał w fałdach tuż nad kolanami, i stwierdziła:

– Nie mam pojęcia.

Spojrzał na nią gniewnie.

– Pojawisz się podczas tegorocznego sezonu.

Zaśmiała się, mimo że jego słowa wzbudziły w niej nagłą panikę.

– Wcale tego nie chcę.

I tak stała się zanadto znana. Skandalizujące pisemka dużo już o niej pisały. Jeszcze zanim poznała Dereka.

– Nieważne. W ten sposób łatwiej nam przyjdzie wydać cię za mąż.

– Cóż to znaczmy „my”, książę? Nie trzeba wydawać mnie za mąż. Mówiłam już, że chcę być wolna.

– Jeśli chcesz się uwolnić ode mnie, dziewczyno, to tylko dzięki małżeństwu. Nie w inny sposób.

– Wyobrażasz sobie, że wyjdę za mąż? Że dasz mi posag, byle się tylko mnie pozbyć?

Uśmiechnął się wzgardliwie.

– Wydam cię za kogoś, i tyle.

– Chcesz, żebym zamieniła jednego pana i władcę na drugiego?

– Przedstawię ci całą listę kandydatów. Wszystkich, jacy tylko się znajdą w Londynie.

– Pięknie dziękuję.

– Wdzięczność za wielki posag nie byłaby od rzeczy.

Westchnęła donośnie.

– A jak się nie zgodzę na małżeństwo?

Otwierał już usta, jakby miał powiedzieć coś bardzo serio, ale rozmyślił się i zamknął je. Odetchnął głęboko z rozdrażnieniem, nim spojrzał jej w oczy.

– Chcesz swoich pieniędzy? Będziesz je miała, kiedy zostaniesz mężatką.

– A mój mąż je zagarnie. I zrujnuje żonę.

Patrzył na nią z powagą przez dłuższą chwilę, nim powtórzył:

– Gdzie ty chcesz pójść, dziewczyno?

Wzruszyła ramionami.

– Gdziekolwiek, byle nie zostać tutaj.

– Jakże będzie wyglądać twoja przyszłość?

Miała to być miłość, małżeństwo i dzieci. Spokojna idylla, szczęście, satysfakcja. No i bezpieczeństwo. No i świadomość, że jej życie zmierza w dobrym kierunku.

Zawsze pragnęła tylko rodziny.

„Mężczyzna taki jak ja nie żeni się z dziewczyną taką jak ty”.

Zamknęła oczy na wspomnienie słów wypowiedzianych przez mężczyznę, który wcześniej wielbił jej urodę, szeptał o niej z czcią, a ją nazywał swoją muzą.

Przestała o tym myśleć. Wróciła do rzeczywistości. Do pytania Aleca.

– Moja przyszłość nie może mieć nic wspólnego z Londynem – odparła, czując, że mówi tonem pełnym irytacji.

Pokręcił głową przecząco.

– Nie pytałem się, gdzie ją spędzisz, tylko jak będzie wyglądać?

Naszła ją myśl bolesna, nieproszona i pełna prawdy. Zrujnowała sobie życie. Zaryzykowała wszystko dla tego, co mylnie uznała za miłość.

Znienawidziła go. Za to, że ten olbrzymi i niechciany książę widział zbyt dużo. Nie zamierzała mu jednak odpowiedzieć. Myli się, sądząc, że Lily jest jego problemem. To ona była własnym problemem.

Sama również powinna go była rozwiązać. Bez niego.

– Będzie podobna do szczęścia – powiedziała w końcu.

Nie uwierzył jej.

Nie powinien był jej uwierzyć.

Prychnął z rozdrażnieniem.

– Szczęście niełatwo znaleźć, Lily. Nie jest to takie proste jak wręczenie ci pieniędzy i puszczenie wolno.

W jego słowach było tyle prawdy, że nie wytrzymała i spytała:

– Skąd wiesz?

– Wiem i już – odparł. A ona czekała, żeby powiedział coś więcej, ogromnie pragnąc to usłyszeć. Stali tak dłuższą chwilę, aż wreszcie oznajmił:

– Mam tego dość. Twój sezon zacznie się dziś wieczorem.

– Mój sezon?

– Eversley wydaje bal. Jesteś zaproszona.

Bal! Aż ją skręciło na te słowa. Niczego sobie mniej nie życzyła.

– Nie, dziękuję.

– Jesteś w błędzie, sądząc, że masz jakiś wybór.

Rozgniewała się.

– Wiesz chyba, że w Londynie jest wiele innych rezydencji, gdzie mogę się ukryć.

– Nie chcesz uwierzyć, że cię tam znajdę?

– Nie zdążysz, skoro mój sezon ma się zacząć dzisiaj.

Nachylił się nad nią, a kiedy zaczął mówić, cicho i ze swoim szkockim akcentem, przeszedł ją dreszcz.

– Zawsze cię znajdę, dziewczyno.

Otworzyła usta, zdumiona tą obietnicą. A także myślą, czy warto byłoby jej szukać.

Alec wyprostował się i jej zdumienie znikło.

– Wybierz sobie jakąś suknię, Lillian. Jedziemy na bal o wpół do dziewiątej.

– A jeśli jej nie wybiorę? – spytała łagodniejszym tonem, niż zamierzała. Odkaszlnęła i usiłowała obrócić wszystko w żart. – Co wtedy będzie, Wasza Wysokość?

Zastanowił się, a w jego pięknych brązowych oczach coś błysnęło, mimo że jedno z nich miał podbite. Patrzył na nią tak długo, że poczuła się nieswojo i drgnęła.

– Wybierz sobie suknię – powtórzył. – Bo gdybym ja musiał to zrobić, mogłabyś pożałować mojego wyboru.

A potem wyszedł z pokoju, zostawiając ją wśród psiego wystroju. Słowa jego zrobiły na niej wrażenie.

Oparła się temu.
Nie powinna pozwolić, żeby ją wyprowadzał z równowagi.
Znajdzie sobie taki strój, który jego wyprowadzi z równowagi.

7. Prześliczna Lily debiutuje podczas sezonu w wątpliwym stylu

O wpół do dziewiątej Alec stanął u stóp schodów, usiłując uniknąć wzroku Klejnota. Ten pies zdawał się ze swojego miejsca widzieć wszystko i leżąc na idiotycznej jedwabnej poduszce, szydzić sobie z niego.

Podobnie jak dwa psy strzegące wejścia.

Ten psi sąd wydawał się jednak całkiem uzasadniony, bo Alec był pewny, że wygląda śmiesznie.

Krawiec, jakiego znalazł wcześniej tego samego dnia na Savile Row, zaręczał, że ma surdut, „w którym Wasza Wysokość świetnie się będzie czuł". Tymczasem wcale tak nie było, a w dodatku Alec niezgrabnie się w nim poruszał. Kiedy powiedział o tym krawcowi, ten się tylko uśmiechnął głupawo i zapewnił go, że wszystko leży znakomicie.

Alec nie był jednak głupcem. Surdut był za ciasny. A spodnie, prawdę mówiąc, także.

Był zbyt duży. Wielki Szkocki Brutal.

„Nic na ciebie nie pasuje, ty okropny stworze".

Nienawidził Anglii.

Czas się jednak liczył najbardziej i Alec nie mógł czekać na lepiej dopasowany strój. Dzisiejszego wieczoru zaczął mieć nadzieję, że wkrótce pożegna się z tym krajem. Poprosił Westa, by rozgłosił, że Lillian ma teraz wielki posag, i bez wątpienia wszystkie londyńskie bawidamki powitają ich entuzjastycznie, gdy tylko oboje przybędą dziś wieczór do Eversley House. Lillian była w końcu bogatą, piękną książęcą podopieczną.

Będzie olśniewać bardziej niż słońce.

Wystarczy, żeby się tam zjawiła. Spojrzał na schody. Nie było jej. Potem na duży zegar w jednym z kątów, gdzie wahadło miało postać psów kołyszących się tam i z powrotem. Za dwadzieścia dziesiąta. Spóźniała się.

Wiedział, że była w domu. Wynajął dwóch chłopców do pilnowania wyjścia,

żeby się upewnić, że w razie jej ucieczki wyśledzą, gdzie się podziała, a wtedy on ją znajdzie. Obecność Lillian w domu nie oznaczała, że chętnie pójdzie na bal. Już chciał wejść na górę i poszukać jej, gdy się ukazała.

Szczerze mówiąc, najpierw jej nie spostrzegł, ale zrobił to Hardy. Natychmiast podbiegł do schodów, wpatrzony w nią, i – ku zdumieniu Aleca – żywo zaszczekał.

– Co u licha… – zaczął, patrząc tam, gdzie i pies, ale urwał, krańcowo zaskoczony.

Mógł stwierdzić tylko tyle, że przebrała się za psa.

Powinien był przewidzieć, że miała lepszy plan niż ucieczka czy opór. Oczywiście, ów plan zakładał, że zrobi wszystko, byle tylko pokrzyżować jego plany na ten wieczór. To była istna bitwa, a jej pierwszy strzał zrobił na nim duże wrażenie.

Nie zważał na modę, ale ten strój nie mógł przejść niezauważony. Było to jakieś złotobrązowe okropieństwo z ogromnymi spódnicami, które ledwie się mieściły na schodach, i rękawami, które ją pomniejszały.

Założyłby się, że zrobiła tak, żeby i jego pomniejszyć. Jakby tego nie było dość, na spódnicach naszyte były złote i brązowe perełki, układające się jakby w kontur o psim wyglądzie, a na gorsie, imponująco dopasowanym, choć nie miała zbyt wiele czasu, żeby to zrobić, pyszniły się złote, ozdobne brosze, wyobrażające różne psy: spaniele, teriery, buldogi i jamniki.

Spojrzał ku jej talii, gdzie szeroki złoty pas w nieprzyjemny sposób podkreślał jej kształty. Ujrzał na nim wizerunek charta w skoku, biegnący przez całą szerokość szarfy.

Bez wątpienia był to Klejnot.

Wszystko jednak było niczym w porównaniu z przybraniem głowy. W spiętrzone kasztanowate loki umocnione mnóstwem szpil w kształcie psów wpięta była złota egreta z wizerunkiem psa uchwyconego w momencie skoku na zająca, ten zaś chwiał się na samym czubku jej głowy.

– Dobry Boże – stęknął Alec, bo też nie sposób było inaczej zareagować.

Schodziła w dół z całą swobodą, pełna gracji, niczym dumna królowa. Można byłoby uwierzyć, że nie jest świadoma ohydy swojego stroju.

Robiła niesamowite wrażenie.

Zatrzymała się na trzecim stopniu od dołu, z fałszywym uśmiechem.

– Czy coś jest nie tak, Wasza Wysokość?

– Jak najbardziej, panno Hargrove.

Ostentacyjnie wystawiła na pokaz obfite spódnice.

– Zdaję sobie sprawę, że to przebrzmiały model i nikt już go nie nosi od przeszło

pięciu lat, ale nalegałeś, żebym sobie znalazła jakąś suknię.

– Cała rzecz w tym, że suknia jest już niemodna.

Spojrzał ku torebce w kształcie małego teriera, zawieszonej na jej nadgarstku.

– Czy to futro?

Przyjrzała mu się.

– Z pewnością jednak nie psie.

– Nie wyobrażam sobie, by Trzynasta Lady obnosiła się ze swoją obsesją.

Parsknęła śmiechem, a ten dźwięk spodobał się Alecowi trochę za bardzo. Odchrząknął.

– No, to idziemy, panno Hargrove.

Zawahała się.

Teraz miał ją w garści.

– Nie sądziłaś chyba, że dla takiego małego drobiazgu jak ten strój zrezygnuję z moich planów?

– W tym stroju nic nie jest małe.

– Jeśli się zmieści w powozie, to chyba cudem – przytaknął i podszedł ku drzwiom, świetnie wiedząc, że ona za nim nie idzie. Spojrzał z daleka w jej szare oczy.

– Chodźże, Lillian. Chyba nie myślałaś, że poddam się tak łatwo?

– Myślałam, że jeśli pokażę się ludziom w tym stroju, żaden mężczyzna mnie nie zechce.

– Nie doceniłaś czegoś.

– Twojego wyczucia mody?

Nie dał się złapać na ten haczyk.

– Swojej piękności.

Aż się cofnęła na te słowa.

– Ja… – zaczęła, ale urwała.

– Przecież nazywają cię najpiękniejszą kobietą w Londynie, *nae*?

– *Nae* – odparła, przedrzeźniając jego szkocki akcent. – Ale nie w tej sukni.

Chciał, żeby to było prawda. Żeby można na nią patrzeć i nie dostrzegać jej piękności. Tylko że pewnym rzeczom nie sposób zaprzeczyć, a piękność Lillian Hargrove była jedną z nich. Nawet teraz, w tym błazeńskim, psim stroju.

Alec nie zamierzał temu zaprzeczać. Nauczył się już czegoś o pięknych kobietach i nie zamierzał powtarzać tej lekcji.

Otworzył drzwi i skinął na nią.

– Do powozu, panno Hargrove… czy też wolisz stchórzyć? Może chcesz znaleźć jakiś inny strój?

Wyprostowała się energicznie.

– Bynajmniej. Czuję się w nim całkiem wygodnie.

Przeszła koło niego sztywno, z zajączkiem chwiejącym się na głowie, i bez wahania wsiadła do czekającej karety. Alec zrobił to samo, pełen zaciekawienia i nie bez pewnego respektu.

Usiadł naprzeciw niej, omijając przejrzystą spódnicę i podkulając długie nogi w niewielkiej przestrzeni, jaką mu pozostawiła. Ciasne spodnie uwierały go tak mocno, że krew niemal odpłynęła mu z nóg. Lillian spytała:

– Czy jest ci wygodnie?

– Czy to ma znaczenie? – odpowiedział pytaniem na pytanie, jak często robiła ona, wiedząc, że ją zirytuje.

Łatwiej mu teraz było nie podziwiać jej urody, bo się cieszył, że zdołał ją rozdrażnić.

Tylko że wcale jej nie podziwiał.

– Myślę, że nie. – Zaskoczyła go swoją odpowiedzią. – Chciałam po prostu prowadzić uprzejmą rozmowę.

Alec nie miał na to żadnej ochoty, wydał więc jakiś nieartykułowany pomruk i zaczął patrzeć przez okno na mijane budynki.

A ona nie patrzyła w okno. Patrzyła na niego.

Alec z każdą chwilą czuł się coraz bardziej znękany, póki nie spróbował jej przechytrzyć.

– Zdawało mi się, że chciałaś zmienić suknię.

Ani nie drgnęła.

– Nonsens. Po prostu było mi cię żal, milordzie. Będziemy piękną parą, zważywszy surdut, który źle na tobie leży.

Drgnął na tę wzmiankę, co podkreśliło słuszność jej słów.

– Naprawdę?

Pokręciła głową i pociągnęła za jeden z jego rękawów, jakby sprawdzając jego wytrzymałość.

– Naprawdę.

Oparł się chęci, żeby zareagować na lekkie dotknięcie jej dłoni w rękawiczce. Przez chwilę zdjęła go wielka chęć, żeby ją schwycić i ścisnąć w swojej. Ale potem Lily spojrzała ku jego spodniom, a on wyobraził sobie, że dotyka również tkaniny opiętej ciasno na biodrach. Nim poczuł zażenowanie, dodała:

– No i te spodnie. Powinieneś znaleźć sobie lepszego krawca. – Po chwili dodała, jakby chcąc się z nim droczyć: – Może angielskiego.

Znieruchomiał pod dotykiem jej dłoni i znienawidził się za to.

Nie, wcale nie znienawidził… Wręcz przeciwnie.

Nim coś postanowił, cofnęła dłoń – a on szaleńczo zapragnął, żeby dotykała go nadal, gdyż tylko wtedy mógłby rozstrzygnąć tę sporną kwestię.

Ale odkaszlnął jedynie i przywarł plecami do obicia powozu.

– Tylko że właśnie ten krawiec był angielski. Mówiono mi, że jest bardzo dobry.

– Nie jest. Nawet ja mogłabym ci uszyć lepsze ubranie.

– Zważywszy twoją suknię, wolałbym już pozostać przy moim pechowym krawcu.

Poczuła się urażona.

– Przepraszam bardzo, ona doskonale na mnie leży. – Przesunęła ręką po jednym ze szwów, w miejscu, gdzie stanik przylegał do niej niczym druga skóra. On również spojrzał na to miejsce. Nie zdołał oprzeć się pokusie.

Mocniejszej niż jego wyobrażenie, co by zrobił z tym szwem.

Nie zdołał odpowiedzieć w myśli sobie samemu, bo Lily ciągnęła:

– Świetnie potrafię szyć.

Przypomniał mu się jej pokój na Berkeley Square i kuferek z suknią ślubną oraz ubrankami dla dzieci. No i te buciki.

Te przeklęte buciki, których zapach wciąż jeszcze czuł.

– Przepraszam – powiedział i drgnął na to wspomnienie, nagle czując się nieswojo. – Tylko że suknia, którą nosisz, przyćmiewa tę twoją zręczność.

Uśmiechnęła się, a jej białe zęby błysnęły w półmroku powozu. Zirytował się, bo jej odpowiedź sprawiła mu wyraźną przyjemność.

– Wierz mi, że moja znakomicie uszyta suknia jest po prostu ohydna. Innego krawca trzeba właśnie tobie.

Krawiec bał się go śmiertelnie i był zbyt przerażony, by mu powiedzieć, że jest za duży na gotową konfekcję, której miał mnóstwo. Zbyt również przerażony, żeby posłać go do kogoś innego.

Alec był w końcu księciem. Nie odmawia się księciu.

Nawet takiemu, który był o wiele za duży i całkiem nie pasował do wymuskanej, zimnej, perfekcyjnej Anglii.

„Co za bestia”.

„Ledwie można ją poskromić”.

„Brutal”.

Poczuł, że doskwiera mu coś niemającego nic wspólnego z ubiorem i nie pomógłby tu nawet bardzo dobry krawiec.

– Nie zabawię w Anglii na tyle długo, żebym sobie szukał innego krawca. Jak cię tylko zaręczymy, wrócę do Szkocji, gdzie latem nie ma smrodliwego zaduchu

ani dymiącego końskiego nawozu na bruku. Gdzie mamy prawdziwą naturę.

– Bez żadnych sztachet?

– Z pewnością nie żelaznych.

– Nie lubisz Londynu?

– Nie tylko jego. Nie lubię Anglii.

– A także Anglików.

– Wielu.

– Dlaczego?

Bo Anglia nie dała mu nic prócz bólu.

Nie odpowiedział.

– Przecież jest u nas sporo ładnych rzeczy.

– Wymień choć trzy.

– Herbata.

– Pochodzi ze Wschodu, choć był to rzeczywiście doskonały nabytek.

Westchnęła.

– No dobrze. Szekspir.

– Szekspir jest nikim w porównaniu z Robbiem Burnsem.

Spojrzała na niego ze zdumieniem.

– Nie bądź śmieszny.

Rozłożył szeroko ręce.

– No, to zacytuj mi coś najlepszego z Szekspira.

– Wszystko jest w nim najlepsze. – Znalazła sprytną odpowiedź. – Bo to Szekspir i już.

– Jakbyś nie mogła wymyślić niczego lepszego.

Wzniosła oczy do góry, jak gdyby nie mogła sobie wyobrazić, że on nie widzi prawdy jej argumentów.

– No dobrze.

Bo moja miłość równie jest głęboka
Jak morze, równie jak ono bez końca;
Im więcej ci jej udzielam, tym więcej
Czuję jej w sercu[2].

Uniósł brwi.

– Dziecinny romans.

Oniemiała ze zdumienia.

– To *Romeo i Julia*.

– Dzieciaki bez rozumu. Pozabijały się z głupiego zadurzenia.

– Ta sztuka uchodzi za największą historię miłosną wszech czasów.

Wzruszył ramionami.

– Możesz poznać coś lepszego.

– Pewnie tego twojego Burnsa? – spytała ironicznie.

Pochylił się ku przodowi w mroku i powiedział z jeszcze silniejszym szkockim akcentem:

– Bez porównania. Kiedy chcesz romansu, to poproś o niego Szkota. Przepraszam – powiedział, bo nagle naszła go nieprzyjemna myśl.

Ona również pochyliła się ku przodowi, tak że niemal się zetknęli, piękna i gotowa do rywalizacji, nieważne, że w wariackim stroju. A kiedy się odezwała, dorównała jemu.

– Dowiedź mi tego.

Zdumiał się później na myśl, do czego mrok w powozie mógłby doprowadzić, gdyby powóz wtedy nie stanął, oznajmiając o ich przybyciu do Eversley House, gdzie czekała już na nich połowa dobrego towarzystwa. Zdumiewało go też, że gdyby uległ wówczas swoim instynktom, to przyciągnąłby ku sobie tę zuchwałą, droczącą się z nim Lillian i dał jej wszelki dowód tego, co musiał teraz powściągnąć.

Na szczęście nigdy się o tym nie przekonał.

Bo powóz stanął. A oni przybyli na miejsce.

Uznał wówczas, że o pocałowaniu Lillian Hargrove nie może być mowy.

Nie doceniła tego, jak bardzo chciał ją wydać za mąż.

Nie doceniła też zażenowania, jakie będzie go nękało, gdy pokaże się publicznie w swojej sukni. Nagle, gdy stanęła przy schodach Eversley House, z oknami pełnymi złotego światła i odgłosami hucznej zabawy niosącymi się poza Park Lane, poczuła przeraźliwy lęk.

Znała skądinąd to uczucie, zważywszy jej nerwowość w kontaktach z arystokracją – że jest kimś całkowicie nie na miejscu i zbyt niskiego pochodzenia, by ją życzliwie zechciano uznać za swoją, a jednak stojącą na tyle blisko nich, że nie można jej zignorować. Mimo że nie brała udziału w sezonie.

Gdyby nigdy nie spotkała Dereka, może by ją jednak zignorowano.

Ale Derek Hawkins miał sobie za punkt honoru, żeby być dostrzeganym, i gdy tylko ją dostrzegł osiem miesięcy wcześniej nad brzegiem stawu Serpentine, była z góry skazana, by ją dostrzegano. Odepchnęła od siebie wspomnienie tamtego popołudnia i nabrała tchu, jakby w ten sposób mogła dodać sobie odwagi przed wejściem.

– Pewna jesteś, że nie pożałujesz swego krawieckiego wyboru? – szepnął jej w ucho Alec.

Nie dała mu poznać, jaką przyjemność dzięki temu szeptowi odczuła.

– Dziwi mnie, że Wasza Wysokość zna słowo „krawiecki", mimo swojej kłopotliwej sytuacji pod tym względem.

Zaśmiał się z cicha i ujął ją pod rękę, a ona jednocześnie polubiła i znienawidziła odczuwane przez siebie w tym momencie poczucie bezpieczeństwa.

– Mamy w Szkocji książki, panno Hargrove.

– Już to słyszałam. Lepsze od Szekspira.

– *Aye* – mruknął do siebie, gdy zbliżali się do lokaja czuwającego przy wejściu.

– Tylko że wciąż Wasza Wysokość tego nie dowiódł – odparła i ogarnął ją paniczny strach na myśl o tym, co może się stać, kiedy wejdzie do tego domu. W ten świat, do którego ją przemocą wprowadzał, choć pragnęła przed nim uciec.

W świat, do którego zawsze w głębi duszy pragnęła należeć.

Nie. Nie mogła uwierzyć w tę myśl.

Zesztywniała. Wyczuł to. Musiał wyczuć, bo zaczął mówić, jakby siedzieli w bawialni na Berkeley Square.

– *Ujrzeć ją – to ukochać, ją tylko, na zawsze…*

Stanęła nieruchomo na najwyższym stopniu, te słowa ją zdumiały.

– Co ty mówisz? – spytała, spoglądając na niego.

Ale on ciągnął dalej.

– *Gdybyśmy się nie byli tak czule kochali…* – deklamował, a jego akcent, na tyle głośny, by tylko ona go słyszała, kazał jej zapomnieć, gdzie są, co ma na sobie i co ją czekało tam w środku.

– *Nigdy się nie spotkali, nigdy nie rozstali…*

Pokręciła głową, jakby chciała oprzytomnieć. Przecież nawet się nie znali, a ją wręcz ciągnęło do tych wierszy. Ów Robbie Burns był doprawdy niezwykle utalentowany.

– *Nigdy serc byśmy sobie nie złamali*.

Niemal wyszeptał te ostatnie słowa, ciche i cudowne, a obietnica złamania serca boleśnie ją zasmuciła. Nagle poczuła, że w oczach ma pełno łez, i odwróciła od niego wzrok, patrząc na tancerzy w wirze bufiastych rękawów i błyszczących jedwabi.

– Dziewczyno, trzymaj się! – Zacisnął mocno dłoń na jej łokciu, chcąc ją pocieszyć, ale przypomniał jej tylko, jak ulotna jest pociecha. Ten smutek był najuczciwszy z jej uczuć. Smutek i żal.

Na szczęście byli już w środku i zdołała się uwolnić od jego ręki, oddając

płaszcz lokajowi, który ledwie zdołał ukryć szok na widok okropnej sukni. Skorzystała z tego, by zetrzeć łzę z policzka, nim odwróciła się w stronę księcia ze słowami:

– Ten twój Burns wcale nie jest taki zły.

Nie odpowiedział, spoglądając jej w twarz w oczekiwaniu odpowiedzi, której nigdy by mu nie chciała dać.

– Lily… – zaczął i przez chwilę dziwiła się, co by mógł powiedzieć, gdyby byli sami. A także co mógłby zrobić.

– Bies z Highlands zaszczycił nas swoją obecnością! – usłyszała.

A potem nadszedł markiz Eversley i była uratowana, jeśli można zostać uratowaną w takiej sytuacji.

– Wcale nie żyję w Highlands – burknął Alec.

Markiz klepnął go mocno po ramieniu i odrzekł:

– Pierwsza reguła londyńska, przyjacielu, brzmi: „Nikt nie dba o prawdę". Masz tam gorzelnię, więc jesteś Biesem z Highlands. Dobry Boże, twoje oko wygląda strasznie!

Uśmiechnął się do Lily, ale uniósł brwi na widok jej stroju. Musiała jednak oddać markizowi sprawiedliwość: niemal natychmiast powściągnął zdumienie i nachylił się nad jej dłonią.

– Panno Hargrove, to, co mi mówiono, dokładnie zgadza się z prawdą. Jest pani tak śliczna, jak głosi fama.

– Nie przesadzaj z pochwałami – burknął Alec z tyłu za nią. – Spójrz, co na siebie włożyła!

– Sądzę, że to idealny strój – odrzekł Eversley, nie odrywając wzroku od Lily. – Chętnie kupiłbym taki mojej żonie.

Musiała uśmiechnąć się triumfalnie. Gazetki bulwarowe nazywały markiza Eversley Królewskim Hultajem i Lily bez trudu zrozumiała dlaczego. Mógł zawojować absolutnie każdą z obecnych tam kobiet. Oczywiście, miał już teraz inny epitet – Okiełznanego Męża – i znany był całemu Londynowi jako ktoś zakochany na zabój we własnej żonie.

– Chyba po to, żeby nikt nie zauważył, że twoja żona jest równie piękna, jak panna Hargrove.

Lily usiłowała puścić mimo uszu zastrzeżenia Aleca i jego wymijającą opinię o niej. Oczywiście, słyszała już wcześniej o swojej urodzie. Czytała o niej w bulwarówkach. Miała też w końcu oczy i lustro. Gdy jednak Alec mówił, że jest piękna, brzmiało to jakoś inaczej.

Inaczej, ale też, dziwna rzecz, i prawdziwiej, i jakby mniej ważko niż

kiedykolwiek przedtem.

Eversley mruknął teraz do niego:

– Lepiej sobie zakonotuj, książę, że nie chcę, żeby ktoś zwracał uwagę na jej piękność. A zwłaszcza ty.

Alec przewrócił oczami i wyciągnął jakiś papier z kieszeni.

– Czy możemy to ustalić?

– Chryste, Warnick, przyniosłeś tę przeklętą listę!

– Jaką listę? – zdziwiła się Lily.

Obydwaj odezwali się jednocześnie:

– Och, to nic takiego – odparł Eversley.

– To nie jest żadna lista – odparł Alec, choć przecież na nią patrzył.

– Straszni z was łgarze.

Na Lily spojrzały dwie pary zdumionych, pięknych oczu. Lily sięgnęła po papier, lecz Alec trzymał go tak, by nie mogła dosięgnąć kartki, a tkanina jego surduta jeszcze mocniej opięła muskularne ciało. Cofnęła rękę.

– Zachowujesz się jak małe dziecko.

Schował rękę za siebie.

– To nie ma żadnego znaczenia.

– Z pewnością ma. Nie próbuj ze mną żadnych sztuczek akurat na balu.

Skorzystała z jego chwilowej nieuwagi, żeby wyrwać mu listę z ręki, odwróciła się tyłem do niego i natychmiast na nią spojrzała. Figurowało tam pięć nazwisk. Jednego hrabiego, dwóch wicehrabiów, barona i księcia.

Spojrzała na Aleca.

– Cóż to jest?

Alec nie odpowiedział jej, ale się lekko zaczerwienił, jakby go przyłapano na szczególnie godnym potępienia postępku. Znów spojrzała na listę, usiłując znaleźć jakiś wspólny mianownik dla tych nazwisk.

Wszyscy mieli tytuły. Wszyscy też mieli wielkie posiadłości.

Wszyscy byli ludźmi godnymi szacunku, jeśli wierzyć plotkom.

No i biednymi jak myszy kościelne.

A więc byli to kandydaci na jej potencjalnych zalotników. Spojrzała na Aleca.

– Dlaczego przy nazwisku księcia Chapin jest pytajnik?

Alec zerknął na Eversleya, który nagle zaczął się wpatrywać w dywan pod swoimi stopami.

Lily nie dała się zbyć.

– No, Wasza Wysokość – nakłaniała go do odpowiedzi, ciesząc się na widok jego zaciśniętych szczęk, kiedy użyła formy grzecznościowej.

Odpowiedział jej z równą uprzejmością:

– Nie mamy pewności, czy jest zainteresowany małżeństwem.

Zmrużyła oczy.

– Zamierzasz sprzedać mnie jak sztukę bydła na targowisku?

– Nie dramatyzuj, Lillian. Tak właśnie trzeba zrobić.

Nie widział w tym nic dramatycznego!

– Żeby wydać za mąż twoją podopieczną skandalistkę?

Wreszcie na nią spojrzał.

– No cóż, nie ułatwiasz mi tego. Powiedz mi, jak się nazywa ten, kogo pragniesz poślubić, a ja ci go zdobędę.

– Mówiłam już, że nie chcę wychodzić za mąż.

– Spójrz na tę listę.

Zrobiła to.

– A już z całą pewnością nie wyjdę za księcia Chapin.

– Skreśl tego przeklętego księcia z listy i zastąp go rzeźnikiem, piekarzem albo nawet wytwórcą lichtarzy! Ale za mąż wyjdziesz, choćby mnie szlag miał trafić.

– Warnick! – ostrzegł go Eversley. – Jak ty się wyrażasz.

Lily oświadczyła bez wahania:

– Byłby to jedyny pożytek z mojego małżeństwa.

Nachylił się ku niej tak blisko, że markiz nie mógł już ich słyszeć. Na tyle blisko, by dostrzegła, że wcale nie miał zupełnie brązowych oczu, bo było w nich mnóstwo złotych, zielonych i szarych plamek. Uznałaby je za piękne, gdyby nie pogardzała samym widokiem ich właściciela, który uważał się za bohatera, mimo że pod każdym względem był kanalią.

– Bardzo lubisz tego twojego Szekspira? No, to posłuchaj: *Sprzedaj się, gdy możesz*, Lillian Hargrove, *bo nie na każdym targu znajdziesz kupca*[3].

– Co to ma znaczyć? – spytała gniewnie.

– Tylko tyle, że najważniejszy jest czas.

Poczuła nagły wstyd, gorący i przykry, a serce tak jej załomotało, jakby miało wyskoczyć z piersi. W tym momencie go znienawidziła. Wyprostowała się i przybierając iście królewską pozę, syknęła:

– Prawdziwy z pana bękart!

– Niestety, nie. Widzę, że bardzo byś tego pragnęła, ale to właśnie moje prawe urodzenie doprowadziło do tej sytuacji.

Nie odpowiedziała mu, tylko po prostu odeszła od niego i w tłumie gości zapełniającym salę balową nagle przestała się przejmować swoim groteskowym strojem. Zanadto tętniła jej krew w uszach, by słyszeć szepty na swój temat, kiedy

cała socjeta dostrzegła jej obecność.

Usłyszała jednak, i to doskonale, wypowiedziane półgłosem przekleństwo, gdy odeszła, a za nią podążył markiz Eversley.

– To było złe zagranie, Warnick.

W porządku. Niech go upominają przyjaciele. Zachował się obrzydliwie.

Miała już dość tego człowieka i jego gruboskórności. Niech sczeźnie, niech wyzionie ducha pod drzwiami Eversley House, jeśli mu się tak spodoba! Precz z nim, z jego obraźliwą dla niej listą i ślicznymi szkockimi wierszykami!

Doskonale zrobiła, odchodząc.

Weszła do sali balowej, przyciągnięta złocistym światłem mnóstwa świec. Wisiały wysoko w świecznikach, tkwiły w kinkietach i kandelabrach, gdzie tylko stąpnęła. Ale to nie świece jarzyły się najjaśniej, tylko ludzie. Jakby cały Londyn zgromadził się tutaj w błyszczących jedwabiach i atłasach, a jeszcze bardziej jaśniały ożywione oczy i twarze.

Zatrzymała się po wejściu i znieruchomiała w panice. Co teraz nastąpi? Była na balu, w całkowicie nieodpowiednim ubiorze, zła, rozdrażniona, głęboko dotknięta i rozpaczliwie pragnęła znaleźć wyjście z tej nieznośnej sytuacji.

Czuła, że cały Londyn na nią patrzy, podniecony i wzgardliwy, że rozmowy zamilkły, a ona wyprostowana, z uniesioną głową, usiłowała się opanować. Gdy spojrzała na zgromadzonych tam ludzi, zauważyła, że odwracają od niej wzrok. Wachlarze się uniosły, głowy nachyliły ku sobie, zaczęto szeptać.

Ogarnął ją nagle wstyd. Zaczerpnęła głęboko tchu. Znalazła się zatem w samym środku balu i nie miała wyboru. Musi się z tym jakoś uporać.

Gdy to sobie postanowiła, pewna osoba przyszła jej z pomocą.

A nawet kilka osób.

8. Samotna Lily uratowana przez Skandaliczne Siostry: Zuchwałe Piękności zawierają przyjaźń z podopieczną Warnicka

O Boże. Tę suknię powinno się natychmiast spalić!

– Sza! – odezwał się ostrzegawczo inny głos. – Może ona jej się podoba?

– Nonsens. Coś takiego nikomu nie może się podobać.

Lily zwróciła twarz ku czterem damom, które się do niej zbliżały. Ta, która grała pierwsze skrzypce w tym kwartecie, spojrzała jej w oczy bez wahania.

– Nie podoba ci się wcale, prawda?

Lily była tak zaskoczona bezpośredniością pytania, że z miejsca odparła:

– Istotnie.

Wszystkie cztery ciemnowłose damy, bardzo ładne i doskonale ubrane, uśmiechnęły się jednocześnie. Tworzyły jej zdaniem uderzającą grupę, każda w innej jedwabnej sukni: żółtej, zielonej i błękitnej, a ta najważniejsza, która miała na sobie czerwoną, powiedziała:

– To znaczy, że włożyłaś ją, żeby wywrzeć szczególny efekt?

– Dla jakiegoś mężczyzny, jeśli dobrze zgadłam? – spytała ta w błękicie, wpatrzona w jej stanik, który Lily wcześniej dopasowała do siebie i powiększyła w nim dekolt.

– Wprost porażający strój – wyszeptała, nim nachyliła się ku niej. – Czy to dla mężczyzny?

– A po co miałaby to włożyć dla mężczyzny? Żeby go odstraszyć?

Tym razem głos zabrała Żółta.

– Żeby dowieść, że ona ma za nic jego zdanie.

– Nie powinna była tego robić – odparła Czerwona, zatrzymując się tuż przed nią. – Mężczyźni rzadko rozumieją własne zdanie. A jeśli miałaś dość śmiałości, żeby włożyć takie paskudztwo, musisz być też na tyle bystra, by wiedzieć, że jego

zdanie znaczy na dalszą metę bardzo mało.

Lily pokręciła głową.

– Nie włożyłam jej dla niego, choć rzeczywiście nie dbam o jego opinię.

Żółta uśmiechnęła się lekko. Lily doszła do wniosku, że w innych okolicznościach uznałaby jej powierzchowność za pospolitą. A jednak wcale tak nie było, kiedy się uśmiechała.

– W takim razie zrobiłaś to z całą pewnością dla niego.

– Nie w ten sposób, jaki masz na myśli.

– A w jaki? – zapytała Zielona.

– Ona powiedziała „dla niego" wręcz uroczym tonem. – Lily była raczej oszołomiona rozmową z nimi. – Jakby czuła względem niego jeszcze coś mimo wzgardy.

– Wzgarda, jak wiesz, jest przeciwieństwem miłości – stwierdziła Żółta.

– Skądże! – Czerwona zawtórowała myślom Lily. – Nie słuchaj jej! Wszystkie przeklinamy dzień, kiedy Sophie wyszła za mąż z miłości.

Sophie.

Lily zrozumiała wreszcie, z kim rozmawia.

– Jesteście Niebezpiecznymi Siostrami! – zawołała, a potem zakryła ręką usta, jakby to mogło powstrzymać wypowiedziane już słowa.

Uśmiechnęły się teraz szeroko.

– To właśnie my – powiedziała Sophie.

Sophie była lady Eversley, z domu Talbot, księżną Lyne. Wyszła za mąż w atmosferze jawnego skandalu pół roku wcześniej. Co oznaczało, że… Lily zwróciła się ku Zielonej, najniższej z pozostałych trzech.

– Pani jest lady Seleste i wkrótce zostanie hrabiną Clare, a pani – odwróciła się z kolei do Błękitnej, najładniejszej ze wszystkich – pani musi być żoną Marka Landry'ego. – Bogatą niczym królowa żoną kogoś, kto, jak powszechnie uważano, był hałaśliwy, grubiański i nie przyjmowano by go w kołach arystokracji, gdyby nie jego niesłychana rozrzutność.

– Proszę mi mówić „lady Seline" – oświadczyła pani Landry.

Były czterema spośród pięciu córek hrabiego Wight, właściciela kopalń węgla, który na tyle zręcznie potrafił wyszukać cenne złoża tego opału, by sobie i córkom kupić tytuł. Bulwarówki ochrzciły te latorośle dorobkiewicza mianem Niebezpiecznych Sióstr. Lily zawsze uważała, że dużo lepszy byłby mniej uprzejmy epitet: Wstrętne Siostry.

Gdy już poznała tożsamość trzech, wiedziała też, kim jest czwarta. Spojrzała na wyjątkowo wysoką damę w efektownej, mocno dopasowanej czerwonej sukni,

uwydatniającej obfity biust. Była największą ze skandalistek, lady Sesily Talbot. Prezentowała się po prostu wspaniale i wyglądała tak pięknie, że Lily w porównaniu z nią wiele traciła.

Była również, ledwie rok wcześniej, związana z Derekiem Hawkinsem.

– Masz rację, Sophie. To brzmi dużo skromniej.

Seleste roześmiała się.

– Jakby którakolwiek z nas była kiedykolwiek skromna.

Sesily ujęła dłonie Lily w swoje ręce.

– Skoro nosi taką suknię, to najwyraźniej nie dba o żadną skromność. Nie ma zatem wyboru i musi nam wyjaśnić, kim jest, byśmy mogły chronić ją przed wilkami, które na nią czyhają. – Nachyliła się ku Lily jeszcze bliżej. – No, bo wilki są wrogami psów.

– Całkiem jakbyś cokolwiek wiedziała o faunie. Kiedy ostatni raz byłaś poza Londynem? – prychnęła Seline.

Lily podobały się Niebezpieczne Siostry, uznała więc, że czas się zdekonspirować.

– Jestem Lillian Hargrove.

Przez chwilę wszystkie milczały, a Lily oczekiwała, że Sesily puści jej dłonie i odepchnie ją od siebie. Nie spodziewała się, że tamta uściśnie ją jeszcze mocniej i powie:

– Od dawna chciałam cię poznać, Prześliczna Lily.

Niepewność znikła, zastąpiona przez podejrzliwość i rozczarowanie, lecz mimo to w głębi serca Lily tliła się iskierka nadziei.

– Chciała mnie pani poznać?! – rzuciła gwałtownie.

– Oczywiście, że tak. Cały Londyn tego chce. – Po czym dodała, nachylając się ku niej jeszcze bardziej. – Niektórzy, jak sądzę, w bardziej biblijnym znaczeniu niż inni.

Lily poczerwieniała.

– Sesily!

– Spójrz tylko na nią. Jest naprawdę taka śliczna, jak mówią.

– Ona chce pani dać do zrozumienia, że pragnie ją poznać… mimo Hawkinsa – wyjaśniła Seline.

Pani Landry najwyraźniej ceniła sobie osławioną prawdomówność małżonka.

– Sesily nie dba już o Hawkinsa – wyjaśniła.

– Chciałabym, żeby ten przeklęty gad zakończył życie w zasłużonej nędzy – wyjaśniła Sesily, nim znów zwróciła się do Lily.

– Teraz rozumiem, skąd te psy na twojej sukni. Dobrze pomyślane. Powinnaś

jednak wiedzieć, że ona wcale nie gasi twojej urody.

Nim Lily zdołała coś powiedzieć, zabrała głos markiza Eversley.

– Proszę się nie przejmować Sesily, panno Hargrove. Ona nie jest w stanie powstrzymać się od wygadywania wszystkiego, co jej tylko przyjdzie do głowy.

– A tam! Nikt nie ma czasu na ostrożność i rozwagę. – Sesily machnęła dłonią, nim dodała: – Derek Hawkins ma dwie cechy nie do zniesienia u mężczyzny: jest nieznośny i pragnie, żeby wszyscy go uwielbiali. Mogłabym mu wybaczyć jedną, ale dwie… – Zakończyła swoją wypowiedź dźwiękiem całkiem niestosownym dla damy.

– No i strasznie jest łasy na pieniądze – dodała Seleste.

– Najbogatszy biedak Wielkiej Brytanii – przytaknęła jej Sesily. – Całkiem jakby miał dziurę w kieszeni. Wydaje pieniądze szybciej, niż je zarabia. – Spojrzała ku Lily. – Szkoda, że ma taki talent. Jesteśmy nim wręcz olśnione.

Lily czuła się tak onieśmielona otwartością Sesily Talbot, że nie mogła znaleźć właściwych słów, póki lady Eversley, uznawana powszechnie za najspokojniejszą i najuprzejmiejszą z sióstr, nie zrobiła tego za nią.

– Sesily, zaszokowałaś ją – upomniała siostrę, nim spojrzała na Lily. – Nie trzeba jej odpowiadać. Zachowuje się wyjątkowo niestosownie, kiedy tego chce.

– Wcale nie!

– Prawdę mówiąc, robi to nawet wtedy, kiedy nie chce – stwierdziła Seline.

Markiza zaśmiała się i ujęła Lily za ręce.

– Cieszy mnie, że do nas dziś dołączyłaś. Kiedy King mi powiedział, że książę chce cię wylansować na salonach, byłam, szczerze mówiąc, trochę zaintrygowana.

Spojrzała na psa i zajączka we fryzurze Lily.

– A teraz jestem jeszcze bardziej, z powodu twojego szczególnego… szyku.

– Dziękuję, milady – odparła Lily, wciąż jeszcze oszołomiona siostrami. – Ale to nie z powodu sezonu, proszę mi wierzyć.

Markiza skinęła głową.

– Mów mi po imieniu. W końcu mój mąż i twój książę są sobie zbyt bliscy, żebyś miała mnie nazywać „milady”.

Lily spojrzała poza Sophie, ku wejściu do sali, gdzie Alec i markiz pojawili się nagle, jakby na wezwanie. Masywny Szkot, mimo źle leżącego surduta i spodni, robił większe wrażenie niż wszyscy inni. Rozgniewana jego niewybaczalnym zachowaniem palnęła:

– On wcale nie jest moim księciem!

– Bzdurzysz – mruknęła Sesily tuż przy jej ramieniu, z oczami utkwionymi w Alecu. – Czyż ma być w takim razie moim? Trzeba mu lepszego krawca, ale

dzisiejszego wieczoru to wybaczalne.

Lily nie wiedziała, czemu nagle poczuła niechęć na myśl, że ta zuchwała kobieta i Alec mogliby tworzyć parę. Cóż ją jednak mogło obchodzić, kogo Alec sobie wybierze na księżnę?

Nie dbała o to.

Ani trochę.

– Mógłby mówić o szczęściu, gdybyś to ty została panią tego pełnego przeciągów szkockiego zamku – odpowiedziała, starając się przezwyciężyć niechęć.

Sesily zmarszczyła nos.

– Podobają mi się słowa „dom książęcy" i „zamek", ale któż chciałby żyć w Szkocji? Musi tam być strasznie nudno.

– Pewnie dobrze się stało, że tak myślisz – droczyła się z nią Seline – bo King szczerze by chyba odradzał przyjacielowi kobietę w twoim typie.

– Nonsens! – prychnęła Sesily. – To właśnie ja powinnam się mieć na baczności przed nim; w końcu każdy słyszał o erotycznych podbojach Szkockiego Brutala. – A potem wyjaśniła Lily: – Nikt mu tego otwarcie nie zarzuci. Ale czy to prawda, co mówią, że jest strasznie napalony?

– Co?! – Lily otworzyła szeroko oczy.

Czy rzeczywiście tak o nim mówiono?

A potem znów usłyszała w głębi duszy: „Szkocki Brutal". Nienawidziła tego epitetu. Nienawidziła myśli, że szeptano o tym za jego plecami. Że w ogóle obmawiano go po cichu w ten sposób.

Nic dziwnego, że nie cierpiał Londynu. Ona w tej chwili również.

Nie mogła się powstrzymać, żeby na niego nie spojrzeć. Przez dłuższą chwilę nie spuszczała wzroku z pięknie wykrojonych warg, a słowo „napalony" tak mocno utkwiło jej w głowie, że wreszcie zrozumiała: znienawidziła go.

– Hm. Może i nie. – Sesily uśmiechnęła się szyderczo.

– Dobry Boże, Sesily! Przestań! – parsknęła Seline.

– Trzeba wiedzieć takie rzeczy wcześniej, bo inaczej można się fatalnie nabrać.

– Powinnaś wyjść za niego. Dobre towarzystwo bez wątpienia chętnie by się ciebie pozbyło.

Sesily zwróciła się do Lily z ironicznym błyskiem w oku.

– Nie słuchaj ich. Dobre towarzystwo nigdy nie będzie miało mnie dość.

– Bo nie ma dobrego gustu – zakpiła z niej Seleste i cała czwórka wybuchnęła śmiechem. Lily mimo woli też się lekko uśmiechnęła. Energii i wigorowi sióstr Talbot nie sposób się było oprzeć. Były wcieleniem wszystkiego, czego

spodziewała się po siostrach. Po rodzinie. Po przyjaciołach.

Jakże się one kochały!

Poczuła ukłucie niepożądanej zazdrości. Zapragnęła zdusić ją w sobie. Nie chciała zazdrościć tej tak zżytej ze sobą czwórce.

Zazdrościła im jednak. Z całej duszy.

Nie tylko dlatego, że wszystkie bez lęku stawiały czoło pogardzie socjety, jakby nigdy nie czuły wstydu. Ścisnęło jej się serce na myśl o ich śmiechu i o tym, ile było w nich humoru, miłości i wiary w głęboką lojalność. Zapragnęła być jedną z nich. Wręcz desperacko.

Plotkowały wprawdzie otwarcie i zuchwale, ale to jej nie raziło.

– Za późno, Sesily. Spójrz, kto się nim interesuje – powiedziała tonem jakby od niechcenia Seline, wpatrując się w coś za plecami Lily.

Lily odwróciła głowę i ujrzała, że przy Alecu i Eversleyu zatrzymała się piękna kobieta. Mimo że stała daleko, dostrzegła, że Alec cały zesztywniał. Ujrzała, że przyjrzał się przenikliwie nowo przybyłej, a ona aż za bardzo zbliżyła się ku niemu, mimo że wszyscy mogli to widzieć.

– Kim ona jest? – spytała odruchowo.

– Lady Rowley – odparła lekceważąco Sesily. – Żona hrabiego Rowleya, wściekle przystojnego, ale ostatniego chama. W taki czy inny sposób próbował się zalecać do każdej z nas. Oczywiście bez skutku, bo najpewniej ma francę.

– Sesily! – skarciła ją Sophie.

– Och, jakbyś o tym nie wiedziała.

– W sali balowej nie mówi się o syfilisie!

Jakiś mężczyzna przechodzący obok zatrzymał się i spojrzał na nie ze zdumieniem, a siostry wybuchnęły śmiechem. Seline machnęła ręką ze słowami:

– Niech się pan nie martwi, milordzie! – Potem wyjaśniła im: – Teraz baron Orwell pomyśli, że to my mamy syfilis!

– Nie, nie, lordzie Orwell. – Sesily powiedziała to tak głośno, że Lily oblał rumieniec. – Mówiłyśmy o lordzie Rowleyu. A jakie jest pańskie zdanie?

– Doprawdy, nie wiem – mruknął pod nosem i odszedł pospiesznie.

Wszystkie parsknęły śmiechem, co Lily wprawdzie rozbawiło, ale wkrótce jej uwagę zaprzątnął Alec, wciąż rozmawiający z hrabiną Rowley. Sesily podążyła za jej wzrokiem i powiedziała:

– No, cóż. Najwyraźniej nie tylko hrabia chciałby się uwolnić z okowów małżeńskich.

Lily musiała się z nią zgodzić. Oboje nie dotykali się wprawdzie, ale hrabina robiła wrażenie, że chętnie pokazałaby całemu Londynowi, jakie ma piersi.

Tylko że Lily wcale nie dbała, jakie piersi podziwia Alec.

– Chyba przez lata doskonaliła ten swój uśmiech – zauważyła z podziwem Seline.

Lily zacisnęła usta i odwróciła wzrok od tej pary.

– Mogę to sobie wyobrazić.

– Nie sądzisz, że oni już się kiedyś znali? – spytała Seleste. – Mówią, że z niego rozpustnik, ale jakoś nie mogę ich sobie wyobrazić razem.

Lily też nie mogła, tylko że nawet nie próbowała.

– Jeśli tak będzie, szybko im się znudzi – uznała Sesily.

Lily nie dbała o to wcale. Wzruszyła z pewnym wysiłkiem ramionami i odwróciła się plecami do obydwojga.

– Traktuje go bardzo życzliwie.

– Och, Warnick wymaga może lepszego krawca, ale za to pod innymi względami ma się czym pochwalić – ciągnęła Sesily.

Lily z trudem oparła się chęci, żeby znów na nich spojrzeć.

– Wygląda wręcz na wściekłą – mruknęła z uznaniem Sophie, mimo że na głos powiedziała: – Ach, oto i dżentelmeni!

– W tym tkwi problem – odezwał się markiz Eversley zza jej pleców, Lily nie miała więc wyboru i musiała się odwrócić. Wymagało tego dobre wychowanie. Markiz wyglądał swobodnie i jowialnie, jak piąty członek wesołej rodzinki Talbotów. Alec natomiast był blady i sztywny.

Bez wątpienia dlatego, że znów znalazł się przy Lily.

– Nie psujcie panny Hargrove, moje damy – zażartował Eversley. – Pamiętajcie, że jeszcze nigdy nie była na londyńskim balu.

– Ani nam to w głowie!

– Przynajmniej nie pierwszego wieczoru!

– Ale następnym razem na pewno – oświadczyła Sesily, nim zwróciła się ku Alecowi z wyciągniętą ręką. Lily zaimponował ten jej ruch, który nie pozostawiał mu wyboru. Musiał zaakceptować to, że Sesily go dotknie.

– Wasza Wysokość – wyszeptała zręcznie, gnąc się w ukłonie – proszę mi coś powiedzieć…

Alec najwyraźniej oprzytomniał.

– Co? – spytał.

Sesily spojrzała na niego spod ciemnych rzęs, przykuwając nawet przez chwilę uwagę Lily.

– Proszę mi wyznać, czy przyrzekł pan sobie spędzić całą resztę życia w Szkocji?

– Ależ tak – odparł bez wahania.

Sesily cofnęła rękę.

– Co za szkoda. – I odwróciła się ku pozostałym. – Powinnam sobie w takim razie poszukać kogoś innego, z kim mogłabym flirtować.

– Nikt nie mówi, że nie mógłby pan flirtować właśnie z nią – zauważyła Seline. – Flirt nie zawsze prowadzi do małżeństwa.

– Istotnie! – Sesily westchnęła, patrząc z roztargnieniem na gości. – Ale jest taki zabawny! Tylko że ja ani myślę zagrzebać się raz na zawsze w Szkocji. Proszę się nie obrażać, Wasza Wysokość.

– Skądże – odparł Alec. – Czy powinienem przeprosić?

– Nie byłoby to od rzeczy – odparła Sesily.

Alec położył dłoń na piersi.

– Oczywiście, byłaby to moja strata.

Sesily odparła z uśmiechem:

– Przystojny, bogaty, utytułowany i w dodatku inteligentny. Co za szkoda.

Wszystkie się zaśmiały. Lily – choć z niechęcią – również, nie zwracając uwagi na zazdrość, jaką poczuła, gdy swoboda Sesily wprawiła Aleca w dobry humor. Lily wolałaby, żeby ów humor dotyczył jej samej.

Zesztywniała na tę myśl.

Nie. Niczego takiego nie chciała.

Nie chciała go lubić.

Chciała zostawić go za sobą i zacząć nowe życie. Z dala od niego.

Muzykanci zaczęli grać i hrabia Clare oraz Mark Landry jakby wyrośli spod ziemi, żeby siostry Talbot zaprosić do tańca. Eversley złożył żonie wystudiowany ukłon.

– Zatańczymy, kochanie? – spytał zniżonym głosem, co zabrzmiało jak obietnica.

Sophie zarumieniła się uroczo i ujęła męża za rękę.

– Wiesz, że jako pani tego domu, powinnam również tańczyć z innymi.

Eversley zmarszczył brwi.

– W takim razie wyraźnie mówię, że nie będę więcej wydawać balów. Możesz zatańczyć z Warnickiem i z nikim więcej.

Sophie ze śmiechem rzuciła Alecowi przez ramię, gdy jej mąż poprowadził ją do tańca:

– Przepraszam, że będzie pan mną obarczony, Wasza Wysokość!

Zostały same z Sesily, a Lily była za to wdzięczna losowi, bo nie zniosłaby sam na sam z Alekiem. Nie po tym, jak ją zdradził. Pragnęła, by poprosił do tańca tę z

sióstr Talbot, która nie miała partnera. Ale Sesily jej to uniemożliwiła, spoglądając na nich ze słowami:

– Musicie ze sobą zatańczyć.

– Ja… – zaczęła Lily z bijącym sercem, lecz Alec uciął:

– Nie.

Lily nie chciała przyjąć do świadomości rozczarowania, jakie jej to sprawiło. Przecież wcale nie była rozczarowana! Nie chciała mieć nic wspólnego z tym człowiekiem. A już na pewno nie miała ochoty z nim tańczyć. Nie ma mowy, żeby go dotykała.

Lecz Sesily miała najwyraźniej inne pomysły.

– Wykluczone. To pierwszy bal jej pierwszego sezonu, a ona nosi… hm… no, to co ma na sobie. Jest pan najwyżej urodzonym mężczyzną, który ją zna. Musi więc pan z nią zatańczyć.

– Nikt nie wie, kim jestem.

– Wasza Wysokość – odparła z ironicznym uśmieszkiem Sesily – jest nieżonatym mężczyzną, bogatym jak król. Musiałby pan być osłem, żeby sądzić, że nikt nie wie, kim pan jest. Pański krawiec szyje najgorzej chyba w całym chrześcijańskim świecie, ale przecież nie jest pan osłem.

Lily miała własne zdanie na ten temat, ale nic nie mówiła.

– Jestem jej opiekunem. Byłoby to czymś niestosownym.

– Połowa opiekunów w Londynie poślubia w końcu swoje podopieczne. Zupełna epidemia.

Teraz Lily już nie mogła milczeć.

– Ale nie ten opiekun i nie tę podopieczną.

– Zapewniam, lady Sesily – Warnick spojrzał na nią gniewnie – że to wykluczone.

Sesily przypatrywała się im bez słowa przez dłuższą chwilę.

– Z pewnością. Ale i tak musicie zatańczyć.

Zwalisty Szkot westchnął ciężko i podał Lily rękę, ona uznała zaś, że będzie jej łatwiej wykonać parę tanecznych kroków ze swoim opiekunem, niż wytrzymać wzrok Sesily.

– No, to zróbmy tak w końcu – stęknął.

Wyrwała mu rękę.

– Nie, dziękuję.

Sesily przyjrzała się jej uważnie, a potem powiedziała:

– Nie miałam akurat ciebie za oślicę.

– Nie jestem oślicą. Po prostu nie chcę z nim tańczyć i już.

Sesily zlustrowała powoli księcia spojrzeniem, a potem spytała:

– Czy on źle cię traktuje?

– Nie. Tylko zmusił mnie, żebym przyszła na ten bal. Czy twoim zdaniem ujdzie to za złe traktowanie?

– Skądże – odparła Sesily, po czym szepnęła jej do ucha: – Prześliczna Lily, nie masz wyboru. Zatańcz z księciem i niech Londyn ci się dobrze przyjrzy w tej sukni, zanim zobaczy cię bez żadnej.

Lily zdrętwiała.

– Obraz jest na ustach wszystkich, a ty o tym wiesz. Niedobrze, że Derek Hawkins wkręcił się na ten bal w towarzystwie jakiejś leciwej wdówki, co już jest jedną nogą w grobie. Ten sukinsyn z pewnością się spodziewa, że ona zostawi mu fortunę w zamian za odgrywanie roli jej faworyta.

Lily nie potrafiła nawet zgorszyć się językiem Sesily. Ogarnął ją paniczny strach. Spojrzała z rozpaczą na Aleca, ale on patrzył z roztargnieniem na przeciwległą ścianę. Wykrztusiła z trudem:

– Chciałabym stąd pójść.

– Nie – odparł, a ona już miała wszcząć z nim kłótnię, lecz Sesily odezwała się pierwsza:

– Posłuchaj mnie, Lillian Hargrove. Wiem lepiej od innych, co Hawkins może zrobić kobiecie. Jeśli masz sobie dać z nim radę, musisz za wszelką cenę ujawnić jego nikczemność. Przedtem jednak Londyn musi cię pokochać. Na początek zatańcz z tym twoim księciem.

Nie był jej księciem.

Tylko tyle zdołała pomyśleć; tak bardzo była zaskoczona i pełna zgrozy, że ledwie dosłyszała, gdy Alec cicho i łagodnie powiedział do niej:

– No, chodź.

A potem spojrzał prosto na nią tymi swoimi pięknymi, brązowymi oczami, wyciągając ku niej rękę.

Wsunęła w nią swoją dłoń mimo wewnętrznego oporu i jednocześnie usłyszała w myśli ponownie słowa Sesily. W tejże chwili Alec przyciągnął ją ku sobie i ruszył do tańca.

Kiedy indziej, w innym miejscu, mogłaby zdać sobie sprawę, że Alec Stuart, osiemnasty książę Warnick, jest świetnym tancerzem. Mogłaby go spytać, w jaki sposób, skoro zawzięcie unikał wszelkich kontaktów z socjetą. Ale nie spytała. Zanadto skupiła uwagę na innym mężczyźnie, w którym była wcześniej, jak sądziła, zakochana.

Na mężczyźnie, który ją okłamał.

Na mężczyźnie, który skusił ją pięknymi słówkami, sprawił, że mu zaufała, i namówił, by pozowała mu do aktu, nie dbając o konsekwencje, nieświadoma, co się stanie, kiedy to wyjdzie na jaw.

Za taką właśnie kobietę będą ją wszyscy uważać.

A Derek wcale na tym nie ucierpi.

Nawet doczeka się pochwał.

No i jest tutaj.

Alec tańczył z nią bez słowa przez kilka długich minut, ona zaś usiłowała pogodzić się z myślą, że weszła do lwiej jamy. Że najpewniej ujrzy Dereka. Spojrzała na szyję Aleca, wystającą niczym kolumna z halsztuka. Na jego węzeł, podskakujący, gdy Alec przełykał ślinę.

Przez niego się tu znalazła, pod wścibskim wzrokiem arystokracji.

Spojrzała wyżej, ku jego podbródkowi, pełnym wargom, podłużnemu nosowi, a potem w oczy, sądząc, że nie patrzy wcale na nią.

Było inaczej.

Patrzył na nią tak uważnie, że poczuła się zaniepokojona.

Nie zaniepokojona.

Wściekła.

– To wszystko przez ciebie!

Milczał, ciągnęła więc oskarżycielskim tonem:

– Przez ciebie znalazłam się tu razem z nim. Żeby wszyscy londyńczycy mnie mogli ganić i obmawiać. Przez twój szaleńczy plan.

– To jedyny sposób, żeby uratować twoją przyszłość.

– Żeby jeszcze bardziej pogorszyć mój skandal?

– Żeby cię wydać za mąż. Na tej liście figurują sami porządni ludzie. Eversley za nich ręczy.

– Książę Chapin trzykrotnie został porzucony przed ołtarzem, choć jest księciem. Coś musi z nim być bardzo nie w porządku.

– Na przykład?

– Nie wiem, ale skoro aż trzy narzeczone rzuciły go tuż przed ślubem, to nie zrobiły tego bez powodu.

– Słusznie, ale powiedziałem przecież, żebyś go skreśliła.

– Nie powinien był wcale figurować na początku listy.

Alec westchnął.

– W takim razie zrób własną.

– Nie chcę żadnej listy! – powiedziała energicznie, zbyt głośno, przyciągając uwagę kilku par w pobliżu. Zniżyła głos. – Czemu się tak o mnie troszczysz?

Okryłam się hańbą, więc dlaczego nie pozwalasz mi uciec? Chcesz, żeby mnie wysmarowali smołą i wytarzali w pierzu?

Wahał się przez chwilę, a Lily zdała sobie sprawę, że to, co on za chwilę powie, może wszystko zmienić. Z jego oczu wyczytała, że będzie to prawda.

A wtedy rzekł:

– Lily, widziałem twoją ślubną suknię.

Zdrętwiała, nie śmiejąc oddychać.

– Coś ty powiedział?

Objął ją w pasie i schwycił mocno za rękę.

– Nie przerywaj tańca.

Nie mogła się ruszyć, jakby przywarła do posadzki, i tylko powtórzyła:

– Coś ty powiedział?

– Znalazłem ją – odparł cicho wprawdzie, ale ona poczuła się tak, jakby dostała strzał prosto w piersi. – A także śliczną wyprawkę dla twojego przyszłego dziecka. I te buciki z czerwonymi podeszwami. Marzysz, żeby znalazły się na czyichś nóżkach, Lillian Hargrove. Otrzymałaś teraz jedyną szansę, żeby tak się stało.

Patrzyła na niego z niedowierzaniem. Cofnęła się o krok, wyszarpnęła ręce z jego uścisku.

– Jak śmiałeś grzebać w moich rzeczach?

– Uciekłaś. Musiałem cię odszukać – odrzekł i przyciągnął ją ku sobie, pilnując, żeby nie zderzyli się z inną tańczącą parą.

Nie dbała o to. Grzebał w jej rzeczach!

Znalazł suknię ślubną i dziecięce ubranka, szyte przez nią pracowicie. Dla męża, którego miała pokochać. Dla dzieci, które miała urodzić. A tymczasem nie pokocha męża, nie urodzi mu dzieci, nie zazna życia, jakiego pragnęła.

Znalazł jej najskrytsze skarby.

Dziwne, że nie czuła gniewu, tylko zażenowanie.

Suknia, wyprawka, buciki były marzeniami dziewczyny młodszej i bardziej niewinnej niż ona teraz. Myślała o nich, leżąc w mroku pod kuchennymi schodami i marząc o przyszłości, jaśniejszej i piękniejszej niż teraźniejszość.

O przyszłości, która nie będzie jej dana.

Były to piękne kłamstwa. Teraz o tym wiedziała. Nie bez powodu zamknęła je w kuferku.

A on je znalazł.

Poczuła większy wstyd niż kiedykolwiek. Większy niż wtedy, gdy zdradził jej, że wie o obrazie. Jak to możliwe, żeby bardziej się wstydziła białej sukni niż nagości?

– Grzebałeś w moich rzeczach jak… – zawahała się, przerażona tym, co widział i co mógł o niej wiedzieć – …jak szkocki brutal, którym jesteś. Nie chcę, żebyś się wdzierał siłą w moje życie. Znajdź sobie do tego jakąś inną kobietę. Mam cię serdecznie dość. Słusznie cię nazywają Szkockim Brutalem!

Zesztywniał na te słowa, a Lily poczuła nagle, że zrobiła coś bardzo niesłusznego.

Tylko że wcale jej to nie obeszło.

– Zapominasz, że jesteś pod moją opieką, a tym samym twoje rzeczy są też moimi – powiedział cicho i gniewnie, choć z pewnym trudem.

Wpatrzyła się w niego.

– Jesteś potworem.

Zacisnął wargi w cienką linię.

– A ty najpiękniejszą kobietą w Londynie – odparł takim tonem, jakby uroda była najwstrętniejszą rzeczą pod słońcem. – Tworzymy niezgorszą parę, moja ty Prześliczna Lily.

Wzdrygnęła się, słysząc ten przydomek. Odepchnęła go i wyszła z sali.

9. Opiekun czy pies obronny?

Jeszcze nikt w całym życiu nie doprowadził Aleca do takiej rozpaczy jak panna Lillian Hargrove.

Patrzył na nią, gdy oddalała się od niego w swoim groteskowym stroju; brązowozłota tkanina falowała wokół niej przy każdym kroku, pies i zajączek podrygiwały na czubku jej głowy, a on skręcał się wręcz z zażenowania, złości, rozgoryczenia, jak też gorącej chęci, żeby zostawić ją w Eversley House i wrócić do Szkocji.

Pragnął tego niemal tak samo mocno jak pójścia za nią.

Zaklął pod nosem. Wyrządził Lily przykrość. Nie powinien był się przyznać, że znalazł tę ślubną suknię.

Należało zamiast tego powiedzieć jej, że chciał dla niej jak najlepiej. Że pragnął ją jedynie chronić. Że powinien ją chronić, do diaska. Że nie chciał niczego innego, odkąd tylko ten przeklęty list dotarł do Szkocji, wzywając go do niej. W końcu nie był żadnym potworem. Wiedział, czym jest obowiązek, i gotów był go wykonać.

A im dłużej z nią przebywał, tym bardziej tego pragnął.

Może powinien był powiedzieć jej to wszystko, ale na razie znajdowali się tutaj, w tej zatłoczonej sali balowej, na oczach całej arystokracji. Gdyby nie był aż za bardzo świadomy, że ma zbyt ciasne ubranie, że jest za duży i jak najdalszy od wszystkiego, co dystyngowane i wykwintne.

Gdyby mu nie weszło w paradę przybycie Margaret. Lady Margaret, a teraz hrabiny Rowley. Jeszcze piękniejszej niż dwadzieścia lat temu, kiedy była tylko Peg, starszą siostrą jego szkolnego kolegi, a on pragnął nieprzytomnie, żeby stała się jego.

No i stała się, a on sądził, że na zawsze.

„Wyjdź za mnie”.

Zaklął w półmroku. Zabrzmiał mu w uszach jej niegdysiejszy śmiech, gdy do niego podeszła na tym balu, całkiem jakby znów go zniewoliła, mimo że była teraz żoną jakiegoś tam brytyjskiego hrabiego – czego zawsze pragnęła. Zanadto się dziś do niego zbliżyła, żeby mu to nie przypomniało, jak bliscy sobie kiedyś byli i co

sobie obiecywali.

A także o tym, jak go zostawiła ze złamanym sercem.

„Kobiety marzą o mężczyznach takich jak ty, mój drogi”.

Ale na noc. Nie za dnia.

King nie uprzedził go, że ona tu będzie. Alec przypuszczał, że należało się jej przybycia spodziewać. Ten bal był jednym z pierwszych w sezonie i pierwszym, na którym mieli się pojawić przyszły książę i księżna Lyne po przyjściu na świat ich pierwszego dziecka. Nawet gdyby King nie był szwagrem osławionych sióstr Talbot, cały Londyn trwałby teraz w pełnym napięcia oczekiwaniu.

Mógł jednak wspomnieć, że Peg tutaj przyjdzie.

Alec poniechał wspomnień o złamanych sercu i duszy. Myślał już tylko o usprawiedliwionym gniewie Lillian.

Powinien był poradzić sobie z nim. Utemperować go.

Może by to nawet zrobił, gdyby nie wstrząsnął nim boleśnie widok Peg i pamięć o tym, co się z nią wiązało. Ale potem Lily nazwała go brutalem i potworem, a jemu przypomniały się te słowa wymawiane kiedy indziej przez inne piękne usta. O innym spotkaniu, po którym porzucono go, bo się komuś nie wydał zbyt dobry.

A teraz dotknięta do żywego Lily rzuciła mu w twarz: „Słusznie cię nazywają Szkockim Brutalem”.

Do diabła z tym wszystkim.

Nie usprawiedliwiało to jednak jego zachowania. Powinien był ją chronić, a jak na ironię tylko do tej jednej rzeczy był niezdolny, choć właśnie jej żądały reguły kurateli.

Może lepiej by sobie z tym poradził, gdyby Lily nie była taka piękna. Gdyby nie jej sprzeciwy, kiedy się z czymś nie zgadzał. Kiedy zachowywał się fatalnie. Gdyby nie była taka silna, niezależna i skłonna walczyć o siebie.

Gdyby nie była tak nieznośnie doskonała, może by mógł być kimś lepszym, kiedy się z nią stykał.

Nazwała go potworem, a on nim istotnie był. Tyle że z jej powodu. Może dostrzegła to i dlatego zostawiła go na środku sali balowej, czującego się właśnie jak potwór.

Orkiestra przestała grać, a pary wokół niego – robiąc wszystko, żeby go obserwować i zarazem udawać, że wcale na niego nie patrzą – zaczęły się rozpraszać. Muzykanci stroili już instrumenty do następnego tańca. Rozdrażniło go to wszystko i ruszył przed siebie w jednym jedynym celu: żeby sobie porządnie łyknąć czegoś mocniejszego.

Wyszedł z sali balowej na słabo oświetlony korytarz, który, jak niejasno

pamiętał, prowadził do kilku salonów. Domyślał się, że gdzieś tam musi być whisky.

A potem poszuka Lillian, bez wątpienia skrytej w salonie dla pań, zażąda, żeby się ubrała, jak należy, i pożałowała, że zostawiła go samego na środku sali balowej, wśród tańczących wokoło par.

Zresztą pewnie wcale tego nie pożałuje. W końcu z jego winy uciekła.

Zasłużył sobie na jej gniew.

A ona na przeprosiny.

Przeprosi ją, a potem wyszuka pierwsze lepsze nazwisko z listy i przyprowadzi do niej tego człowieka – żeby zatańczył z nią walca, a potem zabrał ją na lemoniadę czy też zrobił jeszcze coś, czego wymagają idiotyczne angielskie zaloty.

On zaś nie powinien z nią tańczyć wokół sali, skoro się do niej nie zaleca.

Zabrałby ją za to w mrok na tarasie za salą balową, do ogrodu, gdzie nie byłoby już widać świateł balu, tylko gwiazdy nad nimi, i całowałby ją tam, póki nie zapragnęłaby poślubić go za wszelką cenę. Póki nie zapomniałaby wszystkich słów prócz słowa „tak”.

Potem zaś położyłby ją na ziemi, zdarł z niej suknię i posiadł ją, mając za świadka tylko niebo.

Po czym zabrałby ją do Szkocji i poślubił. Natychmiast.

A ona nigdy nie przestałaby tego żałować.

Przejechał dłonią po twarzy na samą myśl, że mógłby jej dotykać, brukając w ten sposób jej idealne ciało – i zapragnął znaleźć się całkiem gdzie indziej.

Chryste.

Musi ją wydać za mąż! Choćby miał zginąć, zrobi to – ale najpierw się czegoś napije.

Otworzył pierwsze z brzegu drzwi i wszedł do ciemnego wnętrza, nie zamykając ich, żeby przedostało się tam nieco światła. Zmrużył oczy, ale w końcu znalazł jakiś kredens na drugim końcu pokoju, który – jak mu się zdawało – był czymś w rodzaju gabinetu. Ciągnęło go w tym mroku do karafki.

Szukał jej, rad, że choć na chwilę uwolni się od balu, od arystokracji i w ogóle od Londynu. Markiz i markiza Eversley spędzili dzieciństwo tuż nad szkocką granicą, Alec miał więc pewność, że w karafce niewątpliwie będzie whisky.

Nalał sobie do kieliszka na dwa palce, rozpoznając znajomą, mocną woń. Poczuł zadowolenie. King był dobrym przyjacielem, skoro trzymał w domu zapas whisky Aleca, pędzonej i butelkowanej w posiadłościach Stuartów. Alec chętnie by powiedział Lillian coś o wyższości szkockiej whisky, jeszcze jednej rzeczy, którą Anglia nie mogła się pochwalić.

Nachylił się ku kredensowi i odetchnął z ulgą, rad, że nikt go nie widzi. Jakże rzadko w Londynie nikomu się nie rzucał w oczy, jak w tej chwili, a była to chwila tak miła, przyjazna i bliska doskonałości, jak tylko może być Anglia. A wtedy ona weszła do pokoju, on zaś znów pomyślał, jak niedoskonała była Anglia. Jak go zniszczyła i jak groziła zniszczeniem również jej.

Potem zaś o tym, o ileż bezpieczniejsza i szczęśliwsza byłaby w Szkocji, z dala od tego miejsca, od jego bezlitosnych oczu i bzdurnych reguł. Przez chwilę ujrzał w wyobraźni Lily na tle szkockiego pustkowia. Zapragnął zobaczyć ją nad brzegami Oban. Na klifach Firth of Forth. Na wrzosowiskach, które, jak okiem sięgnąć, jarzą się fioletem.

Szkocja by z nią harmonizowała.

Wraz z tą myślą poczuł tęsknotę i przestał fantazjować. Oprzytomniał.

Powinien był się zaraz odezwać, ujawnić swoją obecność, i zrobiłby to, gdyby natychmiast nie podeszła do okna na drugim końcu pokoju. Księżyc lub może odblask z sali balowej czynił ją tak piękną, że zaparło mu dech.

Uniosła dłoń, trzema długimi, delikatnymi palcami powiodła po szybie i westchnęła tak głęboko, że cały pokój stał się nagle pełen smutku oraz czegoś jeszcze bardziej dojmującego: tęsknoty.

Po chwili Alec mógł wreszcie swobodnie odetchnąć. Znał to uczucie.

W tym momencie i on także tęsknił.

Wzdrygnął się na tę myśl. Był jej opiekunem, a ona podopieczną.

Dorosłą kobietą. Podopieczną zresztą tylko w sensie formalnym, ale i tak wciąż nią pozostawała. A on mógł za wszelką cenę chronić ją aż do tej chwili; może nie zdoła uratować jej reputacji i uczuć, ale za to z całą pewnością zdoła ją uchronić przed sobą. Prócz tego nie dbał o piękne kobiety. Obiecywały wiele dobrego, ale te obietnice zbyt szybko okazywały się kłamstwem.

Powrócił do rzeczywistości. Już miał do niej podejść, przeprosić i zacząć wszystko na nowo. Przekonać ją, że dobrze odegra swoją rolę, a wtedy ona otrzyma to, czego pragnie. Odpowiedzialnego mężczyznę, kochającą rodzinę, ognisko domowe i szczęście, na jakie zasługuje. Wszystko, czego pragnęła.

Nim jednak zdołał się odezwać, drzwi zamknęły się z cichym stuknięciem, tak że obydwoje jednocześnie drgnęli, dostrzegłszy na samym środku pokoju ciemną postać.

– Witaj, Lily.

Hawkins.

Alec w jednej chwili zapragnął rzucić się na niego, bo to, że tutaj wszedł, groziło odkryciem obecności jego i Lillian w jednym i tym samym pokoju. Byłby to

kolejny skandal, bo przebywał w ciemnym pokoju z niezamężną kobietą.

Wprawdzie znalazł się tu z nią sam na sam już chwilę wcześniej, ale to było co innego. Nie miał jednak czasu się nad tym zastanawiać, bo Hawkins podszedł do Lily z szybkością, która Alecowi wcale się nie podobała. Sprężył się cały w mroku, gotów rozedrzeć go na kawałki, lecz Lily odezwała się, zanim zdołał się ruszyć.

– Derek.

Alec znienawidził go za sam dźwięk jego imienia, tak miękko zabrzmiało w jej ustach.

– Skąd się tu wziąłeś?

– W Londynie trwa teraz sezon, więc oczywiście przyszedłem tutaj – odparł. – Jestem zresztą wszędzie. Jak eter – dodał, czyniąc szeroki gest dłonią.

Alec przewrócił oczami.

– Sesily mówiła, że towarzyszysz teraz bogatej wdowie. Dla pieniędzy.

Mądra dziewczyna. Powinna była nim gardzić.

– Sesily Talbot to nikt. Jak i cała reszta tej rodziny.

Cóż z niego był za osioł.

– Poznałam właśnie jej rodzinę. Wydaje się całkiem porządna. A także niezwykle uczciwa. Nie tak, jak inni.

– Nie wszystko złoto, co się świeci, Lily.

– Chyba Sesily zrobiona jest z czegoś trwalszego od złota. Towarzystwo sądzi ją surowo głównie z przyczyny jej krótkiego romansu z tobą, a jednak ona potrafi stawić czoło wzgardzie. Szkoda, że nie jestem tak silna jak ona. – Zaraz potem padło oskarżenie. – Nie pozwoliła, żebyś jej zrujnował reputację.

– Nie zrujnowałem twojej.

– Ależ jak najbardziej. Bez żadnych skrupułów. – W jej słowach nie było gniewu ani bólu, tylko godność, którą Alec podziwiał i gardził nią jednocześnie. Powinna była z powodu Hawkinsa czuć gniew i ból.

– Biedna Prześliczna Lily… – Z tymi słowami Hawkins powiódł palcem po jej policzku, po skórze, która zdaniem Aleca musiała być niewiarygodnie miękka. – Byłaś… byłaś zwierciadłem mojego geniuszu…

Lily przymknęła oczy, czując jego dotyk. Może zresztą sprawiły to jego słowa. W każdym razie Alec wprost znienawidził malującą się na jej twarzy tęsknotę złączoną z bólem. W tym momencie postanowił, że zniszczy Dereka Hawkinsa. Za to, że jej dotykał. Za to, że ją zranił.

Zostawiłby go tu, pokonanego, w tym ciemnym pokoju. Musiałby się wtedy usprawiedliwiać przed markizą Eversley, no i odkupić dywan, ale z pewnością zrozumiałaby, że świat będzie lepszy bez tego wstrętnego gada.

Nim jednak zdołał cokolwiek zrobić, Lily przemówiła ponownie.

– Mówiłeś mi, że nikomu nie powiesz o tym obrazie. Że on będzie tylko dla nas.

– Na początku, kochanie.

– Nie nazywaj mnie tak! – Głos Lily stał się ostry i twardy.

– A czemu? – spytał ze śmiechem Hawkins. – Och, droga Lily. Nie bądź taka prozaiczna. Byłaś moją muzą. Szkoda, że źle zrozumiałaś swoją rolę. Byłaś medium mojej sztuki. Naczyniem, dzięki któremu świat pozna prawdę o moim ponadczasowym talencie. Ten obraz to moja *Madonna z Dzieciątkiem*. Moje *Stworzenie człowieka*. Przez całe stulecia ludzie będą na niego patrzeć i szeptać z nabożną czcią moje nazwisko. – Urwał dla większego efektu, a potem sam wyszeptał: – Derek Hawkins!

Co za żałosne brednie. Gdyby Alec wcześniej go już nie znienawidził, zrobiłby to teraz.

– A co będzie z moim nazwiskiem? – spytała Lillian.

– Nieważne, co się z tobą stanie. Nie widzisz tego? To dzieło sztuki. Ponadczasowe. A ty poświęciłaś się dla piękna i prawdy. Dla wieczności – powiedział z naciskiem. – Czego ty ode mnie chcesz, Lily? Żebym ukrył moje dzieło?

– Tak!

– W jakim celu?

– Postąpiłbyś szlachetnie! – zawołała. – Mężczyzna, którego…

Alec zesztywniał. Wiedział dokładnie, jak brzmiałby koniec zdania, choć Lily zamilkła.

Mężczyzna, którego kocham.

– To jest najszlachetniejszy akt, jaki mogłem namalować, kochanie.

W długiej ciszy po jego słowach Alec wręcz namacalnie wyczuł rozczarowanie Lily. A kiedy w końcu powiedziała zwięźle i cicho: „Myślałam, że mnie kochasz”, Alec poczuł, że serce mu pęka.

– Może cię jakoś po swojemu kochałem, moja droga. Ale nie mogę się z tobą ożenić. Jestem największym artystą naszych czasów. Wszystkich czasów! A ty jesteś wprawdzie piękna, ale… jak już mówiłem… twoja uroda to tylko pośrednictwo, niezbędne, by objawić mój talent. Cały świat ujrzy wkrótce, jak jest potężny.

Zbliżył się do niej i znów dotknął jej policzka.

– Kochanie, przecież nigdy cię nie odtrąciłem. Wciąż chcę z tobą być. Po to tutaj przyszedłem.

Łajdak.

Alec zesztywniał cały, gdy Lily utkwiła w Dereku wzrok.

– Wciąż?

Hawkins zbliżył się do niej jeszcze bardziej, Alec zaś z trudem powściągnął furię, gdy ten pompatyczny kretyn szepnął:

– Wciąż. A także teraz.

Trudno było nie wyczuć zmysłowej obietnicy w tych słowach.

– Chciałabyś, żeby tak się stało, prawda?

Tego było za wiele. Alec rzucił się na niego.

Tylko że Lily go wyprzedziła.

Sprawiło jej wielką satysfakcję trzaśnięcie go prosto w nos.

Wiedziała, że nie powinna tego robić. Że to wcale nie rozwiąże jej problemów. Wiedziała również, że Dereka tylko rozjuszy i zapewne popchnie go do tego, by jeszcze skuteczniej zniszczył jej życie.

Że to jedynie zwiększy jej wstyd. Że będzie się wstydziła swoich uczuć, swego zachowania i ich następstw.

Tylko że nie można się było spodziewać, by kobieta coś takiego zniosła. On zaś sprawił, że ponownie poczuła dojmujący wstyd – wraz z całym bólem, smutkiem i zwątpieniem, jakie na nią ściągnął. Nie mogła nic na to poradzić.

– Au! – Derek pomacał swój piękny, prosty nos, chcąc sprawdzić jego stan. – Uderzyłaś mnie!

– Zasłużyłeś sobie na to! – parsknęła, potrząsając dłonią, żeby złagodzić dotkliwy ból. Po raz pierwszy kogoś uderzyła i okazało się, że ręka potem boli. Dużo bardziej, niż oczekiwała.

– Ty nędzna kurewko! Pożałujesz tego!

– A ty jeszcze bardziej pożałujesz tego, jak się do niej odezwałeś! – W mroku rozległy się słowa wypowiedziane z mocnym szkockim akcentem.

Lily krzyknęła z zaskoczenia, gdy z mroku wyłonił się Alec, prawie dwa metry wielkiej, umięśnionej furii, mającej tylko jeden cel: dokończyć to, co ona zaczęła.

Miał znacznie większą pięść od niej, a także imponującą krzepę. Nie powinien jej był co prawda radować odgłos potężnego ciosu, stwierdziła jednak, że okazał się czymś wręcz oszałamiającym.

Taki sam był sposób, w jaki Hawkins padł na ziemię, niby worek ziarna.

Jak też sposób, w jaki Alec uniósł go z całą siłą masywnego ramienia ku górze, potem zaś przyłożył mu po raz drugi. I trzeci.

Tylko że kiedy zamierzał się do czwartego ciosu, jego surdut pękł na dwie części, dokładnie wzdłuż szwu na plecach. Na ten dźwięk Lily odzyskała głos:

– Stój!

Alec znieruchomiał, zupełnie jakby kierowała jego ruchami. Spojrzał za siebie.

– Chcesz go może?

Pokręciła przecząco głową, wytrącona z równowagi zarówno pytaniem, jak i szkockim akcentem, wzmożonym przez wściekłość.

– Co? – spytała.

– Czy go chcesz? – powtórzył. – Za męża.

– Co takiego?!

Tym razem odezwał się Derek.

Alec zwrócił teraz uwagę na swoją ofiarę.

– Nie pozwoliłem ci gadać! – warknął i znowu spojrzał na Lily. – Jeśli go chcesz, będzie twój.

Uwierzyła mu. Bezapelacyjnie uwierzyła, że jeśli powie, iż chce zostać panią Hawkinsową, Alec będzie chciał do tego doprowadzić. Zostaliby małżeństwem jeszcze tego samego dnia. Dostałaby mężczyznę, o którym przez kilka miesięcy marzyła. Mężczyznę, przez którego płakała więcej razy, niż mogła zliczyć.

Alec by go jej dał.

Tydzień temu może by tego chciała.

Ale teraz…

– Nie – wyszeptała.

– Szczerze to mówisz, dziewczyno?

– Tak! – odparła stanowczo. – Ale Wasza Wysokość zadaje sobie chyba zbyt wiele trudu, zamierzając wydać mnie za tego człowieka.

– Nie chcę się z nią żenić! – wrzasnął Derek. – Nie możesz mnie zmusić!

Alec spiorunował go wzrokiem.

– Powtarzam, że wcale ci nie udzieliłem głosu.

Lily spojrzała Derekowi w oczy.

– Moim zdaniem książę Warnick niewątpliwie jest jak najbardziej w stanie zmusić cię do poślubienia mnie, panie Hawkins – odparła, kładąc nacisk na jego brak tytułu, bo wiedziała, że go to wręcz rozjuszy. Potem zwróciła się z kolei do Aleca: – Ale Wasza Wysokość nie jest w stanie zmusić mnie, żebym za ciebie wyszła. Ani zresztą za kogokolwiek innego.

Przez chwilę miała wrażenie, że Alec uśmiecha się z uznaniem, widząc sposób, w jaki stanęła we własnej obronie. Ciekawa była, czy nie jest z niej przypadkiem dumny.

Gdyż ona była dumna z siebie.

– Ani myślę zmuszać panią do małżeństwa, panno Hargrove.

– Wiemy obydwoje, że to nieprawda – odcięła się – ale nie interesuje mnie pańskie zdanie w tej kwestii.

– Na całe szczęście – odciął się jej z kolei Alec.

– Miałabyś szczęście, gdybyś mnie złapała na męża! – parsknął Derek.

Alec z miejsca przywołał go do porządku.

– A ten znów się odzywa!

Uniósł pięść i kolejny raz mu dołożył.

– Następnym razem wybiję ci wszystkie zęby!

Wstrząsnęła nią jego pełna energii replika. A także sposób, w jaki jej bronił. Spodobało się jej jedno i drugie. O wiele za bardzo.

Jeśli nie będzie uważała, Alec stanie się dla niej tak samo niebezpieczny, jak przedtem Derek.

A nawet bardziej.

– Wystarczy, Wasza Wysokość – poprosiła. – Jeszcze pan sobie krzywdę zrobi.

Alec wstał i dźwignął jednocześnie Dereka na nogi. Kiedy wciąż go trzymał za kołnierz, Lily powiedziała:

– Puść go.

Ostatnie słowo należało jednak do Aleca. Nachylił się, przejmując trwogą Hawkinsa i radując się strachem na jego ogłupiałej twarzy.

– Powiedziałem, że cię zniszczę, prawda? Nim jeszcze ją tknąłeś. Nim ją znieważyłeś.

Rozluźnił uchwyt i cisnął Derekiem o ziemię, pozwalając, żeby leżał bezradnie, niczym przewrócony na grzbiet chrząszcz, i macał swój zakrwawiony nos.

– Złamałeś mi nos! – jęknął. – Mnie, aktorowi!

Alec wyjął z kieszeni chustkę i wytarł zakrwawione palce.

– Jeśli się znowu do niej zbliżysz, zrobię ci coś jeszcze gorszego, a wtedy nie będziesz mógł więcej stanąć na tej swojej przeklętej scenie. Nie zawaham się przed tym. I zrobię tak z największą przyjemnością.

– To niczego nie zmieni! – syknął Derek. – Kiedy cały świat ujrzy mój obraz, pozna prawdę! – Spojrzał na Lily. – Nikt cię nie zechce i nie będzie chciał znać, prócz twego chamskiego księcia i nielicznych mężczyzn, którzy będą chcieli z tobą przestawać tylko dla… towarzystwa.

Wstyd znów wrócił. Pełen złości, palący, rozpaczliwy. Szczerze pragnęła tylko jednego: żeby Alec tych słów nie słyszał.

Żeby więcej o niej myślał.

Tylko że on tego nie zrobi, rzecz jasna. Czyż nie powiedział jej o tym niecałą godzinę wcześniej na samym środku sali balowej?

„Sprzedaj się, gdy możesz”.

On jednak najwyraźniej tego nie widział, gdy znów podniósł Dereka za kołnierz, a mężczyzna, którego niegdyś kochała, zawisł bezwładnie nad posadzką. Lily otworzyła szeroko oczy, gdy Hawkins daremnie starał się schwycić Aleca za rękę.

– Powiedz mi, z jakiego powodu mam cię teraz nie zatłuc na śmierć?

Hawkins jęknął piskliwie na znak protestu.

– Puść go – powtórzyła Lily.

– Dlaczego? – spytał Alec, nie patrząc na nią.

– Bo tak czy inaczej straciłam już reputację. Obojętne, czy byłam tego świadoma, czy nie. No i dlatego, że cię o to bardzo proszę.

Spojrzał na nią wreszcie. Księżyc pięknie uwydatniał całą kanciastą strukturę jego przystojnej twarzy. Był najprzystojniejszym mężczyzną, jakiego widziała, nawet teraz, z naddartym kołnierzem i ogniem w oczach.

Zwłaszcza teraz.

– Dlatego że cię o to proszę – powtórzyła, wpatrzona w niego.

Puścił Hawkinsa.

Derek wyprostował się i otrzepał surdut, najwyraźniej nieświadomy, że jego twarz i halsztuk są splamione krwią. Przez Aleca.

W obronie honoru.

Nikt wcześniej nie dbał o jej honor, tylko że Lily nie była pewna, czy ją to cieszy.

Ależ tak, cieszyła się!

Nie miała jednak na to czasu. Zwróciła się do Dereka:

– Pamiętaj, co się tu zdarzyło, kiedy się rano zbudzisz i będziesz mógł już widzieć słońce. Pamiętaj, że dałam ci coś, czego mi odmówiłeś.

– Nigdy nie groziłem twojemu życiu.

Nabrała głęboko tchu.

– Właśnie tak zrobiłeś!

– Lillian – wtrącił się Alec, lecz przerwała mu, unosząc dłoń. Zresztą ku jego niezadowoleniu. Mógł być jej opiekunem, ale nie chciała, żeby nią rządził. Odwróciła się od niego, stając twarzą w twarz z tym, kogo niegdyś kochała, i kto – jak sądziła – zdjąłby dla niej gwiazdkę z nieba.

– Nie mogę zmienić opinii, jaką ma o mnie dobre towarzystwo. Utrwalisz ją, wystawiając mój akt. – Urwała i znów nabrała tchu, po czym dodała: – Poniosłam klęskę i nigdy nie pozbędę się wstydu, jaki ten obraz we mnie budzi. – Spojrzała na Aleca. Wiedziała już, że miał rację i że jego plan był najlepszy. – Nigdy przed nim nie zdołam uciec.

W jego pięknych, brązowych oczach błysnęło zrozumienie. Czekała, by sobie z triumfem uświadomił, co powinna zrobić.

Znaleźć jakiegoś mężczyznę i poślubić go.

Bo nie było innego wyjścia.

– Wynoś się, Derek.

Uparł się, żeby mieć ostatnie słowo.

– Ktoś gorszy ode mnie zrujnowałby ci opinię, karząc ciebie i twojego brutala. Ale ja jestem większym umysłem niż ktokolwiek inny. Dlatego okażę ci wielkoduszność… – Zawiesił głos, jak zawsze robił wtedy, gdy mu pozowała. Przedtem była pewna, że Derek powie później coś jeszcze błyskotliwszego. Teraz wiedziała już, że wszystko, co mówił, było plugawym kłamstwem. – Daruję ci to. Z wdzięczności za… natchnienie. – Wypowiedział to słowo w taki sposób, że ją zemdliło. – Za tydzień, Lily, uznasz być może, że powinnaś była nakłonić swego brutala do większej powściągliwości.

Alec spojrzał najpierw na swoją pięść, a potem na Dereka.

– Tylko jej wielkoduszność powstrzymuje mnie od rozszarpania cię na sztuki, ty zarozumiała gnido. Precz stąd!

Ledwie się hamował, ale jego słowa na tyle przeraziły Hawkinsa, że rzucił się ku drzwiom.

Lily patrzyła na nie jeszcze długo po jego ucieczce, aż wreszcie, nie mając odwagi spojrzeć na Aleca spytała:

– Czy Londyn by się równie zgorszył, gdyby on namalował nagiego mężczyznę?

Gdy Alec nie odpowiedział, zrobiła to sama:

– Jasne, że nie.

– Lillian – wychrypiał cicho, a ona przez moment pożałowała, że nie pozwoliła mu zdrabniać swego imienia. Któż miał do tego większe prawo od mężczyzny, który nie zawahał się przed walką w jej obronie? Nie zasługiwała zresztą na nią.

– Zrujnowałam sobie reputację, bo jestem kobietą, a kobiety nie są niezależne. Nasze ciała, nasze umysły należą do innych.

– Nie należysz do nikogo. W tym właśnie rzecz. W innym wypadku nie byłoby takiego skandalu.

– Należę chyba do ciebie? – spytała z niedowierzaniem.

– Nie.

Uśmiechnęła się cierpko.

– No oczywiście. Nigdy mnie nie chciałeś.

Nikt jej nigdy nie chciał. Pod żadnym względem.

Teraz on z kolei pokiwał głową.

– Nie o tym myślałem.

– Tak czy inaczej, to prawda.

Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę.

– Nieważne. Liczy się tylko to, co sama o tym myślisz.

Skinęła głową, bo myślała tak samo.

– W takim razie zgadzamy się, Wasza Wysokość. Nie obchodzi mnie niesława, chcę tylko wyjść stąd i rozstrzygnąć, którego z szczęśliwych dżentelmenów mam obłaskawić na tyle, żeby mnie zechciał wziąć za żonę.

Alec zaklął, a Lily uznała, że w takim razie powinna już pójść. Odwróciła się na pięcie, zmierzając ku drzwiom, przez które wcześniej wyszedł Derek, a stojąc już przy nich obejrzała się za siebie. Alec stał nieruchomo w blasku księżyca, z poszarpanym kołnierzem i rozdartymi spodniami. Na tle wytwornych mebli bawialni wyglądał niczym postać z sensacyjnej powieści – jak przestępca gotów obrabować przyzwoity dom.

A jednak robił zarazem wrażenie kogoś bez skazy.

Czyżby jej pragnął?

Odepchnęła tę myśl.

– Pozwól mi być kapitanem własnego statku, Alec. Mogę co prawda wpaść na skały i zatonąć, ale przynajmniej sama będę przy sterze.

Nim zdołał coś powiedzieć, otworzyła na oścież drzwi – i stanęła twarzą w twarz z hrabiną Rowley, najwyraźniej równie zaskoczoną obecnością Lily w ciemnym pokoju. Lecz hrabina uśmiechnęła się tylko dyskretnie.

– Czy jest tam Alec, moja droga?

Familiarność pytania zdumiała Lily.

– Alec?

– Twój opiekun – wyjaśniła hrabina.

Lily roześmiała się cierpko, słysząc to określenie, i jeszcze szerzej otworzyła drzwi, ukazując Aleca.

– Wiedziałam! – stwierdziła lady Rowley z zadowoleniem. – Ujrzałam właśnie pani poprzedniego kochanka. Wyszedł stąd w stanie wskazującym na potyczkę z bezwzględnym brutalem. Od razu wiedziałam, że to właśnie mój bezwzględny brutal.

Lily cała zesztywniała. Znienawidziła hrabinę za te słowa, wypowiedziane głosem miłym i pozbawionym emocji, ale pełnym wyczuwalnej w nim władzy nad kimś. Największą zaś nienawiść wzbudził w Lily wzgardliwy i jawnie seksualny epitet. Całkiem jakby Alec był niedźwiedziem, którego należało poskromić, a nie mężczyzną.

– Alec, ty heroiczna bestio – wymruczała lady Rowley. – Spodziewałam się, że cię znajdę w ciemności i odnowimy naszą znajomość.

Słowa hrabiny mówiły wyraźnie, że kiedyś byli kochankami.

Zignorowała nagłe rozczarowanie, powtarzając sobie, że wcale się nie rozczarowała, bo przecież czuła, jakie kobiety mógł wybierać sobie na kochanki.

Nie dotyczyło to myśli, że miał jednak jakąś konkretną.

Spojrzała przez ramię na Aleca. Wpatrywał się w lady Rowley z intensywnością, jakiej ona sama nigdy nie doświadczyła. Poczuła nagle i wyraźnie, że została zdradzona.

– Mój drogi – westchnęła hrabina. – Spójrz, masz całe ubranie podarte. Potężny i mocarny, jak zawsze! Ogromnie mi cię brakowało.

Lily zamknęła drzwi, nim zdołała dosłyszeć odpowiedź. Nie chciała jej zresztą słuchać. Niech spędzi resztę wieczoru ze swoją wybranką. Niech opatrzy uszkodzone palce i zranioną miłość własną. Ona chciała wyjść. Z tego pokoju, z tego domu. Z tego przeklętego świata pełnego reguł, które co innego znaczyły dla różnych ludzi.

Oznaczało to jednak, że odejdzie stąd bez Aleca.

Ostatecznie nie po raz pierwszy groziła jej samotność. Znała ją przez całe życie. A przybycie ogromnego Szkota niczego nie zmieniało.

Gdy znalazła się przy wejściu do sali balowej, niemal ją ogłuszyła panująca w niej chaotyczna wrzawa. Nikt nie tańczył, mimo że muzykanci grali znakomicie kadryla. Wszyscy stali w małych grupkach, z nachylonymi ku sobie głowami, wachlarze trzepotały, szeptano zawzięcie i ze smakiem. Mimo że bal miał podkreślać różnice statusu między gośćmi, plotka je gruntownie zatarła.

Lily nie była głupia. Wiedziała, o czym plotkują. Wiedziała też, że wkrótce zaczną obmawiać również i ją.

Nim jeszcze Sesily Talbot podeszła do niej, ujęła ją za dłonie i spokojnie, półgłosem powiedziała:

– Dobry Boże! Kiedy mówiłam, że ty i Warnick powinniście ujawnić nikczemność Hawkinsa, nie miałam na myśli tego, byś go niemal na śmierć zatłukła!

– Niezupełnie na śmierć – odparła Lily.

– Wszedł tutaj ze spuchniętym policzkiem, rozciętą wargą i okiem w takim stanie, że nawet pięściarz by się przeraził. – Sesily urwała. – Tylko że całkiem mi się to spodobało.

Lily musiała się uśmiechnąć.

– Wyobrażam sobie.

– Zasłużył na więcej – zauważyła Sesily, a później dodała: – Pewnie wyglądało niezwykle ekscytująco, kiedy Warnick wziął go w obroty. Co za wspaniały brutal!

Lily zaczęła nienawidzić tego epitetu.

– On nie jest brutalem.

– No, oczywiście – poprawiła się z miejsca Sesily – widać przecież, jak się o ciebie troszczy.

Lily poczuła się po tych słowach jakoś nieprzyjemnie.

– Czy wszyscy widzieli, jak Derek teraz wygląda? – zapytała.

– To było wprost cudowne! – powiedziała z zachwytem Sesily.

– Pewnie tkwię w samym środku nowego skandalu?

– Gdzież tam! – rzuciła lekceważąco Sesily. – Chodzi o ten sam. Zresztą nie dorównuje wcale naszym. Muszę przyznać, że wiesz, jak się wkracza do sali balowej. – Spojrzała na suknię Lily. – I jak się ubrać.

Lily była rozbawiona. Czuła się jak ktoś, kto poniósł dotkliwą klęskę. Ogarnął ją żal i rozpaczliwie zapragnęła znaleźć się gdziekolwiek indziej.

– Nie wiem, co teraz robić.

– Posłuchaj mnie – rzekła z przekonaniem Sesily, jeszcze mocniej ściskając Lily za ręce i zmuszając ją, by spojrzała jej w oczy. – Nie pozwól, żeby cię zwyciężyli. Za nic. Nic ich nie cieszy bardziej niż złamanie kobiety, która okazała się zbyt odważna. Nic też ich bardziej nie złości, jeśli się im to nie powiedzie.

Lily przyjrzała się tej zuchwałej amazonce brylującej w samym centrum Londynu. Pięknie wyglądała w swej zbyt obcisłej czerwonej sukni, która robiłaby skandaliczne wrażenie, gdyby miała ją na sobie każda inna kobieta w tej sali, ale w jakiś dziwny sposób sprawiała, że zieleniały one z zazdrości. Sesily miała wszelkie cechy, których brakowało Lily. Była pewna siebie i swojej pozycji, a nawet tym uszczęśliwiona.

Lily nie mogła sobie tego wyobrazić.

Może właśnie ta pewność siebie Sesily sprawiła, że tak bardzo pragnęła rozmowy z nią? Sesily z całą zuchwałością mówiła to, czego wcale nie powinna była powiedzieć.

– Derek prosił mnie, żebym znów została jego kochanką.

– Derek jest łajdakiem.

Lily zaśmiała się, choć wolałaby raczej zapłakać.

– Rzeczywiście.

– Arogancki, nadęty tuman i łajdak.

Zaimponowały jej te wszystkie wyzwiska.

– Ale najwyraźniej ma w sobie dosyć siły, żeby mnie zniszczyć.

Sesily znów ujęła ją za ręce, a mocny i serdeczny uścisk podziałał na Lily kojąco.

– Powinnyśmy sobie z tym poradzić.

Lily spytała z niedowierzaniem:

– My?

– Oczywiście. – Sesily wzruszyła ramionami. – Właśnie to robią przyjaciółki. Jedna drugiej pomaga sobie z czymś poradzić.

Przyjaciółki.

Nigdy żadnej nie miała. Czytała jednak o nich.

– Czemu jesteś dla mnie taka dobra?

Po twarzy Sesily przemknął przelotny cień.

– Bo wiem, jak się ktoś czuje, gdy wszyscy nim gardzą i spychają go na margines. Kobiety takie jak my muszą trzymać się razem, Prześliczna Lily.

Lily chętnie by jej zadała jeszcze kilka pytań, ale nie zdążyła, gdyż Alec wybrał sobie właśnie ten moment, by wyłonić się z korytarza, z podartym kołnierzem, pękniętymi spodniami i rękawiczkami splamionymi krwią Dereka.

– A to dopiero! Wygląda niczym zawodowy pięściarz! – uznała Sesily, wpatrując się w niego. Alec podszedł do nich i ujął Lily za łokieć. – Och, połowa pań z dobrego towarzystwa chciałaby dzisiejszego wieczoru być na twoim miejscu, Lillian Hargrove.

Lily nie rozumiała dlaczego. Alec wyglądał tak, jakby chciał kogoś zamordować. A nawet jakby już to zrobił.

– Idziemy – mruknął gniewnie, nie zwracając wcale uwagi na Sesily, a Lily uznała, że lepiej się z nim nie spierać, widząc jego wzrok i zaciśnięte mocno szczęki.

Sesily cmoknęła ją w policzek i skorzystała z tego, by jej szepnąć do ucha:

– Bądź ostrożna. Wiem z doświadczenia, że kiedy mężczyźni w ten sposób wyglądają, są gotowi do dwóch rzeczy: do całowania lub zabijania. A on już próbował zrobić to drugie!

10. Hamuj się, mój bitny Szkocie! Niechciany Książę uczy Dereka rozumu

Nie odważył się otworzyć ust.

Nie wtedy, gdy miał przed sobą najgorszych snobów Londynu zebranych w sali balowej Eversleya i znalazł się pod ostrzałem ich niby to obojętnych spojrzeń.

A już na pewno nie wtedy, gdy szedł z Lily przez tę salę i słyszał szepty:

– Niechciany Książę… Pełno na nim krwi Hawkinsa… Ta dziewczyna to wcielony kłopot… Biedny Hawkins…

Nie odważył się przeciwstawić ich przekonaniu, że właśnie Hawkins zasługiwał w tej farsie na współczucie.

A Lily na taką ocenę.

Szkocki Brutal.

Potem odwrócił się i spojrzał na stojącą w pobliżu kobietę. Wiedział, co mówiło jej porozumiewawcze spojrzenie. Zgrzytnął zębami. Rozbrzmiewały mu w uszach jej słowa, poczuł zbyt słodki zapach jej perfum. Odżyło wspomnienie rąk prześlizgujących się po jego piersi, przypomniało mu wzgardę – nie jej, tylko innych niezliczonych Angielek. Był dla nich tylko kimś, kogo należało zaliczyć w łóżku i niczym więcej.

Zjednać sobie wielką Szkocką Bestię.

„Chodź do mnie, kochanie”, szeptała niegdyś Peg, przeciągając zręcznie dłońmi po jego piersi, całkiem jakby był jej własnością. Jakby można go było prowadzić niczym pieska na smyczy. Wsunęła bilet wizytowy ze swoim adresem do jego kieszeni, przywodząc mu boleśnie na pamięć przeszłość i to, jak z łatwością nim manipulowała, mimo że miała go za niżej postawionego od siebie. Za kogoś jej niegodnego.

Ile z nich myślało tak samo?

Jak często on sam tak myślał?

Nie należał do tutejszego świata, gdzie było miejsce Lillian, pięknej, angielskiej i do gruntu perfekcyjnej.

Nie powiedział też nic, gdy po wyjściu z sali balowej przeszli koło oniemiałego ze zdumienia Kinga. Nie zatrzymał się nawet, żeby mu powiedzieć „do widzenia”. Milczał również, gdy szarpnięciem otworzył drzwiczki swego powozu i pomógł Lily wsiąść do niego.

Ona jednak aż krzyknęła z zaskoczenia, gdy ją podsadził.

– Sama mogę wejść po schodkach, Wasza Wysokość.

Alec nie odpowiedział, tylko wsiadł do powozu w ślad za nią, pospiesznie zatrzasnął drzwiczki i stuknął dwa razy w dach, każąc stangretowi ruszać.

Za wiele w nim było rozgoryczenia, wstydu, zażenowania i dotkliwego poczucia bezwartościowości. Miał dość tego okropnego miasta, łącznie ze stanem jego ubioru, bójką z Hawkinsem i obecnością Peg. Chętnie by je całe zamienił w stos gruzów, zniszczył cegła po cegle, a potem wrócił na północ, niczym niegdysiejsi szkoccy maruderzy, nienawidzący Anglii z całej duszy.

Zabrałby jednak Lily ze sobą. Jako łup.

Przejechał dłonią po twarzy, pragnąc znaleźć się zupełnie gdzie indziej. Nigdy w życiu nie czuł się bardziej nie na miejscu. Jakby wszystko robił źle. Lecz była jeszcze Lily, która zdawała się parować każdy zadany jej cios ze zręcznością niespodziewaną w jej wieku, co przypominało mu nieustannie, że on sam nie potrafi zrobić niczego, jak należy.

Nie był więc zachwycony, gdy znów się odezwała, a w nim odżyły wszystkie wspomnienia.

– No cóż, chyba będziemy dobrze przyjmowani w najlepszych londyńskich domach po dzisiejszym balu.

Zdusił w sobie przekleństwo, którym miał ochotę bluzgnąć w ciemności, i wybrał milczenie.

Ona jednak zrobiła inaczej.

– Chyba się nie spodziewasz, że ktoś zechce poślubić muzę Hawkinsa?

Spojrzał na nią przeciągle.

– Nie mów tak o sobie.

– Świetnie. W takim razie nazwę się kochanką Hawkinsa.

Jeszcze chwila, a mógłby wybuchnąć.

– A byłaś nią?

Nie odwróciła wzroku.

– Czy to ma jakieś znaczenie?

Hawkins nie uszanował jej. Nie zasługiwał na nią.

– Ktoś cię w końcu weźmie za żonę. Zrób własną listę. Dopilnuję tego.

– Alec – powiedziała tonem godnym matki, tłumaczącej dziecku, że nie można

pragnąć gwiazdki z nieba. – Hawkins był cały w siniakach, a ty we krwi. Może ktoś zdołałby zignorować pierwszy skandal, ale ten drugi jest jeszcze gorszy.

Wyjrzał przez okienko.

– Nie przeszkodzi ci to wyjść za mąż.

Zaśmiała się z goryczą.

– Niewiele czasu spędziłam wśród dobrego towarzystwa, Wasza Wysokość, ale zapewniam, że tak się nie stanie.

– No, to podwoję twój posag. Potroję go.

Wyszeptała znów w mroku jego imię. Dosłyszał w jej tonie rezygnację. Nie mógł jej znieść.

– Chciałabym wyjść za mąż – ciągnęła, a on znieruchomiał, cały przejęty. – Chciałabym mieć w przyszłości rodzinę i – owszem – kochać kogoś. Ale jeśli muszę kogoś usidlić… – Zawiesiła głos, a potem z jeszcze większym przekonaniem wróciła do tej myśli. – Alec, ja tego nie chcę.

Wreszcie powiedziała coś, na co oboje mogli się zgodzić.

– Nie chcę, żebyś coś takiego zrobiła. Nigdy bym tego od ciebie nie żądał.

Znów parsknęła śmiechem tak pełnym niedowierzania, że trudno mu było go słuchać.

– Przecież właśnie tego ode mnie chcesz. – Urwała. – Osiem dni nie wystarczy, żeby przekonać do siebie jakiegoś mężczyznę z tej listy. – Znów urwała. – W osiem dni nie sposób się zakochać.

– Do licha, Lillian, jak to się skończy?

Głowa Lily odskoczyła gwałtownie w tył, jakby ją chciał uderzyć – i może by to nawet zrobił, tyle w nim było rozgoryczenia i gniewu.

– Powiedzmy, że dam ci pieniądze, a ty uciekniesz. Dokąd chcesz uciec?

Otworzyła usta. A potem zamknęła. Znów je otworzyła, aż wreszcie wykrztusiła:

– Gdzieś daleko stąd.

A on nie chciał, żeby się udawała gdzieś daleko.

– Gdzie?

Po chwili spytała:

– Czym jest dla ciebie Szkocja?

– Lillian… – zaczął.

Pokręciła głową.

– Nie. Mów szczerze. Dlaczego ją wolisz od Anglii?

Wzruszył ramionami.

– To mój dom.

– Cóż to właściwie znaczy? – dopytywała dalej.

– Jest… bezpiecznie. Dobrze mi tam.

– Nie tak, jak tutaj?

Różnica między Szkocją, dziką i przyjazną, a Londynem z tymi jego regułami i fałszywą przyzwoitością, była tak ogromna, że aż się roześmiał.

– Tam jest wszystko, czego tu nie ma. Szkocja jest całkiem inna.

Zgodziła się z tym.

– Właśnie tego chcę. Wyrwać się stąd. Z tego świata. Czemu ty możesz tak żyć, a ja nie?

Chciał jej to dać. Żeby wiedziała, jak to jest, kiedy się stoi na wrzosowisku, pod gołym niebem, pod deszczem, który spłukuje wszelką zgryzotę.

Ale nawet Szkocja nie sprawi, żeby przeszłość zniknęła.

– Myślisz, że ten świat cię nie odnajdzie? Że mogłabyś żyć gdzieś niby zamożna wdowa? Pojechać do Paryża i królować tam w jedwabiach? Albo do Ameryki, żeby dzięki pieniądzom pędzić życie jak w udzielnym księstwie? Nie możesz. Ten świat znów cię tam dopadnie. Tak się dzieje z…

Czekała na dalszy ciąg.

– Z kim?

– Z tymi, co uciekają.

On też przecież uciekł. Przysiągł sobie, że nie pozwoli, żeby mu przypominali o przeszłości.

No i co się stało dziś wieczorem?

Ma podarte ubranie. Zakrwawione ręce.

Nigdy od tego nie ucieknie.

Ale gdyby znalazła męża, mogłaby przetrwać.

Mogłaby to przetrwać.

– Zostań tutaj. Poznaj paru mężczyzn. Przekonaj się, co z tego wyjdzie.

Załamała ręce.

– Boże, uchroń mnie od upartych opiekunów.

Zapadła cisza; Alec z jednej strony był jej za nią wdzięczny, a z drugiej wytrącony z równowagi. Na szczęście długo to nie potrwa.

– Mówiłam ci, że surdut źle na tobie leży.

– Coś ty powiedziała? – spytał, zaglądając jej w oczy.

– Twój surdut. Podarłeś go. Spodnie także. Wyglądasz, jakbyś wszedł do sali balowej prosto z jakichś dzikich ostępów.

– Można się tego spodziewać po szkockim brutalu.

– Nie – odparła z miejsca, zaskakując go tym. – Wcale nie jesteś brutalny.

Kłamała. Był cały zakrwawiony, a ubranie niemal z niego spadało. Jeśli kiedykolwiek wyglądał na bestię, to właśnie teraz.

– Na co w takim razie wyglądam?

Spojrzała na niego ostro.

– Dopraszasz się komplementu, książę?

– Tylko prawdy.

Wzruszyła lekko ramieniem, przyjmując pozę, którą całkiem lubił. Nie żeby lubił ją samą. Była zbyt piękna, żeby nie być niebezpieczna.

– Na kogoś dużego.

Oczywiście powiedziała prawdę.

– Zbyt dużego.

– Może jak na ten surdut i spodnie, ale nie na zbyt dużego w ogóle.

– Cała reszta Anglii nie zgodziłaby się z tym.

– Nie jestem całą resztą Anglii. – Zamilkła, zastanawiając się nad swoimi słowami, i dodała: – Mnie się to raczej podoba.

Zdumiał się bardzo. Chyba nie myślała tak naprawdę? Może sprawiła to ciemna noc, kołysanie powozu i ciasna przestrzeń?

Było jednak bez znaczenia, że zapragnął, by powiedziała tak jeszcze raz. A potem jeszcze raz. Nie trzeba było pragnąć Lillian Hargrove.

Oby tylko jego ciało zechciało go słuchać.

– Zapewniam cię, że reszta Anglii by się z tym nie zgodziła – powiedział i poruszył się nerwowo na siedzeniu, nie wiedząc, jak daleko jeszcze zabrną w tej rozmowie.

Uśmiechnęła się pogardliwie.

– Nie ta twoja hrabina.

Peg.

Udał, że nie rozumie.

– Jaka znów moja hrabina?

– Lady Rowley. Ona by nie myślała, że jesteś za duży.

Peg nie myślała tak teraz. Nie dzisiaj, gdy stał przed nią już jako książę Warnick, ktoś znacznie wyżej postawiony niż ona. Ale kiedyś Peg… ceniła go dużo mniej. Mimo że niczego nie pragnął bardziej niż tego, by do niej należeć.

Wyjrzał przez okno.

– Jest w końcu żoną lorda Rowleya, rozumiesz chyba?

– Nie – odparła. – Widziałam, jak cię dotykała. Jakbyś był jej własnością. A także jak na nią patrzyłeś. Całkiem jakbyś… – Zawiesiła głos.

Powiedział sobie, że ma nie mówić. Nie pytać. Ale gdzieś w tym milczeniu

między nimi tkwiło coś, co desperacko pragnął zrozumieć.

– Jakbym co?

Pokręciła głową i spojrzała w okienko.

– Jakbyś pragnął być tą jej własnością.

Owszem, chciał tego. Od pierwszej chwili, kiedy był jeszcze chłopcem, a ona uśmiechnęła się do niego. Nim jeszcze zrozumiał, co z nim chce zrobić. A także co on chciał zrobić dla niej. Zrobiłby wszystko, czego by tylko zechciała. No i zrobił. Biegał za nią jak zachwycony szczeniak.

Póki mu wszystkiego nie wyjaśniła.

„Mój drogi, dziewczyny takie jak ja nie wychodzą za chłopców takich jak ty".

Nie miał jednak zamiaru wyjawiać czegokolwiek Lillian Hargrove.

– Peg nie jest moją hrabiną.

– Ale ty należałeś do niej – powiedziała, a ten jej kretyński strój zmieniał ją w psa wpatrzonego w kość.

Westchnął i znów wyjrzał przez okienko.

Należał do niej.

– Owszem. Dawno temu. Była siostrą mojego szkolnego kolegi.

– A ty nie byłeś jeszcze księciem.

Zaśmiał się.

– Nie. Gdybym nim był… – Tym razem on z kolei zawiesił głos.

– A gdybyś nim był? – spytała.

Spojrzał na nią i zrozumiał, że czeka na jego odpowiedź, przypatrując mu się.

Siedziała bez ruchu, cała spięta, jakby miała czekać na nią bez końca. Nie otrzymała jej.

Pokiwał głową.

– A ty jej pragnąłeś?

Jak niczego innego przedtem. Pragnął wszystkiego, co sobą przedstawiała. Wszystkich pięknych obietnic, których nigdy mu nie dała.

Pragnął tego wszystkiego. Jak szaleniec.

Lily trwała w bezruchu przez dłuższą chwilę. Alec powstrzymał się od pytania, o czym teraz myśli, i powiedział tylko:

– Widzisz, Lillian, ja też wiem, jak to jest, kiedy nie można wyjść za kogoś upragnionego.

Skinęła głową.

– Chyba tak.

Znów zaległa między nimi cisza. Alec coraz wyraźniej wyczuwał w ciemności jej ciało: smukłe nogi pod jedwabną suknią, zgrabne dłonie w giemzowych

rękawiczkach, złożone na kolanach.

Te ręce zaczęły go fascynować. Przypatrywał im się. Wolałby oglądać je bez rękawiczek. Chciał ich dotknąć. A także by one go dotknęły.

Wyprostował się gwałtownie na tę myśl.

Nie należało dotykać Lily.

A ona nie powinna była dotykać jego.

Znowu wyjrzał przez okno. Jak daleko było jeszcze do przeklętego Psiego Domu? Oczywiście dość daleko.

Potem zaś Lily powiedziała przyciszonym głosem:

– Myślałam, że mnie kochał.

Po tych jej słowach poczuł w sobie tyle zazdrości i furii, że szczerze zapragnął zatrzymać powóz, odnaleźć Hawkinsa i dokończyć to, co wcześniej zaczął. Zacisnął prawą dłoń, ale ból palców przypomniał mu, że solidnie mu dołożył, chociaż jeszcze nie tak, jak należało.

– A ty go kochałaś?

Pożałował zaraz pytania, które mu się wyrwało. Nie powinien był wymagać odpowiedzi.

Ona zaś odpowiedziała, niszcząc go powoli każdym słowem.

– Moja matka zmarła, gdy byłam dzieckiem. Mój ojciec nigdy się ponownie nie ożenił, a kiedy i on umarł, znalazłam się u księcia. Był całkiem dla mnie dobry. Zapewnił mi dach nad głową i wcale hojną pensję. – Zawahała się, szukając właściwych słów. – Bardzo się starał być dobrym opiekunem. Zamierzał przedstawić mnie w sezonie, wyobraź sobie! Przed swoją śmiercią. Nie mógł mi jednak zastąpić rodziny.

– A służba? – spytał, przypomniawszy sobie, jak niewiele sługdzy wiedzieli o Lily.

Uśmiechnęła się słabo i smutno w świetle księżyca.

– Nie bardzo wiedziała, jak się ma do mnie odnosić. Byłam ni tym, ni owym. Nie arystokratką, ale też nie służącą. Nawet nie gościem. W dwójnasób poza ich zasięgiem. – Urwała i objęła się ramionami, jakby poczuła zimno, patrząc gdzieś w przestrzeń. – Mogłam przeżyć całe miesiące, nim ktoś mnie dotknął prócz pokojówki, która zapinała mi suknię, i czyjejś ręki w rękawiczce, którą podawano mi, gdy wsiadałam do powozu.

Znów skierował wzrok na jej ręce i jeszcze raz znienawidził rękawiczki.

– A ten twój pokoik. Dlaczego pod schodami?

Znów wzruszyła ramionami.

– Lubiłam słyszeć ludzi. Z góry i z dołu. Przynajmniej wtedy wiedziałam, że są

jakieś inne istoty na świecie. Przynajmniej fizycznie byłam blisko nich, mimo że nie wkraczali w moje życie. Mogłam w nim słyszeć, jak dziewczęta się śmieją. Potrafiły, idąc po tych schodach, śmiać się przez cały czas z jakiegoś głupstwa, o którym nic nie wiedziałam. A ja dałabym wszystko, żeby tylko znaleźć się między nimi. Być razem z nimi. Zamiast znajdować się gdzieś pomiędzy dwoma światami.

– Lily… – powiedział, aż do bólu pragnąc unicestwić cały ten czas jej osamotnienia.

Nigdy więcej nie będzie samotna. Już on się tym zajmie.

– Czasami ciekawa byłam, czy kiedykolwiek jeszcze kogoś dotknę. Czy kiedykolwiek będę kochana. – Spojrzała na niego szczerze. – Derek sprawił, że czułam się kochana.

Te słowa go zdruzgotały. Zapragnął jednocześnie przygarnąć ją do siebie i odepchnąć daleko. A potem zniweczyć Hawkinsa za to, że nadużył jej uczuć.

– A ty go kochałaś?

Znów spojrzała gdzieś w przestrzeń.

– Któż może wiedzieć?

Znienawidził te słowa. Za to, że nie zaprzeczyły jej uczuciom. A on chciał od niej usłyszeć kategoryczne zaprzeczenie. Ale rzekł tylko:

– On nie był ciebie wart.

Uśmiechnęła się lekko.

– Wasza Wysokość ma o mnie strasznie wysokie mniemanie. Wszyscy inni by uznali, że właśnie ja nie byłam warta jego.

– Niech się powieszą.

Uniosła dłoń ku zamglonej od deszczu szybie okienka i przesunęła po niej palcem.

– Zrobiłam to jednak – powiedziała, pogrążona we wspomnieniach.

– Dlaczego? – nie mógł się oprzeć pytaniu.

– Z powodu kuszących perspektyw. Czasami…

Alec nie był pewny, czy skończy, a ona tak długo milczała, że uznał to już za niemożliwe, gdy nagle oświadczyła:

– Czasami czeka się tak długo, że wszystko zaczyna wydawać się miłością.

Ścisnęło mu się boleśnie serce. Cóż ona z niego robi?

Nachylił się bliżej Lily i szepnął:

– Nie chcę cię skrzywdzić.

– Wiem.

– Nie powinienem był nigdy przyjeżdżać do Londynu.

Nic dobrego nie wyszło z tego, że się w nim znalazł. Zwłaszcza że Londyn

wiązał się z tą przepiękną kobietą, która wszędzie wnosiła chaos.

– Mnie się zdaje, że postąpiłeś szlachetnie.

Może sposób, w jaki to powiedziała, sprawił, że jej słowa zabrzmiały wręcz magicznie, jakby stanęła nago pod gwiazdami niczym jakaś pogańska bogini i rzuciła na niego czar. Może ciemność i blask księżyca na jej porcelanowej skórze kazał mu sięgnąć ku jej ręce, choć – jak wiedział – nie powinien był tego zrobić. Wiedział, że popełnia najgorszy z błędów.

Lily nie cofnęła jej, a on bez wahania odwrócił ją do góry i spostrzegł cztery małe guziczki na nadgarstku. Powoli rozpiął rękawiczkę i ściągnął ją, odsłaniając gładką, nagą skórę.

Z początku tylko się w nią wpatrywał i czuł się, jakby stał nad brzegiem przepaści i patrzył w jej głąb, wiedząc, że nie ma stamtąd powrotu. Oddech Lily przyspieszył – a może był to jego oddech, pełen pragnienia, by jej dotknąć.

„Ciekawa byłam, czy kiedykolwiek jeszcze kogoś dotknę”.

Słyszeli nadal oboje te słowa, jakby one krążyły wokół nich, gdy umilkło ich echo. Alec uniósł swą dłoń do ust, ściągnął zębami rękawiczkę, a potem odrzucił ją i – nim zdołał tego pożałować – nakrył jej rękę swoją.

Wstrzymał oddech, ujmując jej drobną dłoń we własną, o wiele większą.

Ależ miękką miała skórę. Całkiem jak jedwab. Podobnie jak dźwięk jej lekkiego westchnienia. Nie zwrócił na nie uwagi. Zabronił sobie tego, bo wiedział, że jeśli to zrobi, nie będzie już w stanie się powstrzymać przed tym, co mogło nastąpić później.

Zamiast tego gładził tę dłoń i przesuwał swoją rękę po wszystkich wypukłościach i wgłębieniach jej palców, póki obydwie dłonie nie zetknęły się końcami i nim raz jeszcze ujął za jej rękę, splatając ściśle palce jednej i drugiej.

– *I dłoń mą uczczę dotknięciem jej dłoni*[4] – wyszeptała, a on dosłyszał lekkie rozbawienie w jej głosie. Nawiązała do ich wcześniejszego sporu o *Romea i Julię*.

Powinien był jej pozwolić na ucieczkę. Zasługiwała na nią.

Nie zamierzał mówić, że tylko ten fragment sztuki jest coś wart.

Nie zamierzał patrzeć na nią, żeby nie spostrzec, że jest za blisko niego, choć i tak przeraźliwie daleko. Chciał się cofnąć, puścić ją.

A wtedy wyszeptała:

– *Niechże ich usta czynią to, co ręce*.[5]

– Do diabła z Szekspirem – zaklął, wzmagając uścisk i przyciągając ją ku sobie, podczas gdy jego druga ręka, wciąż jeszcze w rękawiczce, prześlizgnęła się pod podbródkiem Lily, objęła długimi palcami jej szyję i wsunęła się we włosy tak gwałtownie, że posypały się z nich szpilki, gdy nakrył jej wargi ustami i pocałował

ją tak chciwie, jakby był głodomorem, a ona ucztą.

Miała smak grzechu, miłości cielesnej i… nie wiedział, jak to możliwe, ale także Szkocji, dzikiej, swobodnej i życzliwej.

Przerwał i odchylił się od niej tylko po to, by zaczerpnąć tchu z przestrzeni między nimi, a potem zamknął oczy. Powinien był to przerwać. To się nie wiązało z jego planem. To nie było możliwe.

Miała smak domu.

Jeszcze jeden pocałunek. Szybki. Byle tylko mógł oderwać się od niej i ponownie nabrać tchu.

– Alec? – wyszeptała, a pytający ton, jakim wymówiła jego imię, zgubił go. Nie wyrażał protestu ani zażenowania, tylko to.

Pożądanie.

Wiedział o tym, bo sam również je czuł.

Jęknął głucho, puszczając jej dłoń i przyciągając ją do siebie poprzez całą przestrzeń powozu, żeby poczuć jej smak jeszcze lepiej. Objął ją ramieniem, zapobiegając wstrząsowi, kiedy powóz wjechał w koleinę i podrzucił ją do góry. A potem powrócił do jej warg, delikatnie, miękko drażniąc je językiem, póki nie otworzyła ust z wrażenia. Skorzystał z tego w pełni, kosztując ich jedwabistego ciepła w długiej, zmysłowej zapowiedzi.

Wydała nieoczekiwanie jęk, a on znieruchomiał, pragnąc usłyszeć go jeszcze raz, bo dowodził jej rozkoszy. Jej namiętności.

Wsunęła palce w jego włosy i przyciągnęła go ku sobie. Połączył oba ich języki w pocałunku, grożącym, że strawi ich ogień – razem z powozem.

Wydał pomruk zadowolenia i ujął jej twarz w dłonie. Trzymał ją mocno i całował, kradnąc jej westchnienia jak złodziej.

Bo też był złodziejem i kradł bez wahania.

Lub może złodziejem była ona.

Wspólnie kradli.

Wspólnie plądrowali.

Wspólnie grabili.

Była to najwspanialsza rzecz, jakiej kiedykolwiek doznał. Ręce Lily wślizgnęły się pod jego podarty surdut, w miarę jak się pod nim poruszała, a on uniósł jej suknię i sunął dłońmi po jedwabistych udach. Podniósł ją ku górze, posadził okrakiem na sobie po cichu. Robił z nią, co chciał.

Powóz znowu podskoczył, a ona schwyciła go wpół, z trudem łapiąc oddech tuż przy jego ustach. – Alec, szepnęła. – Proszę.

Nie. Nie szeptała. Błagała. Jakże miał jej odmówić, zwłaszcza że przyciągnęła

go jeszcze bliżej ku sobie.

Poczuł, że coś w nim nieznośnie sztywnieje, a zbyt ciasne spodnie stały się przeraźliwie niewygodne.

Wyjąkał głucho jej imię i znów ukradkiem ją pocałował, przygarniając ją tak blisko do siebie, że mógł doświadczyć ciepła jej ciała mimo swoich spodni i jej pantalonów, a wtedy poczuł jedną z jej dłoni na piersi i ramionach, potem zaś znów we włosach. Przywarła do niego jeszcze mocniej, ich języki nieustannie się stykały, a on pragnął jej coraz mocniej i mocniej.

Drugą ręką chwyciła go za ramię, zaczęła nim poruszać i sterować, kierując rękę ku stanikowi, gdzie jedwab stykał się z piękną, nieskazitelną skórą.

– Dotknij mnie – wyszeptała – proszę cię.

Musiał się zatrzymać. Oboje musieli się zatrzymać. Uniósł się i chciwie zaczerpnął tchu.

– Lily. Nie wolno nam.

Otworzyła szeroko oczy, w których prócz pożądania tliło się dużo więcej. Czuł, jak jej serce mocno bije tuż pod jego palcami, w miejscu, gdzie przyciskała jego dłoń do siebie, gdzie spalała go swoją pięknością.

– Proszę cię, Alec – powiedziała głosem miękkim jak jedwab. – Proszę, pragnij mnie.

Całkiem jak gdyby istniał jakiś wybór. Jakby nie pragnął rozpaczliwie każdego centymetra jej ciała. Jakby nie chciał posiąść jej w najprymitywniejszy z możliwych sposobów, by nie mogła więcej pamiętać żadnego mężczyzny, którego kiedykolwiek pożądała.

Zupełnie jakby był jej wart.

Poruszał gorączkowo grdyką, walcząc o siłę, jakby mógł ją w ten sposób znaleźć. Może by mu się i udało, gdyby nie wzięła sprawy we własne ręce. Gdyby nie ujęła go za rękę i nie zsunęła jej w dół, ku stanikowi, póki nie objął nią jednej pełnej, wspaniałej piersi.

– Proszę cię, Alec – powtórzyła.

Oparł się temu, przerażony, bo gdyby tak zrobił, mogłaby kontynuować swe szaleńcze kuszenie. A zarazem był przerażony, że mogłaby go zaprzestać.

Zamiast tego wyjął rękę spod sukni i znów ujął w dłonie jej twarz. Przyciągnął ją tak blisko swojej, jak tylko mógł, ale bez pocałunku, i zajrzał jej głęboko w oczy przy migotliwym blasku latarni, które zza okienek rozświetlały jej piękną twarz.

– Pokaż mi je – powiedział.

Lecz naprawdę miał na myśli: „Posłuż się mną”.

Zdumiała się i przez chwilę myślał, że się od tego powstrzyma. A jednak pod

jego wzrokiem zaskoczenie przeobraziło się w pożądanie i zrobiła, czego chciał.

Zgodnie z tym, co jej powiedział.

Czas jakby zwolnił w tej ciasnej przestrzeni, gdy prowadziła jego dłoń, przyciskając ją mocno do siebie.

– Dotknij mnie tutaj – powiedziała.

Zrobił tak, czując, jak sztywnieje pod jego dłonią, nawet mimo sukni. Westchnęła, rozdrażniona, i przylgnęła do niego, pragnąc doznać jeszcze więcej, podobnie jak on. Zrobiło mu się jej żal.

– Czy chcesz nadal nosić tę suknię?

Nie zrozumiała.

– O co ci chodzi?

– O suknię. Czy ci na niej zależy?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Jest okropna.

– No, to zróbmy z nią porządek – mruknął i chwycił potężną dłonią za wycięcie dekoltu. Bez wahania rozerwał stanik, uwalniając jej ciało dla swoich rąk i wzroku.

Spytała, dysząc z zaskoczenia:

– Czyżbyś ty?…

Nie miał czasu na spory.

– Pokaż mi je, Lily.

Zrobiła to, kładąc sobie jego dłoń na piersi. Obydwoje aż jęknęli ze wspólnej rozkoszy. Alec ujął zesztywniały czubek w dwa palce, żeby ją pobudzić, póki, nie mogąc sam dłużej wytrzymać, nie przywarł ustami do drugiego. Krzyknęła i wsunęła palce w jego włosy, błagając go bez słów o więcej.

Kiedy to zrobił, delektując się jej dotykiem i smakiem, uznał, że jeśli istniało niebo, właśnie się w nim znalazł, i powtarzał wszystko to, co robił, raz za razem, a ona jeszcze mocniej doń przywierała; cudowne ciepło jej ciała kołysało go, zesztywniałego i rozpaczliwie pragnącego ulgi. Jęknął gardłowo, chcąc tego uniknąć – nie mógł zaufać sobie, że zdołałby się zatrzymać, kiedy byłoby to konieczne.

A potem ona zaczęła się pod nim poruszać, wydając cudowne, urywane jęki, wzdychając z rozkoszy i pomrukując z pożądania, gdy językiem i wargami składał jej obietnice, których dotrzymać nie mógł.

Nie powinien jej brać.

Nie powinien jej brukać.

Zasługiwała na kogoś lepszego.

Uniósł głowę i spojrzał na nią. Oczy miała zamknięte i miotała się pod nim,

rozpaczliwie pragnąc czegoś, czego nie mogła sama odnaleźć. Czegoś, co mógł jej łatwo dać.

Czegoś, co pragnął jej dać.

Wsunął rękę pod jej suknię, muskając końcami palców wewnętrzną stronę kolana. Otworzyła oczy. Otworzyła też usta, a on kiwnął głową i spytał żartobliwie, głaszcząc ją tam:

– Tutaj?

Zaprzeczyła ruchem głowy.

– Nie.

Zagłębił dłoń w jej pantalony, zły, że tkanina nie pozwalała mu jej dotknąć. Zasłużył sobie na to za swoją odmowę. Za to, co zrobił. Za to, że nie był dla niej dostatecznie dobry. Zasługiwał na to tak samo, jak ona na rozkosz, którą mógł jej dać w tym właśnie momencie. Nie doznając jednak swojej.

– Tutaj? – spytał znowu, posuwając się wzdłuż uda, coraz bliżej fałd kryjących jej najskrytsze miejsce. Gdzie bardziej pragnął się znaleźć niż kolejny raz zaczerpnąć tchu.

Znów pokręciła głową, ale i tym razem wykrzyknęła:

– Nie!

Znalazł w końcu rozcięcie w pantalonach i wsunął się w nie, odnajdując miękkie kędziorki i głaszcząc je, podczas gdy ona dyszała z pożądania. Zastanawiał się, jaki może być ich kolor? Zapewne miały piękny, kasztanowaty odcień.

– Może tu?

Poddawała się tej grze, widział jednak rozdrażnienie w jej wzroku, gdy zaskakując go niesłychanie, powiedziała:

– Czy mam ci pokazać?

Była po prostu wspaniała.

Odparł z miejsca:

– Proszę bardzo.

A wtedy wzięła go za dłoń i wcisnęła ją głębiej, w swoją jedwabistą, gorącą miękkość, cudownie zwilgotniałą. Zaklął z cicha i soczyście po gaelicku.

Wydyszała jedno jedyne słowo, gdy dostała, czego chciała, patrząc na niego bez żadnych przeprosin.

– Tu.

Pocałował ją zatem powoli, zmysłowo, a jednocześnie jego palce szukały i kusząco gładziły te jej sekrety, póki obojgu nie zabrakło tchu. Gdy przestał ją całować, ujrzał, że zamknęła oczy i kołysze się pod nim z ręką na jego dłoni, ukazując mu na wszelkie sposoby, że go pragnie.

Zaprzestał tego, co robił. Oczy otworzyły się od razu. Pełne złości.

Nie mógł się oprzeć rozbawieniu przenikającemu go wraz z falami bolesnego pożądania.

– Spójrz na mnie – powiedział.

Zmarszczyła brwi, zaskoczona.

– Dam ci wszystko, czego pragniesz, *mo chridhe*. Wszystko, czego ci trzeba – zapewnił ją słowami cichymi i wypowiadanymi z akcentem, który starał się powściągać, mówiąc do niej. – Ukażę ci niebo. Ale tylko wtedy, gdy pozwolisz mi, bym na ciebie patrzył, kiedy się w nim znajdziesz. Tej ceny od ciebie żądam.

Gdy te słowa padły między nimi, pożałował ich już po krótkiej chwili, bo stały się jakby jej własnością.

A nie powinna była zyskać ich na własność.

Nigdy jeszcze nie spotkał tak niebezpiecznej kobiety.

Zawróciła mu jednak w głowie swoją miękką skórą, przepięknymi westchnieniami i wspaniałymi spojrzeniami, gdy się z nią przekomarzał, gdy jej dotykał, gdy zagłębiał się w jej ciało, i tym cudownym ciemnym kanałem, w którym tak bardzo pragnął się znaleźć. Nie spuszczała z niego wzroku, kołysząc się pod nim, błagając go o więcej, ściskając nogi. Ofiarowywał jej powolne, przewrotne głaskanie, a potem rozchylił jej nogi, gdy znalazł miejsce, które miało jej dać wspaniałą, niesłychaną rozkosz.

Patrzył w te oczy, szare jak Morze Północne, którymi wpatrywała się w niego, dysząc coraz szybciej, i kurczowo schwyciła go wtedy za rękę. Nie spuszczał z nich wzroku, gdy wykrzyknęła głośno jego imię, i wtedy dopiero zacisnęła powieki, powtarzając to imię raz za razem, jakby chciała go w ten sposób napiętnować. Wciągnąć w mrok.

Ukazać mu słońce.

Gdy jej oczy otwarły się ponownie, odnalazły go natychmiast, a dłonie wsunęły się znów we włosy, wargi przywarły do jego ust, a język wślizgnął się do ust w pocałunku, który całkowicie go zdruzgotał i wezwał do jego rozkoszy, twardy, gorący i prawie niemożliwy do zniesienia.

Oderwał od niej usta i chciwie nabrał w płuca powietrza, całkiem jakby nie pragnął zedrzeć z niej wszystkiego i uczynić ją swoją. Tu i teraz.

Na zawsze.

A wtedy jej ręce zaczęły unosić suknię. Wtedy zastanawiał, czy nie powiedział czasem tego na głos. Jej palce przybliżyły się do jego spodni, dotykając go tam lekko – o wiele za lekko, do diabła! – a on dopiero za chwilę znalazł w sobie dość siły, żeby ją przed tym powstrzymać.

Wtedy wyszeptała:

– Och, mój ty…

A on znienawidził zawarte w nich uwielbienie.

„Kobiety marzą o mężczyznach takich jak ty, mój drogi”.

Ale na jedną noc. Nie na całe życie.

– Nie! – Z miejsca oderwał od niej usta i odepchnął ją od siebie tak, jakby była sztabą rozpalonego żelaza.

Zdumiała się.

– Ależ…

– Nie! – Uniósł ją i posadził z powrotem na siedzeniu. Zrobił to tak szybko, że dopiero po paru sekundach zrozumiała, co się stało.

Obydwoje dyszeli ciężko, a on przez dłuższą chwilę nie mógł oderwać od niej oczu. Stanik miała w strzępach, nogi rozchylone, cała obolała od rozkoszy, jaką znalazła w jego ramionach. Wiedział o tym, bo sam też osłabł, obolały.

Była tak blisko. Mógł ją wziąć.

Pozwoliłaby mu na to.

Przywarł plecami do oparcia, chcąc odwrócić od niej wzrok. Spojrzeć na zewnątrz przez okienko. Albo w dół, pod nogi. Byle nie na nią. Tylko że nie mógł, bo niczego piękniejszego od niej nigdy nie widział.

A potem popełnił błąd, bo uniósł rękę do ust, chcąc zetrzeć z nich jej zapach, zapominając, że pozostanie on na nim, jakby mu obiecywał coś więcej. A wtedy pożądanie stało się dla niego czymś nie do wytrzymania. Zaczął ssać własne palce, odnajdując jej smak, delektując się nim.

Dojrzał błysk w jej oczach, gdy na niego spojrzała, a on zobaczył w nich prawdę. Mógł ją mieć. Pozwoliłaby mu na to.

Chryste, jakże jej pragnął.

Nawet teraz, gdy z długich, kasztanowatych loków falujących wokół niej wyleciały już wszystkie szpilki, a pies i zajączek, wcześniej podskakujące na czubku jej głowy, osunęły się nad lewe ucho.

Wyglądała, jakby została wzięta siłą.

Przez Szkockiego Brutala.

Pragnęła małżeństwa, dzieci i miłości, a on nie mógł jej dać żadnej z tych rzeczy. Nie chciała zresztą otrzymać ich od niego. Od kogoś zbyt wielkiego, zanadto szkockiego, za bardzo nieokrzesanego.

Niezdatnego do poślubienia.

W niczym niepodobnego do mężczyzny, na którego zasługiwała.

Co on zrobił najlepszego?

Musiał trzymać się od niej jak najdalej.

Zastukał w sufit. Powóz natychmiast zwolnił.

Lily z niepewnością widoczną w pięknych szarych oczach zaczęła nagle ściągać z niego rozdarty surdut, żeby okryć własny, poszarpany strój.

– Co ty robisz? – spytał.

Wyjrzała przez okienko.

– Gdzie my jesteśmy?

– Nieważne – odpowiedział, otwierając drzwiczki, nim jeszcze powóz stanął.

– Alec! – zawołała, a on z prawdziwym bólem usłyszał swoje imię.

Wysiadł z powozu, ale odwrócił się jeszcze ku niej.

– Nie spytałaś mnie wcale o tytuł wiersza Burnsa.

Pokręciła głową, jakby pragnąc oprzytomnieć, tak ją zaskoczyła nagła zmiana tematu.

– Cóż to ma za znaczenie?

Była rozgoryczona i rozdrażniona.

On również.

– *Czuły całus, nim się na zawsze rozejdziemy*.

I zanim zdołała coś wykrztusić, dodał:

– Przepraszam cię, Lily. Za wszystko.

A potem zatrzasnął drzwiczki.

11. Ach, te kobiety! Cóż za twarzowa suknia!

Lily nie włożyła następnego dnia sukni, w której była na balu.

Choć mogła przebierać wśród licznych innych sukien, również zdobionych psimi motywami, uznała, że nie potrzeba jej tego dnia jeszcze jednego powodu do zażenowania.

Zdecydowała się więc na podkreślającą jej urodę suknię uszytą z zielonego jedwabiu, stosowną zwłaszcza do przyjmowania gości. Tych jednak pod numerem 45 na Berkeley Square miewała niezbyt często, nosiła ją zatem rzadko.

Gdy uciekła do tej rezydencji, którą zaczęła czule nazywać w myślach Psim Domkiem, zabrała ją ze sobą w przypływie nagłej fantazji. Teraz była jednak zadowolona, że nie zapomniała o ładnym stroju.

W końcu nie każdego dnia jest się całowaną przez przystojnego mężczyznę. Więcej zresztą niż całowaną. Dużo więcej.

Zaczerwieniła się. Nie chciała, żeby się to jeszcze kiedyś powtórzyło.

Kłamczucha.

Czuła, że po prostu wypada ładnie się ubrać dla takiego kogoś. W końcu oddała mu pocałunek.

I nie tylko pocałunek.

A chociaż całowała się już sama wcześniej i była całowana – całowanie się z Alekiem Stuartem, księciem Warnick, było czymś całkiem innym niż wszystko, czego wcześniej doświadczyła.

Włożyła więc piękną suknię, pragnąc, by dodała jej odwagi podczas spotkania się z Alekiem tego dnia. Weszła do saloniku porannego w Psim Domu i nałożyła sobie jedzenia na talerz, zauważając z nagłym biciem serca, że przy stole stały dwa krzesła, co oznaczało, że Alec jeszcze nie jadł śniadania.

Ujęła szczypcami w kształcie jamników kiełbaskę i położyła na talerzu dużą grzankę, po czym siadła na samym końcu stołu i starała się zachowywać z niewymuszoną elegancją, jaką winna okazywać kobieta, z którą połączył ją pewien

epizodzik – taki, jaki przeżyła ostatniej nocy.

Którego nie miała ochoty powtórzyć.

Dobry Boże, przecież on był po prostu cudowny! Tylko że potem uciekł. Spojrzała na swój talerz. Uciekł jak tchórz. A przecież przekonała się, że był tak samo pełen desperacji, jak ona.

„Przepraszam cię, Lily. Za wszystko".

Co za bzdury. Całkiem jakby w tym nie brała udziału. Całkiem jakby tego nie chciała.

Z całą pewnością chciała. Tylko nie miała po prostu ochoty, żeby się to powtórzyło.

Ani trochę.

Kłamczucha!

Zacisnęła mocno usta, gdy naszła ją ta dokuczliwa myśl. W końcu ona też tego chciała, i on również, przynajmniej takie odniosła wrażenie, gdy po narzekaniu na Szekspira zaczął się z nią szamotać we wnętrzu powozu, sprawiając, że cała stanęła w płomieniach, a potem dał jej poznać oszałamiającą rozkosz, jakiej nigdy jeszcze nie doznała i nawet o niej nie marzyła. W dodatku sprawił, że błagała go, by nie przestał!

Tylko niepotrzebnie krytykował Szekspira. Choć, prawdę mówiąc, to też było cudowne.

Na szczęście nie uciekła się do próśb, ale jeszcze bardziej żenujące były jej błagania, by nie przestawał, a on właśnie przestał. Natychmiast. Potem zaś uciekł.

Szkocki tchórz.

Co za żenująca katastrofa.

No i jeszcze ten surdut!

Nieważne. Miała i tak o czym myśleć. O rzeczach, które nie miały nic wspólnego z muskularnym, przystojnym Szkotem, lecz były o wiele ważniejsze w jej obecnej sytuacji i dla jej przyszłości.

Na przykład o mężu.

Psy przerwały Lily te rozmyślania; drzwi pod naporem ich włochatych ciał otworzyły się raptownie, a jej serce zaczęło szybciej uderzać. Skoro zjawiły się psy, ich pan musiał być niedaleko.

Angus natychmiast zabrał się do sprawdzania zawartości kredensu, a Hardy podbiegł, żeby się z nią przywitać. Aż otworzył pysk z radości. Lily pochyliła się, pogłaskała go po sztywnej sierści i podrapała za uchem. Przechylił łeb, wywiesił język i sapnął z zachwytu.

Musiała się uśmiechnąć.

Ta wielka bestia łasiła się jak kotek. Łagodny olbrzym.

– Całkiem cię zepsuje, jeśli nie będziesz uważał, Hardy.

Szkocki akcent słychać było już od drzwi. Tego ranka brzmiał dziwnie szorstko i puls jej znów przyspieszył. Uniosła wzrok, żeby spojrzeć mu w oczy, ale on już zmierzał do kredensu, z kiltem falującym wokół kolan. Gdyby się nie odezwał, sądziłaby, że wcale na nią nie spojrzał.

Ale to, że na nią nie patrzył, ułatwiało jej patrzenie na niego, i właśnie tak zrobiła, zwracając dużo większą uwagę na jego tartan niż poprzednim razem, gdy go w nim ujrzała – lecz wówczas była zbyt zażenowana, żeby się dokładniej przyjrzeć.

W pledzie było mu niesłychanie do twarzy, Lily uznała jednak, że prawdę mówiąc, wyglądałby dobrze nawet w worku od mąki.

Miał niezwykle piękne nogi.

Nie myślała dotąd zbyt często o męskich nogach. Póki go nie poznała. A teraz, za każdym razem, gdy widywała go w pledzie, myślała o nich stanowczo za dużo.

Co było straszliwie niestosowne.

Z trudem przełknęła ślinę, bo nagle zaschło jej w ustach, ale za wszelką cenę chciała udawać, że ten poranek jest całkiem normalny. Jakby jej nie dał zaznać niesłychanego wprost pożądania poprzedniej nocy.

Powinna w końcu przestać o tym myśleć.

– To dobry pies. Zasługuje, żeby go trochę psuć.

Alec chrząknął, nakładając sobie na talerz plaster szynki i kilka smażonych pomidorów. Lily czekała, żeby jeszcze coś powiedział, ale daremnie.

Grzebała w talerzu widelcem, udając, że jest tym bardzo zajęta, póki on wreszcie nie skończył napełniać swojego, po czym podszedł do stołu i zajął miejsce na samym jego końcu.

Jak najdalej od niej.

Prawda, że siadł na tym samym krześle, które tam postawiono, gdy tylko się tutaj zjawił, ale przecież mógł usiąść bliżej niej.

Lokaj zjawił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki – najwyraźniej służba przybyła do Psiego Domu szybko i była bardzo sprawna – po czym napełnił mu filiżankę parującą herbatą.

– Dziękuję – powiedział Alec, a nieszczęsny lokaj nie wiedział, co na to odrzec.

Lily miała ochotę wyjaśnić służącemu w liberii, że powinien być wdzięczny księciu, że ten coś do niego powiedział. Ona zaś najwyraźniej nie zasługiwała na konwersację. Nawet po poprzedniej nocy.

Nawet po tym, jak ją zostawił oszołomioną w powozie.

Niedobrze. Nie zamierzała zaprzestać rozmyślania o tym. Ile razy na niego spojrzała, znów czuła na sobie jego dłonie, które ją podnosiły tak łatwo, jakby ważyła tyle co piórko. Czuła też jego ramiona wokół siebie i wargi na swoich ustach. Jego język. No i jego palce.

W pokoju zrobił się naraz zbyt gorąco.

Alec natomiast zdawał się wcale tego nie odczuwać i siedział wygodnie w masywnym drewnianym krześle u szczytu stołu, niby lord w swoim dworze, jadł z talerzy ozdobionych scenami polowania na lisa i sztućcami z wizerunkami psów. Apetyt mu dopisywał i najwyraźniej nie przejmował się jej obecnością.

Lily natomiast czuła się tak, jakby miała komuś zdawać rachunki w trudnej do zniesienia ciszy, jaka zapadła w pokoju.

Hardy wyczuł jej brak apetytu, zasapał i położył jej głowę na kolanach, jakby chcąc dać do zrozumienia, że on tam jest i chętnie by jej pomógł. Rzuciła mu kawałek kiełbaski.

Angus zauważył to ze swego miejsca po prawej stronie jego pana i natychmiast, oblizując się, usiadł przy niej. Również i dla niego znalazł się kawałek mięsa.

– Nigdy cię już nie zostawią samej.

Spojrzała na Aleca, ale on, zajęty jedzeniem, nie spojrzał na nią.

Zirytowało ją to.

– Przynajmniej psy mnie nie ignorują.

Zamarł bez ruchu z widelcem uniesionym do ust, a Lily poczuła się dumna, bo zabrała głos. Przyjrzał się jej brązowymi oczami błyszczącymi niby whisky w kryształowej karafce.

– Co przez to rozumiesz?

– Tylko tyle, że ich pan nie jest na tyle dobrze wychowany, żeby mi powiedzieć „dzień dobry”.

Odłożył widelec i zwrócił się do trojga służących, wyglądających tak, jakby mieli ochotę wtopić się w ścianę na końcu pokoju.

– Zostawcie nas samych.

Wyszli natychmiast, zamykając za sobą drzwi z lekkim skrzypnięciem, ale nawet ten nikły dźwięk rozległ się wyraźnie w ciszy pokoju i sprawił, że Lily serce podeszło do gardła.

Czy znów ją chciał pocałować? A może nie tylko pocałować?

Było na to zdecydowanie za wcześnie.

Widziała już w wyobraźni, jak unosi ją z krzesła, ujmuje jej twarz w swoje duże, piękne ręce i całuje, ukazując jej jeszcze raz to samo, co zeszłej nocy: że kochać się można dziko, bez umiaru, szaleńczo i cudownie.

Było jej to jednak obojętne. Wcale tego nie pragnęła.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę w milczeniu, po czym powiedział:

– Dzień dobry, Lillian.

Nie było w tych słowach nic prowokacyjnego. Tylko zwykłe, życzliwe powitanie.

Coś w nich jednak sprawiło, że Lily wcale nie poczuła się komfortowo.

– No, wreszcie. Nie było to takie trudne, prawda?

– Nie. Przepraszam cię jeszcze raz.

Jeszcze raz.

„Przepraszam cię, Lily. Za wszystko".

– Za co?

– No, za… – Zawiesił głos.

– Za to, że nie powiedziałeś mi „dzień dobry"?

– Między innymi.

Wbiła widelec w pomidora i z satysfakcją obserwowała, jak tryska z niego czerwony sok. Wyglądało to przerażająco, a nawet makabrycznie, jeśli miało się zbyt bujną wyobraźnię, a Lily stwierdziła, że coraz bardziej odpowiada jej wszystko, co jest przerażające i makabryczne.

– Jakież znów „między innymi"?

Wiedziała, że nie powinna była pytać. Nie mogła się jednak powstrzymać.

Nie zawahał się przed odpowiedzią.

– Za mój udział w tej katastrofalnej grze.

– W jakiej roli? – Lily poczuła się dumna ze swojej odwagi.

Spojrzał na nią i od razu zrozumiał, do czego dążyła. Zaimponowało jej, że nie chciał niczemu zaprzeczać.

– W takiej, która groziła ci jeszcze większym skandalem.

– Wywołałam skandal, nim jeszcze dowiedziano się o istnieniu obrazu. Derek i ja nie kryliśmy się zbytnio z naszym związkiem. A prasa bulwarowa nadawała mi różne przydomki.

– Zanim mnie poznałaś?

– Jeszcze zanim cię poznałam, zyskałam miano Prześlicznej Lily, zanim zerwałam z Derekiem, a kiedy mnie widywano w Hyde Parku, na Oxford Street czy gdzie indziej, stawałam się Samotną Lily…

– Co ja mam z tym wspólnego? – przerwał jej.

– Byłeś Fatalnym Opiekunem.

Mruknął ze złością pod nosem coś niezrozumiałego.

– Nie wiedziałem…

– Że istnieję. Wiem. Nie przejmowałabym się tym zbytnio.

– Ale ja tak – burknął gniewnie. – Bardziej niż Hawkins. Bardziej niż zeszłego wieczoru. Bardziej niż ty powinnaś była się tym przejmować.

Spojrzała na niego z irytacją.

– O co ci chodzi?

Nie miał świadomości, jak bardzo zbliżył się do brzegu przepaści. Wyjaśnił jej jednak, jakby była dzieckiem:

– Pojmuję, że nie miałaś matki, przyzwoitki ani jakiejś innej opiekunki stosownej w twoim wieku, ale z pewnością wiedziałaś, że jeśli będziesz się widywać bez świadków z Hawkinsem, twoja reputacja na tym ucierpi.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę.

– A więc to wszystko moja wina?

Zawahał się.

– Oczywiście, że nie.

Zauważyła jego wahanie.

– Ale tak się właśnie stało. Nikt mnie nie zmuszał ani nie oszołomił żadnym środkiem odurzającym. Pozowałam do aktu mężczyźnie, którego, jak sądziłam, kochałam, i uważałam, że on również kocha mnie. – Wraz ze słowami rósł jej gniew. – To z nim przebywałam bez świadków. Nie z tobą. Nie przez cały czas. Ale zrobiłam to, Alec. A w takim razie ja ponoszę winę.

– Nie! – warknął prawie. – Do diaska, winę ponosi Hawkins! Gdyby cię nie wykorzystał… gdybym ja nie…

Przerwała mu.

– A więc jednak. Rozumiem. Jestem na tyle odpowiedzialna, żebym mogła przewidzieć mój upadek, i na tyle głupia, żeby paść jego ofiarą. – Urwała. – Pewnie sobie wmawiasz, że wczoraj padłam twoją ofiarą?

Niewiele rzeczy mogło jej sprawić większą satysfakcję niż widok rumieńca na twarzy księcia Warnick, mierzącego blisko dwa metry i ważącego prawie sto trzydzieści kilogramów. A jednak stało się tak, gdy zrobiła przy śniadaniu aluzję do wydarzeń poprzedniej nocy. Wyraźnie się zdenerwował.

Lily zrozumiała, że nie musi się niczego obawiać.

– Nic strasznego się nie stało, Wasza Wysokość. Nie ma za co przepraszać.

– Właśnie, że jest za co! – odparł głośno i gwałtownie. Spojrzał ku drzwiom, jakby chcąc się upewnić, że są sami, nim zniżył głos. – Nie powinienem był nigdy tego zrobić.

W jego głosie było tyle głębokiego przekonania, jakby dopiero tego ranka, po obudzeniu się, odkrył, że zrobił coś wprost okropnego.

Lily się to wcale nie podobało. Wyprostowała się w krześle i odegrała, najlepiej jak umiała, rolę brytyjskiej lady, udając wyniosłą obojętność i cedząc przez zęby kłamliwie.

– Cóż za dramatyzowanie. Przecież to rzecz niewarta wzmianki!

Alec zesztywniał.

– Co ci się wydaje niewarte wzmianki?

Oczywiście to, co zrobił, wcale takie nie było. Miała ochotę wciąż rozpamiętywać wszystko na nowo, a gdyby posiadała zdolności literackie, zapisałaby całe wydarzenie i odczytywała je sobie każdego wieczoru przez resztę życia.

Derek nie przejmował się zbytnio jej istnieniem i Lily zawsze się wydawało, że musi coś zrobić, żeby ją w ogóle zauważył. Za to Alec… Alec sprawił, że czuła się pępkiem wszechświata! Jego wszechświata.

A przynajmniej tak się właśnie czuła, póki jej nie przeprosił.

Przybrała starannie obmyślony wyraz twarzy.

– Nie jestem pozbawiona doświadczenia.

Wstał tak gwałtownie, że jego krzesło przechyliło się w tył i runęło na podłogę. Psy rzuciły się do ucieczki przez cały pokój. Zdawał się tego nie widzieć.

– Inny opiekun zaciągnąłby mężczyznę, przez którego masz to doświadczenie, do przeklętego ołtarza.

Był równie zły jak ona. Znakomicie!

– Czy Wasza Wysokość nie miała wcale takich doświadczeń?

Oczy o mało nie wyszły mu z orbit.

– Co to za pytanie?!

Chętnie by krzyknęła głośno z satysfakcji, że tego ogromnego, aroganckiego mężczyznę zmusiła do zerwania się z krzesła, ale zdołała się powstrzymać.

– Po prostu nie ożeniłeś się, dziwi mnie zatem, jak to się stało, że nikt nie zaciągnął przemocą do ołtarza kobiety, przez którą masz to przeklęte doświadczenie.

Zmrużył oczy tak, że zmieniły się niemal w dwie wąskie szparki.

– Nie powinnaś przeklinać.

– Ach, to jeszcze jedna reguła różniąca mężczyzn od kobiet. Nieważne – dodała, unosząc filiżankę do ust. – Po prostu nie przyjmuję do wiadomości twojej oferty małżeńskiej.

– Mojego czego? – spytał ze zdumieniem.

– No cóż, zeszłej nocy doświadczyłam dzięki tobie czegoś, co – jeśli dobrze pomyśleć – powinno skończyć się małżeństwem.

Długo stał bez ruchu, patrząc na nią uważnie, jakby była jakimś dzikim zwierzęciem obwożonym w klatce ku uciesze gawiedzi. Wreszcie powiedział:

– Lily, chcę być wobec ciebie uczciwy. Absolutnie wszystko, co zrobiłem, miało cię ochronić. Zadałem sobie w tym celu wiele trudu. Ale to, co zaszło poprzedniej nocy w powozie, nie powinno się było wydarzyć. Jestem w końcu twoim opiekunem.

Nie odpowiedziała, bo wszystko było oczywiste. Alec żałował tego, co spowodowało, że poczuła się ożywiona, bardziej upragniona i cenniejsza, niż kiedykolwiek przedtem. Tylko że, niestety, jego żal zaczął również i w niej budzić przygnębienie.

Nie oczekiwała, by zaraz po zejściu na śniadanie Alec się jej oświadczył. W końcu nie dopełnił swego aktu całkowicie.

Nie spodziewała się jednak, że tak bardzo ją to dotknie.

Odwróciła się do niego tyłem i podeszła do okien na końcu saloniku. Nabrała tchu, usiłując zignorować dobrze jej znany ból, odczuwany przez nią aż za często. Czuła go, gdy ją pomijano.

Okazała się głupia. Nienawidziła tego. A jednak wyglądało na to, że właśnie jest głupia.

Hardy zdawał się wyczuwać jej rozterkę. Podszedł do niej i przytulił swoje duże, ciepłe ciało do jej uda. Coś w tej bliskości wielkiego psa ją pocieszało, zaraz więc pogłaskała go po miękkich uszach, patrząc przez okno na ogród otaczający Psi Dom.

Po jakimś czasie zauważyła:

– Tam rośnie krzak przystrzyżony w kształcie pudla.

Alec odparł, ale bez żadnego rozbawienia:

– Spodziewałbym się tu czegoś takiego.

– To nie była moja wina – powiedziała z cicha.

– Oczywiście, że nie twoja.

Lily przez chwilę sądziła jednak, że on myśli inaczej.

– Derek też tu właściwie nie zawinił.

– Jestem innego zdania.

Pokręciła głową, ale nie obejrzała się za siebie.

– Reguły zachowania są różne dla kobiet i dla mężczyzn. Cóż ludzi obchodzi, z kim mnie widziano? Cóż ich obchodzi, z jakim mężczyzną przebywam w cztery oczy? Przecież nie mają w tym żadnego interesu. To powinno być czymś prywatnym.

Zastanawiał się nad tym w milczeniu, a kiedy jej odpowiedział, zrobił to w

sposób bardziej powściągliwy niż zwykle.

– Tylko że tak nie jest. To w ten sposób nie działa.

To nie było fair. Lily tak długo żyła samotnie, że wszelkie towarzystwo pozwalało jej żywić pewne nadzieje. Nie zważała wcale na swoją reputację podczas znajomości z Derekiem, bo zanadto pragnęła po prostu być z kimś.

Zresztą zeszłej nocy też wcale na reputację nie zważała, jadąc w powozie z Alekiem. Nie za takim jednak towarzystwem tęskniła.

Tylko za nim.

– Ale powinno – odparła, spoglądając na psa; jego serdeczne brązowe ślepia zdawały się dokładnie rozumieć, co czuła.

– Nie powinno.

Tyle że nie powinno się było wcale wydarzyć.

Ileż było żalu w jego wzroku! Przymknęła oczy.

„Powinno” to okropne słowo.

Wyprostowała się i zwróciła twarzą ku niemu, postanawiając zignorować jego przystojną, kanciastą twarz i brązowe oczy lśniące jak whisky. Nie będzie zwracać uwagi ani na szerokie barki, ani na sposób, w jaki rozwichrzone włosy spadały mu na czoło, ani na jego wargi.

Zwłaszcza na wargi. Wyrządziły najwięcej szkody.

Ogarnęło ją przygnębienie i rozgoryczenie, a także coś, co mogłoby się przeobrazić we wstyd, gdyby na to pozwoliła. A tego nie chciała. Nigdy więcej. Z żadnym innym mężczyzną. Nawet z tym, który nagle zaczął się jej wydawać o wiele ważniejszy niż pierwszy.

Odpędziła od siebie te uczucia i wyszła, odczuwając tylko jedno.

Determinację.

Nie powinna odczuwać wstydu. Nie dzisiaj. Niech diabli porwą kusicielskiego księcia Warnick! Jeśli chce, żeby się do niej zalecano, niech i tak będzie. Za siedem dni obraz zostanie odsłonięty, a ona nie zdoła się zakochać w tak krótkim czasie.

Nie będzie mogła.

Postanowiła zgodzić się na jego plan.

– Wybieram hrabiego Stanhope’a – powiedziała, wymieniając pierwsze nazwisko z jego idiotycznej listy.

Zdumiewające, jak szybko można przejść od własnych pragnień do ich zakwestionowania.

Gdy Alec wszedł do saloniku porannego, lękał się stanąć oko w oko z Lily, pewien, że zamierzała go oskarżyć o wszystko, co najgorsze, a potem nalegać, by

albo ją wysłał gdzieś z Londynu, albo się z nią ożenił.

Prawdę mówiąc, nie był wcale pewien, czy zgodziłby się na pierwsze. Nie po tym, gdy trzymał poprzedniej nocy w ramionach to wcielenie piękności i pokusy.

Prócz tego wcale nie chciał się z nią żenić. Zasługiwała na kogoś nieskończenie lepszego od mężczyzny dobrego tylko do cielesnych igraszek i niczego więcej. Na kogoś lepszego niż brutal, który przed odziedziczeniem tytułu księcia Warnick był wart co najwyżej przelotnego spojrzenia najpiękniejszej Angielki. A już na pewno nie kolejnej nocy.

Zbyt nieokrzesany. Zbyt prostacki.

Lily była warta tuzina takich jak on. Dowiódł tego zeszłej nocy i stanowczo obstawał przy swoim planie. Wyda ją za mąż. A kiedy już tego dokona, pojedzie do Szkocji. Żeby nigdy więcej tu nie wrócić.

Wszedł rano do saloniku z zamiarem ostatecznego ustalenia tych bardzo jasnych reguł. Nie spodziewał się, że będzie wyglądała aż tak pięknie w zielonej jedwabnej sukni, w której nigdy jej jeszcze nie widział, i że pogłaszcze potężny łeb Hardy'ego tak, jakby wychowywała go od szczeniaka.

Nie powinno się było liczyć, że lubiła jego psy.

Liczyło się tylko to, żeby wydać ją za mąż.

Powinien był więc poczuć ulgę, kiedy się zgodziła i wybrała nazwisko, ale nie czuł wcale ulgi, tylko coś o wiele groźniejszego. Coś, co – gdyby się lepiej zastanowił – byłoby bliższe zazdrości.

Odparł jednak, udając, że przyjął jej oświadczenie spokojnie.

– Stanhope. Czy go znasz?

– Każda niezamężna kobieta w Londynie o nim słyszała.

Nie podobał mu się sposób, w jaki to powiedziała, całkiem jakby tamten mężczyzna był czymś w rodzaju wygranej na loterii.

– A ja nie.

Uśmiechnęła się łagodnie.

– Bo nie czytasz „Pereł i Pelis".

Alec był dumny z tego, że w ogóle wiedział o istnieniu tego magazynu dla pań.

– Jestem dorosłym mężczyzną, więc tego nie robię.

– Nazywają go Panem Włości – powiedziała Lily, jakby mu to coś mówiło.

Alec nie potrafił ukryć własnej ignorancji.

– Cóż to, u licha, znaczy?

Westchnęła, a kiedy odpowiedziała, czuł, że zirytowała ją jego zdumiewająca niewiedza.

– Lord Stanhope figuruje na czele londyńskiej listy Panów Włości, odkąd

czytuję bulwarówki.

– Wrócimy jeszcze do tego, dlaczego je w ogóle czytujesz. Ale wyjaśnij mi najpierw, czemu Stanhope – skrzywił się na samą myśl o idiotycznym przydomku – zawdzięcza swoje miano?

Wyliczyła na palcach jego zalety.

– Jest przystojny, czarujący, utytułowany i nie ma żony.

Alec przypuszczał, że kobietom podobają się te cechy.

– Ale niebogaty?

Lily uniosła jedną ze swoich perfekcyjnych brwi.

– W tym cała rzecz. Jak zresztą dobrze wiesz. Czy nie dlatego właśnie chcesz mnie wydać za mąż?

Zabolały go te słowa.

– Spodziewałbym się nie tylko tego, że pragnie zamożności – zaczął, nim się zastanowił. Lily nie była głupia. Mogłaby zapytać, czy…

– A czego jeszcze?

O tym nie chciałby mówić. Ale widział ją z Hardym u stóp, wpatrzonym w nią z uwielbieniem, i to kazało mu zdobyć się na odpowiedź:

– Twojej urody.

Uniosła obydwie brwi w niemym pytaniu.

A chodziło tu o prawdę. Była najpiękniejszą kobietą, jaką kiedykolwiek widział, ze swoimi rudymi włosami, szarymi oczami, twarzą w kształcie idealnego serduszka i zgrabnym ciałem.

Desperacko usiłował je ignorować aż do poprzedniej nocy, bo kiedy je przyciskał do własnego losu, nie miał wyboru: musiał je zauważyć. A także zapamiętać raz na zawsze.

Była najzupełniej wspaniała.

No i najzupełniej nie dla niego.

– W najlepszym razie jestem pięknością ze zrujnowaną reputacją teraz, kiedy wszyscy wiedzą o obrazie.

– Same bzdury – odparł, ale z wyschniętym gardłem. Zakaszlał, sięgnął po herbatę i pociągnął spory łyk. – Obraz nie zmienia tego, że twoja uroda jest doskonała.

Po czym usłyszał:

– Dziwne, ale w ustach Waszej Wysokości, wcale nie brzmi to jak komplement.

– No, bo nim nie jest. – Wiedział, że jego uwaga zabrzmiała zgryźliwie, ale nie potrafił się od niej powstrzymać. Podniósł z podłogi krzesło, które wcześniej przewrócił.

Kiedy wspomniała o swoim doświadczeniu.

Gdy podnosił krzesło, ujrzał nagle oczami wyobraźni, jak mogło wyglądać to doświadczenie. Jego wizje natychmiast zastąpiła myśl o rodzaje doświadczenia, które on był w stanie jej dać.

W tym właśnie tkwiło niebezpieczeństwo.

– Z pięknością wiążą się kłopoty – powiedział bardziej do siebie niż do niej.

Lillian Hargrove była wcielonym kłopotem. Najgorszego rodzaju. Kłopotem, który popycha mężczyzn do robienia różnych głupstw, jak na przykład do nieprzytomnego całowania się z nimi w powozie, póki obydwoje nie omdleją z rozkoszy.

Odegnał od siebie tę myśl, nękającą go podczas herbaty. Nie będzie żadnego omdlewania z rozkoszy. Nie z nią. Nigdy więcej.

Zasługiwała na mężczyznę nieskończenie lepszego od szkockiego prostaka, który nie mieścił się we framudze drzwi i dlatego miał posiniaczone ciało, któremu pękały szwy w ubraniach, kiedy puszczał komuś krew z nosa. Zasługiwała na mężczyznę z większą ogładą niż on. Na kogoś wytwornego.

Na jego przeciwieństwo.

Przypuszczał, że ten Pan Włości – cokolwiek to znaczyło – był właśnie kimś w tym rodzaju. A jeśli Stanhope nadawał się na jej małżonka, on mógł się tylko z tego cieszyć. Doprawdy, Pan Włości był tym, czego Lily potrzebowała. Kimś, kogo uważano za tak dobrego kandydata do ożenku, że ich mariaż zdobyłby rozgłos. Że wymaże z pamięci obraz Hawkinsa.

Jeśli coś mogło wymazać z pamięci nagość Lily, w co Alec wątpił. Z powodu jej piękności.

– Chyba szkockie powietrze padło na mózg Waszej Wysokości. Wielu sądziłoby, że piękność jest prawdziwym dobrodziejstwem.

– Jestem inny niż wielu. Wiem lepiej. A piękność taka jak twoja wcale nie jest dobrodziejstwem.

Otworzyła usta. Zamknęła. Otworzyła je ponownie.

– Chyba nigdy w życiu nie ubliżono mi bardziej komplementem.

To dobrze. Jeśli jej ubliżył, będzie się teraz trzymać od niego z daleka.

– Bez obaw, dziewczyno. Skorzystamy z twoich zalet i wydamy cię za mąż.

– Z moich zalet?

– No, właśnie.

– Te zalety to piękność?

Podeszła ku niemu. Alec cofnął się, chcąc, żeby stół znalazł się między nimi. Wyczuł jej irytację i przypomniał sobie jej prawy sierpowy z poprzedniej nocy.

– A oprócz niej posag.

– Zgadza się.

Przynajmniej tyle zrozumiała.

– A mój umysł?

Alec zwlekał z odpowiedzią. Z miejsca zrozumiał, że pytanie było niebezpieczne.

– Jest pierwszorzędny.

– Nie wysilaj się na wymyślne komplementy.

Westchnął i z rozpaczą spojrzał w sufit.

– Chciałem tylko dać ci do zrozumienia, że twój umysł się tu nie liczy.

Zdumiała się.

Najwyraźniej źle sformułował odpowiedź.

– Miałem na myśli tylko to, że twój umysł nie liczy się w moim planie.

– Och, pojmuję – odparła, a jemu nie umknął sarkazm zawarty w tych słowach. – Prawdziwy z ciebie Szkot.

– Widzę, że to rozumiesz.

Zmrużyła oczy ze złości.

– Całkiem jakbyś mnie chciał wystawić na widok od dziewiątej do trzeciej, żeby każdy mógł przyjść i przyjrzeć się należycie towarowi!

Rozzłościł ją. Bardzo dobrze. Rozzłoszczonej Lily nie można było całować. Starał się ją jeszcze bardziej rozgniewać.

– Teoretycznie nie miałbym nic przeciw temu, ale zdaję sobie sprawę, że byłoby to zapewne niestosowne.

– Niestosowne?

– Stanowczo. Porozumiem się ze Stanhope’em. Spotkasz się z nim jutro.

Otworzyła szeroko oczy.

– Jutro?

– Nie możemy tracić czasu. Masz tylko siedem dni, żeby go złapać na męża.

On zaś miał siedem dni, żeby się jej oprzeć. Zacisnął zęby na tę myśl.

– A jeśli będzie zajęty czymś innym?

– Nie powinien.

Uniosła perfekcyjną, kasztanowatą brew.

– Może nie lubisz swego tytułu, książę, ale za to świetnie sobie przyswoiłeś książęcą arogancję.

– Sama go wybrałaś! – warknął. – Sprowadzę ci go choćby za kark!

Zamilkli obydwoje, a on miał szczerą ochotę zawyć niczym dzikie zwierzę. Otworzył jednak usta w całkiem innym celu. Żeby ją przeprosić.

Uprzedziła go.

– Proszę bardzo, przyprowadź go za kark.

– Lily – zaczął i nagle poczuł, że nic mu dobrze nie idzie tego ranka.

Spojrzała na niego z ukosa.

– Mówiłam ci już chyba, żebyś mnie tak nie nazywał.

Dała mu do zrozumienia jasno, że nie może mówić do niej „Lily".

– Lillian – zaczął ponownie – zeszłej nocy ja byłem… byłem… – Ta dziewczyna robiła z niego plotącego głupstwa idiotę! Jak to możliwe? – Zapiszmy to na konto mojej brutalności.

– Przestań tak o sobie mówić. Wcale nie jesteś brutalny.

– Przecież podarłem surdut. I jeszcze coś. – Twój stanik.

Nie powinien myśleć o jej staniku.

– Potrzebujesz po prostu lepszego krawca.

Potrafiła go piekielnie rozdrażnić.

– Nie zrobię się od tego mniej nieokrzesany.

Zamilkła na tak długo, że już się nie spodziewał odpowiedzi, ale wtedy powiedziała najgorszą rzecz, jaką mógł sobie wyobrazić.

– Czemu to robisz?

– Co?

Zaczęła okrążać stół, a on również, chcąc utrzymać dystans między nimi.

– Czemu mówisz o sobie „bestia" i „brutal"?

Szkocki Brutal.

Zawahał się.

– Przecież ty także mnie tak nazywasz.

– Ale ja to robię ze złości, a ty na serio.

Bo zawsze to w nim tkwiło. No i nigdy nie byłby dla niej dość dobry.

– A jakże mnie zwą twoje pisma dla pań?

– Rozmaicie. Niechętnym Księciem albo Biesem z Highlands.

– Nie jestem już dłużej Szkotem z Highlands.

– Niech mi Wasza Wysokość wybaczy, ale nikt nie dba zbytnio o prawdę.

On też o tym wiedział i odpowiadało mu to. Nie miał ochoty roztrząsać prawdy.

– W każdym razie inaczej już nie będzie.

Może przestałby tego pragnąć, gdyby jej to przyrzekł?

Po dłuższej chwili skinęła głową i dodała:

– Powinnam zażądać przyzwoitki.

– Nie. Przyzwoitki przeszkadzają.

– Przecież po to właśnie są. Żeby przeszkadzać i dbać o przyzwoitość.

– Nie mamy czasu na przyzwoitość.

Hardy szczeknął: psy doszły widocznie do wniosku, że krążenie wokół stołu to jakaś zabawa.

Lily nie zwróciła uwagi na Hardy'ego.

– W takim razie dlaczego miałabym się martwić o przyzwoitkę? Nie mam zbyt świetlanej reputacji.

Dlatego, że była marzeniem każdego mężczyzny. A przyzwoitka nie powinna być niedowidzącą i niedosłyszącą starą damą. Lillian trzeba było kobiety zdającej sobie sprawę z braku czasu i zdolnej w razie czego tak solidnie przyłożyć jakiemuś zbyt śmiało sobie poczynającemu mężczyźnie, żeby padł bez przytomności.

Tylko że takiej energicznej przyzwoitki długo trzeba by szukać w Londynie, o czym dobrze wiedział.

Istniało jednak idealne rozwiązanie. Wymyślił je w nocy, zmuszając się, by myśleć o Lillian jako o podopiecznej, a nie o kobiecie. Był z tego dumny.

– Ja się wcale o to nie martwię.

Zatrzymała się i spojrzała na niego z niedowierzaniem.

– Niemożliwe!

– Ani trochę. – Zakołysał się na piętach i skrzyżował ręce na piersi. – Mam dla ciebie idealną przyzwoitkę.

Znowu uniosła brwi, tak wysoko, że niemal sięgnęły włosów.

– Kto nią jest?

Uśmiechnął się. Miał ją już w garści.

– Ja sam.

Wybuchnęła śmiechem – wesołym, pięknym śmiechem, wcieleniem pokusy.

– Mówisz poważnie?

– Całkiem poważnie.

Zmarszczyła brwi, a on musiał zdusić w sobie pragnienie, żeby delikatnie wygładzić dwie zmarszczki nad jej noskiem.

– Nie nadajesz się wcale do tego.

– Bzdura. Będę najlepszą przyzwoitką, jaką sobie można wyobrazić. – Po chwili milczenia zaczął wyliczać na palcach dobre strony takiego rozwiązania. – Ogromnie mi zależy na twoim udanym małżeństwie, bo chcę opuścić Londyn i nigdy do niego nie wrócić…

– Mógłbyś to od razu zrobić, gdybyś mi tylko dał pieniądze, żebym i ja mogła do niego nie wrócić.

Pominął milczeniem jej słowa i ciągnął dalej:

– Nienawidzę Anglików z całej duszy, będę więc o wiele czujniejszy niż jakaś

leciwa, niezamężna dama…

– Wasza Wysokość, choć dorosły, też ma już przecież swoje lata i nie jest żonaty. No i kogo też Wasza Wysokość uznaje za leciwą starą pannę?

Zignorował ten przytyk.

– …a jako mężczyzna potrafię zaradzić każdej kompromitującej sytuacji.

Lily zacisnęła wargi i milczała przez dobrą minutę – na tyle długo, by Alec uznał, że zwyciężył w tym sporze, zwłaszcza że dodała:

– Wygląda na to, że doskonale wszystko zaplanowałeś.

– Niewątpliwie.

Udałoby mu się wtedy spełnić obowiązek jak najszybszego wydania Lily za mąż. Zamierzał dać jej posag, gdy tylko wybierze sobie konkurenta, a potem wrócić do Szkocji.

I zapomnieć o niej.

– Twój plan ma tylko jeden słaby punkt.

– Jaki? – Uważał, że jego plan nie miał żadnych słabych punktów. Przemyślał go pod każdym kątem.

– Łączy się to z kompromitującymi sytuacjami.

Nie podobały mu się te słowa w jej ustach. Albo raczej podobały mu się za bardzo.

Było to zresztą nieistotne.

– Od czasu przyjazdu Waszej Wysokości do Londynu tylko raz znalazłam się w kompromitującej sytuacji. – Spojrzała na niego chłodno. – Zeszłej nocy.

Musiał przyznać, że w jego planie istotnie był jeden słaby punkt.

12. Książę coś traci, a hrabia zyskuje

Gdy wyszła z Psiego Domu następnego popołudnia na przechadzkę w Hyde Parku z całkiem jej nieznanym dżentelmenem, spodziewała się jakiegoś skromnego pojazdu. Czarnego i być może ozdobionego psim motywem, zważywszy charakter rezydencji, gdzie mieszkała. Zastała jednak kariolkę niepodobną do żadnej, jaką przedtem widziała.

Nie była to wytworna dwukółka, jaką różni młodzieńcy rozbijali się po całym Londynie. Ani też kariolka zdobiona wymyślnymi złoceniami, z rodzaju tych, w których damy spędzają popołudnia w Hyde Parku.

Nie przypominała właściwie żadnego znanego jej pojazdu, nie tylko dlatego, że oba psy siedziały w niej niczym idealni strażnicy. Była ogromna, z siedzeniami umieszczonymi wysoko i wielkimi, czarnymi kołami sięgającymi Lily niemal do ramienia. Błyszczała cała w słońcu, łącznie z kołami, nietkniętymi przez brud na londyńskim bruku.

Jakby tego nie było dosyć, zaprzężono ją w imponującą parę koni, tak czarnych, że niemal połyskujących granatowo w słońcu, i znakomicie dobranych – oba jednakowej wysokości, o jednakich, szerokich zadach. Zaparło jej dech na ich widok.

A potem zjawił się woźnica, nadchodząc od strony pojazdu, wysoki, barczysty i w tartanie. Wyglądał na kogoś niesłychanie bogatego, a zarazem na dzikusa o smagłych nogach i oczach, które zdawały się widzieć wszystko. No i te usta…

Nie. Żadne tam usta! Nie będzie dzisiaj myślała o ustach.

A już na pewno nie o tych należących do księcia Warnick.

Wskazała ruchem podbródka na kariolkę, schodząc po stopniach.

– Jaka piękna!

On też się przyjrzał pojazdowi. Z uśmiechem.

– A co, może nie?

Nie było rady. Uśmiechnęła się również.

– Nigdy nie widziałam podobnej.

– No, bo też nie ma drugiej takiej. Robiona na zamówienie.

– Zamawiałeś ją specjalnie? – zdziwiła się. – A po co? Czy jeździsz nią często po Szkocji, chcąc, żeby cię podziwiano?

Roześmiał się śmiechem równie ciepłym, jak niespotykany o tej porze roku ciepły dzień.

– Przeznaczona jest do wyścigów. Bardzo lekka, nie wywraca się i szybka jak kula. Bezkonkurencyjna.

Nie mogła sobie wyobrazić, jak pędzi drogą, nie zważając na żadne niebezpieczeństwo. W końcu nie miała obowiązku troszczyć się o niego.

– Czy ty ją zaprojektowałeś?

– Właściwie zrobił to Eversley.

Zmieszała się ponownie.

– A więc jest własnością markiza?

– *Nae*. Zamienił się nią ze mną.

– Na co?

Nie potrafiła sobie wyobrazić, co mogło być rekompensatą za podobny zaprzęg.

– Za stare siodło.

Otwarła usta ze zdumienia.

– Po cóż mu ono?

Uśmiechnął się ironicznie i zakołysał na piętach.

– Zakochał się, dureń jeden.

– Nie rozumiem.

– Ja też nie, ale nie odrzuciłem jego oferty. – Wyciągnął ku niej rękę. – Wsiadamy?

Bez wahania pozwoliła mu się podsadzić na siedzenie – wyższe niż w jakiejkolwiek innej kariolce, w której siedziała – i zajęła miejsce tuż przy Hardym, który natychmiast nadstawił jej łeb, żeby go poskrobała za uchem. Zrobiła to z przyjemnością.

Alec usiadł koło Angusa.

– Zepsujesz mi psy kiełbaskami i uwielbieniem.

– Nonsens. Przecież nie nakładam mu wysadzanej klejnotami korony.

Żart mu się spodobał. Uśmiechnął się przelotnie i prawie niezauważalnie, ale Lily to dostrzegła. Miał piękny uśmiech. Nie zażartowała w konkretnym celu, było to jedynie proste stwierdzenie faktu. Takiego jak to, że niebo jest błękitne, a psy mają ogon.

Otrząsnęła się z tych niemądrych myśli, gdy pojazd ruszył, a jechał bez żadnych wstrząsów, tak że ledwie czuła obroty kół.

Kariolka była wprost cudowna.

– Chciałabym mieć taką.

– Mogę ci kupić drugą. W prezencie ślubnym.

Wciąż mu w głowie było wydanie jej za mąż. Żeby jej znów narobić kłopotów.

– W takim razie wcale jej nie chcę. Wolałabym, żeby była…

Spojrzał na nią uważnie.

– Czym?

– Chciałam powiedzieć – odparła, kręcąc przecząco głową – żeby to raczej był prezent urodzinowy.

– Pieniądze ci nie wystarczą? – spytał cierpko.

– One mi się należą. Zawsze jednak uważałam, że miło byłoby dostać jakiś prezent.

– Zawsze tak uważałaś? – Spojrzał na nią uważnie. – Czy nigdy żadnego nie dostałaś?

Odwróciła wzrok. Nie chciała mu odpowiadać, kiedy tak na nią patrzył.

– Dostawałam je, kiedy byłam dzieckiem. Różne drobiazgi. Ale kiedy ojciec… – Zawahała się, a potem znów pokręciła głową. – Prezenty daje się głównie dzieciom. A kiedy ty dostałeś ostatni?

– Na moje ostatnie urodziny. Catherine dała mi kociątko. Uważała, że zasługuję na coś równie aroganckiego, jak ja sam.

Zaśmiała się.

– No i co?

– Dała temu przeklętemu kociakowi na imię Arystofanes. Rzecz jasna, jest arogancki.

– Lubisz go?

– Toleruję – odparł, ale dojrzała, że uśmiechnął się nieznacznie i z czułością. – Zostawia mi pełno sierści na poduszce. A także miauczy donośnie w nieodpowiednich chwilach.

– Dlaczego nieodpowiednich?

– Kiedy jestem w łóżku.

Oblał ją rumieniec. Co też mógł mieć na myśli?

– Chyba to nie sprawia przyjemności tym, którzy leżą w nim razem z tobą?

Zrozumiał przytyk.

– Pewnie nigdy w życiu cię nie obudziły dwa psy uganiające się za kotem, który wlazł na ścianę.

Lily z uśmiechem pogładziła Hardy’ego po miękkim łbie.

– Nonsens. Jestem pewna, że zachowują się iście po królewsku.

Alec, nie patrząc, najpierw poskrobał za uchem Angusa, a potem Hardy’ego, i

niemal dotknął przy tym jej ręki. Poczuła to. Drgnęła lekko, nim ją cofnął.

– Przepraszam – powiedział. Jechali potem dłuższą chwilę w milczeniu, a Lily zapragnęła, by jej znowu dotknął, ale on tylko odchrząknął.

– Porozmawiamy o tych celach po południu.

Spojrzała na niego zaskoczona.

– O celach?

– Owszem.

Czekała na dalszy ciąg. Kiedy nic nie mówił, spytała:

– Myślałam, że twoim celem jest zaręczenie mnie, nim obraz zostanie odsłonięty.

– No właśnie.

Odwróciła wzrok, usiłując zignorować przykrość, jaką sprawiły jej te słowa. Nie chciała, żeby ją popychano do małżeństwa z rozsądku. Nie o tym marzyła, tylko o namiętności, miłości i czymś o wiele większego formatu niż spacer po parku. Wyobrażała sobie spotkanie w niezbyt zatłoczonym pokoju, wzajemne przyglądanie się sobie przez pewien czas.

A zamiast tego była czymś wystawionym jak bydło na sprzedaż.

W nadziei, że jakiś mężczyzna wybierze ją za żonę, nim całe miasto ujrzy ją nagą.

Co za upokorzenie.

A potem on powiedział:

– Ważne jest, żebyś się spodobała.

Odwróciła się ku niemu z impetem.

– Żebym się spodobała?!

Skinął głową. Kariolka pędziła już szeroką ulicą wiodącą do Hyde Parku.

– Chciałbym ci podsunąć parę sugestii.

– W jaki sposób mam się spodobać?

– Owszem.

Niemożliwe.

– Jak przyzwoitka?

– Jak mężczyzna.

Nie byłoby to wcale upokarzające wcześniej. Ale teraz – tak. Może należało wyskoczyć z imponującej kariolki? Pędziła szybko, mogłaby więc spaść z niej do Tamizy i zatonąć w mule.

Nie było jednak żadnej szansy na to, by się w ogóle zbliżyli do Tamizy.

– Co jeszcze?

– Mężczyźni lubią mówić o sobie.

– Myślisz, że o tym nie wiem?

– Pewnie wiesz, zważywszy twoją przyjaźń z Hawkinsem – odparł. Wiatr zagłuszał jego słowa.

– Nie byliśmy przyjaciółmi! – parsknęła.

– Nie dziwi mnie to – przyznał. – Trudno mi sobie wyobrazić, żeby ktoś pragnął się z nim zaprzyjaźnić.

Pragnęła niegdyś, by Derek Hawkins okazał się kimś więcej niż przyjacielem, lecz było to już nieistotne. Mierzyła Aleca wzrokiem przez jakiś czas, a potem powiedziała:

– Ty na pewno nie mógłbyś.

– Masz zupełną rację. Nie ja. Nie chciałbym nawet oddychać tym samym powietrzem co on. Nigdy.

– Chodziło mi o coś innego. Ty nie lubisz mówić o sobie.

Prócz tego, że nazywał siebie brutalem. Bestią. Co mu się stało, że w to uwierzył? Że uważa się za prostaka? Gdy odważała się o nim myśleć, wydawał się jej wspaniały. Muskulatury i przystojnych rysów mógłby mu, jej zdaniem, pozazdrościć każdy mężczyzna. A jego pocałunki…

Nie!

Na szczęście przerwała te niebezpieczne dumania.

– Jestem Szkotem – powiedział, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Szkotem – powtórzyła.

– My jesteśmy mniej aroganccy od Anglików.

– Czy Anglicy są twoim zdanie gorsi od wszystkich prócz Szkotów?

– To nie arogancja. – Wzruszył ramionami. – Po prostu tak jest i już. Chciałem powiedzieć, że powinnaś ich pytać. O wszystko. A także pozwolić, żeby gadali, ile wlezie, o tobie.

– Ach, jakież to romantyczne – ironizowała.

Uśmiechnął się lekceważąco.

– Pytaj ich o to, co Anglicy lubią. O konie. Kapelusze. Parasole.

– Parasole? – zdziwiła się.

– Utytułowani Anglicy nadzwyczaj się przejmują pogodą.

– Czy w Szkocji nie pada deszcz?

– Leje, dziewczyno. Ale my jesteśmy mocni ludzie i nie narzekamy na wilgoć.

– Pewnie sobie z niej żartujecie? – spytała zgryźliwie. – Bo nic ładniej nie pachnie niż przemoczony wełniany tartan?

Uniósł brwi.

– Jeszcze ci coś podsunę. Powinnaś się jak najbardziej ze wszystkim zgadzać.

– Z tobą? – odcięła się.

– Nie byłoby to wcale złe, ale ja miałem na myśli Stanhope’a. Mężczyźni lubią zgodne kobiety.

– Potulne.

– O, właśnie. – Alec wydawał się bardzo zadowolony z jej pojętności.

– Owszem, zgodziłam się pozować do aktu, o którym już wszyscy mówią. To chyba dowodzi potulności?

– Ja bym o tym nie wspominał – mruknął.

– Wasza Wysokość sądzi chyba, że mam kurzy móżdżek.

– Chcesz wyjść za mąż czy nie? – spytał z westchnieniem.

– O, tak – odcięła mu się. – Wprost marzę o małżonku, który będzie w kółko plótł o mnie bzdury.

– Świadomie udajesz głupią.

– Czy aby udaję? W końcu namawiasz mnie, żebym nie okazywała nadmiernej inteligencji.

– No cóż, coś takiego mówiłem.

– Żebym się nie wymądrzała? – Uśmiechnął się lekko, najwyraźniej rozbawiony. – Naszą rozmowę trudno uznać za zabawną, Wasza Wysokość. No dalej, proszę mi podsunąć kolejny błyskotliwy pomysł!

– Okazuj swoje zalety.

– Cóż to właściwie znaczy? – spytała ze zdumieniem.

– Tylko tyle, że skoro on ma tak rozległe włości, będziesz mu pewnie musiała czymś zaimponować.

Skręcili w stronę Hyde Parku. Rozciągał się przed nimi widok Rotten Row. Kariolka zwolniła, co nie uszło uwagi dobrze ubranego mężczyzny stojącego kilka metrów dalej. Uśmiechnął się serdecznie, a Lily zrozumiała, że musi to być lord Frederick Stanhope, bo wyglądał dokładnie tak, jak go opisywały „Perły i Pelisy”. Niezwykle przystojny, rudawy blondyn z szerokim, triumfalnym uśmiechem, o życzliwym spojrzeniu oczu barwy gęstej czekolady.

– To z całą pewnością Pan Włości – powiedziała Lily.

Popołudnie mogłoby zacząć się wspaniale, gdyby tylko zdołała wzbudzić w sobie zainteresowanie Stanhope’em. A tymczasem musiała słuchać wynurzeń Szkota, który jej radził, o czym ma rozmawiać z konkurentem. I pouczał ją, że powinna się pokazać z najlepszej strony!

Nie wróżyło to dobrze temu spotkaniu.

– Jeśli ci się tacy podobają.

– Przystojni, utytułowani i nieżonaci? Masz rację, co za osobliwe upodobania!

Alec chrząknął z irytacją, a Lily uznała, że wygrała tę batalię. Gdy Stanhope zbliżał się ku nim, spojrzała na Aleca, który wciąż jeszcze trzymał lejce w wielkich, okrytych rękawiczkami dłoniach.

– Pewnie mi jeszcze powiesz, które z tych moich zalet mam podkreślać?

– Nie.

Lily nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

– Naprawdę?

– Rób, co uważasz, i tyle. – Alec zsiadł z kariolki, Hardy i Angus wyskoczyły z niej w ślad za nim. Obszedł ją naokoło, żeby pomóc jej zejść.

Gdy objął ją w pasie, poczuła się dziwnie nieswojo, a jeszcze bardziej wtedy, gdy powiedział tak cicho, że tylko ona mogła to słyszeć:

– Wszystkie twoje zalety są jak najlepsze.

Stanhope z miejsca mu się nie spodobał.

Oczywiście wiedział, czemu wzbudza sympatię kobiet, mimo że nie był wcale bogaty. Przecież Lily wyliczała jego dodatnie cechy. Przystojny, utytułowany i nieżonaty.

A także czarujący, co stało się oczywiste, gdy ten dandys do nich podszedł, z laseczką w ręce, w świetnie skrojonych spodniach i surducie leżącym na nim jak ulał, a potem nachylił się nad dłonią Lily, mówiąc z doskonałym akcentem wyniesionym z najlepszych szkół:

– Panno Hargrove, miło mi, że zechciała się pani ze mną spotkać.

Był zbyt czarujący.

A potem ten nędznik ją pocałował.

Jasne, ucałował tylko jej rękawiczkę, co Alec mógłby uznać za całkowicie rozsądne, choć nieco śmieszne powitanie kobiety, z którą miało się zamiar żenić.

Oczywiście mógłby tak uznać, gdyby nie przepełniała go chęć, by urwać łeb temu lalusiowi, który dotknął wargami czegoś, co do niego nie należało.

Spojrzał na konie, nie widząc rumieńca Lily i usiłując zapomnieć o tym, co czuł, kiedy stawiał ją na ziemi kilka sekund wcześniej.

– Bardzo mi miło, lordzie Stanhope – powiedziała swoim ślicznym, melodyjnym głosem – mimo niekonwencjonalnych okoliczności.

Alec dostrzegł, że Stanhope spojrzał jej prosto w oczy. Co za zuchwalec!

– Pod jakim względem niekonwencjonalnych? – spytał hrabia.

– Nigdy się wcześniej nie spotkaliśmy.

– Widziałem panią wczoraj na balu Eversleya, brakło mi tylko sposobności, żeby mnie ktoś przedstawił, bo pani wcześniej wyszła – odparł Stanhope, stanowczo

stojąc zbyt blisko niej. – Socjeta byłaby niezwykle zgorszona.

Alec o mało nie jęknął. Jak ona może uważać go za sympatycznego? Był taki strasznie… angielski.

– Nie zauważyłam pana.

– Za to panią nietrudno było zauważyć w tłumie.

Roześmiała się.

– Pewnie z powodu mojej sukni?

Hrabia również się zaśmiał, pogodnie i głośno. Alec miał ochotę walnąć w coś pięścią z całej siły.

– Czy było w niej coś osobliwego? Nie zauważyłem.

Uśmiechnęła się szeroko, a serce Aleca załomotało.

– Świetnie pan umie kłamać, milordzie.

Zrobiła błąd.

Podobał się jej ten arystokratyczny głupek. Alec gotów był się założyć, że ona jemu również. Zauważył, że Stanhope trzyma dłoń Lily tak, jakby należała już do niego.

Nie był z tego zadowolony.

Nie należała do nikogo prócz siebie samej, do diaska.

– Cofnij się trochę, Stanhope – warknął.

W tejże chwili Angus i Hardy zaczęły obwąchiwać hrabiego. A ten fircyk puścił jej dłoń, by się schylić i pogłaskać je.

– Co za wspaniałe stworzenia! – powiedział, gdy Angus polizał go po twarzy. – Dobry, dobry pies!

Wcześniej Hardy polubił Lily, a teraz znów Angus tego bawidamka. Anglia niszczyła jego psy. Był to może najpilniejszy powód, by wrócił do Szkocji po wydaniu Lily za mąż.

Ale nie za tego człowieka, czego był najzupełniej pewny.

– Angus, dość tego – rozkazał psu, wyprzęgając konie.

Angus usłuchał go, ale zaskowyczał z cichym protestem. Alec dostrzegł, że hrabia zdołał jeszcze dyskretnie podrapać psa za uchem, nim się całkiem wyprostował. No, może nie był w końcu całkiem zły?

– Witam, Warnick. – Stanhope uśmiechnął się przyjaźnie. – Rzadko się pana widuje w Londynie, a jeszcze rzadziej tutaj. W dodatku o najpopularniejszej porze. – Z pewnym rozbawieniem spojrzał na tartan Aleca. – Widzę, że się pan ubrał odpowiednio na tę okazję.

Alec uniósł czarne brwi.

– Przecież mam na sobie surdut.

Lily uśmiechnęła się do niego spoza pleców Stanhope'a,Alec zaś doznał zaskakującej satysfakcji na myśl, że ją rozbawił. Włożył surdut ze względu na nią, żeby się dobrze zaprezentować na Rotten Row. Zachował jednak tartan. Dla zasady. Żeby pamiętać, że to nie jest jego miejsce.

Ale był w jej towarzystwie. Sama mu o tym jednak przypomniała.

– Można zabrać Szkota ze Szkocji… – Stanhope uśmiechnął się szeroko i niemądrze – …ale nie Szkocję Szkotowi. Rozumiem.

Mogliby już przestać przerzucać się tymi śmiechu wartymi sentencjami.

Alec mruknął coś pod nosem i odwrócił się tyłem. Hrabia jednak ani rusz nie przestawał bzdurzyć.

– Taki strój nie powinien przyciągać uwagi londyńskich dam.

– To pan powinien się zatroszczyć o przyciąganie uwagi dam – palnął Alec przez ramię. – Po to tu pan przyszedł.

Zapadło kłopotliwe milczenie. Słychać było tylko szmer wiatru w liściach i gwar rozmów tak dalekich, że brzmiały jak odległy szum.

A może jemu szumiało w uszach?

Nie powinien był tego mówić. Nie powinien był ujawnić, że całe popołudniowe spotkanie było z góry ustalone, żeby Stanhope'a zetknąć z Lily i umożliwić mu zaloty.

Ustalone z góry przez Aleca.

Odwrócił się. Ujrzał, że Lily jest cała czerwona i patrzy w ziemię pomiędzy sobą a hrabią. Alec zapragnął zbliżyć się do niej i przeprosić ją za swoje prostactwo. Za wszystko. Chyba nic innego nie robił w tych dniach, tylko przepraszał Lillian Hargrove. Za to, że jest przeklętym brutalem.

Nie zyskał jednak sposobności, żeby to zrobić, bo Stanhope znacznie przyspieszył kroku i powiedział, wyciągając ramię ku Lily, jakby Alec wcale się nie odezwał:

– Czułbym się niezwykle zaszczycony, gdyby przeszła się pani ze mną wzdłuż Rotten Row, panno Hargrove.

Lily przestała patrzeć pod nogi i uśmiechnęła się do hrabiego.

– Z największą przyjemnością.

Serce Aleca zaczęło gwałtownie walić z irytacji, rozgoryczenia i czegoś, o czym wcale nie miał zamiaru myśleć. Zamiast tego zajął się Angusem i Hardym, siedzącymi obok i wpatrzonymi w niego z niezrównaną psią przenikliwością.

Zmierzył je gniewnym spojrzeniem.

Stanhope spytał, wskazując na pustą kariolkę:

– Czy mogłaby nam towarzyszyć jakaś przyzwoitka?

Alec skrzyżował ręce na piersi.

– *Aye*, jest jedna.

Stanhope spojrzał pytająco na Lily.

Położyła mu rękę na wyciągniętym ku niej ramieniu, kierując się ku Alekowi.

– Mam dosyć niekonwencjonalną przyzwoitkę.

Stanhope przyjął to ze spokojem. Jego wzrok spoczął na psach.

– Imponująca para.

Nachylił się ku Lily i szepnął:

– Proszę się nie bać. Jestem dobry dla zwierząt.

Wstrętny żarcik. Ten osioł zasłużył, żeby mu łeb urwać.

Lily zaśmiała się.

– Mam nadzieję, milordzie.

Czy ona flirtowała? Czy tak wygląda flirt?

Nie dbał zresztą o to.

Ruszyli po zakurzonym Rotten Row, który, jak uważał Alec, dla Lily i całej reszty Londynu był „naturą". Rzecz jasna, nie miał z nią nic wspólnego. Roiło się na nim od ludzi. Grupki wystrojonych kobiet spacerowały po bokach, a środkiem jechały pary w kariolkach i mężczyźni na koniach. Stanowczo musiała to być właśnie ta najbardziej popularna pora, bo nie można było swobodnie przejść: tłum wręcz porywał człowieka ze sobą.

Alec wiedział, że przyzwoitki powinny w podobnej sytuacji trzymać się w pewnej odległości od pary, ale gdyby tak zrobił, straciłby ich z oczu. Stanhope był tak bardzo zajęty gadaniem o sobie, że ktoś mógł z tego skorzystać i poderwać mu Lily. Albo też, co gorsza, mógł tak zrobić sam Stanhope.

Mogło się jej łatwo coś stać.

Lepiej więc było trzymać się blisko niej. Oba psy najwyraźniej też tak uważały i szły po obu stronach Lily i Stanhope'a.

– Czy tu zawsze jest tak tłoczno? – spytała hrabiego Lily, Alec zaś powściągnął chęć, żeby jej zgryźliwie odpowiedzieć.

– Nie zawsze – stwierdził hrabia. – Przypuszczam, że dziś działają dwa powody. Piękna pogoda… albo też…

Zawiesił głos i uśmiechnął się do Lily, tak że musiała na niego spojrzeć.

– …albo też wszyscy się dowiedzieli, że pani tutaj dziś będzie.

Lily była o wiele za bystra, żeby się nabrać na takie lukrowane słówka.

Nie mógł dojrzeć jej twarzy pod rondem ślicznego różowego kapelusika, ale dostrzegł błysk białych zębów w uśmiechu, nim pochyliła głowę i odwróciła wzrok.

Spodobało jej się to.

Dobry Boże.

– Daj spokój dziewczynie, Stanhope.

Lily obejrzała się raptownie przez ramię, otwierając nieco szerzej oczy – pewnie dlatego, że podszedł do nich tak blisko. Poczerwieniała, jakby byli na słońcu przez całe popołudnie, a nie dopiero od kwadransa.

Uniósł brwi, czekając, co ona powie.

Odwróciła się znów do Stanhope'a.

– Świetnie pan umie pochlebiać.

Alec stęknął. Oczywiście, Stanhope był w tym prawdziwym ekspertem. Zniewieściały Brytyjczyk, nawykły do zawracania kobietom w głowach i uwodzenia ich.

Stanhope ujął obie dłonie Lily w swoje, okryte rękawiczką.

– Staram się, jak mogę, rzecz jasna, ale łatwo pochlebiać komuś tak ładnemu.

Stęknięcie Aleca przerodziło się w gniewny pomruk.

– Milordzie, czy często się pan przechadza po Rotten Row?

– Owszem. Bardzo to lubię. – Przyjrzał się jej z błyskiem w brązowych oczach. – Zwłaszcza w takim towarzystwie.

Alec prychnął, a Lily znów spojrzała na niego ostro przez ramię, po czym przyspieszyła kroku, bez wątpienia chcąc się go pozbyć. Hrabia z łatwością dostosował się do tego tempa. Alec również. Po chwili powiedziała:

– Myślę, że jest pan bardzo pożądany jako eskorta.

Co za flirciara.

– Obawiam się, że nie tak bardzo, jak się pani wydaje – odparł hrabia. – Jestem już, niestety, w pewnym wieku!

Potkręciła głową, rozbawiona.

– Zbędna pokora, milordzie. Londyńskie damy z pewnością są wdzięczne, że pozostaje pan w kawalerskim stanie.

– Czy pani również, panno Hargrove? – spytał z uśmiechem.

Alec miał szczerą chęć warknąć, że wcale nie. Że w tym bawidamku nie było nic wartego jej wdzięczności. A już na pewno nic jej nie powinno się było w nim podobać.

Z pewnością zaś nic takiego, co by ją zachęciło do małżeństwa.

– Jestem panu wdzięczna za towarzystwo – odpowiedziała, a jemu zaparło dech, bo przypomniało mu się, co mówiła poprzedniego wieczoru: „Ciekawa byłam, czy kiedykolwiek jeszcze kogoś dotknę".

Nigdy w życiu nie pragnął bardziej dotknąć kogoś niż w tamtej chwili, gdy

wyznawała mu swoje lęki, rozterki i powody związania się z Hawkinsem. A on ją całował i uwielbiał, i nie był w stanie myśleć o niczym prócz tego, że nie powinien jej dotykać. Że zasługiwała na kogoś lepszego.

Na dobrego człowieka. Pełnego uroku, uprzejmego, niezdolnego razić ją prostactwem, zbyt wielkim cielskiem, no i swoją przeszłością. Nieskończenie lepiej do niej pasującego niż on.

Na kogoś takiego jak przeklęty hrabia Stanhope.

Zakładając, że przeklęty hrabia Stanhope byłby dla niej odpowiedni. Obydwoje nie wiedzieli, czy nie był przypadkiem odpowiedni dla nikogo. W końcu liczył sobie trzydzieści siedem lat, a żony nie miał. Jeśli to nie dowodziło jakiegoś szczególnego problemu, w takim razie Alec nie miał pojęcia, co mogłoby nim być.

Ścieżka lekko skręcała w bok. Popołudniowe słońce jasno oświetliło Lily i Stanhope'a.

– Czemu się pan nie ożenił, Stanhope?

Lily odwróciła się z oburzeniem.

– Nie można zadawać takich pytań!

– Dlaczego?

Otwierała i zamykała usta niczym ryba.

– Bo tak się nie robi!

– Skąd wiesz, co się robi, a co nie? – spytał. – Nigdy przecież nie uczestniczyłaś w sezonie.

Spojrzała z rozpaczą w niebo.

– Cały świat wie, że się tego nie robi, i już. Przepraszam, milordzie – zwróciła się do hrabiego – moja przyzwoitka – przy tym słowie rzuciła na niego przez ramię wściekłe spojrzenia – jest szkocka.

Stanhope spojrzał na Lily, a potem z kolei na Aleca. Uniósł jedną z płowych brwi tak znacząco, jakby miał całe mnóstwo pytań, ale wolał milczeć. Wreszcie zaśmiał się krótko.

– Nie trzeba mnie przepraszać. Książę zadał mi właśnie pytanie, na które pół Londynu nie może się zdobyć. A ja zapewne pozostanę kawalerem z tego samego powodu, co wielu innych. – Przerwał, po czym dodał: – Nie jestem najlepszą partią.

– Albo jesteś przeklętym łajdakiem – burknął Alec.

Lily zatrzymała się gwałtownie. Puściła ramię hrabiego, uśmiechnęła się do niego przez zaciśnięte zęby i powiedziała:

– Zechce pan nam wybaczyć, milordzie?

Stanhope zdumiał się szczerze.

– Oczywiście.

– Wybaczyć komu? – spytał Alec.

– Nam – odparła Lily. – Tobie i mnie.

– Dlaczego mnie? – spytał, kładąc rękę na piersi. – Co ja takiego zrobiłem?

Rzuciła mu gniewne spojrzenie.

– Jak najbardziej tobie.

A potem odwróciła się od obydwu i ruszyła przed siebie, roztrącając ludzi na ścieżce.

Spojrzał na Stanhope'a, a ten uśmiechnął się szeroko do niego, całkiem jakby się wprost szampańsko bawił tego popołudnia. Alec zdusił w sobie chęć przyłożenia hrabiemu prosto w twarz i pospieszył za Lily.

Dogonił ją, gdy przechodziła szybkim krokiem wśród koni na ścieżce, zmierzając ku połaci trawy na skraju Rotten Row. Nie zauważył nawet, jak załomotało mu serce, gdy spojrzała na niego pełnymi gniewu szarymi oczami. Wciąż była na tyle blisko, że mógłby jej jeszcze dotknąć, i zrozumiał, że tego pragnie.

Pragnienie bardzo nie na miejscu u przyzwoitki.

Cofnął się o krok.

– Co ty wyprawiasz? – spytała.

– Nie wiem, co masz na myśli.

– Myślisz, że nie słyszeliśmy twoich chrząknięć i burknięć? A także niestosownych pytań?

Rozłożył ręce.

– Robię tylko to, co do mnie należy.

– A cóż właściwie do ciebie należy? – Wskazała na psy, które do nich dołączyły. – Hardy ma lepsze maniery od ciebie!

Spojrzał na psa, który słysząc swoje imię, wywiesił język długi na dobre kilka centymetrów, jakby chcąc dowieść słuszności słów Lily. Alec uznał, że porównanie go z psem było dość niesprawiedliwe.

– Pilnowanie, żeby adorator zachowywał się przyzwoicie. W końcu właśnie to robią przyzwoitki.

– Jeśli Wasza Wysokość chce wydać mnie za mąż – zakpiła – przyzwoitość jest ostatnią rzeczą, o której należałoby tu mówić.

Spojrzała gdzieś poza niego, a gdy zwrócił wzrok w tym samym kierunku, dojrzał, że Stanhope wmieszał się w tłum na Rotten Row i gawędzi w najlepsze z jakąś parą w kariolce, najwyraźniej świetnie się bawiąc.

Wyglądał jak idealny kandydat do ożenku.

– Bez wątpienia – ciągnęła Lily – jesteś najgorszą przyzwoitką w długich i szacownych dziejach tej profesji. Stare panny z całego świata ubolewają nad tobą, kiwając głowami w koronkowych czepkach.

Wiedział, że mówiła prawdę, ale nie miał zamiaru przyznawać jej racji.

– Pewnie świetnie wiesz, jak powinny postępować przyzwoitki.

– Wiem, że nie powinny nieznośnie zawadzać! – prychnęła.

– Przecież wam wcale nie zawadzam.

– Masz blisko dwa metry wzrostu i nic innego nie robisz.

– Czego byś chciała? Żebym się skurczył do rozmiarów twojego pięknego konkurenta?

Przewróciła oczami.

– Jest wyższy od większości londyńczyków!

Uśmiechnął się złośliwie.

– Ale nie ode mnie.

– No cóż, istotnie. Przypominasz wieżę na dwóch nogach! – Westchnęła. – Przestań zawadzać. Zachowuj należyty dystans.

– A jeśli on zrobi coś niewłaściwego?

Tym razem ona rozłożyła szeroko ręce.

– Przecież tu są całe tysiące ludzi. Jeśli sądzisz, że coś takiego zrobi, straciłeś rozum. Myślałam, że chcesz, żebym się zaręczyła.

– Bez przesady. Żadne znów tysiące ludzi. A ja naprawdę chcę, żebyś się zaręczyła.

– W takim razie pilnuj swego nosa. Wybierz sobie jedną z tych kobiet, które gapią się na twoje nogi. Prawdziwy skandal!

O mało się nie cofnął z wrażenia.

– Co ma być skandalem?

Westchnęła z desperacją, wzięła się pod boki i rozejrzała po Rotten Row.

– Wszystkie kobiety patrzą na twoje nogi. Co ci się zapewne podoba, bo w przeciwnym razie miałbyś na sobie jakiś przyzwoity ubiór.

Poszedł za jej wzrokiem i rzeczywiście dostrzegł, że wiele kobiet natychmiast przestało się im przyglądać.

– Przecież jest całkiem przyzwoity.

– Może w Szkocji. Ale my tu, w Anglii, nie pokazujemy kolan.

– Śmiechu warte.

– Och! – Wykonała taki gest, jakby miała unieść suknię. – Czy w takim razie mogę pokazać swoje?

– Nie powinnaś – odparł, a jego brwi niemal się zetknęły ze sobą.

– Czemu nie? Bez wątpienia są jedną z moich najlepszych cech. Lordowi Stanhope'owi z pewnością się spodobają, a cała reszta Londynu i tak je wkrótce ujrzy.

Nie wątpił w to. Cała ta dyskusja o jej kolanach sprawiła, że zapragnął uklęknąć, podnieść jej suknię i samemu się przekonać, jakie są.

Zamordowałby natomiast z miejsca Stanhope'a, gdyby on je miał oglądać.

Porzucił jednak tę myśl.

– Czego ty ode mnie chcesz, Lillian?

– Żebyś nosił spodnie.

– A niby dlaczego? – spytał ironicznie i ostentacyjnie uśmiechnął się do grupki kobiet, udających, że wcale na niego nie patrzą. Zarumieniły się, zachichotały i odwróciły, a Lily aż jęknęła z niesmaku. Uniósł brwi.

– Zazdrosna jesteś, dziewczyno?

Wyglądała tak, jakby na serio chciała mu zrobić coś złego.

– O ciebie? Gdybyś poszedł sobie z jedną z tych bezwstydnic, pozbyłabym się kłopotu. – Kiwnęła ręką w stronę tłumu. – Wasza Wysokość jest przedmiotem podziwu całego Londynu! Gratuluję.

A on podziwiał ją.

Nie. Nie podziwiał.

– Lillian, to ty jesteś tutaj przedmiotem podziwu – rzekł, patrząc na nią.

– Byłabym jeszcze większym, gdyby nie wlókł się za mną mój szkocki cień. – Zamilkła na chwilę, po czym dodała: – Wracam do Stanhope'a.

Wszystko się w nim buntowało przeciw temu.

– Doskonale.

– Nie chcę, żebyś szedł za mną.

– Mam coś lepszego do roboty niż iść za tobą.

Kiwnęła głową.

– Doskonale. W takim razie do widzenia.

On również kiwnął głową; z każdą chwilą był coraz bardziej rozdrażniony.

– Do widzenia.

Odwróciła się i odeszła. Piękny, różowy muślin jej wyjściowej sukni kłuł go w oczy, a gra światła i cienia na tkaninie kazała mu myśleć o wszystkich tych pięknych – i także różowych – rzeczach, które się pod nią kryły. O kostkach, łydkach, udach i…

O kolanach.

Zaklął soczyście po gaelicku i nakazał sobie, by nie patrzeć na nią, gdy zbliżyła się do Rotten Row. Oparł się chęci patrzenia na nią. Pójścia za nią. Czuwania nad

nią.

Przestało to jednak skutkować, gdy usłyszał jak ktoś donośnie krzyknął:

– Oj!

Odwrócił się i ujrzał dużego konia. Siedział na nim jakiś młodzieniec, który najwyraźniej stracił panowanie nad spłoszonym wierzchowcem i zmierzał, pełen przerażenia, prosto ku Lily.

Alec natychmiast puścił się biegiem.

13. Szkoda Szkota, kiedy znika

Był największym szaleńcem w całym chrześcijańskim świecie.

To pragnął się z nią kochać, to jej radził, żeby się zaprezentowała z jak najlepszej strony innemu mężczyźnie, to znów stawał na głowie, żeby tego człowieka – zapewne absolutnie przyzwoitego kandydata na męża – odstręczyć od niej.

Chciał ją wydać za mąż czy nie?

A czego chciała ona?

Spojrzała ku tłumowi na ścieżce, prosto w oczy lorda Stanhope, sześć metrów dalej. Wydawał się idealny. Utytułowany, czarujący, przystojny, dobrze wychowany i – co jeszcze ważniejsze – jakby całkiem rad z jej towarzystwa.

Byłby dla niej bardzo porządnym mężem.

Gdyby tylko zdołała wykrzesać z siebie entuzjazm wobec tego pomysłu.

Lily miała pewność, że byłaby do tego zdolna, gdyby tylko okropny książę Warnick nie sprawiał, że nie mogła myśleć o żadnym innym mężczyźnie. Wcale nie były to jednak myśli pochlebne. W gruncie rzeczy było na odwrót.

Jakby chcąc samej sobie tego dowieść, zaczęła je w duchu po kolei wyliczać.

Po pierwsze, był zbyt ogromny. Współcześni mężczyźni nie muszą mieć rozmiarów prehistorycznych myśliwych.

Po drugie, sądząc z tego, co wiedziała, nie miał żadnej pary spodni, które by na niego pasowały. Jacy mężczyźni nie mają spodni?

Po trzecie, potrafił przestawać wyłącznie z psami. Owszem, musiała przyznać, że miłymi, ale w końcu tylko z psami. Jeszcze się nie zdarzyło, by jakaś nawiązana przez niego rozmowa z istotą ludzką kończyła się inaczej niż gniewem lub krwawą bójką.

Prócz rozmów z nią.

Rozmowy z nią kończyły się niekiedy wspaniałą jazdą kariolką, wyjątkowo przyjemną.

Pokiwała głową i zbliżyła się do trawników na Rotten Row. Wszystkie te myśli były niepochlebne.

Po czwarte…

– Oj! – zawołał ktoś głośno i z przerażeniem po jej prawej stronie. Lily obejrzała się i zobaczyła, że pędzi prosto na nią rozszalały gniadosz. Zamarła, niezdolna do ruchu. Zamknęła oczy, spodziewając się, że zostanie stratowana.

A wtedy on znalazł się tuż przy niej i odepchnął ją w tył tak mocno, że całe powietrze uciekło jej z płuc. Klął wściekle po gaelicku, a towarzyszył temu chór kobiecych wrzasków, męskich okrzyków i gwałtowne szczekanie.

Zaraz, zaraz.

Przecież koń nie może kląć po gaelicku!

Gdy otworzyła oczy, on nachylał się nad nią i wpatrywał w jej twarz, a ona walczyła o oddech.

– Lillian – powiedział. Usłyszała w jego głosie ulgę. – Oddychaj.

Spróbowała. Daremnie. Pokręciła głową.

– Lillian.

Nie mogła oddychać.

– Lillian! – Posadził ją na ziemi.

Nadal nie mogła oddychać. Ani rusz.

– Lily. – Spojrzała w jego stanowcze, brązowe oczy, które znajdowały się tylko o kilka centymetrów od niej. – Oddychaj. Straciłaś dech z przerażenia. – Powiódł dłońmi wzdłuż jej ramion tam i z powrotem, a ona otwartymi ustami usiłowała chwytać powietrze. Nadaremnie. – Uspokój się. – Ciepłe dłonie objęły jej twarz i kołysały ją, gładząc kciukami policzki. – Posłuchaj mnie. – Skinęła głową. – No, teraz. Nabierz tchu.

Zrobiła tak, jakby wiedziona siłą jego woli. Udało się. Nabierała tchu chciwie, raz po razie, a on kiwał głową, sterując jej oddechem. – Dobrze, dziewczyno. Znowu. – Poczuła w oczach niechciane łzy wraz z falą ulgi. Przyciskał ją mocno do siebie. Chwyciła go za wyłogi jego surduta, a wtedy powiedział:

– Jeszcze raz, *mo chridhe*.

Przez dłuższy czas zdawało się jej, że tylko oni siedzą wśród kurzu Rotten Row, bo cała reszta Londynu gdzieś znikła. Uczepiła się go, wciągając powietrze wielkimi haustami, wdychając woń wykrochmalonej bielizny i tytoniu. Dawała jej siłę i spokój. A potem powrócił Londyn wraz z kakofonicznym hałasem. Lily uniosła wzrok. Ujrzała przed sobą zbity tłum wpatrzonych w nich ludzi obserwujących, jak odzyskuje oddech. Mrowie ciekawskich oczu sprawiło, że zaczerwieniła się i puściła surdut Aleca.

– Ja – znowu nabrała tchu – ja… – Nie wiedziała, co się mówi w takiej sytuacji, więc powiedziała jedynie: – No, no.

Nikt się nie ruszył.

Nikt prócz lorda Stanhope'a, który przedostał się jakoś przez tłum i podbiegł ku niej.

– Panno Hargrove! Czy coś się pani stało?

Pokręciła głową.

– Ucierpiała tylko moja duma.

Uśmiechnął się i zdjął z jej włosów listek, nim schylił się, by podnieść z ziemi jej zabrudzony kapelusik.

– Nonsens. To się mogło zdarzyć każdemu. Po prostu koń poniósł.

– Lily! – Spojrzała, żeby się przekonać, kto tak krzyczy, i zobaczyła, że kilka kobiet na samym przedzie tłumu gwałtownie protestuje, gdy Sesily, Seline i Seleste Talbot przepychają się przez niego. – Mój Boże! Lily! – Wszystkie trzy w jednej chwili padły na kolana, a ich suknie rozpostarły się na ziemi niczym wielkie kwiaty.

– Mogłaś zginąć!

– Na szczęście nie zginęłam – odparła. – Miałam wielkie szczęście, bo książę pojawił się koło mnie natychmiast. – Odwróciła się, żeby na niego spojrzeć, a w duchu pragnęła się upewnić, czy jest tuż przy niej.

Ale go nie było.

Rozejrzała się po całym Rotten Row, szukając dobrze jej znanego czerwonego pledu, uspokajającej, wysokiej postaci i kanciastej szkockiej szczęki.

Nigdzie go nie ujrzała, a jedynym dowodem, że w ogóle się tu znajdował, były psy warujące tuż obok niej, jakby ich pan je tam zostawił.

Przy niej.

„Mam coś lepszego do roboty niż iść za tobą".

Serce się jej ścisnęło na wspomnienie tych słów. Jeszcze raz zaczerpnęła z trudem tchu.

– Poszedł sobie – szepnęła.

– Popędził gdzieś niby diabeł do piekła – powiedziała Sesily. Przez tłum przeszedł szmerek. Wtedy Sesily spytała:

– Co, nie potraficie znieść słowa „piekło"? To w końcu jakaś nazwa miejscowości, no nie? Skoro wolno mi mówić Hyde Park czy Knightsbridge, albo też…

– Cockington – podpowiedziała jej Seline, a tłum oniemiał.

Lily zakaszlała, chcąc ukryć uśmiech.

Stanhope pomógł jej wstać, a kiedy się odezwał, dosłyszała w jego głosie wesołość.

– Świetnie. To pomoże rozproszyć tłum szybciej niż cokolwiek innego.

– Czy naprawdę istnieje taka miejscowość? – spytała z rozbawieniem.

– Owszem, w Devonshire. – Uśmiechnął się lekko.

– W takim razie – stwierdziła – Sesily trafiła w sedno.

– Gdy siostry Talbot zbiorą się razem, trudno spodziewać się czegoś innego.

– Proszę sobie dobrze zapamiętać, lordzie Stanhope – powiedziała Sesily – że ma pan nas lubić, nawet gdybyśmy się nie zebrały wszystkie razem.

– *Słuchaj, słuchaj, bulgocz, dmuchaj* – powiedziała Seleste.

Lily i Stanhope spojrzeli na siebie.

– *Słuchaj, słuchaj, trudź się, dmuchaj*[6] – poprawiła ją Seline.

– Czyż nie tak? – spytała Lily.

Lily potwierdziła.

Seleste spojrzała na Stanhope'a.

– Ależ to bez sensu. Przecież chodzi o kocioł, prawda? I o czarownice?

– Owszem – przyznał Stanhope,

– Czyż nie powinien bulgotać?

– O tym jest w następnej linijce – oświadczyła Lily.

Seline przewróciła oczami.

– Niemożliwe.

– Ja tylko pytałam – tłumaczyła Seleste.

Stanhope, rozbawiony, odparł:

– Tak czy inaczej, milady, ani myślę wchodzić wam w paradę.

Seleste kiwnęła głową.

– A więc cel osiągnięty!

Lily roześmiała się, ale jej uśmiech przeszedł w kaszel.

– Na litość boską, Seline! Lily o mało nie zginęła – wtrąciła się Sesily. – Przestań ją rozśmieszać.

Stanhope podał Lily ramię.

– Mój powóz jest niedaleko, panno Hargrove. Chętnie odwiozę panią do domu. – Spojrzał na siostry Talbot.

– Czy panie zechcą pojechać z nami?

Wszystkie trzy zgodziły się bez wahania.

– W takim razie świetnie – uznał i zwrócił się do Lily: – Zadbam, żeby odpoczęła pani wśród zieleni, tylko proszę mi na to pozwolić.

Lily pozwoliła, by sprowadził ją z brudnej ścieżki. Hardy i Angus poszły za nimi w milczeniu, obserwując ich uważnie, jakby odgadywały mnóstwo z tego, co teraz czuła.

Gdy doszła do trawnika, pogładziła psy po wielkich, pięknych łbach i powiedziała głośno, tak by wszyscy ją usłyszeli:

– Milordzie, czuję się już lepiej.

A przynajmniej czuły się tak te jej części, których nie obchodziło, gdzie się podział Alec.

Z trudem mogła uwierzyć, że zostawił ją samą. Owszem, stało się to wszystko po ich sprzeczce, gdy uznali, że lepiej byłoby, gdyby nie znajdowali się razem, kiedy dojdzie do ewentualnych zalotów.

Tylko że o mało co nie została stratowana. Mogła się poważnie zranić.

A wtedy zjawił się nagle i uratował ją.

Ale potem zostawił ją samą! Ze Stanhope'em. On jej nie zostawił. Został przy niej, jak powinien był zrobić ktoś przyzwoity. I tak też postąpiłaby ona sama.

Wskazała na pagórek koło trawnika, gdzie leżał duży pień.

– Może usiądziemy tam na jakiś czas? – spytała. – I porozmawiamy?

Za chwilę siedziała już na pniu w ciepłym majowym słońcu, a jej towarzyszki otoczyły ją kołem, jakby chcąc ją chronić. Hardy podbiegł i położył jej pysk na kolanach, Angus położył się zaś u stóp.

Lily zdawała sobie sprawę, że znalazła się w dziwnej sytuacji, i miała wyrzuty sumienia, bo zmusiła hrabiego, by do nich dołączył.

– Milordzie, okazał mi pan uprzejmość. Nie chciałabym jednak nadmiernie z niej korzystać. Na pewno przyjaciółki mogą mnie odwieźć do domu.

– Nonsens – odparł pogodnie. – To doprawdy najprzyjemniejszy dzień w moim życiu od całych miesięcy i wcale nie warto go psuć. Nie ma pani pojęcia, jak śmiertelnie nudne mogą być obrady parlamentarne.

– Chwileczkę – powiedziała Seleste.

– Czy pan… – dodała Seline.

– …zaleca się do niej? – dokończyła Sesily.

Lily poczerwieniała, a Stanhope się uśmiechnął.

– Nie sposób ukryć, że panna Hargrove i ja nie znaliśmy się jeszcze przed godziną. Właśnie spacerowaliśmy po Rotten Row.

– Och! – zawołały wszystkie razem i wymieniły między sobą spojrzenia. Zrozumiały, że przechadzka po parku była tylko wstępem do czegoś o wiele ważniejszego.

– W takim razie nie powinnyśmy państwu przeszkadzać – stwierdziła Seleste.

Jej siostry już wstawały.

– Nie! – oznajmiła Seline. – To brzmi bardzo poważnie.

Zdumiewające, jak obecność wszystkich trzech była niesłychanie miła i

jednocześnie strasznie żenująca.

A potem Sesily odezwała się, patrząc prosto na Lily błękitnymi oczami i zdając się widzieć dużo więcej, niżby Lily chciała.

– Ale co tu robił Warnick?

Lily nie chciała myśleć o tym, że postąpił po bohatersku.

– Sądził, że może odgrywać rolę przyzwoitki.

– Rzeczywiście, bardzo się starał! – parsknęła Seline. – Zostawił cię samą.

Zostawił ją.

– Niekoniecznie – zauważył hrabia i spojrzał na Lily z powagą.

– Nieważne – powiedziała Sesily. – Przecież my możemy być twoimi przyzwoitkami.

– Och, moja droga, jesteście bardzo uprzejme, ale…

– Świetna myśl, nie uważacie?

Spojrzała na Stanhope'a, który wyraźnie robił wrażenie, że nie przejmuje się tym wszystkim. Lily wydało się jednak, że trudno sobie wyobrazić bardziej katastrofalne pierwsze spotkanie z kandydatem do jej ręki.

Byłoby bardziej katastrofalne chyba tylko wtedy, gdyby istotnie chciała wyjść za niego. A ona nie chciała. Nie dlatego, że się okazał nieodpowiedni. Wręcz przeciwnie. Czuła się w końcu przy nim całkiem przyjemnie.

A czyż nie chodziło właśnie o to? Czyż podstawą małżeństwa nie powinna być życzliwość i dobre samopoczucie, a jeśli w dodatku mąż okazałby się przystojny, tym lepiej! Tylko że przystojny mąż powinien też bardzo ją pociągać. A jej niełatwo przyszłoby zapomnieć o kanciastym podbródku, rozwichrzonych włosach i pięknych kolanach.

Niekoniecznie o kolanach.

No, na przykład o kolanach.

Nie powinna zawracać sobie głowy żadną parą kolan!

Zwłaszcza nie tą, której właściciel opuścił ją dopiero co i wydał na łup arystokratycznym wilkom z Rotten Row. Samiuteńką.

Samotność nie była jednak Lily obca. Oswoiła się z nią na tyle, by mówić prawdę w sytuacji, której nie należało ciągnąć dłużej niż było to konieczne. Głaszcząc uszy Hardy'ego wróciła myślą do hrabiego i postanowiła wypowiedzieć na głos to, co obydwoje bez wątpienia czuli.

– Milordzie, proszę nie udawać, że spędził pan udane popołudnie. Doceniam pana dżentelmenerię, ale nie chciałabym zatrzymywać pana, skoro może pan z pewnością spędzić przyjemnie czas w jakiś inny sposób.

Cała grupa zamilkła, słysząc tak otwarte wyznanie. W końcu Stanhope

powiedział:

– Sądzi pani, że nie pasujemy do siebie?

– Myślę, że trzeba panu kobiety mniej kłopotliwej ode mnie.

– A może właśnie trzeba mi kogoś takiego? – spytał z uśmiechem.

– Nie kogoś w moim rodzaju.

Patrzył na nią przez dłuższą chwilę, a potem odparł:

– Nie uważam, żeby pani była tak kłopotliwa, jak sądzi.

Roześmiała się, ale nie był to wesoły śmiech.

– Uważam, że jest właśnie na odwrót.

Poczuła, że te słowa w jakiś sposób ją wyzwoliły. Może dlatego, że odsłonięcie obrazu miało wkrótce nastąpić, a wtedy utraciłaby reputację. Było coś przemożnego i przynoszącego ulgę w szczerości. Skoro mogą zobaczyć ją nago, dlaczego nie miałaby mówić o tym z całą otwartością? Tak w końcu wyglądała prawda. Powinna była wziąć ją pod uwagę.

Spojrzała prosto w przystojną twarz Stanhope'a i wyznała:

– Obraz.

Jej towarzyszki zamilkły i jedynym dźwiękiem, jaki towarzyszył jej wyznaniu, był stłumiony gwar rozmów dolatujący od strony Rotten Row, odległego od nich o jakieś dwadzieścia metrów. Przyszło jej na myśl, że milczenie może być gorsze niż szepty, bo oznacza samotność.

A ona nie chciała dłużej być samotna. Poczuła, że zbiera się jej na płacz, uparcie starała się go zdusić.

Nie chciała płakać.

Nie wobec ludzi. Nikt się nie może dowiedzieć, jak nęka ją samotność i jak się jej boi.

Gdy zamierzała już wstać, hrabia przykucnął i zaczął się ostentacyjnie bawić z Angusem. Lily czuła jednak, że zrobił to, by móc zajrzeć jej w oczy.

– Socjeta nie ma tu nic do gadania, dobrze pani wie. To nie jej sprawa.

Rozbawiły ją te słowa, tak uczciwe i zarazem nieistotne.

– Socjeta chyba się z panem nie zgodzi, milordzie, bo niewątpliwie będzie uważać, że to właśnie jej sprawa. Pańska zresztą też, zważywszy to popołudnie.

Uniósł kącik warg w porozumiewawczym uśmiechu.

– Mam blisko czterdzieści lat, panno Hargrove, i szukam sobie żony z pieniędzmi. Wiem co nieco o ludzkich błędach.

Wierzyła mu, ale odrzekła:

– Pańskie z pewnością są lżejsze, lordzie Stanhope. – Podkreśliła dyskretnie jego tytuł, żeby dać mu do zrozumienia, że ma własne zdanie.

– Może sądzi tak dobre towarzystwo. Ale ja myślę o tym inaczej, podobnie zresztą jak pani.

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę, a potem powiedziała:

– Nie powinien pan się do mnie zalecać, milordzie.

Jedna z sióstr Talbot wciągnęła oddech z wrażenia, a Stanhope uniósł brwi.

– A gdybym chciał to robić?

Pokręciła głową.

– W Londynie pełno przecież zamożnych dziedziczek o nieposzlakowanej reputacji i łagodnym charakterze. Jest pan zbyt uprzejmy, by wplątywać się w jawny skandal.

Stanhope też odczekał dłuższą chwilę, nim spytał:

– Zbyt uprzejmy? A może zbyt angielski?

– Mówiłam wam! – wybuchnęła Sesily i zerknęła na siostry z triumfalnym uśmiechem, nim spojrzała na hrabiego. – Pan także to widzi!

Stanhope wstał i również się uśmiechnął.

– Tylko ślepy by tego nie zauważył.

Lily poczuła się niepewnie. Nadal głaskała wielki, szary łeb Hardy'ego i patrzyła kolejno na wszystkich.

– Nie wiem, o czym pan mówi.

– Zauważył pan, jak on wyglądał, kiedy ją ratował? – przerwała im z westchnieniem Seleste. – Chyba nigdy nie widziałam, żeby po kimś łatwiej było poznać uczucia.

Seline uśmiechnęła się z wyższością.

– Byłam zbyt przejęta i nie zdołałam dostrzec, co on ma na sobie pod kiltem.

Sesily zawtórowała siostrze:

– Och, do licha! Ja też! – Stanhope odkaszlnął znacząco. – Przepraszam, milordzie. No, ale wie pan… ciekawość i tak dalej.

Stanhope uniósł brwi.

– Oczywiście.

Lily zdumiały słowa, że Alec mógł się nią przejmować.

– Bzdura. Przecież mnie zostawił. Z wami… – Urwała. – Proszę się nie obrażać.

– Skądże! – odpowiedziały chórem wszystkie cztery.

„Oddychaj, *mo chridhe*". Nie rozumiała tych słów, ale wyczuwała w nich troskę, a nawet obietnicę. Że go obchodziła. Że chciał o nią dbać. Że nie będzie dłużej samotna.

Tylko że potem ją zostawił.

– Nie martwię się, że mnie zostawił – odwzwała się, jakby czuła, że należy to

podkreślić.

– No jasne, że nie – odparł Stanhope, lecz Lily wyraźnie czuła, że choć tak powiedział z uprzejmości, nie uwierzył jej wcale.

Sesily była zdecydowanie mniej uprzejma i spojrzała na nią z niedowierzaniem.

– Akurat! Kiedy Warnick gdzieś zniknął, byłaś tak rozżalona, jak dziecko, któremu odmówiono cukierka.

Lily poczuła irytację, choć było to wręcz irracjonalne.

– Bzdura – powtórzyła. – Nic go nie obchodzę. Chce mnie tylko wydać za mąż obojętne za kogo, byle mógł wrócić do Szkocji. Proszę się nie obrażać, milordzie.

– Nie ma za co. – Stanhope uśmiechnął się z wyższością.

– Zgodziłam się na jego plan tylko z powodu tego przeklętego obrazu. Jeśli go odsłonią, stracę ostatecznie reputację, lecz Alec nie chce mi dać moich pieniędzy, żebym mogła stąd wyjechać, bo uważa, że muszę wyjść za mąż. Że chcę wyjść za mąż.

– A czy ty też tego chcesz? – spytała Sesily.

Chciała. Ale za kogoś innego.

– Nie w taki sposób. – Spojrzała na Stanhope'a. – Jeszcze raz proszę o wybaczenie, milordzie.

– A ja jeszcze raz mówię, że nie ma za co.

Popołudnie w Hyde Parku najwyraźniej ośmieliło Lily, bo nadal wypowiadała na głos swoje myśli.

– Cała rzecz w tym, że wcale nie chcę wciągać jakiegoś sympatycznego mężczyzny w zaręczyny, po których nastąpi hańba, albo też… – Urwała. – Albo też…

Zamilkła. W głowie jej wirowało.

– Albo też co? – ponagliła ją Sesily.

Nagle jasno ujrzała wyjście z tej sytuacji.

Spojrzała na Sesily, a potem na Stanhope'a.

– Muszę już iść.

Tego wieczoru Lily nie zasiadła do kolacji w Psim Domu.

Alec zjawił się o właściwej porze i zajął miejsce u szczytu stołu, a potem czekał przez parę minut, które przerodziły się w pół godziny. Wtedy przygotował się do konfrontacji, która, czego był pewien, musiała nastąpić. Wyjaśni, dlaczego opuścił ją na samym środku Hyde Parku, półprzytomną po wypadku, na oczach całego Londynu. A potem powie, co sobie o tym wszystkim myślał.

Prawdę mówiąc, nie myślał o niczym prócz tego, by pogonić idiotę cwałującego

po Hyde Parku na koniu, nad którym wcale nie panował. Kiedy się tylko upewnił, że Lily żyje, oddycha i nic się jej nie stało, podbiegł do najbliższego konia, ściągnął z niego jakiegoś nadętego arystokratę i niemal bez wyjaśnień pognał na nim za uciekającym wierzchowcem, pozostawiając barona, którego zrzucił z siodła, pieniącego się ze złości.

Serce podeszło mu do gardła, kiedy dostrzegł, że koń pędzi prosto na nią, i puścił się pędem, żeby jej dopaść na czas. Chciał ją chwycić w ramiona, nie dbając, gdzie są i kto na nich patrzy. Chodziło mu tylko o jej bezpieczeństwo.

Z bólem serca dojrzał w jej oczach panikę, kiedy walczyła o oddech. Chciał najpierw uwolnić ją od tego strachu, a potem obejść się jak najgorzej z głupkiem, który ponosił za to odpowiedzialność.

Złapał go w końcu – był to młodzieniec świeżo po szkole, równie przestraszony, jak niezdarny, nim jeszcze Alec nie zdołał przestraszyć go jeszcze bardziej. Kiedy zaś wrócił do Lily, już jej tam nie znalazł, bo wróciła do domu z siostrami Talbot, o czym mu powiedziano, gdy tylko wpadł frontowymi drzwiami do Psiego Domu. Wróciła. Z obydwoma psami.

Angus przywitał go zaraz, ale Hardy, czworonogi zdrajca, najwyraźniej wolał towarzystwo Lily.

Alec przypuszczał, że obydwoje ujrzy przy kolacji, lecz z trzydziestu minut zrobiło się czterdzieści pięć, a wreszcie cała godzina. Zrozumiał wtedy, że Lillian Hargrove znów go zostawiła samego podczas posiłku.

Jeśli chciał z nią mówić, musiał jej poszukać.

A także odnaleźć niewiernego psa.

Gdy opuszczał jadalnię z Angusem następującym mu na pięty, o mało nie przewrócił starej i ciekawskiej gospodyni.

– Wasza Wysokość! – zawołała, całkiem jakby nie czaiła się tuż pod drzwiami, bez wątpienia dziwiąc się, co robi w jadalni sam jeden.

Nie miał czasu na ceregiele.

– Gdzie ona jest?

Pani Trushwill zrobiła wielkie oczy.

– Kto, Wasza Wysokość?

Wzniósł oczy do góry, prosząc niebo o cierpliwość.

– Panna Hargrove.

– Prosiła wcześniej, żeby jej zanieść kolację na tacy. Chyba jest chora.

Czyżby coś się jej jednak stało?

Może była w gorszym stanie, niż przypuszczał? Mogła mieć pęknięte żebro. Albo uderzyć się w głowę, kiedy kładł ją na ziemi. Podszedł wielkimi krokami do

gospodyni, póki nie znalazł się tak blisko niej, że górował nad nią niczym wieża.

– Czy posłała po doktora?

Gospodyni pokręciła głową.

– Nie, milordzie.

Niech to diabli.

Zaraz do niej pójdzie.

– Proszę wezwać tego przeklętego doktora!

Wbiegł na piętro, gdzie znajdowały się sypialnie, i natychmiast zlustrował wszystkie, od dużych do najmniejszych, przeznaczonych dla gości. Otwierał jedne drzwi po drugich, póki Hardy nie wylazł z jakiegoś zakątka i nie zatrzymał go krótkim szczeknięciem.

Alec spojrzał na niego.

– Gdzie ona jest?

Hardy, jakby go zrozumiał, podkulił ogon i znów zniknął. Alec poszedł za nim i znalazł psa. Czekał przed mahoniowymi drzwiami, wywijając ogonem i skomląc natarczywie.

– Dobry pies – pochwalił go Alec w roztargnieniu. – Rozprawię się z tobą później. Pogadamy wtedy o twojej wierności.

Najpierw jednak nacisnął klamkę.

Wewnątrz było całkiem ciemno.

– Lily? – spytał, podchodząc spiesznie ku łóżku z bijącym sercem. Choć było wcześnie, spała widocznie jak zabita. Może była ranna.

Albo jeszcze gorzej.

Znów wypowiedział w ciemności jej imię, czując, że ogarnia go niepokój.

– Lily!

Nie było odpowiedzi. Nikt nie poruszył się na łóżku.

Poszukał krzesiwa na stole. Gdy wyczuł po omacku świecznik, skrzesał ogień i odwrócił się w stronę łóżka.

Nie było w nim Lily.

Prześcieradeł także.

Wtedy dopiero zauważył otwarte okno i skręconą z nich linę przewieszoną przez parapet oraz przywiązaną końcem do nogi dębowego łóżka.

Uciekła.

Jeśli, rzecz jasna, zdołała opuścić się trzy kondygnacje niżej, nie łamiąc sobie karku. Podbiegł do okna, wychylił się wprost w ciemny ogród i popatrzył na dół, z lękiem, że ujrzy jej zdruzgotane zwłoki.

Zobaczył tylko zwisającą linę z prześcieradeł, poruszaną wiatrem.

Zaklął i zajrzał do pozostałych pokojów w nadziei, że uciekła się do podstępu, zamiast zwiać z Psiego Domu w środku nocy, Bóg jeden wie dokąd i po co.

Zatrzymała go nagła myśl.

Czy tak bardzo się jej spodobało towarzystwo Stanhope'a, że postanowiła odejść?

Czy ją może uprowadził?

Oczywiście było to niedorzeczne, absurdalne. Alec chciał ją przecież wydać za mąż. Nie wycofałby zgody. Nadal jednak nie mógł się powstrzymać od wyobrażeń o jakichś wyjątkowo niegodziwych występkach, którym zamierzała się oddawać wraz z tym idealnym arystokratą po swojej ucieczce.

Alec postanowił, że porachuje Stanhope'owi zęby, jeśli się z nią całował.

A wtedy ją zobaczył.

Ledwie mignęły mu jej plecy w ciemności, kiedy przełaziła przez mur ogrodu tak sprawnie, jakby robiła to przez całe życie.

W męskim ubraniu.

– Gdzież ona się wybiera? – powiedział na głos w ciemności ciszy do psów.

Nie doczekał się odpowiedzi, nawet gdy sprawdził wytrzymałość liny i bez wahania podążył śladem Lily.

Zjechał po zaskakująco dobrze sporządzonej linie do ogrodu i przedostał się przez mur. Zrobił to w trzy minuty – na tyle szybko, żeby ją jeszcze dojrzeć, z włosami wepchniętymi pod kaszkiet i w spodniach pozwalających dojrzeć więcej, niż należało, kiedy dawała nura w pobliski zaułek.

O mało jej nie schwytał.

Gdy jednak dotarł do końca uliczki, usłyszał, jak drzwiczki dorożki stojącej kilkanaście metrów dalej zatrzaskują się pospiesznie. Spóźnił się o kilka sekund.

Zdołał złapać drugą dorożkę, do której wsiadł na kozioł obok woźnicy zamiast do środka.

– Nie wiem, ktoś pan zacz, ale to ja tutaj powożę!

Alec nie zwrócił uwagi na protesty.

– Jedź za tamtą dryndą!

Woźnica był na szczęście doświadczony i bez wahania złapał za lejce, mówiąc jednocześnie:

– Kosztować będzie dwa razy tyle.

– Zapłacę trzykrotnie, byłeś ich nie zgubił.

Nie chciał jej stracić. Zapewni jej bezpieczeństwo, choćby miał zginąć.

Woźnica ruszył za dorożką Lily, pędzącą przez Mayfair na południowy wschód, po ulicach coraz węższych i coraz bardziej wyboistych.

Gdzież ona u diabła jedzie?

Stanhope miał godny szacunku tytuł i stary dom w Mayfair. Był również dżentelmenem. Niemożliwe, by kazał Lily jechać w tym kierunku na własną rękę.

Ale może ona nie zrobiła tego na własną rękę?

Może Stanhope był teraz wewnątrz dorożki razem z nią, robiąc Bóg jeden wie co?

Alec to natomiast wiedział. Wiedział również, co ona czuje. Co się jej podoba. Pamiętał każdy moment tego, co z nią robił we własnym powozie poprzedniej nocy.

Jeśli Stanhope robił właśnie coś w tym rodzaju, zamorduje go!

Poniechał tego zamiaru z głośnym pomrukiem, wiedząc, że nie ma prawa nawet o tym myśleć.

Dorożka jechała stanowczo zbyt wolno.

– Daj mi lejce.

Woźnica spojrzał na niego ze złością.

– Nie, sir!

– Zapłacę ci pięciokrotnie, jeśli zechcesz.

– Nie będzie pan powozić, milordzie!

– Pięćdziesiąt funtów.

Dorożka zwolniła, konie ledwo się wlokły. Alec sądził już, że traci rozum.

– Dostaniesz pięćdziesiąt funtów, jeśli pozwolisz mi powozić.

Wystarczyłoby tego na nową dorożkę. Ładniejszą niż ta drynda.

– Kogo gonimy? – spytał zdumiony dorożkarz.

Alec ujął za lejce i po energicznym „jazda!” ruszyli z kopyta. Konie zdawały się rozumieć, że teraz kieruje nimi ktoś silny, zręczny i zdesperowany.

Dorożka mknęła ulicami, kołysząc się na boki, koła stukały o bruk, zimny wiatr dął Alecowi prosto w twarz, łagodząc rozgoryczenie, gromadzące się w nim od chwili przyjazdu do Londynu kilka dni wcześniej. Pragnął wyścigów. Pragnął gnać swoją kariolką po dzikich drogach Szkocji, przerażających wprawdzie, ale dających mu swobodę.

Zamiast tego gnał po wąskich i krętych ulicach Londynu, ścigając kobietę, której chciał za wszelką cenę zapewnić bezpieczeństwo.

Miał wstręt do Londynu.

– Kogo gonimy?! – wrzasnął woźnica, przekrzykując łoskot kół, uczepiony w panice kozła.

Alec znów pognał konie.

– Nikogo ważnego.

– Oj, panie! – zawołał rozbawiony woźnica. – Pięćdziesiąt kawałków to ważna rzecz!

Alec milczał. Jasne, że Lily była ważna.

Powoli stawała się kimś najważniejszym.

Dorożka wjechała w Soho, rozjarzyły się nagle witryny, na ulicach zaroiło się od prostytutek i ich klientów, puby i domy gry wabiły przechodniów.

– Gdzie ona, do diabła, jedzie? – Alec przestał poganiać konie, ale był coraz bardziej zdesperowany.

– Widzi mi się, że do Covent Garden, sir.

A wtedy zrozumiał, co chciała zrobić.

Nie jechała wcale do Stanhope'a, tylko do Hawkinsa.

„Derek sprawił, że czułam się kochana".

Narastała w nim wściekłość, kiedy przypomniał sobie, w jaki sposób ten zarozumiały osioł manipulował nią dzięki pięknym słówkom. Po wściekłości nadszedł strach, a wraz z nim przyszło mu na myśl coś jeszcze gorszego: namowy Hawkinsa, żeby została jego kochanką. I to, jak nachylony nad tym łobuzem w mrocznym pokoju Eversley House spojrzał przez ramię na przerażoną Lily, pytając, czy chce tamtego.

Nie chciała.

Powiedziała tak wprawdzie, lecz Alec jej nie dowierzał. Wyczuł w tym zwątpienie. Niepewność. Zażądał, żeby powtórzyła, co powiedziała.

Pchnął ją do tego.

Powiedziała tak, ale może myślała co innego. Może go pragnęła. No, bo po co by teraz…

– Stanęli, milordzie!

Zwolnił, z wzrokiem utkwionym w dorożce, która kilkadziesiąt metrów dalej zatrzymała się przed jakimś pospolitym budynkiem tuż za Bow Street. Drzwiczki otwarły się i wysiadła z niej Lily w swoim groteskowym przebraniu – spodniach i koszuli, za dużych na nią; najwyraźniej świsnęła je jakiemuś znacznie od niej większemu mężczyźnie, a włosy wcisnęła pod kaszkiet nasunięty nisko na czoło.

Rzuciła monetę woźnicy i dorożka ruszyła, znikając szybko z pola widzenia, w poszukiwaniu nowego pasażera. Lily nie zażądała, żeby woźnica czekał na nią. Co znaczyło, że zamierzała tu zostać dłużej.

Czy nie pomyślała, że będzie jej brak w domu?

W domu.

Wytrąciło go to z równowagi. Nie dlatego, żeby uważał ten przeklęty psi przybytek za swój dom. W niczym nie przypominał jego domu w Szkocji. Ale,

dziwna rzecz, chciał, żeby był domem dla Lily. Chciał, żeby czuła się w nim bezpieczna. Żeby uważała, że ta rezydencja jest dla niej czymś dobrym.

Czymś dużo lepszym niż cholerna buda, do której się teraz chciała zakraść.

Dał woźnicy cały stos monet.

– Resztę zapłacę po powrocie. Proszę na mnie zaczekać.

Woźnica bez wahania wycofał dorożkę za dom i nacisnął daszek czapki na oczy.

– Zgoda, sir.

Alec błyskawicznie skrył się w mroku, sunąc ku Lily powoli. Zatrzymała się przed drzwiami i wyjęła coś z kieszeni. Klucz? Miała klucz do tego domu, cichego, mrocznego i stojącego zbyt blisko teatru Hawkinsa? Alec nie miał wątpliwości, co się w nim mieściło i kto w nim był.

Wślizgnęła się tam, zamykając drzwi za sobą. Gdy się zbliżył, usłyszał zgrzyt klucza w zamku i zaklął.

Będzie się musiał włamać do środka.

14. Obraz wart tysiąca podopiecznych

*J*ako ktoś mający wielkie poczucie własnej wartości i ledwie szczyptę tej prawdziwej Derek Hawkins spędzał większość czasu w towarzystwie socjety, usiłując przekonać arystokrację, że jego wartość jest równie dobrze uzasadniona, jak ta prawdziwa, znikoma.

Wskutek czego nigdy nie bywał wieczorem w domu.

Bez wątpienia był tego dnia w klubie lub na jakimś obiedzie, albo też prezentował swoje horrendalne zarozumialstwo grupce uśmiechniętych niemądrze kobiet, z których każda gorąco pragnęła, by wielki Derek Hawkins choć przez chwilę raczył zwrócić na nią uwagę.

Lily dobrze rozumiała to ich gorące pragnienie.

Nie miała wątpliwości, że gdyby nie był opętany chęcią, by wszyscy uznali go za geniusza, nie zrujnowałby jej reputacji w sposób tak nieodwołalny. Z pewnością też nie odważyłby się bez wahania ukazać jej całemu światu na swoim sławnym już obrazie.

I bez jej zgody.

Nikt jednak się dla Dereka Hawkinsa nie liczył na tyle, by czuł się zmuszony do działania zgodnego z honorem. Dlatego właśnie mogła bez żadnych skrupułów wejść do jego domu bez zaproszenia, wiedząc, że go tam nie zastanie.

Gdyby sobie nie życzył jej obecności w tym mieszkaniu, zażądałby chyba zwrotu klucza, no nie?

Zamknęła starannie drzwi za sobą, gotowa wspiąć się po schodach ku swemu przeznaczeniu, szczerze pragnąc uniknąć spotkania z gospodynią, pełniącą również funkcję kucharki, i z kamerdynerem, który był również lokajem.

Nie spodziewała się jednak, że będzie tam tak ciemno i upiornie, wręcz cicho. Miała nadzieję, że łatwo odnajdzie drogę dzięki światłu padającemu z kominka, ale nie dojrzała najsłabszej nawet poświaty. Po ciemku odnalazła świecę na stoliku koło drzwi i z pewnym trudem starała się ją zapalić.

Gdy już to zrobi, powinna natychmiast pójść tam, gdzie zamierzała – ale brak wszelkiego światła i dźwięku zaskoczył ją. Wślizgnęła się do pokoju od frontu,

gdzie stały kunsztownie złocone meble w czasie, gdy jeszcze odgrywała rolę muzy Hawkinsa.

Teraz salon był pusty.

Pospiesznie przeszła na tyły domu, do kuchni, gdzie przedtem zawsze płonął ogień. Obydwoje wiekowi słudzy zwykle przesiadywali w tym ciepłym pomieszczeniu. Teraz jednak nigdzie ich nie było. Na kominku nie rozpalono, a koło wielkiego zlewu piętrzył się stos brudnych talerzy. Nie spodziewała się tego.

Przecież ktoś musiał tu chyba mieszkać?

Zajrzała do innych pokojów od frontu. Nie było w nich niczego prócz pary wyplatanych krzeseł, żaden też nie wyglądał na zamieszkany. Z sercem w gardle wyszła na schody. Czy to możliwe, by Derek przestał tu mieszkać? Pełna niepokoju ruszyła przed siebie.

A jeśli obrazu nie ma?

Otworzyła drzwi jego sypialni i z ulgą natychmiast poczuła słodki zapach jego ulubionych perfum. A więc jednak tu mieszkał, co oznaczało, że obraz tutaj był. Przeszła przez pokój ku drzwiom do najważniejszego pomieszczenia, nazywanego przez niego Pokojem Geniusza. Nacisnęła klamkę. Były zamknięte.

No oczywiście.

Postawiła świecę na niskim stoliku między łóżkiem a drzwiami jego pracowni i wysunęła szufladę, żeby poszukać klucza. Musiał tam być. Posunęła się już zbyt daleko, żeby teraz rezygnować.

Wtedy usłyszała jakiś ledwie dosłyszalny szmer dobiegający gdzieś spoza pokoju. A więc ktoś tu był!

Lily z bijącym sercem obracała się na wszystkie strony, usiłując znaleźć wyjście z pułapki. Było to drugie piętro, nie mogła więc uciec przez okno. W pokoju stała wielka szafa, na tyle duża, że mogłyby się w niej zmieścić dwie osoby, lecz znajdowała się za blisko drzwi na korytarz, żeby mogła posłużyć jej za kryjówkę.

Szmer znowu się rozległ. Spojrzała ze strachem ku drzwiom, przekonana, że zaraz ktoś naciśnie klamkę

Derek tu był.

Błyskawicznie wlazła pod łóżko, ciesząc się, że jest w męskim ubraniu. Nigdy by się pod nim nie zmieściła w sukni z krynoliną.

Gdy drzwi się otworzyły, zacisnęła powieki i wstrzymała oddech, usiłując za wszelką cenę znieruchomieć.

Drzwi się zamknęły i znalazła się w jednym pokoju z nim.

Dopiero teraz przypomniała sobie, że zostawiła w pokoju zapaloną świecę. On się z miejsca zorientuje, że ktoś tu jest. Że ktoś się tu dostał.

Zrobiła straszny błąd.

Rozległy się kroki, spokojne i mocne, gdy przechodził przez pokój.

Drzwi od szafy otworzyły się szybko, a potem zamknęły. Lily usiłowała leżeć bez ruchu i zachowywać się jak najciszej.

Powoli okrążył łóżko. Dojrzała jego czarne buty, gdy zbliżał się do stołu, gdzie stała świeca. Światło drgnęło i choć nie mogła tego zobaczyć, zrozumiała, że ją wziął do ręki.

A potem łóżko uniosło się nad nią nieco. Otwartymi szeroko oczami dojrzała poruszające się buty, później czyjeś ramię.

W ślad za ramieniem pojawiło się kolano. A potem fałdzisty tartan.

I świeca, trzymana w potężnej, ogorzałej dłoni.

A na końcu twarz Aleca.

Aż jęknęła ze zdumienia, rozpoznając go, a serce załomotało jej gwałtowniej niż wtedy, gdy sądziła jeszcze, że to Derek.

– Skąd się tu wziąłeś?

– Masz przed sobą dwie możliwości – powiedział cicho i ze szkockim akcentem. – Możesz sama wyleźć spod łóżka, albo też ja tam wlezę i złapię cię za kark.

– A więc teraz chcesz być przy mnie?

Zbliżył ku niej twarz.

– Co przez to rozumiesz?

Zostawiłeś mnie! – chciała mu wygarnąć. Samą. A ja tak wtedy pragnęłam mieć cię koło siebie!

Zamiast tego powiedziała tylko:

– Nie mogę wyleźć, póki ty się nie cofniesz.

Zaskoczyło go to, ale się odsunął, a ona stanęła na nogi, w bojowym nastroju.

– Co ty tu robisz?

– Upewniam się, że nikt cię nie złapał ani nie zabił.

– Zabił! – parsknęła. – Nikt mnie nie zamierza zabić.

– Mogłaś się zabić, zjeżdżając z okna po linie. Jak zdołałaś skręcić ją z prześcieradeł?

– Sesily mnie nauczyła.

Wzniósł oczy do góry.

– No oczywiście. Jedna bezczelna skandalistka nauczyła czegoś drugą.

– Sesily jest moją przyjaciółką! A ja wcale się nie zabiłam. Jak widzisz, żyję.

– Nadzwyczajne. A przyjechałaś tu dorożką ubrana w… – Urwał i przyjrzał się ze złością. – Co to takiego?

Spojrzała na zbyt duże spodnie, koszulę i surdut.

– Męskie ubranie!

– Śmiechu warte! Nikt przy zdrowych zmysłach nie uzna cię za mężczyznę. W najlepszym razie za przebranego ulicznika.

– Woźnica nic nie zauważył.

– Nie zauważył też, że ktoś jedzie w ślad za tobą, nie pochwaliłbym go zatem za bystrość.

Rozgniewała się.

– Jak śmiałeś gonić kobietę? O mało mnie na śmierć nie przestraszyłeś!

– Włamałaś się do domu jakiegoś mężczyzny i wlazłaś pod łóżko! A gdybym to nie był ja, tylko on?

– Ale to nie był on! – syknęła z irytacją. – Tylko ty! A ciebie nie powinno tu wcale być!

– Może ty powinnaś tutaj być?

– Bardziej niż ty!

– Zapomniałem, że miałaś ten przeklęty klucz! Chyba to sypialnia Hawkinsa?

– Nie twój interes! – odcięła się. – Ale jego tu wcale nie ma!

– To nie powód, żebyś w niej była! Czy czekałaś na niego? Chciałaś go może skusić, żeby do ciebie wrócił?

Co za okropny człowiek.

– Jak się tego domyśliłeś? – spytała, nie ukrywając sarkazmu. – Rzeczywiście, to moja metoda uwodzenia: przebrać się w za duży męski strój i skryć pod łóżkiem mężczyzny, który bez żadnych skrupułów zrujnował mi reputację.

– Nie twierdzę, że potrafię zrozumieć kobiecy umysł – odparł z ironią.

Wyrwała mu z ręki świecę.

– Wynoś się! Nie trzeba cię tutaj!

– A ciebie trzeba?

– Muszę tu coś znaleźć. Nie powinno mi to zająć dużo czasu.

Zamilkł, po czym przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, nim spytał zgryźliwie:

– Po co tu przyszłaś?

– Czy to ważne?

– Owszem, jeżeli wciąż go kochasz.

Omal jej mowy nie odebrało.

– Miałabym go kochać?!

Nie mogła sobie tego wyobrazić teraz, dwa miesiące po wszystkim, co się wydarzyło na wystawie.

Tylko że Alec wcale jej nie obchodził. Ani trochę.

Czy naprawdę?

Odkaszlnęła. Nie chciała nawet o tym myśleć.

– Wasza Wysokość chyba nie mówi szczerze?

Skrzywił się, słysząc grzecznościowy tytuł.

– Czy go nadal kochasz?

– Nie! – odparła, niezdolna ukryć zdumienia. – Jasne, że nie! Wcale nie jest taki, jak sądziłam. Zwłaszcza teraz. Zwłaszcza teraz, kiedy…

Zwłaszcza teraz, kiedy mogła porównać go z nim.

Alec nadal spoglądał na nią nieufnie.

– No to po co tu przyszłaś?

Westchnęła, spoglądając na drzwi pracowni Dereka.

– Jeśli już musisz wiedzieć, przyszłam tu, żeby wziąć sprawy w swoje ręce.

– Co to znaczy?

– Tylko tyle, że mam dość czekania, aż los się nade mną zmiłuje. Miałam opiekunów, wielbicieli i mężczyzn, którzy mi przyrzekali więcej rzeczy, niż zdołałabym zliczyć. A ja dłużej w te przyrzeczenia nie wierzę. Już czas, żebym coś przyrzekła samej sobie.

Ani nie drgnął, spytał tylko:

– Co sobie przyrzekłaś?

– Że sama uratuję swoją reputację. – Wskazała na drzwi. – To jego pracownia. Dwa miesiące temu malował w niej mój wizerunek.

Wciągnął gwałtownie dech.

– No i co?

– Skoro figuruję na tym obrazie, zamierzam go zabrać.

Po długim milczeniu skinął głową.

– W takim razie zróbmy to.

Pokręciła głową.

– Przed chwilą ci powiedziałam, że nie potrzebuję zbawcy. Poradzę sobie sama.

Odwrócił się ku drzwiom pracowni.

– Słyszałem, co powiedziałaś. Ale jestem tu jeszcze ja. A te drzwi są zamknięte.

– Właśnie szukałam klucza do nich, kiedy napędziłeś mi takiego stracha, że wlazłam pod łóżko! – odcięła się.

Odwrócił się ku niej.

– Nawiasem mówiąc, fatalnie wybrałaś sobie miejsce. A co byłoby, gdyby tu przyszedł i położył się na nim spać? Musiałabyś tkwić pod łóżkiem przez całą noc!

– Zazdrościsz mi – odcięła się szyderczo – bo ty byś się tam nie zmieścił.

Uśmiechnął się lekko, a Lily rozzłościła się na siebie samą za to, że go zdołała rozśmieszyć.

Po cóż miałaby go rozśmieszać?

A tymczasem on się odwrócił i z takim rozmachem kopnął drzwi, że zamek trzasnął, jakby był z papieru.

Lily oniemiała, widząc, co się stało.

– Wasza Wysokość – spytała – czy domy w Szkocji mają drzwi?

Odparł bez wahania:

– Niekiedy.

Nie uznała tego wcale za zabawne.

– Teraz Derek będzie wiedział, że byliśmy tutaj.

– Jeśli obraz zniknie, to także zda sobie z tego sprawę, nie uważasz? – spytał, jakby to było oczywiste.

Zdaniem Lily powinno być oczywiste, że zechce wejść do pracowni i zabrać obraz, a Derek dostrzeże po powrocie, że ktoś to zrobił. Roztrzaskane drzwi były jednak dowodem, że tym kimś jest Alec. Tymczasem Alec pojechał za nią, żeby ją chronić. A gdyby nawet znał jej plany, nie zdołałby jej zmusić, żeby z nich zrezygnowała. Teraz jej jednak pomógł, chociaż na swój specyficzny sposób.

Rozwalił drzwi, ostatnią przeszkodę na jej drodze do sukcesu.

W jakiś dziwny sposób, mimo że był tak potężnym, zwalistym i niełatwym człowiekiem, potrafił się też okazać niesłychanie życzliwy.

Odsunął rozbite drzwi, sięgnął po świecę i wszedł z nią do mrocznej pracowni.

Płonąca świeca przypominała mu, co może tutaj znaleźć.

– Czekaj! – zawołała Lily i również weszła w ten mrok, stając pomiędzy świecą a obrazami. – Nie! – Wyciągnęła ku niemu rękę. – Daj mi ją!

Czy ona rozum straciła?

– Nie mamy czasu na ceregiele, Lily.

Pokręciła głową.

– Nie wejdziesz tu.

– Czemu, do diabła?

– Bo nie chcę, żebyś go zobaczył.

– Żebym zobaczył co?

Spojrzała na niego gniewnie.

– Aha – domyślił się.

– Ano właśnie – odpowiedziała. – Aha.

– Nawet na niego nie spojrzę – obiecał, odsuwając ją.

– Słusznie – odparła, opierając mu się. Nie ustępowała. – Nie spojrzysz na niego. Bo go nie zobaczysz.

Znowu wzniósł oczy do góry.

– Lillian. Nie mamy czasu.

Dała mu znak, żeby jej oddał świecę.

Zrobił, jak chciała.

– Bierz ją w takim razie. Czy zdołasz znaleźć ten przeklęty obraz?

– Najpierw daj mi słowo, że nie będziesz na niego patrzył.

– Nie bądź śmieszna.

– Może i jestem. Ale tu chodzi o moją reputację, którą trzeba chronić.

– Przecież próbowałem cię chronić! Od samego początku!

– W takim razie obiecaj mi jeszcze, że nie spojrzysz wcale na coś, co może być skandaliczne.

– Przecież to obraz, Lillian. Powstał właśnie po to, żeby go oglądać.

Poczuła smutek, rozżalenie, a również i wstyd, którego tak nienawidziła. Nie mylił się. Jakże mogła się spodziewać, że obraz nie będzie oglądany? Lecz myśl, że właśnie on mógłby go zobaczyć, zmieniała wszystko.

– Nie chciałam, żeby go oglądano.

Milczał przez dłuższy czas, a ona żałowała, że nie może widzieć jego oczu w słabym świetle, aż wreszcie powiedział:

– W porządku.

– Obiecaj mi.

– Obiecuję.

– Całym zdaniem.

Westchnął.

– Obiecuję, że go nie obejrzę.

– Odwróć się.

– Lillian…

Nie ustępowała.

– Chcesz mnie chronić? W takim razie rób to. Pilnuj drzwi.

Zawahał się przez moment, nim westchnął głęboko i powiedział:

– Tylko mi go podasz.

– Doskonale – odpowiedziała, zaczynając poszukiwania.

Gdy jednak uniosła świecę i spojrzała uważniej na dobrze jej znany wcześniej pokój, okazało się, że jest jeszcze jeden problem.

Pracownia też była pusta.

Wszystko znikło. Obrazy, które zapełniały ściany, niska sofa, gdzie całymi dniami pozowała, i sztalugi, przy których Derek zaciekle i z mozołem pracował, gdy wirowały w powietrzu pyłki kurzu oświetlane promieniami słońca. Wszystko gdzieś się podziało.

Uznała, że nie powinno jej to dziwić. W końcu wszystko, co wiązało się z Derekiem Hawkinsem, było ulotne, całkiem jakby istniał wyłącznie dzięki obecności innych ludzi.

Może to było prawdą również w odniesieniu do tego obrazu.

Może istniałby tylko wtedy, gdy oglądałby go cały Londyn?

Zaśmiała się histerycznie, a wtedy Alec się odwrócił.

– Co się stało? – spytał, ale zaraz dodał: – Gdzie się wszystko podziało?

Pokiwała głową.

– Znikło.

– Gdzie znikło?

– Nie wiem. Obraz był o, tutaj. – Wskazała na ścianę, gdzie za dnia wpadało przez okno żywe, południowe słońce. – Wisiał właśnie tam.

– Tutaj mu pozowałaś? – spytał nieufnie.

Nie odpowiedziała na pytanie, powtórzyła natomiast jedno z jego wcześniejszych.

– Gdzie się wszystko podziało? – spytała podniesionym, ale niepewnym i pełnym przerażenia głosem. – Gdzież to jest?

Alec stanął przed nią.

– Lily – powiedział cicho – znajdziemy obraz. Mógł go schować tylko w kilku miejscach.

– Skądże. Może w stu, a nawet w tysiącu! – odparła, choć słowa więzły jej w gardle. – To nie szkocki zamek, Alec. To Londyn. – Urwała i przyjrzała mu się uważnie. – Czy wierzysz w fatum?

– Nie.

Uśmiechnęła się słabo i ze smutkiem.

– A ja tak. To była moja jedyna szansa. Jedyna sposobność, żeby się uratować. Może… może moja hańba jest zrządzeniem losu.

– Nie.

Nie odpowiedziała mu. Spojrzała znów na pusty pokój i wyszeptała:

– A ja tak bardzo chciałam go znaleźć.

Po raz pierwszy od trzech tygodni miała nadzieję, że może wziąć los we własne ręce. Że może się uratować.

– Błagałam cię, żebyś dał mi uciec – powiedziała do Aleca. – Pójść własną drogą. A potem dałeś mi nadzieję i myślałam, że to właśnie było odpowiedzią.

– No i jest nią – stwierdził stanowczo, a także jakby z dumą. – Bystra z ciebie dziewczyna. Znajdziemy go, gdziekolwiek go ukryto w Londynie. Ucieczka nie jest właściwą odpowiedzią. Tylko to, co zrobimy.

Prawie mu uwierzyła. Miał w sobie jakąś pewność, jakby wystarczyło mu mocno chcieć, żeby czegoś dokonać.

– Sądziłam, że on musi być tutaj.

– Jakby był mój, tobym go właśnie tu trzymał – odpowiedział bez wahania.

Spojrzała ku niemu, w jego oczy, które w świetle świecy znów nabrały koloru whisky.

– Co przez to rozumiesz?

Odwrócił wzrok, jakby uznał, że niepotrzebnie jej to powiedział.

– Tylko tyle, że trzymałbym go pod kluczem.

– Jeśli to masz na myśli, myliłeś się.

– Nie – mruknął – nie to miałem na myśli.

Zaparło jej dech po tych słowach, jakby zrobiło się od nich duszno w pokoju.

– W takim razie co?

Stał tak blisko niej, że mógłby jej dotknąć, a Lily zbyt dobrze pamiętała poprzednią noc w powozie. Kiedy ona go dotykała, a on jej.

Nie powinna była tego znów robić.

Nie w tym miejscu. Nigdy więcej.

A jednak powoli uniosła dłoń, czując jej drżenie, i położyła mu ją na piersi, gdzie mocno i szybko biło jego serce pod tartanem. Czas jakby się zatrzymał. Obydwoje wpatrzyli się w miejsce, gdzie jej dłoń odbijała się jasną plamą od czerwieni tartanu.

Jaki on był mocny.

Jaki ciepły.

Uniosła wzrok i zobaczyła, że Alec się jej przygląda. Że czekał na to jej spojrzenie. Bez słowa, mocny i cierpliwy, jakby jego jedynym celem było czekać na nią. Być razem z nią.

Należeć do niej.

Rozchyliła wargi, tak ją zdumiała ta myśl. Zauważył to. Cisza i ciemność zdawały się okrywać ich oboje jak płaszczem.

Uniosła twarz ku górze, ofiarowując mu się. Nachylił ku niej głowę. Już nic ich nie dzieliło.

Dałaby mu wszystko.

Zacisnęła mocno powieki.

– Lily – wyszeptał, a ten szept był równie jak pocałunek pełen pożądania.

Ale potem puścił ją. Odchrząknął.

– Musimy stąd iść, nim on tu wróci.

No i już było po wszystkim. Pozostał im tylko pospieszny odwrót.

Przycisnęła palce do warg, jakby mogło to złagodzić ból rozczarowania. Widziała przecież, że chciał ją pocałować.

Czemu tego nie zrobił?

Z powodu Dereka? Z powodu tego, co tutaj niegdyś robiła?

Kimże się tu stała?

Zesztywniała, nienawidząc bolesnych wyrzutów sumienia. Nienawidziła wszystkiego. Każdej minuty, która doprowadziła do tego, że stoi w tym pokoju, gdzie przedtem leżała nago przed jednym mężczyzną, a teraz pragnie aż do bólu drugiego.

Nie miała wyboru. Wróciła w ślad za Alekiem do sypialni, usiłując ukryć, jak bardzo jest przejęta.

– Czyżby on z nim uciekł?

Alec otworzył szeroko drzwi potężnej szafy stojącej w rogu pokoju. Ujrzeli cały stos ubrań z jedwabiu, atłasu i wełny we wszelkich możliwych kolorach.

– Przypuszczam, że nie.

– Derek nigdy by nie zostawił tych strojów.

– Wiesz przecież, jaki z niego strojniś – powiedział, przypatrując się jej.

– Wiem – odparła, biorąc do ręki turkusową kamizelkę haftowaną złotą nicią. – Tylko że strojnisie potrafią robić wrażenie.

Zaśmiał się głucho, a potem rzucił opryskliwie:

– Co nie znaczy, że są coś warci.

Przestała gładzić palcami błyszczącą błękitną tkaninę.

– A Szkoci są pewnie inni?

Dziwiła się potem, że zdołała powiedzieć coś podobnego. Jakże mogła ją najść taka myśl?

Ale wtedy, gdy stali oboje w ciemności, poczuła dojmujące rozczarowanie, rozgoryczenie i żal na zły los. Nie dbała już ani o przeszłość, ani o przyszłość.

Spojrzał na nią bez słowa. Ponownie odchrząknął. Drgnęła nerwowo.

– Więcej są warci od niego.

No i robią większe wrażenie.

Zamknęła szafę i wsparła się plecami o jej drzwi.

– Czemu mnie zostawiłeś?

Zdziwił się.

– Przecież jestem tutaj.

– Po południu. Ze Stanhope’em.

– Mówiłaś, że ci przeszkadzam.

Naprawdę? Może istotnie tak było, lecz pokręciła niecierpliwie głową.

– Tylko że wcale wtedy nie odszedłeś. Uratowałeś mnie. Ale potem mnie zostawiłeś.

Milczał dość długo. Dałaby nie wiem co, żeby wiedzieć, o czym on myśli. Wreszcie przemówił.

– W gruncie rzeczy nic ci się przecież nie stało. A Stanhope był przy tobie.

Spodziewała się właśnie takiej odpowiedzi. Rzuconej od niechcenia. Nie mówił prawdy, wiedziała o tym.

– Ale dlaczego tak zrobiłeś?

– No, bo… – Zawiesił głos, a jej się zdawało, że trwało całą wieczność, nim dodał: – Bo zasługujesz na kogoś takiego jak on.

– Nie chcę kogoś takiego, jak on! – parsknęła.

– Do diabła, dlaczego? Stanhope to prawdziwy książę wśród mężczyzn.

– Jest bardzo uprzejmy – przyznała.

– No, więc cóż ci się w nim nie podoba? – rzucił ze złością. – Uprzejmy, przystojny, utytułowany, czarujący. Istna Święta Trójca męskich zalet!

Zaśmiała się.

– Wymieniłeś ich cztery.

Spojrzał na nią ze złością.

– Co z tobą, Lily? Mogłaś go mieć. Wie o obrazie, ale nic sobie z tego nie robi. No i całkiem się chyba dobrze czuje w twoim towarzystwie.

Powinna była chcieć Stanhope'a. Uklęknąć i podziękować mu za to, że on chce ją. A jednak… nie mogła.

Za bardzo pragnęła innego. O wiele za bardzo.

Nie mogła mu tego wyjawić.

– Znałam go tylko dwie godziny. Nie miał czasu mnie zapragnąć.

– Każdy zdrowy na umyśle mężczyzna zapragnąłby cię już po dwóch minutach.

Zamrugała ze zdumienia.

A on zamilkł.

– Coś ty powiedział?

– Nic. Musimy się stąd wynieść.

– Jestem wcielonym skandalem.

– Jesteś najlepszym rodzajem skandalu! – wymamrotał, idąc ku drzwiom.

W każdym razie coś takiego powiedział.

– Nie usłyszałam, co mówiłeś.

– Jesteś najgorszym rodzajem skandalu – oznajmił, tym razem głośno.

Ale przedtem mówił coś całkiem innego. Nie potrafiła ukryć rozbawienia.

– Co to znaczy?

– Jesteś takim rodzajem skandalu, że chciałoby się go doznać samemu.

Spojrzała na niego zdumiona. Nigdy w życiu nie słyszała jeszcze czegoś równie romantycznego. A już na pewno nie spodziewała się takich słów po potężnym, ponurym Szkocie.

– Bardzo to uprzejme z twojej strony.

– Nic w tym nie ma uprzejmego.

– A jednak jest. Derek wcale mnie nie pragnął. Nawet zanim wywołałam skandal.

– Bo jest idiotą – odparł, bardziej obraźliwym tonem niż słowami. Stanął przed wyłamanymi drzwiami i wsparł się o nie dłonią.

Nie mogła oderwać od niej oczu. A także od blizny biegnącej poniżej kostki. Odbijała białawą barwą od ogorzałej skóry.

– Co ci się stało w rękę?

Ani nie drgnął.

– Nadziałem się na ostry koniec rozbitej butelki.

– W jaki sposób?

– Mój ojciec wpadał w złość, kiedy sobie podpił.

Chciała do niego podejść, ale powiedziała jedynie:

– Jakże mi przykro.

Nadal unikał jej wzroku.

– Niepotrzebnie. Opuściłem dom dzień później.

– Przykro mi, że nikt się o ciebie nie zatroszczył.

Zacisnął palce na drzwiach i tylko dzięki temu zrozumiała, że usłyszał, co mówiła.

– Powinniśmy stąd wiać.

– Czy myślisz, że ktoś mnie zechce? – spytała tę rękę, świadoma, że nie powinna tego robić. I tak wiedziała, że ujawnia w ten sposób o wiele więcej, niż chciała.

Przycisnął czoło do drzwi i powiedział coś cicho po gaelicku, nim przeszedł na angielski.

– Tak, Lillian. Myślę, że ktoś cię zechce.

– Czy… – zaczęła i urwała.

Nie mogła go o to pytać.

Nieważne, jak bardzo się jej podobała ta myśl.

– Nie pytaj mnie – wyszeptał, a jej ten dźwięk sprawił dotkliwy ból.

Niemożliwe. Nie lubił jej. Zawsze to czuła. Widział w niej tylko wcielenie kłopotu.

Ale czy naprawdę?

Nie mogła dłużej znieść niepewności.

– A ty byś mnie chciał?

Tym razem nie zaklął po gaelicku, tylko po angielsku. Szybko i paskudnie.

– Nie odpowiadaj – rzuciła z miejsca, pełna obawy, że mógł przytaknąć, i jednocześnie pragnąc tego.

Nie uniósł głowy.

– Mam cię chronić, mam cię chronić – powtarzał jak litanię. Litanię do samego siebie. Do Boga. Ale nie do niej.

– Nie odpowiadaj – powtórzyła, ignorując gwałtowny przypływ pożądania. I właśnie w tej chwili zapragnęła go wręcz rozpaczliwie.

Gdyby jej bowiem pragnął, zyskałaby szansę na takie życie, o jakim marzyła. Z mężczyzną o wiele szlachetniejszym, niż mogła sobie wyobrazić.

„Mam cię chronić”.

Może dlatego, że większą część życia spędziła samotnie, myśl o wzajemności kogoś, kto by ją chronił i pragnął zapewnić jej bezpieczeństwo tak samo, jak ona jemu, była najbardziej pociągającą rzeczą, jakiej kiedykolwiek doświadczyła.

Tylko że ją zostawił i opuścił w parku. Jakby byli dla siebie niczym.

A może jednak nie?

Nigdy nie rozumiała dobrze, czym jest dla innych. Albo oni dla niej.

Skinęła więc tylko głową, szczerze pragnąc skończyć rozmowę.

– Pojmuję. Odpowiedź brzmi „nie”. Nie powinnam była pytać.

Upłynęła długa chwila. Uznała, że mógłby jej w końcu odpowiedzieć. Że mógłby odwrócić się i spojrzeć na nią.

No powiedz, że mnie chcesz! – popędzała go w myśli. Że my… że to możliwe.

Nie zrobił tego, tylko odetchnął powoli, głęboko i z trudem, a dłoń, od której wciąż nie odrywała wzroku, zacisnął w pięść. Znów wsparł ją o drzwi tak mocno, że aż kostki mu zbielały i napięły się ścięgna ramion. A potem powiedział:

– Nie powinnaś była tego mówić.

Otworzył drzwi z taką siłą, jakby chciał je wyrwać z zawiasów.

A potem zniknął w ciemności.

15. Niechciany Książę opuszcza rozżaloną podopieczną

Zasługiwał na medal.

Za to, że powiedział „nie”. Za to, że się nie odwrócił, nie objął jej i nie zaczął się z nią kochać, póki ręce nie przestałyby mu się trząść z pożądania. Za to, że nie zrujnował do cna jej reputacji tam, w ciemności, na podłodze ogołoconej ze sprzętów sypialni Dereka Hawkinsa.

„A ty byś nie chciał?”

Pragnął jej tak, jak Highlands mgieł.

Byłby jednak nikczemnikiem, gdyby wziął to, czego tak bardzo chciał, i raz na zawsze zniszczył możliwość, by otrzymała to, na co zasługiwała. Życie z mężczyzną, który był jej wart. Myślał tak, nim jeszcze poznał jej zamiar wykradzenia obrazu. Odkąd jednak zaczął jej pomagać w odnalezieniu go i zniszczeniu, zanim będzie wystawiony, jego przekonanie jedynie się umocniło.

Powinien był go odnaleźć.

Powinien był też, do diaska, chronić ją.

„Mam cię chronić”.

W jaki sposób zdołał znaleźć w sobie tyle siły, żeby odejść i nie wrócić do niej? Wyczuł w jej słowach, że oddałaby mu się. Że chciałaby tego. Że wciąż go pragnęła. Że pragnęła też czegoś więcej.

Myślał już, że wie, czym jest pożądanie i tęsknota. A potem spotkał Lillian Hargrove i poznał prawdę – że wszystko, czego kiedykolwiek pragnął, jest niczym w porównaniu z nią. Że zapłaciłby każdą cenę i zrobił wszystko, byle tylko jeszcze raz mieć ją przy sobie.

I że nie był jej wart.

A gdy stała w pustym domu i pustym pokoju, gdzie niegdyś obnażała się dla innego mężczyzny, gotów był zapłacić każdą cenę, byle ją mieć. Oparł się jednak temu.

Żeby ją chronić. Żeby dać jej szansę na życie, jakiego pragnęła.

Teraz zyskała bowiem szansę na coś więcej niż małżeństwo z rozsądku. Gdyby odnaleźli obraz i zdołali go ukraść, wciąż miałaby wprawdzie zaszarganą reputację w oczach londyńczyków, lecz mogłaby uniknąć jej w oczach wszystkich innych.

Bystra dziewczyna.

Powinien był myśleć o sobie. I zrobiłby to, gdyby nie zaślepiła go jej piękność, jej siła i cała reszta. Ale zanadto się starał, żeby ją chronić. Przed Londynem. Przed jej przyszłością. Przed jej przeszłością.

A także przed nim samym.

O, tak. Zasłużył sobie na ten przeklęty medal.

Kiedy stamtąd wyszli, zaczęło lać jak z cebra, a on nadal chciał o nią jak najlepiej dbać. Dlatego wsadził ją do dorożki, a sam siadł na koźle koło dorożkarza. Żeby zapewnić jej bezpieczeństwo.

A może sobie.

Nie był bowiem pewny, co by zrobił, gdyby się znalazł w powozie razem z nią. Tuż przy niej.

W tej samej przestrzeni. Wdychając jej zapach, dziwnie podobny do woni wrzosowisk Highlands.

Deszcz zacinał go w twarz, gdy dorożka skręcała, dążąc do bezpiecznego Grosvenor Square, gdzie położyliby się do łóżek, oddzieleni ścianami z wizerunkami psów. Udawałby wówczas, że śpi, tęskniąc aż do bólu za tym, by zedrzeć z niej strój i czcić ją rękami, wargami, językiem…

Myśl o tym sprawiła, że głucho jęknął w strugach zimnego majowego deszczu, wspominając jej zapach, faliste linie ciała i wyobrażając sobie, co by czuła, gdyby dotknął językiem jej najskrytszych miejsc.

– Ma pan jakiś kłopot, milordzie?

Jasne, że miał.

Pragnął Lily z niesłychaną siłą. A tymczasem nie wolno mu jej było pragnąć.

– Zatrzymaj się tutaj – powiedział i sięgnął do kieszeni, by zapłacić dorożkarzowi.

– Gdzie my jesteśmy?

– Na Hanover Square.

– Wysiadam tutaj.

– Panie, toż leje!

Całkiem jakby o tym nie wiedział.

– Odwieź tę panią na Grosvenor Square.

Wymacał palcami jakiś kartonik w kieszeni surduta i wyciągnął go razem z sakiewką. Przeczytał w świetle latarni dorożki: „Hrabina Rowley”.

Wizytówka Peg. Lokaj, którego nawet nie znał z nazwiska, musiał przełożyć ją tam z jego podartego surduta.

Zapłacił dorożkarzowi ogromną sumę, przyjął służalcze podziękowania i wysiadł, gdy tylko otworzyły się drzwiczki.

Chciałby jej powiedzieć: „Nie pozwól, żebym cię zobaczył”. Nie wiedział, czy zdołałby się jej oprzeć. A jednocześnie pragnął powiedzieć: „Pozwól, żebym cię zobaczył”.

– Alec? – Usłyszał swoje imię z jej ust. Co za wspaniały dar w tym deszczu.

– Zamknij drzwiczki – powiedział, starając się na nią nie spojrzeć. Nie ufał sobie.

Po chwili usłyszał:

– Przecież pada. Powinieneś siedzieć w środku.

Przy niej. Dotykać jej. Nie mógł pohamować rozdrażnienia, jakie poczuł, słysząc te słowa. Właśnie że nie powinien siedzieć w środku. Miał jeden, jedyny cel: chronić ją. A teraz był dla niej czymś najbardziej niebezpiecznym.

– Dorożkarz odwiezie cię do domu.

– A co z tobą? Kto ciebie odwiezie?

Łagodne pytanie zraniło go jak ostry cios. Sama myśl o wspólnym domu była niedorzecznością.

– Pójdę pieszo.

– Alec… – zaczęła i urwała. – Proszę cię.

Na dźwięk jedynego słowa, jakie wyszeptała w jego ramionach, słowa, które obiecywało tak wiele i żądało jeszcze więcej, niż zdolny był jej dać, zadrżały mu znów ręce, tak jak wtedy, w domu Hawkinsa. Zacisnął je w pięści, chcąc odegnać pożądanie.

Czyż mógłby jej nie pragnąć?

– Zamknij drzwiczki, Lily. – Nie miała wyboru, musiała usłuchać. Spojrzał na dorożkarza.

– Jazda!

Powóz ruszył natychmiast.

Przejechał dłonią po twarzy. Nienawidził Londynu. Chciał być gdziekolwiek, byle nie tu.

„Anglia cię zniszczy”.

Opuścił rękę i spojrzał na kartę wizytową. Na adres pod nazwiskiem. Hanover Square.

„Przyjdź mnie odwiedzić”, szepnęła mu do ucha Peg, wsuwając bilet wizytowy do kieszeni jego surduta.

Niedawno Lily spytała go, czy wierzy w fatum, a on dał jej odpowiedź zgodną z prawdą. To nie fatum kazało mu wysiąść na Hanover Square z biletem wizytowym Peg. Dokonali tego zbyt skrupulatny lokaj i zbyt męcząca podopieczna. A gdy patrzył w ślad za dorożką znikającą w ciemności, gdy deszcz stopniowo zagłuszył stukot kopyt oraz turkot kół, to nie fatum posłało go pod drzwi numeru 12 na Hanover Square.

„Przyjdź mnie odwiedzić”.

Tylko jego wstyd.

Poczekał, aż służąca zejdzie do holu, żeby go zaprowadzić w głąb domu, do pokoju, którego charakter z miejsca odgadł, nim jeszcze otwarł jego drzwi.

Sypialnia Peg.

Stała przy kominku, jasne włosy błyszczały w świetle jak złoto. Błyszczał również jedwabny szlafrok, rozchylony przy szyi i opływający jej wielbione niegdyś przez niego kształty. Myślał, że będą pierwszymi i ostatnimi, jakie wielbi. Że Peg chciałaby, aby wielbił je zawsze.

– Wiedziałam, że przyjdziesz – powiedziała półgłosem, dyskretnie, całkiem jakby w pokoju nie było służącej. No i rzeczywiście jej tam już nie było. Zniknęła, zamykając za sobą drzwi z cichym stuknięciem.

– A ja nie – odparł.

Uśmiechnęła się tym samym porozumiewawczym uśmiechem, co dwadzieścia lat wcześniej – pełnym obietnic, których nie miała dotrzymać.

– Nie doceniłeś mego nieodpartego uroku. No i jesteś w kilcie, mój ty cudowny Szkocie.

Podeszła do łóżka i ułożyła się na poduszkach, w krańcowo swobodnej pozie, jaką można osiągnąć tylko dzięki długoletniej wprawie.

I tak było rzeczywiście. W końcu widział ją już przedtem w tej samej pozycji. W innym miejscu i w innym świecie. Kiedy był młody, niedoświadczony i rozpaczliwie spragniony jej piękna. Jej perfekcji.

A skończyło się to inaczej niż dzisiaj.

Wtedy pragnął bowiem, jeszcze bardziej desperacko, tego, co sobą przedstawiała. Przyszłości, jakiej nigdy miał nie zaznać. Akceptacji przez jej świat. Przez Anglię.

A teraz nie chciał już żadnej z tych rzeczy. Wszystkim, czego pragnął, była dziś Lily.

Znalazł się tu, żeby sobie wbić w pamięć, że Lily nie jest dla niego. Że za każdym razem, gdy jej dotykał, brukał ją swoją przeszłością. I swoim wstydem.

– Nie przyszedłem tu dla ciebie – powiedział chłodnym tonem.

Uniosła jedną z cienkich, jasnych brwi.

– Jesteś pewien?

– Całkowicie.

Westchnęła i odchyliła się w tył, obojętnie przyjmując jego słowa.

– W takim razie każesz mi marnować czas. Po co więc przyszedłeś?

Istotnie, po co? Czego właściwie chciał? Czy Peg dała mu kiedykolwiek to, czego pragnął? Nie czekała jednak na jego odpowiedź, powiedziała tylko:

– Jeśli ci się tu nie podoba, powinieneś wrócić do domu. Do twojej małej skandalistki.

Zmusił się, żeby należycie pojąć jej słowa.

– Co masz na myśli?

– Tylko to, że na balu u Eversleya całkiem wyraźnie dałeś do zrozumienia, że zrobiłbyś wszystko dla tej dziewczyny. Nawet niesłychaną scenę. A sądziłam, że dostałeś pod tym względem należytą nauczkę już całe lata temu. – Zamilkła na chwilę, po czym ciągnęła: – Przyznam, gdybym wiedziała, że Alec Stuart – bez rodziny i pieniędzy – zostanie pewnego dnia księciem z królewską fortuną, mogłabym się zastanowić nad twoją uprzejmą propozycją.

Każdy by się zastanowił. A jego życie wyglądałoby całkiem inaczej. Nie byłoby w nim tylu kobiet, które uznały, że wart jest tylko igraszek, a nie poważnego potraktowania.

Peg uśmiechnęła się. Zimnym, odpychającym uśmiechem. Pomyślał, że zapewne uważa się za piękną i że on też tak zawsze sądził. Teraz wiedział już jednak, czym może być prawdziwa piękność. Że łączy się z siłą, dumą, celowym działaniem i oczami koloru szkockiego morza.

Peg znów zabrała głos.

– Czy uwierzysz, że twoje oświadczyny były najpiękniejsze ze wszystkich, jakie kiedykolwiek usłyszałam? Wciąż jeszcze je pamiętam. „Powinienem postąpić z tobą uczciwie. Powinniśmy być szczęśliwi przez resztę życia”. Klasnęła językiem. – Byłeś młody, niedoświadczony, bez żadnej wiedzy o kobietach i o świecie.

Przez ułamek sekundy stał się znów tamtym niemądrym piętnastolatkiem.

– Dostałem nauczkę od kobiet dawno temu.

Były wśród nich takie, na które zasługiwał, i takie, na które nie zasługiwał. No i oczywiście ta, którą stanowczo zaliczyłby do drugiej kategorii.

Peg jakby odgadła jego myśli.

– A my, damy, dostałyśmy nauczkę od ciebie, nieprawdaż?

No właśnie. Z tego powodu tu przyszedł. Żeby sobie przypomnieć o własnym statusie. O życiu, którego nie mógł zaznać. Oparł się jednak wspomnieniom.

– Nic o mnie nie wiesz.

Peg uniosła kąt warg w wymuszonym uśmieszku.

– Założę się, że więcej niż ona. – A po krótkiej pauzie dodała: – A może pozbyła się już Szkockiego Brutala?

Spojrzał na nią, niezdolny pohamować wstydu i furii, jakie go rozsadzały. Niezdolny ukryć przed Peg prawdy.

Peg odęła wargi w sposób wręcz perfekcyjny.

– Och, mój drogi, jesteś taki jak zawsze. Zależy ci na tej dziewczynie.

– Nie – odparł.

Skłamał.

Peg znów klasnęła językiem i podniosła się z łóżka. Zbliżyła się ku niemu w złocistym jedwabiu, przylegającym do niej niczym druga skóra.

– Alecu Stuarcie, zapominasz, że byłam pierwszą kobietą, jaką kochałeś.

– Nigdy cię nie kochałem – odparł, ale nie cofnął się, gdy do niego podeszła. Nie uchylił się też, gdy wyciągnęła rękę i dotknęła chłodną dłonią jego twarzy, pozbawiając go wspomnienia o Lily.

Chyba na to zasługiwał.

– Inaczej wtedy mówiłeś, mój ty uroczy Szkocie, wielki jak góra, potężniejszy niż ktokolwiek inny, kogo potem znałam.

Przylgnęła do niego, a on stłumił w sobie chęć, by ją odepchnąć. Chciał dostać nauczkę. Chciał sobie przypomnieć, kim był i czym. Peg zniżyła głos do szeptu, chwyciła dłonią za krawędź kiltu, musnęła końcami palców jego biodro, tak że cały zesztywniał.

– Niech ta dziewczyna cię dostanie, mój drogi. Niech to poczuje. Nie będziesz jej pierwszym, a ona twoją pierwszą też nie. Pomyśl tylko o tym. Świetnie się do tego nadawałeś.

Chętnie by zareagował furią na sposób, w jaki to powiedziała, choć bliski był zrobienia tego wobec Lily. Potem Peg dodała:

– A kiedy będzie cię już miała dość, wróć do mnie. Bardzo bym tego chciała.

– Nigdy.

Przylgnęła do niego jeszcze mocniej.

– Nawet gdybym ci przypomniała, co potrafię?

– Dziwne, że tak to ujęłaś, zwłaszcza że straciłem zainteresowanie tą powtórką.

Ręka Peg śmignęła w powietrzu ze złością, a trzask jej ciosu rozległ się w cichym pokoju donośnie niczym dzwonek alarmowy. Nie uniósł dłoni do twarzy, żeby złagodzić ból. Raczej cieszył się, że go czuje. Cieszyło go również to, co chciała mu dać. Nauczka.

– Nie mierz za wysoko, Alecu Stuarcie. Teraz jesteś Niechcianym Księciem, ale kiedyś byłeś na mojej łasce. Nie chciałbyś chyba, żeby wszyscy poznali prawdę.

– Mam to w nosie – odparł. – Pamiętaj, lady Rowley, że moje sekrety dotyczą również i ciebie. Nie zapomnij tego powiedzieć twoim przyjaciółkom. Żadna dama nie lubi, żeby publicznie prano jej brudną bieliznę.

Spojrzała na niego gniewnie.

– Sam masz brudną bieliznę.

Tu ją miał w garści.

– Pod pewnym względem nasza wspólna przeszłość jest prawdziwym dobrodziejstwem, czyż nie?

Milczała długo, a potem odparła:

– Niezależnie od moich sekretów nie chciałbyś chyba, żeby twoja Prześliczna Lily poznała prawdę o tobie. Na twoim miejscu liczyłabym się ze słowami.

Myliła się. Byłby rad, gdyby Lily poznała prawdę. Łatwiej przyszłoby mu jej pragnąć, gdyby w żaden sposób nie mogła już należeć do niego.

Nie powinien był tu przychodzić. Przedtem dziwiło go, dlaczego chciał złożyć wizytę Peg, czemu pozwolił, by jej bilet wizytowy zaprowadził go do niej. Teraz już znał prawdę.

Chciał, żeby dała mu dobrą nauczkę.

Otrzymał bowiem dowód, że doskonałość Lily nie jest dla niego.

Wyszedł stamtąd, zdecydowany zrobić dwie rzeczy. Po pierwsze, Lily powinna znaleźć szczęście dzięki najlepszemu mężczyźnie, jakiego zdoła jej znaleźć. Po drugie, tym mężczyzną nigdy nie powinien być on.

Mimo że Lily już od kwadransa przeglądała pudło ze wstążkami w sklepie madame Hebert, modnej krawcowej, mieszczącym się na Bond Street, nie potrafiła wybrać odpowiedniego koloru. Zanadto pochłaniało ją to, co sobie wciąż powtarzała przez niemal trzy dni, odkąd po raz ostatni widziała Aleca.

Nie powinna go była pytać, czy jej pragnie.

Nie powinna była zdradzać się z myślą, która uparcie ją nachodziła, jako rezultat ochronnych działań i prowokacyjnych pocałunków oraz pewnej nadziei. A tej nadziei nie należało dawać przystępu do umysłu i serca.

Mimo to, niczym uparty półgłówek, wciąż powtarzała w duchu pytanie: „A ty byś nie chciał?”

Zaczerwieniła się, przypominając je sobie znowu. Jakże mogła sądzić, że wyniknie z tego cokolwiek prócz zażenowania? Widziała, że zmagał się ze sobą, jakby nie chciał jej zranić powiedzeniem prawdy.

Wyznał ją jednak, gdyż był szlachetniejszy od innych mężczyzn. Lepszy i szlachetniejszy. Tylko że powiedział jej: „nie”. Lepszy, szlachetniejszy, ale nie dla niej. Choć pragnęła go wręcz desperacko.

A potem, jakby chciał jej dać do zrozumienia, że sama prawda nie wystarczy, zniknął.

Czekała na niego trzy noce temu, aż w końcu usnęła, siedząc w salonie Psiego Domu, tak bardzo pragnęła nie przegapić jego powrotu. Nie wrócił jednak. Drugiego dnia także. A również trzeciego.

Zabrał także psy, co – jak uważała – znaczyło, że nie ma zamiaru wrócić, chociaż ogromnie tego pragnęła.

A zatem tego ranka musiała wziąć sprawy w swoje ręce i wezwała posiłki.

– Czy się nie cieszysz, że postanowiłyśmy być twoją przyzwoitką?

Uniosła wzrok znad pudła ze wstążkami i ujrzała, że naprzeciw niej stoi lady Sesily Talbot, uśmiechając się szeroko.

– Jesteśmy niemal jak dobre wróżki, pracujące ciężko i z poświęceniem.

W kącie Seleste i Seline przyglądały się kolekcji szpilek do włosów oraz różnym akcesoriom, które jedni nazwaliby *de rigueur*, czyli niezbędnymi, a inni *de trop*, czyli niepotrzebnymi. Zachichotały, gdy znalazły coś w ich stercie, a Lily rozmyślała, jak można się czuć, mając tak mało zmartwień. Były zamężne lub miały niedługo wyjść za mąż za mężczyzn, którzy, jak wieść niosła, uwielbiali je. Żyły zatem swobodnie i nie znały samotności. Zawsze były razem.

Poczuła ukłucie zazdrości, gdy na nie patrzyła, wyobrażając sobie, jak odmiennie mogłoby wyglądać jej życie, gdyby ojciec nie osierocił jej tak wcześnie. Książę wkrótce podążył za nim, a potem inni, niby ołowiane żołnierzyki, wszyscy w jednym szeregu. Może nie byłaby samotna w Dniu Świętego Michała, gdyby stało się inaczej. Może nigdy nie spotkałaby Dereka. Nigdy nie pozowałaby do aktu.

Ale też nigdy nie spotkałaby Aleca.

Nabrała raptownie tchu, porzucając jednak z miejsca tę myśl. Nic się nie mogło równać poznaniu Aleca. Nawet gdyby musiała go opuścić. Nawet gdyby go już nigdy nie zobaczyła.

– Moja droga – przerwała jej rozmyślania Sesily, co Lily przyjęła całkiem chętnie. – Zechciej nam powiedzieć, czemu tu jesteśmy?

Wiem, gdzie może być obraz. Idziemy jutro do teatru na występ Hawkinsa. Razem ze Stanhope’em. Tylko ubierz się stosownie, a nie w żadną tam psią suknię.

Liścik nadszedł wraz z poleceniem, by tego ranka udała się do sklepu krawcowej

na Bond Street. Co za szkoda, że bez podpisu. A ona tak bardzo pragnęła zobaczyć jego podpis, coś w rodzaju potwierdzenia własnej osobowości. Jak by się podpisał? Imieniem? Inicjałami? Swoim tytułem? Nie, z pewnością by się nim nie posłużył.

Poczuła wstręt do siebie. Zaprosił tamtego drugiego, żeby im towarzyszył. Jeśli nie dowodziło to, że jej uśmiech jest niemądry, to sama już nie wiedziała, co jest niemądre. Spojrzała na Sesily, usiłując mówić pogodnym tonem.

– Muszę sprawić sobie suknię.

– I to dlatego – spytała ze zdziwieniem Sesily – wyglądasz jak chłopiec, któremu uciekł ulubiony piesek?

– Nie rozumiem, co masz na myśli.

– Przecież jesteśmy przyjaciółkami. Powinnam cierpliwie czekać, póki mi nie powiesz.

Przyjaciółkami. Nieoczekiwane słowo Sesily wypowiedziała swobodnie, jakby przyjaźń była dla niej czymś naturalnym i godnym szacunku. Jakby mogła taka być i dla Lily.

Było jej coraz ciężej na duszy.

– Drogie panie. – Madame Hebert, uważana za najlepszą krawcową w całym Londynie – bulwarówki pisały, że podczas największego nasilenia działań wojennych porzuciła dwór Józefiny – wyszła spoza pobliskiej zasłony.

– Miło mi znów widzieć moje ulubienice… *Non*! – zawołała, spoglądając na Lily. – Nie tylko siostry! Widzę jakąś nową twarz! – Podeszła bliżej, ujęła ją pod brodę i obróciła jej głowę w lewo, a potem w prawo. – Jest pani chyba najpiękniejszą kobietą, jaką widziałam kiedykolwiek w moim sklepie.

Nie był to komplement, tylko proste stwierdzenie faktu. Lily zmieszała się.

– Dziękuję.

– To Lillian Hargrove – wtrąciła się Sesily. – Podopieczna księcia Warnick.

Jedna idealnie zarysowana czarna brew uniosła się do góry. Była to jedyna wskazówka, że krawcowa usłyszała słowa Sesily.

– Albo po prostu Lily – dodała Lillian.

Krawcowa kiwnęła głową.

– Pani tu przyszła z powodu Warnicka.

Gdybyż życzenia się spełniały. Odepchnęła od siebie tę myśl.

– Nie.

– Z powodu kogoś innego – dodała Seleste radośnie. – Hrabiego Stanhope’a.

Madame Hebert nie odrywała wzroku od Lily.

– Słyszałam, że na bal Eversleya przyszła pani w sukni z motywami psów.

– Skąd pani wie?

Francuzka przymrużyła oczy.

– A czy tak rzeczywiście było?

– Chciałam komuś dać po nosie – powiedziała Lily, jeszcze bardziej zażenowana niż wtedy na balu.

– Stanhope'owi?

Lily wyprostowała się energicznie.

– Warnickowi.

Przez chwilę krawcowa rozważała jej słowa. A potem oświadczyła:

– *Oui*. Ubiorę panią.

– Och, wspaniale! – Trio sióstr Talbot zaklaskało z przejęcia. – Oczywiście będzie jej trzeba wszystkiego.

– Nie wszystkiego – poprawiła ją Lily. – Tylko sukni na…

Ale madame Hebert już zabrała się do roboty, rozsuwając zasłony, jakby Lily po prostu miała pójść za nią. I zrobiła to, bo siostry Talbot niemalże ją tam wepchnęły.

– Ona nie ubiera byle kogo – szepnęła do niej Seline. – Jest wyjątkowo wybredna w doborze klienteli.

– Jeśli taka jest istotnie, to będzie unikać skandalu – odparła Lily, również szeptem. – Czy myślisz, że wie o mnie?

Weszły do pracowni krawieckiej i przymierzalni, gdzie kilka szwaczek pracowało pod oknami w przeciwległej ścianie, a na podium, tyłem do drzwi, stała kobieta, której młoda dziewczyna, klęcząc koło niej, wyrównywała obrąbek luksusowej sukni z fioletowego jedwabiu.

– Nigdy nie unikam skandali – stwierdziła pani Hebert w taki sposób, jakby przez cały czas brała udział w ich rozmowie. – Skandal to coś bardzo widocznego. A ja lubię, żeby widziano moje suknie.

Wskazała Lily pobliskie podium.

– Już raczej unikałabym pani przed skandalem, Prześliczna Lily. Kiedy panią w ten sposób nazywano.

– Uwielbiam madame Hebert! – Sesily padła na pobliski szezlong i powtórzyła to, co już mówiła krawcowej: – Trzeba jej będzie wszystkiego.

Madame Hebert przekrzywiła głowę i przypatrywała się Lily przez dłuższą chwilę, nim powiedziała:

– *Oui*.

– *Non*! – odparła Lily. – Potrzeba mi tylko sukni na przedstawienie w teatrze.

– Valerie. – Madame Hebert wezwała do siebie młodą dziewczynę. – Przynieś tę błękitną. – A potem zwróciła się do nich: – Mam kilka sukien nadających się dla pani po bardzo nieznacznych poprawkach, z którymi można zdążyć przed następną

nocą. Ale jak już mówiłam pani księciu, na całą resztę *trousseau*[7] trzeba będzie nieco poczekać.

– On nie jest… – zaczęła mówić Lily, nim jeszcze Francuzka skończyła zdanie. – *Trousseau*?

– To jedno z moich ulubionych słów – westchnęła Seline z szezlonga, przy którym zebrały się siostry. – Najlepsza rzecz w małżeństwie.

– No, chyba druga z kolei – odparła cierpko Seleste, co siostry powitały chichotami.

– Lily szybko sama się o tym przekona – odparła Seline. – I to ze Stanhope'em – co za radość!

– Jest niesłychanie przystojny – zgodziła się z nią Seleste.

Sesily jednak zamilkła i uważnie spojrzała na Lily oczami, które zdawały się zbyt wiele wiedzieć.

– Hrabia Stanhope nie zamierza mnie poślubić – powiedziała Lily do krawcowej, która przebierała w naręczu przyniesionych przez Valerie strojów, aż w końcu wyciągnęła spośród nich zachwycającą suknię w kolorze błękitu nieba. Kiedy ją uniosła, Lily wręcz oniemiała na widok głębokiej barwy.

– Jaka piękna – przyznała, nie mogąc się powstrzymać przed wyciągnięciem ku niej ręki.

Madame Hebert przytaknęła jej:

– *Oui*. A pani będzie w niej pięknie wyglądać. – Rzuciła suknię Lily, wskazując na przymierzalnię. Lily zrobiła, co jej kazano, i po kilku minutach wróciła. Suknia leżała na niej zdumiewająco dobrze, niemal idealnie.

– Ach, jej! – westchnęła Seleste.

– To jest to! – uznała Seline.

Sesily uśmiechnęła się szeroko.

– On nie powinien wiedzieć, co go czeka.

Przez jedną krótką chwilę jej słowa wywołały u Lily wizję Aleca: oczy zwężone w szparki, ręce wyciągnięte w jej stronę, całkiem jak wtedy w powozie, gdy wracali z balu Eversleya. Co powinna zrobić, by znów przyciągnąć jego uwagę? Żeby jej dotknął? Żeby ją pocałował?

Nosiłaby wtedy tę suknię codziennie przez resztę życia.

A potem przypomniała sobie, że przecież stroi się nie dla Aleca, tylko dla innego mężczyzny, którego musi złapać na męża. W ciągu trzech dni.

Krawcowa wskazała jej podium, na którym nikt jeszcze nie stał, a jej zespół natychmiast zaczął się wokół niej uwijać jak w ukropie, rzucając sobie wzajemnie polecenia po francusku i wpinając w nią szpilki z tak zawrotną szybkością, jakby

od urodzenia była poduszeczką do nich. Nie mówiła po francusku na tyle dobrze, żeby rozumieć, o czym dyskutują, starała się jedynie stać bez ruchu, gdy się nią zajmowały i mogła tylko na wszystko patrzeć, wodząc oczami od sióstr Talbot siedzących w pobliżu na sofie do szwaczek i kobiety w rogu, która najwyraźniej sporządzała rachunki. Dostrzegła również inną klientkę, wychodzącą właśnie z przymierzalni.

Lily spojrzała na nią zaskoczona.

Wzrok hrabiny Rowley prześlizgnął się po błękitnej sukni na podłodze, oceniając jej krój i tkaninę, a potem utkwiła spojrzenie w oczach Lily. W jej wzroku błysnęło coś niepokojącego i przebiegłego. A kiedy przemówiła, zrobiła to z iście królewskim spokojem.

– Powinno go to zachwycić.

Cały pokój znieruchomiał, czekając na jej dalsze słowa, i tylko trio sióstr ledwo zauważalnie zesztywniało na szezlongu.

Lily nic nie powiedziała. Była zbyt przerażona.

Hrabina jednak nie bała się ani trochę.

– On zawsze lubił błękit.

Lily nie chciała dać się sprowokować.

– Dziękuję – odparła, świadomie nawiązując do pochwały wypowiedzianej przez hrabinę. – Ja także lubię błękit.

Jedna z jasnych brwi Peg uniosła się do góry.

– Wie pani, że odwiedził mnie trzy dni temu?

– Co ona… – zaczęła Seleste.

– Czy była razem z… – włączyła się Seline.

Sesily nakazała im gestem dłoni milczenie i wstała, jakby chciała bronić w tej chwili Lily.

Jakby ktokolwiek mógł ją w tej chwili obronić.

Trzy dni temu spytała Aleca, czy jej pragnie. A on trzy dni temu odpowiedział jej „nie”.

– Nie wierzę pani – powiedziała.

Skłamała. Wierzyła jej. Trzy dni temu Alec poszedł do tej zimnej i bezwzględnej kobiety, której nic nie mogło wzruszyć. Była zupełnym przeciwieństwem Lily; do szpiku kości arystokratyczna i pełna londyńskiej perfekcji. A także świadoma jego przeszłości.

A Lily wróciła do domu i czekała na niego.

A on nie przyszedł.

Hrabina poznała się na kłamstwie. Podeszła do niej z uśmiechem. W każdym

calu wyglądała jak stworzona do tego miejsca i do tej chwili. Jak kobieta, której zapragnąłby każdy mężczyzna. Stała ponad skandalem.

Ponad wstydem.

Lily ogarnęła dzika zazdrość, gdy hrabina zbliżyła się ku niej z nieznacznym, cynicznym uśmieszkiem na ustach.

– Odwiedził mnie, bo chciał, żeby mu przypomnieć, że ty nie jesteś dla niego.

Te słowa raniły jak cios, twarde i podłe.

Lily nie dała tego poznać po sobie.

Wyprostowała się, pragnąc okazać siłę.

– Jeśli on poszedł do pani, Peg, to zapewniam, że ja nie jestem dla niego.

Miała wrażenie, że któraś z sióstr Talbot szepnęła:

– Zuch dziewczyna.

Na twarzy hrabiny pojawiło się zaskoczenie wraz z gniewem, ale znikło, zastąpione przez chłodną maskę.

– Biedna Prześliczna Lily. Nie widzisz, że Alec nie nadaje się na kogoś, z kim można przeżyć całe życie? Dobry jest tylko na jedną noc.

Słowa hrabiny wywarły zamierzony skutek. Były bezwzględną karą, nawet jeśli się ich w pełni nie zrozumiało. Lily nie mogła zrobić nic więcej prócz spytania krawcowej:

– Czy pani już skończyła?

– Niezupełnie – powiedziała Francuzka, klęcząca przy obrąbku jej sukni. – Ale pani hrabina owszem.

Lady Rowley nie zyskała sposobności do odpowiedzi, bo krawcowa pstryknęła palcami i cała grupka młodych kobiet odprowadziła arystokratkę do sklepu od frontu.

Seline i Seleste jednocześnie wydały z szezlongu westchnienie ulgi, a Sesily podeszła do Lily.

– Ta kobieta to niesłychana jędza – oznajmiła i zbliżyła się do niej jeszcze bardziej. – Poradziłaś sobie z nią znakomicie. Zrobiło to na mnie wrażenie. Skąd znalazłaś jej imię?

Tak ją nazywał Alec. Bóg jeden wie, od jak dawna.

Poszedł do niej. Zostawił Lily.

– Ja… – Urwała, nie mogąc znaleźć właściwych słów. Spojrzała na swoje dłonie i spostrzegła, że drżą. Przeniosła wzrok na Sesily. – Nie wiem, co począć.

Sesily spojrzała jej w oczy i schwyciła ją mocno za dłonie, tak że przestały się trząść.

– Bądź nadal silna. No i przenigdy niw pozwól jej zobaczyć, że drżysz.

– Słusznie. – Stanęła przy nich Seleste wraz z Seline. – Ani jemu.

– Nie wiem, o kim mówisz. – Lily pokręciła głową.

Sesily odparła z uśmiechem:

– No oczywiście. Ale gdybyś tak… – zawiesiła na chwilę głos – wiedziała, o kim mówimy, to znaczy… gdybyś… jak przypuszczam… przełożyła jednego nad drugiego?

Lily uniosła wzrok w górę, nie chcąc się rozpłakać. Zapragnęła znaleźć się w tej chwili gdzie indziej. Gdy madame Hebert wstała ze swego miejsca przy jej nogach i podeszła do szafki pełnej tkanin, Lily przypomniała sobie, że Alec nie był kimś, kogo mogłaby wybrać. Nigdy nie był taką osobą. A trzy dni wcześniej dał jej to do zrozumienia bardzo wyraźnie.

Spojrzała na przyjaciółkę.

– On mnie nie chce.

– Akurat! – prychnęła Sesily.

– Ale to prawda. Zostawił mnie samą w domu. Nie widziałam go od trzech dni. Najwyraźniej poszedł szukać pocieszenia w ramionach tej… – Urwała i wskazała ręką ku sklepowi. A po dłuższej chwili dodała, cichym i smutnym głosem: – Tak. Oczywiście. Wybrałabym jego.

Po raz pierwszy przyznała to otwarcie, ale te słowa były przerażające i jednocześnie łamały jej serce. Pragnęła go. Bardziej niż wszystkiego kiedykolwiek.

– Ale on mnie nie chce.

– Och. Lily – powiedziała Sesily, wchodząc na podium i biorąc ją w objęcia.

Lily zawsze słyszała, że w ramionach przyjaciółek kobieta czuje się lepiej, ale teraz nie doznała niczego w tym rodzaju. Przeciwnie, poczuła się gorzej i zapragnęła uznać się za zwyciężoną przez tamtą kobietę, zapłakać, a cały swój smutek i brak nadziei złożyć Sesily u stóp.

Tylko że w jakiś dziwny, niewytłumaczalny sposób odkryła pewną prawdę.

Nie była już dłużej samotna.

– Mamy jeszcze jedną siostrę, wiesz może o tym? – powiedziała Sesily, ale Lily dopiero po chwili zdała sobie sprawę ze zmiany tematu.

– Serafinę.

Lily skinęła głową.

– Wiem, przyszłą księżnę Haven. – Piąta ze Wstrętnych Sióstr, oskarżana o zastawienie matrymonialnej pułapki na pewnego księcia, kilka miesięcy wcześniej zniknęła z Londynu.

Po twarzy Sesily przemknął cień.

– Sera nie zdołała w końcu zdobyć swego księcia.

Czasami miłość jest nie do zdobycia. Lily to rozumiała.

Nie rozumiała jednak sióstr Talbot, które spoglądały teraz na nią, jakby sobie coś postanowiły.

– Ale ty powinnaś zdobyć swojego. Pomożemy ci.

Oczywiście była to tylko wspaniała fantazja, nic innego.

Lily uwolniła się z uścisku, zdusiła w sobie chęć do płaczu, a potem spostrzegła, że Seleste i Selina dołączają do nich. Że nie jest samotna. Że jest ich teraz cztery, a nie jedna.

Nie, pięć.

Za siostrami Talbot bowiem stanęła francuska krawcowa, najbardziej podziwiana w całym Londynie, trzymająca w rękach tkaninę. Przyglądała się Lily bystro i fachowym okiem.

– Skoro go sobie wybrałaś – przy tych słowach rozłożyła ramiona, prezentując materiał – w takim razie go zdobędziesz. A na sobie wtedy będziesz miała to.

Lily otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, a jej przyjaciółki wydały kilka okrzyków zachwytu. Z jedwabiem w rękach powtórzyła znowu jedyną, niezaprzeczalną prawdę.

– Pragnę go mieć.

– W takim razie będzie twój – odparła Sesily zwięźle i z pełną świadomością. – No, bo jeśli w tym go nie zdołasz podbić, to ten człowiek jest nie do zdobycia.

16. Czyżby tartan był kuszącą tkaniną? A może okropną modą?

Alec nie przypuszczał, żeby to było możliwe, lecz rezydencja w Kensington, niegdyś własność leciwego Numeru Dziewięć i jego żony, była jeszcze gorsza niż Psi Dom.

Lady Dziewiąta była najwyraźniej kolekcjonerką. Zbierała wszystko.

Po trzech dniach, które spędził w opustoszałym pałacyku na Regent Street – Settlesworth wspominał mu coś o wypadku z łódką na północy Anglii, w którym tragicznie zginęli książę i księżna numer dziewięć – Alec czuł się przytłoczony stołami pełnymi miniaturowych figurek zwierząt, półek z porcelanowymi statuetkami i przeszklonymi szafkami z mnóstwem serwisów do herbaty. Uznał, że kiedy w tej rezydencji zredukowano liczbę służby, niektóre służące musiano chyba zatrzymać, żeby miał kto odkurzać tę obłąkańczą kolekcję bezużytecznych bibelotów.

Uznał też, wchodząc do tego domu w samym środku nocy, witany przez Angusa dzikim machaniem ogona i omal się nie potykając o niski stolik z malutkimi porcelanowymi dzwoneczkami, że należało wybrać jakiś inny dom. To nie było miejsce odpowiednie dla zwierząt – obojętne, dwunożnych czy czworonożnych.

Nachylił się, żeby powitać psa, jak należy.

– Dobry wieczór, przyjacielu. – Angus nadstawił łeb, żeby go poskrobać za uchem, skomląc z satysfakcji, kiedy Alec to zrobił. – Mamy przynajmniej siebie nawzajem. – Rozejrzał się po holu. – Gdzie jest Hardy?

Nie dziwiło go zbytnio zniknięcie drugiego psa – Hardy przez ostatnie trzy dni skowyczał i błąkał się bez celu po domu, jak gdyby tęsknił za utraconą miłością.

Całkiem jakby naznaczyła go swoją obecnością przez ten tydzień, odkąd się poznali; musiała w dodatku zepsuć jego psy!

Nigdy jeszcze nic nie sprawiło mu takiej trudności, jak powrót tej nocy do Psiego Domu i rezygnacja ze znalezienia sobie nowego, gdzie nie powinien był zagrażać jej przyszłości. Skąd mógł czuwać nad nią z pewnego oddalenia.

Spała w salonie, gdy tam wszedł, a psy koło kominka.

Gdyby nie zapach perfum Peg, którym przesiąknął jego pled, nie zdołałby jej opuścić. Ale musiał to zrobić. Tylko że nic mu z tego nie przyszło.

Stał tak i wzdychał nad sobą, kierując się ku przygotowanej dla niego sypialni, z Angusem błąkającym się gdzieś z tyłu w mroku. Hardy to wytrzyma. Odzyska swoje zwykłe życie i zwykły charakter po powrocie do Szkocji.

Alec mógł tylko mieć nadzieję, że z nim będzie tak samo.

Czas upływał, a Szkocja majaczyła w oddali niczym ziemia obiecana. Miejsce, gdzie nie pamiętałby już o Lily. O jej piękności. O jej uśmiechu. O jej sile charakteru. O wszystkich sposobach, na jakie chciał…

Kochać ją.

Pokręcił głową. Po cóż go nachodzi ta zdradliwa, podejrzana myśl. Nie kochał jej. Nie powinien był jej kochać.

Nie mógł jej kochać.

Musiał tylko trzymać się od niej z dala przez trzy dni.

Trzy dni!

Miał trzy dni, żeby odnaleźć obraz, zniszczyć go i dać Lily życie, na jakie zasługiwała. Należało zwrócić jej to życie. Ona zaś powinna była wybrać jeden z niezliczonych wariantów przyszłości i żyć własnym życiem, pięknym i bezgranicznie wspaniałym.

Bez niego.

Spędził ten dzień wraz z Westem i Kingiem, zastanawiając się, gdzie też może się znajdować obraz przed wystawą. Uzgodnili, że następnego wieczoru, kiedy Hawkins będzie występował na scenie przed całą socjetą, on przeszuka tylne pomieszczenia teatru.

A kiedy już to zrobi i uratuje ją, Lily powinna siedzieć w loży, wysoko nad sceną, zakochana w hrabim Stanhopie.

Zgrzytnął zębami na tę myśl.

To było dla niej najlepsze. W ten sposób zdołałaby pokonać wszystko – plotki, pogłoski, prawdę. Hrabia najwyraźniej się nią interesował i skłonny był puścić w niepamięć jej przeszłość. Bez wątpienia pieniądze mu w tym pomogą, ale wydawał się przyzwoitym człowiekiem.

Takim, na jakiego Lily zasługiwała. Takim, który pewnego dnia mógł być wart jej miłości.

Inaczej niż Alec.

Westchnął ciężko, idąc korytarzem do czegoś, co nazywano apartamentami pana domu, i nie zwracając uwagi na długie półki pełne figurek oraz mnóstwa innego

zbędnego śmiecia, spragniony snu. Spędzi noc w przypływach pogardy dla siebie samego i trudnej do zniesienia chęci, żeby wejść na górę, do Lily, paść jej w ramiona i kochać się z nią, póki przeszłość nie zniknie i nie zostanie jedynie przyszłość.

A ona była wszystkim, co miało zostać.

Pokręcił głową, sięgając ku klamce swego pokoju i usilnie pragnąc nie myśleć więcej o Lily, choć miał pewność, że nie będzie do tego zdolny. Mimo że, jak wiedział, powinien wejść do sypialni, rozebrać się i rzucić na łóżko, pełen wspomnień o jej rękach, ustach i umyśle.

Przycisnął czoło do wielkich mahoniowych drzwi, pełen wstydu i pożądania, które kazały mu desperacko pragnąć, by się odwrócić, pójść na Grosvenor Square i wziąć ją. Uczynić ją swoją. Napawać się nią, bez względu na konsekwencje.

Zmusił się, żeby spokojnie oddychać i nie robić zbytecznych ruchów.

Trzy dni. Musiał się trzymać od niej z daleka jeszcze trzy dni.

Otworzył drzwi, pełen obaw przed zbytecznymi rupieciami zgromadzonymi w pokoju i małym łóżkiem na cienkich nóżkach, z żałosnym baldachimem. Wewnątrz światło świecy lśniło na podłodze, ciepłe i złociste. Hardy uniósł łeb ze swego miejsca u nóg łóżka, młócąc ogonem w ciężką kapę.

Alec nie patrzył jednak na psa.

Patrzył na Lily, śpiącą na samym środku łóżka, w kręgu złocistego światła świecy. Miała na sobie tylko jego pled.

Lepszy od niego mężczyzna odszedłby od niej.

Zamknąłby drzwi, poszukałby sobie innego łóżka. Innego domu. Innego kraju.

Ten lepszy mężczyzna znalazłby w sobie siłę, żeby chronić ją przed sobą samym, największym zagrożeniem, z jakim mogła się kiedykolwiek zetknąć. Mógłby rościć sobie do niej prawo, zatrzymać ją przy sobie… mimo że nie byłby jej wart.

A on nie był tym lepszym mężczyzną.

Zacisnął dłoń na klamce. Próbował nim być. Pragnął nim być. Ale teraz, kiedy widział jej doskonałość, nie miał już na to sił.

Pragnął jej aż do bólu.

Chciał do niej należeć na zawsze.

W tej chwili wszystko, czym był, wszystko, czym kiedykolwiek chciał być, należało do niej. A jeszcze tego wieczoru był na tyle niemądry, by wierzyć, że mogłaby być jego.

Spojrzał na Hardy’ego i wskazał na korytarz.

– Jazda stąd!

Pies usłuchał go natychmiast.

Alec zamknął drzwi i ruszył ku niej. Zatrzymał się przy łóżku, patrząc na śpiącą, z włosami barwy kasztanowatych płomieni rozrzuconych na wykrochmalonej pościeli. Łóżko wcale nie było za małe, miało idealne dla niej wymiary. Wyglądała w nim jak królowa wróżek w swojej alkowie. Drgnęła we śnie, jedno nagie ramię wysunęło się spod czerwonego tartanu – różowe, perfekcyjne i przyzywające go. Wyrwał mu się głuchy jęk; nie mógł nic na to poradzić.

Otwarła oczy na ten dźwięk, natychmiast go rozpoznając, jakby cały wszechświat połączył ich w jedno. Nie była zaskoczona jego obecnością, czego można by się spodziewać, skoro ujrzała mężczyznę o jego rozmiarach tuż koło swego łóżka. Uśmiechnęła się miękko i sennie, a jemu sprawiło to jakąś przewrotną satysfakcję.

– Wróciłeś.

Czekała na niego!

– Skąd wiedziałaś, gdzie jestem?

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Nie tylko Wasza Wysokość może porozumiewać się z Settlesworthem. – Spojrzała na stolik stojący nieco dalej, z porcelanową zastawą w kształcie zwierzątek. – Nie powiedziałabym, że to w twoim guście.

Roześmiałby się, gdyby nie pragnął jej tak bardzo. Gdyby nie był tak przejęty jej obecnością.

– Dlaczego tu przyszłaś, Lily?

Zdziwiła się, a on gotów był znienawidzić samego siebie za niedowierzanie widoczne w jej wzroku.

– Ja… – zaczęła i urwała. Nabrała głęboko tchu. Spojrzała mu w oczy z odzyskaną pewnością siebie. – Ja przyszłam tu dla ciebie.

Kolana się pod nim nagle ugięły, lecz oparł się gwałtownej chęci, żeby do niej podejść. Żeby jej dotknąć. Żeby ulec pożądaniu. Powiedział jedynie:

– Moja matka była Angielką.

Po chwili odezwała się Lily.

– Moja również.

Nie zwrócił uwagi na tę odpowiedź, pełną rozbawienia, a jej oczy tak rozbłysły, że zapragnął jej jeszcze bardziej niż przedtem, skoro o mało się nie roześmiała. Skoro bardziej go kusiła, niż mu się to wydawało możliwe.

– Była przepiękna. Mój ojciec podobno szalał za nią.

– Podobno?

– Kiedy przyszedłem na świat, oboje zobojętnieli już wobec siebie. Żyli w

Szkocji w Highlands, a ojciec prowadził rodzinną gorzelnię. Ona myślała, że jest bogaty i ma spore włości. Rzeczywiście tak było, ale gorzelnią – i ziemiami, na których ona stała – nie kierował ktoś obcy, tylko sami Stuartowie, od całych pokoleń. Ojciec sam uprawiał pszenicę, własnoręcznie strzygł owce, smołował dachy, czyścił stajnie. A ona tym gardziła.

Lily podczas jego przemowy usiadła na łóżku, otulona tartanem, kasztanowate włosy spłynęły jej z ramion. Alec poskromił gwałtowną chęć, by się delektować tym widokiem. Skoncentrował się na swojej opowieści – ostrzegawczej i profetycznej zarazem.

– Nie była stworzona dla Szkocji, jak mawiał mój ojciec. Zanadto perfekcyjna. Smukła jak trzcina, ale nieugięta. Nie mogła znieść zimna, wilgoci, dzikich pustkowi. Przenieśliśmy się zatem na południe, nad samą granicę, do innego majątku rodzinnego. Ojciec miał nadzieję, że bliskość Anglii odmieni ją. Że stanie się znowu dziewczyną, którą niegdyś pokochał.

– Nic by to nie pomogło. – Otuliła mocniej pledem swoje piersi.

– Powiedziałaś mi raz, że miłość zbyt wiele obiecuje. – No i rzeczywiście tak było. – Mój ojciec doświadczył tego na własnej skórze. Podobnie jak ja.

Otwotzyła szeroko oczy, a on z bólem serca dojrzał w nich smutek.

– Co się wtedy stało?

– Zostawiła nas.

Usta Lily rozchyliły się w bezgłośnym westchnieniu.

– Kiedy?

Chciał jej dotknąć bardziej, niż pragnął oddychać, ale jego opowieść wymagała, by ciągnął ją dalej.

– Moim zdaniem przestała nas kochać, nim jeszcze zostaliśmy przez nią porzuceni. Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek czuła się szczęśliwa.

Nie odrywała od niego wzroku.

– Nawet z tobą?

– Zwłaszcza ze mną. Bo byłem całkowicie szkocki. Za duży. Zanadto nieokrzesany. Kiedy wracałem z pola, kiwała głową rozczarowana i mówiła, bardziej do siebie niż do mnie: „Do niczego nie pasujesz”.

Zmarszczyła mocno brwi.

– Co to miało znaczyć? Co miało do czego pasować?

– Pamiętasz, jak tamtego popołudnia w parku – spytał szeptem – powiedziałaś mi, że od dzieciństwa nie dostawałaś niczego na urodziny? A ja uznałem, że i tak przypadło ci w udziale coś lepszego. Wątpię, czy moja matka w ogóle pamiętała, kiedy są moje urodziny.

Wspomnienia bywają groteskowe. Był dorosłym mężczyzną, miał trzydzieści cztery lata, a myślał o urodzinach w dzieciństwie, jakby to było coś ważnego. Odkaszlnął, próbując się uspokoić.

– W końcu odeszła. Całymi miesiącami chorowała na suchoty, z przeświadczeniem, że właśnie Szkocja jest temu winna. Że ją zabija. – Odwrócił wzrok. – Często się zastanawiam, czy nie myślała czasem, że to ja ją zabijam.

– Skądże – odparła Lily, a on nie mógł się powstrzymać od patrzenia na nią. Od zaglądania jej w oczy i chłonięcia widniejącej w nich pewności. – Wcale nie ty.

Przez krótką chwilę ciekaw był, co by się z nim stało, gdyby ją posiadł i gdyby cały jego świat zapadł się z trzaskiem wokół niego.

Mogła go uratować. Mogła go pokochać.

Mogła urodzić mu całe mnóstwo ślicznych małych dziewczynek, rudowłosych, o perfekcyjnej urodzie, które nosiłyby te uszyte przez nią ubranka i uleczyłyby jego serce.

Ale powiedział tylko:

– Umarła niecałe dwa tygodnie po powrocie do Anglii.

Lily wyszeptała jego imię i wyciągnęła ku niemu ręce, ale on się cofnął, tak że nie mogła go dosięgnąć. Nie ufał temu, co by w nim wzbudził jej dotyk.

– Nie ty ją zabiłeś.

– Wiem. Ale jej też nie uratowałem.

– Nie wszystkich można uratować – odparła, kręcąc głową.

– Kiedy byłem już dość duży, uciekłem. Do Anglii. Mój ojciec… – Alec urwał.

– Co on zrobił? – spytała, spoglądając na jego dłoń, gdzie blizna każdego dnia przypominała mu o nim.

A potem spojrzała na niego. Piękniejsza niż powinna być kobieta.

– Kiedy byłem w szkole, uczono nas mitologii. – Zmarszczyła brwi w zaskoczeniu, lecz on nie dał jej dość czasu na odezwanie się. – Wymagano od nas, żebyśmy tłumaczyli ją z greckiego, czego każdy chłopak w klasie nie cierpiał. King za wszelką cenę chciał się od tego wymigać. Niejeden raz płacił mi, żebym robił to za niego.

Uśmiechnęła się i przekręciła na drugi bok, tak że pled ześlizgnął się z niej z cichym szelestem.

– A ty nie próbowałeś wymigiwać się od szkolnych zadań?

– Nie miałem takiej okazji.

– Nie byłeś jeszcze księciem.

Był Szkockim Brutalem.

Pokiwał głową, patrząc, jak tartan przylega do jej bioder, do krągłych piersi.

– Słyszałaś o Selene?

Uśmiechnęła się, lekko i uroczo.

– Selene była boginią Księżyca.

– Była także siostrą Słońca i Jutrzenki, córką Tytana i niesłychaną pięknością. A także nieznośnym dzieckiem o zmiennych nastrojach. Potrafiła rządzić morskimi przypływami i odpływami, zaćmić blask ciał niebieskich lub ukryć czyjeś złe postępki, jeśli jej się tak podobało. Słońce wstaje codziennie, ale Księżyc jest jak radość: przemożna, lecz zmienna. Była królową nocy.

Lily patrzyła na niego z uwagą, a jego aż palce świerzbiły, żeby jej dotknąć. Wciąż jednak nie zbliżał się do niej.

– Pewnej nocy, kiedy jechała rydwanem po niebie, jej światło padło na śpiącego pasterza.

– Na Endymiona. – Lily wymówiła jego imię głuchym szeptem.

Alec przytaknął jej.

– Nigdy nie widziała nikogo piękniejszego, a był również łagodny, dobry i pod każdym względem taki, jakiego pragnęła. Natychmiast się w nim zakochała, choć miała świadomość, że nie może go poślubić. Nie mogła go mieć przy sobie przez cały dzień. Czas, jaki z nim spędzała, był ograniczony.

Lily owinęła się ciasno tartanem, zakrywając wszystkie piękne, sekretne części ciała, choć on chciałby je wszystkie widzieć.

– Alec – powiedziała, jakby sądząc, że jeśli przerwie mu opowieść o micie, będzie też mogła zatrzymać bieg tego, co się między nimi rodziło.

– Endymion przebudził się, gdy stanęła nad nim, a gdy ujrzał jej niewiarygodną piękność, natychmiast on też się w niej zakochał. Nie mógł jednak znieść jej nieobecności, choćby na jeden dzień. Choćby na chwilę. Choćby na mgnienie. Poprosił więc bogów, by zesłali mu wieczny sen, tak aby nigdy nie doświadczył tego, czym może być życie bez niej. – Alec uniósł w końcu dłoń, ujął jedno z długich kasztanowych pasm włosów z miejsca, gdzie osunęło się jej na ramię, i patrzył, jak prześlizguje mu się między palcami, kusząc go jedwabistą obietnicą i sprawiając, że zapragnął związać nim jej dłonie i uwięzić ją w ten sposób na zawsze.

– Wziąłby też choćby jakąś małą jej cząstkę, gdyby to oznaczało, że mógłby mieć cokolwiek z niej dla siebie.

Znów rozchyliła usta i westchnęła, a on skręcał się wprost z pragnienia, by ją pocałować.

– No i co się potem stało?

– Zeus spełnił jego prośbę i Endymion zapadł w wieczny sen. Nie starzał się i

nie mógł umrzeć. A Selene przychodziła każdej nocy w całej swojej krasie, żeby na niego patrzeć.

– A więc – powiedziała, a jej szare oczy nagle rozbłysły – nigdy już nie byli razem?

Ręka Aleca zbliżyła się do jej policzka, ścierając pojedynczą łzę, nim zdołała skazić jej perfekcyjną cerę.

– Byli razem przez całą wieczność – odparł cicho. – A jemu śniło się zawsze, że trzyma w ramionach Księżyc.

Patrzyli na siebie w milczeniu. Alec żałował, że nie skorzysta z nauki, którą zamierzał jej dać. Że miłość nie zawsze oznacza szczęście. Że zbyt często może się wiązać ze smutkiem.

Wtedy Lily uniosła ku niemu rękę, dotykając dłonią jego policzka.

– Nie chcę wcale trzymać w ramionach Księżyca, Alec – wyszeptała, wpatrując się w niego szarymi oczami – tylko ciebie.

Przestała podtrzymywać tartan, a on osunął się z jej bioder, odsłaniając przed Alekiem całą ich doskonałość w świetle świecy. Alec ukląkł, chcąc go podnieść, ale pożądanie sprawiło, że nie potrafił się już dźwignąć się na nogi. Pochylił głowę – i wyszeptał jej imię.

Dotknęła go w cudowny sposób, wsuwając palce w jego włosy.

– Alec – szepnęła – proszę cię, wybierz mnie.

Całkiem jakby mógł wybrać cokolwiek innego.

Uniósł głowę, wyciągnął ku niej ręce, objął ją nimi i trzymał mocno.

– Upewnij się najpierw, Lily – wyszeptał – czy naprawdę mnie chcesz. Jestem nieokrzesanym prostakiem, niewartym ciebie. Brak mi jednak sił, by odmówić ci tego, czego pragniesz.

Otworzyła szeroko oczy, nim zaczęła mówić, z przejęciem i wyraźnie:

– Nie jestem dzieckiem. Wiem, czego chcę. Wiem też, co wyniknie z moich myśli. Znam siebie. Wiem, co się teraz stanie, i chcę tego.

Gdyby słowa Lily nie przezwyciężyły jego obaw, uczyniłby to sposób, w jaki nachyliła się ku niemu, z wargami tuż przy jego ustach.

– Chcę tego.

Zdobyła go. Na jedną noc. I na zawsze.

17. Niechciany Książę porażony pożądaniem!

Pocałował ją tak, jakby była życiodajnym powietrzem.

Wszystkim, czego kiedykolwiek pragnął. A że była również pokusą i grzechem, nie mógł się już zatrzymać.

Delektowała się nim, to przesuwając dłońmi po jego włosach, to znów wzdłuż barków i potężnych ramion, pragnąc go mieć jak najbliżej przy sobie. I znaleźć się wraz z nim w łóżku. Odchyliła się w tył, chcąc mu to powiedzieć i błagać go, by się znalazł jeszcze bliżej niej, lecz przekonała się tylko, jak zachłannie na nią patrzy brązowymi oczami, w tej chwili niemalże czarnymi. I że ją całuje, a ona mu ten pocałunek z radością oddaje.

– Alec – wyszeptała.

– Jestem tutaj – odpowiedział jej.

Należał do niej.

Od jak dawna tego pragnęła? Jak długo i jak boleśnie? Ile nocy przeleżała bezsennie, marząc, że właśnie ktoś taki – silny, dobry, wręcz heroiczny – powinien ją znaleźć, ubiegać się o nią, a wreszcie kochać ją?

Zamknęła oczy, wiedząc, że żądała za wiele. Mógł jej przecież nie pokochać. Ale tej nocy, póki on tutaj z nią zostanie, mogła go kochać. To by jej wystarczyło.

– Jesteś mój? – spytała szeptem.

Przypatrywał się jej uważnie, nie spuszczał wzroku z jej twarzy, jakby chciał zapamiętać ją na zawsze. Zrobiła to samo, chłonąc w siebie jego pełne siły piękno i pragnąc, żeby jego słowa odpowiadały prawdzie.

– Twój. Na zawsze – wyszeptał z kolei on. A ona zapragnęła tego jeszcze mocniej.

Pokręciła głową.

– Ale to ja mam na sobie twoje barwy.

Spojrzał poniżej jej nagich piersi, na tartan, który osuwał się ku jej talii. Dosięgnął go błyskawicznie, nim spojrzał na nią, marszcząc brwi.

– To nie mój pled. Zanadto miękki jak na tartan Stuartów.

– Jest z kaszmiru – wyjaśniła. – Krawcowa dała mi go dzisiaj rano… – Urwała. Nie chciała teraz myśleć o krawcowej. O tym, dlaczego się u niej znalazła. Żeby mieć w czym pójść do teatru. Ani też o *trousseau*.

Nie chciała myśleć o tamtej kobiecie, którą u krawcowej spotkała. O jego kobiecie.

Alec nie pozwolił jej jednak myśleć o tym. Przykuwało ją spojrzenie jego pięknych brązowych oczu.

– Wiedziałaś, że mnie to rozpali.

Lily uśmiechnęła się.

– Spodziewałam się tego.

Pocałował ją w ramię.

– No, proszę – szepnął tuż przy jej skórze. – To właśnie ujrzałem, kiedy tu wchodziłem. Twoje ramię, nagie i nieskazitelne, na moim pledzie. A ty… – Przesunął usta niżej, ku jej obojczykowi i wzdłuż piersi. – Ty… byłaś tak piękna, że mogłabyś zostać szkocką królową.

Ujął wargami czubek jednej z jej piersi, pieszcząc go, póki nie stwardniał, i błagał ją o wszystko, co mógł jej dać, gdyby nawet sądziła, że zdoła się temu oprzeć. Wiedział, że powinna czuć się zawstydzona. Ale z Alekiem nie było to bezwstydne ani złe. Był jej przeznaczeniem. Krzyknęła, a on dotknął jej sprężonego ciała lekko zębami, tak że zaczęła dyszeć i błagać o więcej.

Uniósł głowę.

– Czy to ci się właśnie podoba, *mo chridhe*?

Pogładziła go po ramionach, a potem ujęła w dłonie jego twarz i przyciągnęła ją ku sobie, pragnąc, by ją pocałował. Wyszeptała z ustami tuż przy jego wargach:

– Będzie mi się podobać wszystko, co zechcesz mi dać.

Chciał ją naznaczyć. Upewnić się, że nigdy nie będzie zdolna całować kogoś innego. Od teraz. Od tej nocy.

Całował ją powoli, oszałamiając ją tak bardzo, że ledwie sobie zdawał sprawę, że ściągnął z niej stopniowo tartan. Potem jego palec zapuścił się głębiej, kreśląc długie linie, a ona zauważyła to. Całkiem jasno.

Wyginała się cała pod jego dotknięciem, wzdychając z błogości tuż przy jego wargach.

– Masz smak mięty – powiedział, gdy przesunął z wolna językiem po jej wargach. – Jak to możliwe?

– Sesily – westchnęła, rozpaczliwie usiłując zachować przytomność myśli, podczas gdy jego palce igrały z nią, kusiły ją, obiecywały to, co miało nadejść.

Rozbawiła go.

– Czy to jakiś inny chwyt sióstr Talbot? – spytał żartobliwie.

– Chciałam mieć dobry smak – wyjaśniła, rumieniąc się.

Nie spuszczał z niej oczu przez dłuższą chwilę, a potem wsunął palce jeszcze głębiej, ona zaś jęknęła głucho raz i drugi, nim je cofnął, a potem uniósł do warg, jak wtedy w powozie. Zaczerwieniła się mocno, widząc, jak wsuwa je do ust, jakby chciał poznać smak jej sekretów.

– Twój smak jest wspaniały. Wcale ci nie trzeba mięty. – Nachylił się nad nią i powiódł językiem od jej podbródka do ucha. – Zjadłbym cię całą.

Poczuła, że płoną jej policzki po tych słowach, i pomyślała, że mogłaby umrzeć z zażenowania, gdyby jego palce powtórnie zrobiły to, co przedtem, zagłębiając się w nią, obracając, a później unosząc się, by leniwym ruchem dotknąć czubka piersi, zataczając z wolna wilgotne kręgi.

– Czy powinienem cię zjeść, dziewczyno?

Nim zdołała odpowiedzieć, osunął się znów wzdłuż jej ciała, liżąc ją i ssąc, póki nie westchnęła z rozkoszy i nie przyciągnęła go ku sobie, pragnąc wciąż więcej i więcej. Zrobił to samo z drugą piersią, zostawiając Lily spragnioną aż do bólu doznania, którego nie potrafiła nawet nazwać.

Uniosła ku sobie jego twarz.

– Alec – wyszeptała, wijąc się na skrzypiącym łóżku – proszę, chodź do mnie.

Pokręcił głową.

– Jeszcze nie skończyłem z twoim smakiem, moja droga.

Moja droga.

Było w tym tyle czułości, że znów zaczęła się cała skręcać, a jej ruchy przybrały na sile, gdy Alec przyciągnął jej nogi ku krawędzi łóżka i – zamknęła wówczas oczy – rozchylił je szeroko.

– Połóż się na plecach – nakazał. Słowa jego były szorstkie, a ton poważny.

Zaskoczona spytała:

– Czy masz zamiar?…

– Spróbować, jak smakujesz – odparł, a jego masywne ręce sunęły już wzdłuż jej nóg, sięgając miękkiej skóry wewnątrz ud i sprawiając, że serce zaczęło jej gwałtownie bić, w miarę jak jego palce zmierzały coraz wyżej, aż do miejsca, gdzie uda łączyły się z sobą. Przyglądał się jej przez dłuższą chwilę, póki nie zamknęła oczu, bo nie potrafiła znieść jego palącego wzroku.

W końcu złożył pocałunek na delikatnej skórze jednego z ud i powiedział:

– Jesteś tu perfekcyjna, co mnie zresztą nie dziwi. A także śliska, wilgotna i rozpaczliwie mnie spragniona, prawda?

– Nie wiem – odrzekła i nagle poczuła strach przed tym, co miał zrobić, a co dał jej już odczuć.

– Właśnie, że wiesz – mruknął. – Nigdy nie dotykałem czegoś doskonalszego od ciebie. – Ucałował wewnętrzną stronę jej uda. – Uczysz mnie pokory swoim ciałem.

Uniosła się ku niemu, spragniona jego dotyku.

– Ono jest twoje – wyszeptała. – Cała jestem twoja.

Jęknął głucho, słysząc te słowa, i dotknął wewnętrznej strony jej kolana, nim uniósł jej nogę, a potem założył ją sobie, w zaskakujący i cudowny sposób, na barki.

– Źle to ujęłaś, moja droga. Wcale nie należysz do mnie, tylko do siebie samej. – Po czym ucałował kędziorki kryjące jej najskrytsze miejsce. – Twoje wargi mają smak Szkocji – szepnął. – Ale tutaj twój smak jest wprost niebiański.

Po czym pocałował ją w to cudowne, sekretne miejsce, a jej aż dech zaparło z zaskoczenia i rozkoszy. Leżała tak, jak zażądał, na plecach, a on delektował się nią. Z westchnieniem wyszeptała jego imię, wyciągając ręce ku jego głowie, wsuwając palce w jego włosy.

– Alec – jęknęła – jestem twoja. Na zawsze.

Słowa te uczyniły go dzikim, zdesperowanym i zarazem cudownym. Wydał gardłowy pomruk, a to, co odczuwała w tym miejscu, czyniło ją tak samo dziką i zdesperowaną. Zacisnęła palce na jego ciemnych, krętych włosach; bez wahania przyciągnęła go ku sobie i uderzała w niego własnym ciałem.

Jego ręce wślizgnęły się pod nią, uniosły ją i podtrzymały, a ona krzyczała, gdy odkrywał językiem wszystkie jej sekrety, dając jej to, czego zawsze pragnęła.

– Jestem twoja! – powtarzała wciąż od nowa, aż wreszcie, gdy unosił ją oraz wyżej, wyrwały się jej te słowa wraz z gwałtownym, donośnym krzykiem.

Uniósł wtedy głowę, pozostawiając ją na samej krawędzi wspaniałego doznania. Całował delikatnie jej udo, póki nie dojrzała jego zdumiewającego wręcz spojrzenia, którym ogarnął ją całą.

– Zatrzymałeś się.

Trwał w bezruchu przez dłuższą chwilę, a potem nachylił się ku przodowi i dmuchnął prosto w jej ciemne runo. Wygięła się cała w łuk, wzywając go ku sobie.

– Jak mam tego dowieść? – spytał.

– Dowieść czego?

– Że to właśnie ja jestem twój.

Nie miała czasu na coś takiego.

– Alec. Proszę cię.

Przesunął językiem po jej skrytym miejscu, powoli i zuchwale, a ona wydała okrzyk, zanim się jeszcze uśmiechnął, szeroko i pięknie, a potem powiedział:

– Właśnie ja jestem twój, *mo chridhe*. Jakże mam to udowodnić? – Zaśmiał się cicho i przewrotnie. – Powiedz mi, co sprawiło, że cała jesteś różowa w świetle świecy.

– Przecież wiesz – odparła niemalże z jękiem.

– Wiem – powiedział. – Ale ja chcę, żebyś ty mi rozkazywała, moja droga. Żebyś była moją boginią. A ja twoim sługą. Chcę, żebyś się dowiedziała, jaka jesteś piękna, dumna, doskonała. Chcę temu oddać cześć. Całym sobą.

Jego słowa wzbudziły w niej prawdziwy żar.

Nieważne, że były szalone.

Spojrzała ku niemu, rozpaczliwie spragniona jego ust.

– W takim razie zrób to.

Uniósł brwi pytająco.

– Powiedz to.

Znów dotknął ją tam językiem, a ona zesztywniała jak cięciwa napiętego łuku.

– Chcę, żebyś mnie czcił.

Zachwyciły go te słowa.

– Chcę, żebyś mnie wielbił, Alec.

Zamknęła oczy.

– Pocałuj mnie, Alec.

Zrobił to, kochając się z nią szaleńczo, powoli unosząc ku sobie. A ona przywierała do niego biodrami, powtarzając wciąż swoją litanię raz za razem, póki nie znalazła się, podobnie jak on, nad przepaścią. Tym razem nie zatrzymał się, nawet wtedy, gdy w nią runęła, a jego ręce, usta i język były jedynymi rzeczami, jakie mogła dostrzec w wybuchu błogości.

Gdy obejmując kurczowo jego ciało, wykrzykiwała polecenia, jakie jej wydawał, dodała do nich jeszcze jedno:

– Kochaj mnie, Alec.

Kochaj mnie.

A on to właśnie robił. W tej chwili kochał ją tak, jakby się to nigdy już nie miało powtórzyć. Wiedziała o tym.

Gdy doznała własnego spełnienia, przyciągnęła go ku sobie, pragnąc mieć go jeszcze więcej, coraz więcej. On zaś nakrył ją swym ciałem tak mocno, że łóżko – zarazem za małe i doskonałej wielkości, by mogła go poczuć tuż przy sobie – zaskrzypiało przy tym ruchu, a on pokrywał cudownymi, gorącymi pocałunkami całą jej twarz, od podbródka po ucho.

Sięgnęła ręką ku jego kiltowi, wyczuwając pod wełną ciepłe, umięśnione ciało. Pogładziła długie, muskularne nogi, sięgając coraz wyżej, i wszędzie znajdowała jedynie gołą skórę. Nie potrafiła ukryć zaskoczenia.

– Nic nie masz pod spodem…

Uniósł głowę, napotykając jej wzrok.

– *Nae*.

– Sesily była ciekawa, czy tam coś nosisz.

Pocałował ją mocno.

– Niech Sesily znajdzie sobie własnego Szkota i przekona się sama. Ja już należę do kogo innego.

Należał do niej.

Te słowa ośmieliły ją. Sięgnęła ku nagiej skórze. Sprężył się cały, twardy, gorący i…

– Lily – wyjąkał.

– Jesteś wspaniały – wyszeptała.

– Za duży. Prawdziwa ze mnie bestia.

Pogładziła go długim, pełnym zmysłowości ruchem.

– Jesteś aż za bardzo doskonałym mężczyzną.

Zamknął oczy i wsparł się o nią czołem.

– Dziękuję ci.

Było w tych słowach coś, co się jej nie spodobało. Jakieś zwątpienie, którego sobie nie życzyła. Znieruchomiała.

– Alec?

Pokręcił głową.

– Nie przerywaj. Chryste, Lily, nie przerywaj.

Nie zrobiła tego, gładziła go tam raz za razem, delektując się wielkością i siłą tej jego części.

– Chciałabym pomówić z tobą o pewnej małej rzeczy.

Zaśmiał się z cicha.

– Słowo „mała” niezbyt tu pasuje, dziewczyno.

Gładziła go nadal, długimi ruchami, z czułością, póki nie jęknął donośnie z rozkoszy, a ona także poczuła błogość.

– Lubię to – szepnęła.

– Daję ci słowo, że nawet w połowie nie tak bardzo, jak ja – odparł, a potem zamilkł i pocałował ją, co na chwilę pozbawiło ją zdolności myślenia.

– O czym chciałaś ze mną pomówić?

Z trudem sobie przypomniała, co to miało być.

– Jesteś wciąż w ubraniu.

– No to co?

Nadeszła teraz jej kolej, żeby zapierać mu oddech i mącić myśli. Aż wreszcie powiedziała szeptem:

– A ja bym chciała mieć ciebie… bez ubrania.

Przymknął oczy.

– Myślę, że nie powinienem…

– Jesteś mój? – szepnęła znowu. – Naprawdę?

Otworzył oczy.

– Na zawsze.

To słowo sprawiło, że przestała się hamować.

– W takim razie udowodnij mi to. Czcij mnie. Módl się do mnie. Całuj mnie.

Na tym się zatrzymała.

Ale on nie.

– Kochaj mnie – szepnął.

A wtedy powiedziała prawdę:

– Zrobię to.

Znów zamknął oczy. Dojrzała ból w jego rysach, jakby te słowa były przekleństwem, a nie darem.

– Przepraszam – szepnęła. – Nie mogę ukryć prawdy. Kocham cię.

Nie odpowiedział, tylko zrobił dokładnie to, czego pragnęła. Wstał i ściągnął z siebie odzienie, odsłaniając wspaniałe ciało: twardą pierś, prężne mięśnie brzucha, imponujące przyrodzenie ponad biodrami – tę część, która tak boleśnie pragnęła jej jak ona jego.

Położył się z powrotem przy niej. Łóżko zatrzeszczało pod jego ciężarem, kiedy sięgnęła ku niemu, rozchylając nogi, a on wsunął się między nie, nakrywając ją swoim ciałem i wspierając się na ramionach, żeby jej nie przygniatać, tylko ochraniać.

– Nigdy za to nie przepraszaj. Powinienem traktować cię jak skarb. Zawsze. Nawet kiedy się dowiesz, jak bardzo nie jestem ciebie wart.

Zdumiała się, ale nie była w stanie zażądać, by to wyjaśnił. Wniknął w nią w idealnym, cudownym momencie, sprawiając, że z trudem chwytała oddech i przywierała do niego, a on poruszał się w perfekcyjnym rytmie. Czuwając nad tym, co czuła, wyszukiwał najwłaściwsze miejsca, dając jej wszystko, czego pragnęła. Wreszcie – gdy odnalazł ich wspólny rytm – kołysał się zgodnie razem z nią, tak że unosiła się coraz wyżej i wyżej, póki nie wykrzyknęła na głos jego imienia i nie przywarła do niego, błagając go bez słów, bo nigdy nie powinna była wypowiadać

ich na głos.

Mocniej. Szybciej. Głębiej.

A on dawał jej to bez wahania. Bezlitośnie.

– Otwórz oczy, Lily – wyszeptał, z ustami tuż przy jej uchu. – Nie przestawaj na mnie patrzeć.

– Nigdy – wydyszała. – Nigdy nie przestanę.

– Pragnę cię – odparł. – Pragnę tego. Nie wiem, jak zdołam żyć bez ciebie.

– Nigdy nie będziesz musiał żyć beze mnie – wyszeptała. – Kocham cię.

Pocałował ją jeszcze raz, a ona zdała sobie sprawę, że nie tylko pozbawił ją serca i oddechu, ale też uwolnił od wstydu.

Była jego. Wiedziała o tym. Odnalazła w tej świadomości samą siebie. Swoją siłę.

Było to czymś cudownym.

Dotarli do szczytu razem, gwałtownie i szybko. Gdy niebo wreszcie pękło nad ich głowami i spadło na nich, wykrzyknęli na głos swoje imiona, a ziemia rozstąpiła się pod nimi.

Nie. Nie ziemia.

Łóżko.

Jedna z jego nóg złamała się pod ich wspólnym ciężarem i siłą wzajemnych zmagań, a wtedy przechyliło się całe na bok i oboje spadli na ziemię. Lily wydała krótki okrzyk, gdy Alec obrócił się, by złagodzić impet upadku, i objął ją kurczowo, padając na podłogę z głuchym pomrukiem.

Dopiero po chwili Lily zdołała pojąć, co się stało – w jednej chwili przeżyła najwspanialszy moment swojego życia, a w drugiej leżała już nad Alekiem na podłodze sypialni.

Ledwie to sobie uświadomiła, rozległ się ponowny trzask i Alec zaklął, po czym natychmiast nakrył ją sobą i przycisnął do posadzki, bo z donośnym hukiem załamał się baldachim i spory kawał drewna uderzył go w barki, przewracając następnie stojący w pobliżu stolik. Porcelanowa wiewiórka trzymająca filiżankę rozbiła się w drobny mak.

Ciekawe, że psy dopiero wtedy zaczęły szczekać.

Lily wybuchnęła śmiechem. Jeszcze nigdy w życiu nie była taka szczęśliwa jak podczas tej katastrofy, która sprawiła, że nareszcie poczuła się spełniona. Leżała, naga i zziębnięta, na podłodze, ale w ramionach ukochanego mężczyzny, który ją chronił. Nie czuła wstydu. Nie była też samotna. Po raz pierwszy w życiu.

Ulga, radość i miłość sprawiły, że śmiała się przez dłuższą chwilę. Dopiero gdy Alec wstał, podnosząc baldachim z miejsca, gdzie upadł, zdała sobie sprawę, że

wesoło jest tylko jej. Alec miał twarz wręcz kamienną.

Natychmiast usiadła i przestała się śmiać.

– Alec?

– To był błąd.

Przeraziła się i zaczęła udawać, że chodzi tu o coś innego.

– Owszem, byłoby lepiej, gdybyśmy wybrali mocniejszy mebel.

– Nie mam na myśli łóżka.

Nie mogła udawać, że nie rozumie.

– To nie był błąd – zaprzeczyła.

To nie mógł być błąd. Coś tak doskonałego i właściwego nie mogło być błędem.

On sam też nie był błędem.

Poczuła zwątpienie, gdy się odwrócił, ukazując jej szerokie, muskularne plecy. Nie obejrzał się, tylko powiedział:

– Zapewniam cię, że był.

Stał tak, wspaniały i muskularny niby grecki bóg, a ona przypomniała sobie mit, który jej opowiedział, i zrozumiała nagle, dlaczego Endymion wolał wieczny sen od możliwości utracenia ukochanej choćby na chwilę. Sama wybrałaby teraz sen, gdyby mogła dzięki niemu doznać bliskości Aleca.

– Powinniśmy się pobrać.

Powiedział to tak cicho, że ledwie go dosłyszała. Lub raczej ledwie była w stanie uwierzyć, że go słyszy. Nie było słów, które bardziej chciałaby usłyszeć. A jednak zdruzgotały ją, bo niewątpliwie wyrażały szczery żal.

„Powinniśmy”.

Jakby to była jakaś ciężka próba. Jakby tego nie chciał. No oczywiście, nie powinien tego chcieć.

Przecież ona była jawną skandalistką. A on księciem.

Sięgnęła po pled, który wcześniej miała na sobie, i wyciągnęła go spod baldachimu. Owinęła się nim, pragnąc uzbroić się przeciwko tej prawdzie.

Alec zaklął, patrząc na tartan i łóżko, które załamało się pod nimi podczas aktu miłosnego.

– Co ja zrobiłem? – wyszeptał.

Zbuntowała się przeciw tym haniebnym, bolesnym słowom. Nie chciała pozwolić, by ją zraniły.

– Nie musisz się koniecznie ze mną żenić – powiedziała, usiłując zachować zimną krew. Próbowała okazać siłę, nawet jeśli te słowa czyniły ją słabą.

Zmarszczył brwi, rysy mu się zaostrzyły i po raz pierwszy od czasu, gdy wyłamał drzwi w jej domu, ujrzała w nim bestię. Dziką, pełną rozpaczy.

Odpowiedział jej, ale jakby tylko po to, żeby ona sama nie musiała tego mówić.

– Pobierzemy się. To jedynie wyjście.

Marzyła o tym, że Alec zaproponuje jej małżeństwo. Tylko że w tych marzeniach oświadczał się jej zawsze z miłości. Nigdy z obowiązku. A już na pewno nie z żalem.

Małżeństwo z Alekiem Stuartem, księciem Warnick, byłoby największym pragnieniem Lily… Nie chciała jednak, żeby doszło do niego w taki sposób.

Dała mu wszystko, co miała – swoją miłość. Ale jemu to nie wystarczało. Dała mu więc jedną jedyną rzecz, jaką jeszcze rozporządzała.

Swoją wolność.

– Wasza Wysokość zapomina, że nie można mnie zmusić do małżeństwa.

Otworzył szeroko oczy i zrozumiał, o co jej chodziło, kiedy przytoczyła najważniejszą klauzulę w umowie o funkcję opiekuna.

– Lily! – rzucił ostrzegawczo.

Odwróciła się ku drzwiom, nie mogąc dłużej wytrzymać jego spojrzenia.

– Nie powinnam wychodzić za mężczyznę, któremu jest mnie żal. Może nie zasługuję na nic lepszego, ale jestem to winna sobie samej.

Nie oczekiwała, że jej odpowie. A już na pewno nie oczekiwała odpowiedzi tak gniewnej.

– Niech to licho, Lily! – zagrzmiał niskim, głębokim głosem z wyraźnym szkockim akcentem.

Odwróciła się i dostrzegła, że muskuły jego szerokiej, nagiej piersi, prężą się od ledwie powstrzymywanej furii.

– Myślisz, że tylko ja powinienem odczuwać żal i wstyd?

– Nie, to właśnie ja je czuję – odparła zgnębiona. – Oczywiście, jakże można poślubić Prześliczną Lily, muzę o zrujnowanej reputacji? Co za fatalny wybór w przypadku księcia! Nie mógł dokonać gorszego.

Zbliżył się do niej i już myślała, że chce ją zmusić do milczenia, lecz on jedynie stanął i skrzyżował ręce na szerokiej piersi.

– Lily – powiedział, ale już nie z gniewem, tylko ze zmęczeniem i rezygnacją. – Ja nie czuję żadnego żalu, ani trochę. Za to ty… ty pożałujesz każdej wspólnie ze mną spędzonej chwili.

– Nigdy tego nie pożałuję, Alec. Mówiłam już, że cię kocham.

Odwrócił się i sięgnął po surdut.

– Zabiorę cię do domu.

Tu był jej dom. Wszędzie tam, gdzie był on.

Płacz zaczął dławić ją w gardle, przeszkadzając jej mówić, więc tylko wydusiła

z siebie jedno jedynie pytanie.

– Dlaczego?

Przez chwilę zdawało się jej, że odpowie, bo poruszała mu się grdyka. Chciała, żeby jej odpowiedział. Żeby wyjawił, co go gnębi. Ale kiedy się odezwał, nie była to odpowiedź, tylko deklaracja.

– Nie kochaj mnie. Pokochaj innego. Kogoś, kto będzie ciebie wart.

Po chwili dodał:

– Znajdziemy wkrótce ten obraz. Odzyskasz wtedy wolność.

18. Coś niesłychanego: Szkocki Brutal szpieguje w szkockim dramacie

Anglia cię zniszczy”.

Alec słyszał te słowa w dzieciństwie nieustannie. Za każdym razem, gdy błagał ojca, żeby wysłał go do Anglii. Chciał tam pojechać śladem matki. Z szacunku dla niej. Żeby poczuć kraj, który kochała. Kraj, który mógł jej dać więcej niż szkockie pogranicze kiedykolwiek.

„Anglia cię zniszczy – powtarzał ojciec. – Tak samo jak mnie”.

A teraz okazało się to prawdą.

Podobnie jak jego ojciec pokochał Angielkę, której nie był wart. Inaczej niż ojciec, chciał zrobić wszystko, co tylko mógł, żeby ją uratować od całkowitego rozczarowania.

„Kocham cię”.

Nie powinien był nigdy sprawić, by to powiedziała. Ani pozwolić sobie, by się w to osunąć.

Lecz nawet teraz te słowa wzburzały go, sprawiały mu ból. Świadomość, że ona by z nim została, gdyby ją o to poprosił, tylko jeszcze bardziej wszystko komplikowała. Że poniżyłaby się do tego, by z nim być.

Był tylko jeden sposób, żeby uchronić ją od takiego życia. Jedna, ostateczna szansa, która dałaby jej wymarzone przez nią życie. Dlatego właśnie stał teraz w największej loży Teatru Hawkinsa, należącej do pana i pani West, prasowego magnata i jego legendarnej arystokratycznej żony, czekając na początek spektaklu. Ubrany był w spodnie i surdut, które podobno na niego pasowały, ale czuł się tak, jakby go miały stopniowo zadusić tego wieczoru.

– Wyglądasz przerażająco – powiedział King, gdy odchylił zasłonę i wszedł do loży wraz ze swoją uroczą żoną.

Alec pochylił się nad dłonią markizy, potem zaś wyprostował ze słowami:

– Milady, podziwiam pani cierpliwość i wyrozumiałość wobec krańcowo

nietaktownego małżonka.

– Wasza Wysokość może być pewna, że to prawdziwa udręka – odparła ze śmiechem i dodała po chwili: – Proszę mi wierzyć lub nie, lecz wcale nie uważam pana za przerażającego, tylko za ognistego.

– Choć nie tak ognistego jak ja, prawda? – przerwał jej mąż.

Ostentacyjnie przewróciła oczami i zarumieniła się, bo w tejże chwili King przygarnął ją mocno do siebie i pocałował w czoło.

– Biedny markiz Eversley! Zawsze szkalowany przez wszystkich wokół niego!

King cmoknął ją czule w obnażone ramię, co bez wątpienia zgorszyło kobiety przyglądające się przez lornetki widzom.

– Czuję się bardzo urażony, moja droga. Zrobię coś, żeby naprawić później swój nietakt.

Alec udawał, że nie dostrzega reakcji markizy na ten całus, lecz King z kolei zwrócił się ku niemu ze słowami:

– Jesteś istotnie ognisty, Warnick. Widzę, że byłeś u mojego krawca.

– Byłem – odparł, celowo odwracając się od nich i spoglądając uważnie na parter.

– Wystroiłeś się tak na wizytę w teatrze? – zapytał pozornie niewinnym tonem King. – Czy też w całkiem innym celu?

– King! – ostrzegła go półgłosem żona.

– Pytałem nie bez powodu. Chodzą już słuchy o pięknych podopiecznych i ich mrukliwych opiekunach.

Alec spojrzał na niego z wściekłością.

– A po cóż miałbym się stroić dla niej?

– Rzeczywiście, po co? – zareplikował King, Alec zaś szczerze zapragnął zrobić coś, by przyjaciel przestał się z zadowoleniem uśmiechać.

– Po to, żeby ją wydać za kogoś innego.

Nie tyle chciał ją za kogoś wydać, co uwolnić. Chciał, żeby miała swobodę wyboru. Chciał dać jej upragnioną przez nią wolność – obojętne, jak ta wolność miałaby wyglądać.

„Kocham cię”.

Obojętne jaką, ale nie z nim.

– Rozumiem, jaki cel sobie wytknąłeś – powiedział King – tylko wcale nie wiem, po co.

– Co to ma znaczyć?! – spytał Alec, patrząc na przyjaciela ze złością.

– Tylko tyle, że nie rozumiem, po co zmuszać dziewczynę, żeby wychodziła za innego, zamiast za kogoś dużo jej bliższego.

– King! – ostrzegła go ponownie markiza.

– Spójrz tylko na niego – zwrócił się do żony Eversley. – Nie widziałem Aleca Stuarta w dobrze dopasowanym angielskim stroju od czasów szkolnych. Nietrudno się domyślić, dla kogo to zrobił, więc czemuż nie poślubi… – King urwał, bo Alec zgrzytnął zębami.

King nagle wszystko zrozumiał.

– Nie chcesz się z nią żenić?

– Nie chcę.

Miejsce zrozumienia zajęło współczucie, Alec zaś miał szczerą chęć skoczyć z balkonu, byle tylko uniknąć Kinga. Uciec od jego zawoalowanych upomnień, zrozumiałych tylko dla nich dwóch.

– Alec – ciągnął znów King. – Szkolne czasy są już za nami.

– Wiem o tym – uciął Alec.

– Naprawdę tak uważasz? – King zamilkł na moment. – Jesteś teraz innym człowiekiem. Dorosłym mężczyzną. Zechciałaby cię. Mimo wszystko. Miałaby szczęście, gdybyś…

Alec pohamował go.

– Nie ośmielaj się tak mówić. Nie próbuj mi nawet dawać do zrozumienia, że to ona byłaby wówczas szczęśliwa.

King zdumiał się i podniósł głos.

– Przecież ty jesteś księciem! A ona jedynie osławioną…

– Spróbuj ją tylko nazwać jeszcze raz osławioną! – rzucił z wściekłością Alec.

Jego przyjaciel miał na tyle rozumu, żeby zamilknąć.

– Jaki tam ze mnie książę? Byłem osiemnasty z kolei! Czysta komedia! No i stoję o wiele niżej od niej, to wręcz nieprzyzwoite. – Odwrócił wzrok. – Zresztą nieważne. Nie jestem wcale jej przyszłym mężem.

Miał szansę, żeby nie straciła reputacji. Żeby żyła bez niego. Żeby się uratowała, bez względu na to, co się jej podoba. Żeby nie czuła żalu. A on zamierzał skorzystać z tej szansy.

I zostawić ją z mężczyzną lepszym, niż on mógł być kiedykolwiek.

Wiedział, że w tych okolicznościach najszlachetniejszym wyjściem byłoby poślubienie jej. Ale w jego przypadku szlachetne było właśnie sprawienie, by zaznała szczęścia i dobrobytu u boku lepszego mężczyzny. Takiego, który się niczym nie zhańbił.

Poprzednia noc była katastrofalnym błędem.

Gnębiło go poczucie winy, bo nie zdołał się jej oprzeć. Bo ponownie zrujnował jej reputację swoim ciałem i przeszłością. I swoim pożądaniem.

To była wina. Nie żal.

Nie potrafił żałować tego, co się stało.

I to właśnie było jego karą.

Mignął mu w wyobraźni widok na wpół tylko odzianej Lily wśród dowodów jego brutalnego prostactwa: zniszczonego łóżka, baldachimu w strzępach, porcelanowych figurek rozbitych w drobny mak na posadzce. Wydała mu się wcieloną doskonałością. Boginią wśród ruin.

Ruin, które były jego dziełem.

A kiedy sobie to jasno uświadomił, musiał powiedzieć jej prawdę.

„Będzie ci mnie żal".

Był jednak całkiem pewien, że Lily nie pożałuje tego, co on dla niej zrobi. Dlatego tu przyszedł w krańcowo niewygodnym stroju i czekał na przybycie całej reszty Londynu, by mógł popełnić przestępstwo.

A także zapewnić ukochanej kobiecie życie, na jakie zasługiwała.

Zasłona poruszyła się i do loży wszedł West ze swoją wysoko urodzoną żoną. Oboje wyglądali jak para królewska. Żyli w czasach, gdy prasa mogła wynieść kogoś wysoko albo zniszczyć, a grunt pod stopami arystokracji zaczął się chwiać. Za jakiś czas kobiety mogłyby przetrwać skandale podobne do skandalu Lily, gdyby tylko prasa była po ich stronie. A wtedy wszyscy by zrozumieli, że Lily zasługiwała wyłącznie na ich podziw.

Ale jeszcze nie teraz.

Teraz West był mu potrzebny bardziej niż gazety.

West spojrzał na niego uważnie i przywitał się z obecnymi w loży, żeby mieć już za sobą obowiązkowe grzeczności, gdy podszedł do Aleca z żoną u boku. Obecność damy sprawiała, że Alec nie mógł postąpić tak samo. Skłonił się przed nią i pozdrowił tytułem, do którego zachowała prawo, mimo że poślubiła mężczyznę z gminu.

– Witam, lady Georgiano.

Uśmiechnęła się, szeroko i uroczo.

– Witam Waszą Wysokość – odpowiedziała, podając mu dłoń z ukłonem godnym księżny. – Ale ja nie używam tytułu. Jestem po prostu panią West. – I dodała, zwracając się do męża: – No i jestem z tego dumna.

Bez wątpienia przemawiała przez nią miłość i Alec po raz pierwszy od dłuższego czasu w to uwierzył, otoczony przez pary, które wydawały się pełne miłości mimo ulotnego charakteru tego uczucia.

Może ta loża okaże się dla Lily czymś błogosławionym, bo przyniesie jej miłość, o której tak marzyła.

Była to bolesna myśl, choć zmusił się, żeby jej nie odrzucać. Mimo że dusiło go w gardle, zwrócił się do Westa:

– Masz to ze sobą?

West sięgnął do kieszeni surduta i wyjął stamtąd jakiś złożony papier.

– Żądasz czegoś w najwyższym stopniu obraźliwego. Powinienem wyzwać cię na pojedynek.

– Wybrałbym białą broń. A ty nie byłbyś zachwycony rezultatem – odparł Alec, biorąc od niego papier.

– Chryste! – stęknął West. – Szkoci to doprawdy jakieś archaiczne plemię.

– Mnie się podoba pomysł walki na szpady – powiedziała sucho pani West. – Chętnie bym cię zobaczyła z tą bronią w ręce.

– To się da zrobić – mruknął zgryźliwie jej małżonek.

Alec przewrócił oczami i spojrzał na kartkę, nie dbając, że patrzy na niego cały Londyn. Przez dłuższą chwilę wpatrywał się w widniejący na niej plan, nim włożył ją do kieszeni.

– Wolę nie pytać, jak to zdobyłeś. Ale jestem ci wdzięczny.

Wzrok Westa spoczął na żonie.

– Mam teraz pewne powiązania sięgające znacznie dalej, niż można by zakładać.

A potem dodał, zwracając się już tylko do Aleca:

– Powinieneś wiedzieć jeszcze o czymś. Hawkinsa wyeksmitowano z jego domu w Covent Garden. Teraz, jeśli można wierzyć plotkom, gnieździ się tutaj.

Alec kiwnął głową.

– A w domu nic nie zostało. Wcale mnie to nie dziwi.

West uniósł jedną ze swych płowych brwi.

– Skąd wiesz, że jest pusty?

– Czy dasz wiarę, że i ja mam rozmaite powiązania spoza zwyczajowego kręgu?

– Nie. – West urwał. – Ale gdyby były cokolwiek warte, powiedziałyby ci, żebyś jutro zaproponował mu kupno tego obrazu, jeśli nie uda ci się go ukraść dzisiejszego wieczoru.

Alec spojrzał ku żonie Westa. Wiedział, że jest członkinią Komitetu Selekcyjnego Akademii Królewskiej. Lady Georgiana skinęła głową.

– Moim zdaniem Wasza Wysokość odegra tu dzisiaj rolę Robin Hooda. Gdyby to ode mnie zależało, obraz zostałby wycofany z wystawy, żeby nie narażać panny Hargrove na szyderstwa.

Alec skłonił się przed nią powtórnie.

– Żegnam, milady.

A potem, zwracając się ku Westowi, dodał:

– Dziękuję ci.

Dzięki wsparciu ich obojga gotów był zrobić wszystko, byle tylko zawładnąć obrazem. A potem pozostawało mu już tylko czekać, aż Hawkins wejdzie na scenę, żeby mógł się z nim rozprawić i zapewnić Lily szczęśliwą przyszłość.

A ona, całkiem jakby ją wywołał myślami, weszła do loży wsparta na ramieniu Stanhope'a. Zabrał Lily z Berkeley Square, gdzie Alec zostawił ją poprzedniego wieczoru, po zrujnowaniu zarówno siedziby księcia i księżny numer dziewięć, jak też trzeźwości jego umysłu.

Lily prosiła go, by mogła tam zostać, ale nie zgodził się, modląc się w duchu, by jej złość przemogła inne, dużo bardziej niebezpieczne uczucie, które go tak kusiło.

Był raczej dumny z obmyślonego przez siebie planu działania. A odesłanie jej na Berkeley Square było może najtrudniejszą rzeczą, jaką kiedykolwiek zrobił.

Za nimi wślizgnęła się do loży lady Sesily Talbot – idealna przyzwoitka, zważywszy, że jej siostra i szwagier stali tak niedaleko. Jeśli nie brać pod uwagę tego, że właśnie Sesily Talbot nauczyła Lily, jak ma uciec z drugiego piętra. A również tego, że bardzo ją ciekawiło, co Szkot nosi pod kiltem.

Choć ogromnie go to bawiło.

Odkaszlnął, przestępując z nogi na nogę, i zatęsknił za swoim pledem.

Nie. Sesily była tu najlepszym wyborem, bo szanse na znalezienie odpowiedniej przyzwoitki dla Lily były raczej nikłe, co sobie uświadomił już w Hyde Parku.

Lily roześmiała się, zwrócona ku hrabiemu, a choć Alec nie mógł jej dokładnie widzieć, z miejsca przykuł jego uwagę ten dźwięk, jej błyszczące oczy i szeroki uśmiech, z jakim się zwracała do Stanhope'a. Od razu przypomniał sobie poprzednią noc, kiedy trzymał ją w ramionach, a jej śmiech był wówczas tak swobodny, szczery i naturalny, jak oddech.

Alec zacisnął pięści. Miał szczerą chęć powalić na ziemię tego idealnego hrabiego.

Lecz potem Lily spojrzała na niego, i to właśnie on poczuł się jak powalony na ziemię. Lily z miejsca przestała się śmiać, a w jej wzroku Alec dojrzał rozczarowanie i gniew, potem zaś wstyd.

Czego ona, u diabła, się wstydziła?

Nie mógł jej o to pytać, choć miał wielką ochotę.

Stanhope zaczął się witać z innymi w loży, a lady Sesily położyła Lily dłoń na ramieniu, odwracając jej uwagę. Szepnęła do niej coś, a Lily wyprostowała się cała po tych słowach, jakby ją uspokoiły. Alec zapamiętał sobie, że ma unicestwić każdego mężczyznę, który ośmieliłby się lekceważąco odnieść do Sesily Talbot, skoro tak wspaniale opiekowała się Lily.

On był zbyt słaby, żeby to zrobić.

Markiza Eversley i pani West zostawiły kochających mężów, żeby przywitać się z Lily. Alec był ogromnie wdzięczny obu tym arystokratycznym damom, które wspólnymi siłami starały się bronić jej reputacji. Dzięki ich wsparciu zdoła zdusić plotki, które mogły jej jeszcze dosięgnąć, kiedy on już znajdzie i zniszczy obraz.

Damy odsunęły się na bok, uświadamiając Lily, że powinna zająć miejsce na samym przodzie loży, wobec całego Londynu, śmiało, dumnie i bez lęku pozwalając się ujrzeć w Teatrze Hawkinsa. Dopiero wtedy zobaczył dokładniej całą jej postać. I to, co miała na sobie.

Zrobiło mu się duszno, jakby nagle w loży zabrakło powietrza.

Jedwabna suknia miała najniezwyklejszy odcień błękitu, jaki kiedykolwiek widział, świetnie na niej leżała, a głęboki dekolt mógłby zmusić każdego z obecnych tam mężczyzn, by pokryli namiętnymi pocałunkami odsłoniętą przez niego skórę. Ale nie tylko sama suknia zrobiła na nim takie wrażenie, lecz również czerwona szarfa, ciasno opinająca kibić Lily i sięgająca aż do ziemi.

Był to jego pled. Znowu.

Nie powinien się tym przejmować. Czyż nie widział jej w nocy owiniętej tartanem, śpiącej samotnie i półnago w jego łóżku? Czyż mógł ujrzeć coś gorszego, jeszcze bardziej raniącego jego cierpliwość i godność?

Poprzednią noc uważał za dar. Dzisiejszy wieczór był z kolei jak wypowiedzenie wojny. Jak inwazja. Jakby stanęła przed całym Londynem, oznajmiając, że Szkocja należy do niej.

Że on należy do niej.

A on miał się temu oprzeć.

Gdy zbliżała się ku niemu, cofał się stopniowo, aż wreszcie stanął tuż przy samym balkonie. Ona zaś powiedziała, cicho i bez emocji:

– Ostrożnie, Wasza Wysokość, bo jeszcze może pan spaść na parter.

Całkiem niezła perspektywa w porównaniu ze stanięciem naprzeciw Lily o wyglądzie królowej.

– Masz na sobie mój tartan.

– Czy on jest twój? – dziwiła się. – Nie zauważyłam.

Niech to szlag.

Chciał zedrzeć go z niej i całować ją nieprzytomnie mimo tego kłamstwa. Zamiast tego spytał gniewnie, zniżając głos:

– W co ty grasz, Lily?

Zmierzyła wzrokiem jego potężną postać.

– W grę, przy której się upierasz. Obydwoje mijamy się z prawdą.

Odparł z ironią:

– No, rzeczywiście.

Skinęła głową, zaciskając usta.

– Znalazłeś to, czego szukałeś?

– Powiedziano mi, że jest tutaj.

– Cóż mam zrobić, skoro ty grasz rolę buńczucznego bohatera?

Chciał, żeby tak było, lecz wcale nie nadawał się do tej roli.

– Nie bohatera – sprzeciwił się – tylko opiekuna.

– Ach, tak. Moim bohaterem jest kto inny.

Nie. Nigdy.

Światła zaczęły przygasać, co uchroniło go przed odpowiedzią. Personel krążył po teatrze, gasząc świece, co oznaczało początek spektaklu. Stanhope ujął Lily za łokieć. Alec chętnie by go za to zamordował.

– Może usiądziemy, panno Hargrove.

Czy gdyby książę zabił hrabiego, uratowałoby go wyższe miejsce w arystokratycznej hierarchii? Nieważne. Newgate byłoby znośną ceną za unicestwienie mężczyzny, który dotknął Lily noszącej pled Stuartów.

Stanhope miał sporo szczęścia, bo do Aleca podeszła Sesily.

– Wasza Wysokość, muszę chyba przypaść panu w udziale, skoro naokoło mamy same czułe pary.

Dopiero po chwili oprzytomniał na tyle, by powiedzieć:

– Cała przyjemność po mojej stronie, milady.

– Ależ oczywiście – odparła z lekką ironią.

Usiedli, a Sesily nachyliła się ku niemu:

– Te drapieżne bestie gapią się na nią bezlitośnie, książę. Radziłabym nie pogarszać sytuacji.

– Nie wiem, co pani ma na myśli.

– A ja sądzę, że wie pan doskonale. Nikt nie patrzy na scenę, tylko na Lily.

Nie spojrzał nawet na lady Sesily, bo patrzył wyłącznie na tył głowy Lily, na jej loki, na linię szyi. Nabrał głęboko tchu, chcąc się uspokoić, ale zamiast tego poczuł, czym pachniała. Szkocją i zdrowiem.

Rozejrzał się po teatrze, pragnąc spojrzeć na coś innego niż Lily, ale spostrzegł, że wszyscy patrzą na nich – lornetki operowe zwrócone były wyłącznie ku ich loży. Obserwowano Prześliczną Lily, przedtem muzę Dereka Hawkinsa, a teraz jego kochankę w niełasce, w otoczeniu nielicznych obrońców. Nie zdołaliby jej jednak obronić, gdyby Alecowi nie powiódł się jego zamiar.

– Dobrze gra swoją rolę – powiedziała półgłosem Sesily, Alec zaś ponownie

skierował uwagę na hrabiego, siedzącego przed nim. Gdy światła pogasły, a kurtyna poszła w górę, Stanhope szepnął jej do ucha coś, co ją rozbawiło.

Odgrywał rolę jej zbawcy na oczach sędziego i sądu.

Alec nie mógłby jej odegrać.

– Przecież nie mogę… – wyrwało mu się, ale zamilkł, nim zdołał zdradzić zbyt wiele.

Niestety, Sesily Talbot wiedziała wszystko.

– W takim razie nie powinno tu pana być! – wyszeptała. – Jeśli nie jest pan mężczyzną, jakiego jej trzeba, należałoby ustąpić z pola walki.

Zacisnął pięści.

– Przeciąga pani strunę, lady Sesily.

– Nie po raz pierwszy! Ale cóż byłaby ze mnie za przyjaciółka, gdybym nie miała pana za tchórza?

Gdyby była mężczyzną, wyzwałby ją na pojedynek.

Była jednak kobietą. Musiał więc przyznać jej rację.

W dole pod nimi Hawkins wyszedł na scenę, w teatrze zerwała się burza oklasków, a ten nędznik wypiął dumnie pierś, nim jeszcze wypowiedział pierwszą kwestię:

Tak ponurego dnia i tak pięknego

Jak żyję, nigdy jeszcze nie widziałem[8].

Alec wybiegł z loży pędem.

Znów ją opuścił.

Patrzyła półprzytomnie na scenę, gdzie mężczyzna, którego, jak się jej zdawało, niegdyś kochała, podbijał cały Londyn wspaniałym występem. Nie zwracała na to uwagi. Zbyt mocno wszystko w niej wrzało.

Jak śmiał ponownie ją opuścić? Poczuła się tak, jak poprzedniej nocy, kiedy sprawił, że wyznała mu miłość, kochał się z nią, przedtem zaś wezwał ją tutaj, choć wspierała się na ramieniu innego?

A teraz odszedł!

„Kocham cię”. Ile razy mu to mówiła? Ile razy zażądał tego od niej? A potem wypowiedział słowa pełne żalu i wstydu. Słyszała je jeszcze, kiedy pozostawił ją, niby zbędny pakunek, na stopniach rezydencji przy Berkeley Square.

„Znajdziemy ten obraz i odzyskasz wolność”.

A tego wieczoru przekazał ją innemu mężczyźnie, nieskończenie lepszemu i nieskończenie uprzejmiejszemu, który siedział teraz przy niej na oczach całego Londynu. Przed narzędziem jej upadku.

Tylko że w jakiś dziwny sposób nieskończenie mniej dla niej znaczącemu.

Dlaczego nie chciał, żeby była jego?

A zeszłego wieczoru wszystko układało się tak dobrze. Oszołomił ją niezwykłymi słowami, budząc w niej pożądanie i desperację. Kochał się z nią tak, jakby była jedyną kobietą na świecie, a on jedynym mężczyzną. Potem jednak odrzucił ją. Wzgardził nią.

Dlaczego?

No i dlaczego pragnęła go nadal?

Miłość była wstrętną, okropną rzeczą i w jakiś dziwny sposób wydawała się jeszcze gorsza w mroku tego przeklętego teatru, w miejscu, które przyniosło jej jedynie hańbę – hańbę, na którą z chęcią by się zgodziła, byleby mogła zatrzymać Aleca przy sobie.

Nie mogła go jednak mieć. Choć ofiarowywał jej wybór, nie był to ten wybór, którego chciała dokonać.

Należało zatem przyjąć resztę tego, co jej ofiarowywał. Wolność.

Wstała i skierowała się do wyjścia. Sesily spojrzała na nią, zrozumiała, ale uniosła brew. Lily się jednak nie zatrzymała i odnalazła jakoś wyjście, nie dbając, czy ktoś to widzi. Nie dbała też, czy ktoś wie, dokąd zmierzała.

Dbała tylko o jedno: żeby go znaleźć i powiedzieć mu wyraźnie, jak bardzo nim gardzi. Wyszła na jasno oświetlony korytarz, gdzie nikogo nie było. Bez wątpienia wszyscy wpatrywali się w Dereka, obrzydliwego i fascynującego zarazem.

Nigdzie nie było śladu Aleca, co oznaczało, że znajdował się już w pomieszczeniach na tyłach teatru i szukał obrazu. Serce zaczęło jej walić, gdy zrozumiała, że może go teraz ogląda. W jakiś niewytłumaczalny sposób myśl o tym, że go znajdzie, będzie go dotykał, zawładnie nim, była gorsza niż myśl, że akt ujrzy cały Londyn.

Skierowała się ku tylnym schodom, prowadzącym do bocznego skrzydła. Postanowiła sobie, że zjawi się tam, nim Alec znajdzie obraz. Żeby go zabrać, zanim on zdoła to zrobić.

– Panno Hargrove…

Zatrzymała się i odwróciła. Przy wyjściu z loży Westów stał Stanhope.

– Milordzie… – zaczęła, nie mogąc znaleźć właściwych słów.

Znalazł je natomiast on i podszedł do niej.

– Proszę być ostrożną.

Sesily też wyszła na korytarz, ale cofnęła się, gdy Stanhope spojrzał na nią przez ramię.

– Niech mi pan tego nie ma za złe, milordzie. W tej sztuce gram tylko

niezręczną przyzwoitkę. Niech sobie pan wyobrazi, że trzeba mi okularów i że strasznie źle słyszę.

Lily nie mogła powstrzymać się od uśmiechu.

Stanhope znów się do niej zbliżył, a jego uśmiech był wręcz oślepiający.

– Na szczęście ma pani dobre przyjaciółki, panno Hargrove.

– Rzeczywiście dobre, milordzie. – Zawahała się i dodała: – To dla mnie coś nowego. Podobnie jak uprzejmy dżentelmen u mego boku.

– Zmieniłaby pani zdanie po dłuższej znajomości ze mną.

Zdziwiły ją te słowa ze strony mężczyzny, który wydawał się kimś idealnym.

– Myli się pan – odparła – i zapomina, że znałam już niemało ludzi nieuprzejmych. Pan wcale do nich nie należy. Założyłabym się, że jest pan dobrym człowiekiem.

– Polowanie na zamożną dziedziczkę nie jest najszczytniejszym zajęciem.

– Mam nadzieję, że pozna pan w przyszłości wiele bardziej wartościowych, milordzie.

Wzruszył ramionami. Z pasmem włosów spadającym mu na czoło wyglądał naturalnie i czarująco.

– Ale to straszliwie nudne, nie sądzi pani? Stwierdziłem, że całkiem mnie bawi odgrywanie roli tego drugiego dżentelmena.

– Nie powinien pan być „tym drugim", ale dżentelmenem – owszem.

– A wybrałaby pani mnie? Jako dżentelmena?

Byłoby to dla niej prawdziwe szczęście, a jednak odpowiedziała:

– Nie, milordzie. Nie chciałabym pana obarczać moim skandalem.

– A gdybym chciał udźwignąć to brzemię? Byłbym do tego zdolny. Roześmiała się.

– Wcale pan na to nie zasługuje.

– Nie chodzi tu chyba o skandal, tylko o dżentelmenerię.

O mało się nie rozpłakała ze wzruszenia.

– Owszem. Ale obawiam się, że dokonałam złego wyboru.

– Uważam – odparł zaskoczony – że chyba jest pani w błędzie. Sądzę, że wybrała pani najlepszego dżentelmena ze wszystkich.

Ona też tak uważała. Tylko że z jakiegoś powodu ów dżentelmen wcale jej nie chciał.

„Pożałujesz tego. Będzie ci mnie żal".

Istotnie, był najlepszym dżentelmenem. Oby tylko sam zechciał to dostrzec.

– Dziękuję, milordzie – rzuciła i ruszyła w dół po schodach. Na spotkanie swojego skandalu. A także mężczyzny, którego chciała zdobyć, gdyby tylko jej na

to pozwolił.

19. Sztuka bycia podopieczną

Nie było go tam.

Alec stał na środku pomieszczeń należących do Dereka Hawkinsa i obracał się dookoła, pełen gniewu i rozdrażnienia.

Obrazu tam nie było.

Resztki wyposażenia pracowni z Covent Garden tkwiły pod ścianami: sześć płócien w jednym rzędzie i kolekcja dzieł sztuki, na której widok znawcy z British Museum jęknęliby z zachwytu. Najwyraźniej Hawkins był nie tylko wielkim łajdakiem, ale rzeczywiście wielkim talentem. Co oznaczało, że portret Lily był zapewne tak piękny, jak mówiono.

Być może.

Ale nie było go tam.

Co mógł teraz zrobić? Jak ją uratować?

Brakowało mu czasu. Zostały tylko dwa dni na znalezienie obrazu, zanim go pokażą wszystkim, a Lily nie będzie wtedy miała innego wyjścia prócz poślubienia go. Ale obrazu tutaj nie było, niech to diabli wezmą.

Oparł się chęci przystawienia świecy do najbliższych płócien i spalenia całego teatru. Hawkins zasługiwał na taką karę. Za to, że jej zagrażał. Że nadużył jej zaufania. Że jej dotykał.

Alec zaklął w ciemności, soczyście i wulgarnie.

– Co to znaczy? – padło pytanie od drzwi.

Nie usłyszał, jak je otworzyła. Odwrócił się raptownie. Świeca trzymana przez niego rzuciła chwiejną, złocistą poświatę na jej twarz. Lily podeszła bliżej i zamknęła za sobą drzwi.

– Powinnaś być na górze.

Zbliżała się do niego, a on się cofał, póki nie zawadził spodniami o dużą martwą naturę z gruszkami i musiał się zatrzymać. Za to ona się nie zatrzymała.

Dlaczego to zrobiła?

– Na górze? – spytała. – Ze Stanhope’em?

– Tak.

– Zamiast być tu, na dole? Z tobą?

– Tak.

Czy ona tego nie mogła zrozumieć?

– Podczas gdy ty ryzykujesz wszystko, żeby mnie ratować?

Czyż tego nie rozumiała? Dałby wszystko, co miał, wszystko, czym był, żeby tylko zapewnić jej bezpieczeństwo.

– Tak.

Zapadła długa cisza. Słychać było jedynie stłumione odgłosy spektaklu, co w jakiś sposób czyniło wnętrze mniejszym. Bardziej intymnym. Alec chętnie by się wspiął na ścianę, byle tylko uciec stąd – i przed nią.

Wydawała się jednak absolutnie spokojna.

– Nie ma go, prawda?

Westchnął ciężko.

– *Nae*.

– Ja też to zrozumiałam, kiedy usłyszałam, że klniesz.

Jak mogła być tak spokojna?

– Zbliża się więc mój upadek. – Uśmiechnęła się z ironią. – Całkiem jak Las Birnamski.

– A co ja ci mówiłem o Szekspirze? – palnął.

Uśmiechnęła się.

– Kiedy ostatni raz o nim mówiłeś, wyrażałeś się o nim jak najgorzej.

– Mam do tego prawo jako Szkot.

Usiłował na nią nie patrzeć. Była już tak blisko, że wyczuwał jej zapach. Mógł jej dotknąć. Zapragnąć jej aż do bólu. Byli w końcu sami.

Wyszeptała jego imię, jakby to było coś grzesznego.

– Alec…

Z trudem przełknął ślinę.

– Co?

– Co znaczyło to twoje przekleństwo?

– Nie da się go przetłumaczyć.

Trwało dłuższą chwilę, nim na nią spojrzał. Szare oczy błyszczały srebrzyście w świetle świecy.

– A co znaczy *mo chridhe*?

– Tego również nie sposób przetłumaczyć.

Uśmiechnęła się kątem ust.

– Czy to coś lepszego, czy też gorszego od przekleństwa?

Ona się nad nim po prostu znęcała. A on próbował zachować się godnie.

Chronić ją i…

– Czemu mnie nie chcesz, Alec?

Pragnął jej całym sobą. Jak mogła tego nie widzieć? Zamknął oczy.

– Lily. Nie mamy na to czasu.

– Kiedyż może być lepszy czas niż teraz, w przededniu mojej ruiny?

– Mamy jeszcze jutro na poszukiwania.

– Nie znajdziemy go. Nie wywróżono nam tego.

– Przestań robić aluzje do tej przeklętej sztuki. Wszyscy tam na końcu umierają.

– Nie wszyscy. Z popiołów powstaje ród królów. – Zamilkła, a potem dodała półgłosem: – Szkockich.

– Niech ich diabli wezmą. Teraz nie ma królów w Szkocji.

– A czyż ich przedtem nie było?

Przejechał ręką po włosach, zgnębiony i rozgniewany.

– Chodź, Lily. Mamy jeszcze jeden dzień, a znajdę to przeklęte malowidło, choćbym miał wywrócić cały Londyn do góry nogami. Wracaj do Stanhope'a. Może on da ci szczęście.

– Niemożliwe.

– Nie wiesz tego.

– A jednak wiem. Jakże jeden mężczyzna może mnie uszczęśliwić, skoro bardzo kocham drugiego?

Odwrócił się ku drzwiom.

– Nie wiem, o czym mówisz.

Musieli stamtąd uciekać, nim ich złapią. Chciał również głęboko odetchnąć, bo Lily zabrała z tej dziury całe powietrze za sprawą swej piękności, całkiem jak wróżka. A tymczasem miał w głowie pełno szkockiego szaleństwa, jak u tego sakramenckiego króla Szkocji.

Otwierał już drzwi, kiedy powiedziała:

– Wiem, że jesteś tchórzem.

Kiedy to usłyszał, spojrzał poza siebie i zobaczył, że ona wciąż stoi bez ruchu na środku, wśród dzieł człowieka, który ją zniszczył, wyprostowana, silna i dumna niczym Boadicea[9]. I nosi na sobie jego pled niczym sztandar.

Była absolutną doskonałością.

Odwrócił się bez słowa, a wtedy zadała mu ostatni cios.

– Tak cię pragnę, że cała drżę.

Pochylił głowę i przycisnął czoło do drzwi.

Ucichły odgłosy spektaklu, jakby cały Londyn zamilkł, żeby tylko ją usłyszeć. A potem powiedziała cicho i tęsknie:

– Wiem, że zeszłej nocy ty również tak drżałeś.

Te słowa złamały jego opór. Ruszył ku niej, nim zdołał coś pomyśleć, i znalazła się w jego ramionach. Objął ją, a jej usta dotknęły jego warg i wydały głębokie westchnienie tuż przy nich, jakby był najwspanialszym prezentem, jaki kiedykolwiek dostała. Pocałował ją, delektując się dotykiem jej warg i tym, że przylgnęła miękko do niego, jakby czekała na ten moment – i na niego – przez całe życie.

Tak samo, jak on na nią.

Wziął Lily na ręce, zaniósł na biurko w drugim końcu tego wnętrza, posadził ją na nim i ujmując jej twarz w dłonie złączył ich wargi. Pragnął wciąż od nowa ją całować, jakby chciał zapamiętać na zawsze miękkość jej ust i krótkie jęki, jakie wydawała, gdy wsunął język między jej wargi, kradnąc te doznania niczym żebrak przysmaki z uczty.

Całował ją, póki oboje nie stracili tchu, póki nie wypuścił jej z objęć.

– Ja wciąż jeszcze cały drżę, Lily.

Spojrzała na niego pociemniałymi, oszołomionymi oczami, dostrzegając, że ręce mu się istotnie trzęsą. Ujęła wtedy jedną z nich i uniosła do warg, całując koniec każdego z jej palców, a potem odwróciła ją grzbietem do dołu i wycisnęła ciepły, wilgotny pocałunek na wnętrzu dłoni.

Gdy zataczała na niej językiem kręgi, naznaczając go swoim piętnem, jęknął gardłowo i pocałował ją jeszcze raz, a ona wzdychała, prosząc o więcej. Przerwał nagle pocałunek, powiódł wargami po jej policzku aż do płatka ucha. Wtedy powiedział cicho:

– Zawsze będę drżeć i nigdy się nie zdarzy, żebym nie pragnął cię aż do bólu, każdym fibrem ciała.

– A więc weź mnie – szepnęła mu w ucho. – Zawładnij mną. Jestem twoja.

Jej słowa zabrzmiały tak donośnie wewnątrz niego, że niemal go ogłuszyły.

Nie zasługiwał jednak na nią.

Puścił ją i odsunął się od niej.

– Nie jestem bohaterem ze sztuki, Lily. Musisz sobie wybrać lepszego. Bardziej ciebie wartego. To cel całego tego przedsięwzięcia.

A wtedy ona, niczym mściwa królowa, odepchnęła go z taką siłą, że o mało nie upadł.

– Wybrałam ciebie, ty gburze!

W porządku. Jeśli wpadła w gniew, to może go zostawi.

– Nie dokonałaś właściwego wyboru.

– Wczoraj chciałeś mnie poślubić!

No i zrobiłby tak. Nadal zresztą chciał tak zrobić. Tylko że…

– Nie jestem ciebie godzien.

Niemalże krzyknęła, pełna rozżalenia i złości:

– Jesteś księciem, Alec! A ja osieroconą córką rządcy, która straciła reputację w obecności całego Londynu.

– Nie straciłaś jej. Jeszcze nie.

– Nie byłeś tam. Zapewniam cię, że straciłam ją raz na zawsze.

– Nie, póki obraz nie zostanie odsłonięty. A tak się nie stanie, bo ja to uniemożliwię.

Rozłożyła szeroko ręce, wskazując na wnętrze, w którym stali.

– Nie zdołasz! On wygra tę batalię. Zresztą wygrał ją już wtedy, gdy podszedł do mnie w Hyde Parku i przekonał, że męskie zaloty to coś bliskiego miłości. – Zaśmiała się głośno. – Jak na ironię, wikłam się chyba w podobną sieć.

Alec zesztywniał.

– To nie to samo.

Spojrzała na niego z gniewem.

– Masz rację, to nie to samo. Derek nigdy nie zdołał sprawić, żebym wstydziła się za siebie.

Co u diabła?

– Przecież to wszystko – nawet najdrobniejszy szczegół – ma uchronić cię od wstydu. I od żalu.

– Ile razy mam ci powtarzać, że tego nie żałuję?

Stracił w końcu cierpliwość.

– Niech to diabli, Lily! Czy nie możesz uwierzyć, że nie jestem tym bohaterem, o którym mówiłaś tam na górze? Myślisz, że nie chciałbym ożenić się z tobą i chronić cię wtedy, i kochać, jak na to zasługujesz? Myślisz, że nie chciałbym wymazać mojej przeszłości, tak bym mógł błagać cię na kolanach, żebyś została moją żoną? Że mógłbym uczynić cię księżną? Myślisz, że nie chciałbym mieć tych dzieci, które zamierzałaś wystroić w śliczne haftowane ubranka i które nosiłyby te głupie czerwone buciczki?

Otworzyła szeroko oczy ze zdumienia, ale on o to nie dbał i ciągnął dalej z wściekłością:

– Myślisz, że nie chciałbym kochać się z tobą w małżeńskim łóżku, póki oboje nie przestaniemy drżeć? Póki nie będziemy już zdolni się ruszyć? Myślisz, że cię nie kocham? Jakże możesz tego nie rozumieć? Kocham cię nieprzytomnie. Chyba od chwili, kiedy zamknęłaś mi przed nosem te przeklęte drzwi na Berkeley Square. Ale ja na ciebie nie zasługuję!

Urwał, dysząc ciężko i gardząc sobą samym. Zmusił się, żeby na nią spojrzeć. W oczach miała łzy, a on znienawidził się za to, co zrobił.

– Nie jestem bohaterem ze sztuki. Nie na całe życie, nawet nie na tę jedną naszą noc. – Znów przejechał ręką po włosach. – Musimy stąd uciekać, zanim nas znajdą.

Nie ruszyła się z miejsca.

– Coś ty powiedział?

Spojrzał na nią zdziwiony.

– Co takiego miałem powiedzieć?

– Że nie jesteś na całe życie. Ani nawet na jedną noc.

Te słowa były jak podstępny cios. Wypowiedziane przez nią, stały się nieoczekiwanie okrutne. Pohamował dotkliwy ból, które mu sprawiły, i skinął głową. W końcu to zrozumiała. Może pozwoli mu teraz spokojnie odejść.

Tylko że on już nigdy nie zazna spokoju.

– Musimy iść – powiedział, próbując zedrzeć halsztuk. Uwierał go w szyję.

Ale Lily jeszcze nie skończyła.

– Co ona ci zrobiła?

Zesztywniał cały.

– Kto?

– Hrabina Rowley.

Wspomnienia przemknęły mu błyskawicznie przez myśl. Skąd ona wiedziała? Zresztą nie miało to znaczenia. Powinien był jej o tym powiedzieć wcześniej. Prawda odstręczyłaby ją od niego z całą pewnością.

Czy to było celem?

Nie.

Tak. Było celem.

Znów odwrócił się ku drzwiom.

– Musimy iść.

– Alec…

– Nie tu, Lily. Nie wtedy, gdy cały Londyn czyha na zewnątrz.

Otworzył drzwi bez wahania.

Nie było za nimi całego Londynu, jak się okazało.

Tylko jeden londyńczyk.

Po drugiej stronie drzwi stał Derek Hawkins w renesansowym kostiumie, ze szpadą w ręku. Uniósł ją i przytknął do piersi Aleca, tuż nad sercem.

– Nie znam szkockiego prawa, ale nam w Anglii wolno zabijać intruzów.

Oczywiście, Derek musiał wszystko zepsuć.

Dałaby teraz wszystko, żeby zniknął z tego miejsca przy drzwiach, gdzie z nieznośną emfazą groził, że ich zabije, jeśli go dobrze zrozumiała. Oby Bóg ją ustrzegł przed mężczyznami ze skłonnością do dramatycznych chwytów. Spojrzała na zegar, który stał na biurku.

Było wpół do dziewiątej, czas antraktu. Przypomniała sobie mętnie, jak mówiła, że Sesily będzie równie dobra w roli kiepskiej przyzwoitki jak ona w roli skandalistki, bo dobrze to uzasadniało ich nieobecność, kiedy wszyscy w loży dostrzegą, że ich tam nie ma.

Lepsze to niż: „Och, zapewne włamali się do kantoru Hawkinsa, ukradli mu akt Lily i kochali się na jego biurku".

W tym przypadku prawda nie była dobrym usprawiedliwieniem.

Zwłaszcza teraz, kiedy najwyraźniej wpadli w pułapkę.

Z pewnością nie powinni się byli znajdować w tym sanktuarium Dereka. Ale on sam też nie! Podeszła ku niemu, nie dając się zastraszyć mężczyźnie, który tak bardzo nadużył jej zaufania. Ciekawe, że dwa tygodnie wcześniej właśnie ona dałaby się zastraszyć. Dwa tygodnie później była już inną kobietą.

Dwa tygodnie wcześniej nie znała jeszcze Aleca.

Alec, jej potężny Szkot, wydawał się olbrzymem w porównaniu z Derekiem, który blokował wyjście. Miała go dość.

– Czy nie powinieneś być teraz na scenie?

Dopiero wtedy dojrzała szpadę tuż nad sercem Aleca. Alec wyglądał jednak spokojniej niż każdy inny mężczyzna w tej sytuacji.

Lily zamarła ze zgrozy na ten widok.

– Co masz zamiar zrobić, ty wariacie?!

Derek nawet na nią nie spojrzał.

– Chronię moją własność. Mój teatr. Moją sztukę. Chcę zrobić wszystko, żeby one wyszły z tego bez szwanku. – Zamilkł i spojrzał na puste ręce Aleca. – Mądrze postąpiłeś nie zabierając stąd niczego.

Alec odezwał się z najwyższą pogardą:

– Myślisz, że chciałbym twoich dzieł? W jakim celu? Żeby sobie powiesić na ścianie twoje bohomazy?

Słowa Aleca były jawną obelgą. Lily oniemiała. Jak mógł drwić z kogoś, kto przyłożył mu szpadę do piersi?

– Myślę, że interesuje cię przynajmniej jedno z nich, Niechciany Książę – zadrwił Derek.

– Owszem, ale nie miałem zamiaru na nie patrzeć.

Derek roześmiał się.

– Pewnie myślisz, że skoro widziałeś modelkę, nie trzeba ci już obrazu?

Lily z oburzenia zabrakło tchu, lecz Alec chwycił tylko klingę szpady potężną dłonią. Spojrzała na jego palce, spodziewając się, że spłyną krwią, i żołądek podszedł jej do gardła na myśl, że zrani się z jej powodu.

– Pozwól nam przejść, Derek. Musisz wrócić na scenę. A my przecież nic stąd nie zabraliśmy.

– Skąd mam wiedzieć, czy to prawda?

Spojrzała na niego gniewnie i rozłożyła szeroko ręce.

– Czy myślisz, że ukryłam to płótno pod spódnicą?

Derek spojrzał na nią nieufnie.

– Nie jesteś tu już mile widzianym gościem.

Alec odparł sucho:

– Doprawdy, sprawiasz mi przykrość.

Gdyby nie szpada, Lily roześmiałaby się, ale teraz wstrzymywała tylko oddech, póki Alec nie odezwał się drugi raz.

– Ile?

Derek ani drgnął.

– Ile za co?

– Zubożałeś. Straciłeś dom i pracownię w Covent Garden. Twoje obrazy stoją tu pod ścianami bez wątpienia dlatego, że nie masz ich gdzie trzymać. Słyszałem, że teatr bliski jest bankructwa, ale ty nadal tracisz pieniądze w domach gry. Pytam więc po raz drugi – i nie obrażaj mnie, udając, że nic nie rozumiesz – ile chcesz za akt Lily?

Derek pokręcił głową.

– On nie ma ceny.

– Nie wierzę ci.

– A szkoda. To największe dzieło sztuki od czasu *Stworzenia człowieka*. – Wzrok Dereka spoczął na Lily. – Spójrz na nią, Warnick. Na pewno widzisz jej piękność. Wyobraź sobie, jak będzie wyglądać sportretowana przez geniusza.

Lily mogła widzieć tylko jedną stronę twarzy Aleca – ale wystarczyło to, by dostrzegła, jak drgnął na niej mięsień ze złości.

– Wymień cenę.

Derek pokręcił przecząco głową.

– On nie ma ceny – powtórzył. – Moja wersja Lily nie jest na sprzedaż. – Zerknął na nią. – Widzisz, kochanie? Może ja jestem bohaterem w tej sztuce? Twój książę bez skrupułów sprzeda cię temu, kto da więcej. – Zawiesił głos jak złośliwe

dziecko. – Och, czekaj. Nie. On cię nie sprzeda, tylko wyśle gdzieś daleko. Z fortuną jako premią.

Dłoń Aleca zacisnęła się wokół szpady, kostki jej zbielały. Lily zbliżyła się, chcąc zyskać pewność, że się nie zranił. Nie spuszczała oczu z Dereka.

– Sądzę, że powinieneś przemyśleć tę ofertę, Derek.

– Z twojego powodu?

– Czy zrobi ci wielką różnicę, jeżeli o to spytam?

Uśmiechnął się złośliwie.

– Nie. Ten obraz przebije w cenie wszystkie inne. Utrwali moje imię na wieki.

– Ale on przedstawia mnie. A ja nigdy nie chciałam, żeby go ktoś oglądał.

Spojrzał na nią z politowaniem.

– W takim razie nie powinnaś była do niego pozować, kochanie. Bogactwo, jakie dzięki niemu zyskam, sprawi mi ogromną radość. Całkiem jakbyś ty je dla mnie zyskała. Jakbyś sama na nie zapracowała, leżąc na wznak.

Lily odebrało głowę, gdy usłyszała te bezwzględne słowa, lecz wtedy Alec wykonał błyskawiczny, iście koci ruch i szpada, jakby dzięki magicznej sztuczce, znalazła się w jego ręce.

– Trudno mi uwierzyć, że ktoś tak obeznany ze sceną jak ty zechce kusić los, by okazać swoją butę właśnie w tym kostiumie. Lepiej sobie przypomnij, co spotkało Makbeta.

Schwycił Dereka za wyłogi kostiumu i niemalże zaciągnął go pod ścianę korytarza, przystawiając mu ostrze groźnie wyglądającej szpady do policzka.

Derek spojrzał ponad ramieniem Aleca na Lily, a ona ujrzała w jego wzroku nadzieję, że go ocali. Że przypomni sobie ich ostatnie spotkanie we troje.

Kiedy Alec zagroził Derekowi.

Nie zamierzała już Dereka ratować.

Musiał to dojrzeć w jej oczach, bo spojrzał z kolei na Aleca i bluznął:

– Gram brutalnego Szkota, który ma podłą żonę. No i proszę, odkryłem podobną parę myszkującą w gmachu teatru.

Alec przycisnął mocniej szpadę do jego policzka i wycedził pozornie łagodnym, ale jednak groźnym tonem:

– Coś ty jej powiedział?

Derek przymrużył oczy.

– Słyszałeś przecież. Zapamiętaj sobie, że jestem znany z umiejętności charakteryzowania postaci.

A po chwili dodał:

– Znałem ją przed tobą.

Lily zbladła, słysząc te słowa, okrutne i obraźliwe. Poczuła taki wstyd, że zapragnęła odpłacić się temu mężczyźnie w najbezwzględniejszy sposób za wszystko, co uczynił, i wszystko, co powiedział. Również za to, że przypomniał Alecowi o jej przeszłości. O tym, co zrobiła i czego już nie mogła cofnąć.

A wtedy Alec przemówił.

– Dziś, jak ostatni głupiec, dostarczyłeś mi broni, którą igrasz, kiedy paradujesz z nią po scenie. A ja się ćwiczyłem w szermierce od wielu lat.

Nacisnął mocniej szpadę, a Derek wciągnął powietrze.

– Co powiedzieliby twoi patroni, gdyby cię znaleziono w tym ciemnym korytarzu przebitego szpadą Makbeta? Czy uznaliby może, że go wezwałeś do tego teatru? Jak oni to nazywają? Szkockie Przekleństwo? – Derek zamknął oczy, a wtedy Alec zbliżył się jeszcze bardziej do niego. – Ja jestem twoim Szkockim Przekleństwem, pyszałku. Groźniejszym niż wszelkie widma, które możesz sobie wyobrazić. Ale nie obawiaj się. Nie mam zamiaru cię zabijać. Dałem ci kiedyś słowo, że cię zniszczę. Nie miej złudzeń: zniszczę cię, jak ty zniszczyłeś ją. A kiedy się zestarzejesz i nikt już nie będzie pamiętał twojego nazwiska, przypomnisz sobie o mnie i zadrżysz.

Derek pospiesznie zaczerpnął tchu, a potem wydał krótki, pełen bólu jęk. Lily wzdrygnęła się, gdy usłyszała ten dźwięk, ale jednocześnie z nim rozległ się ostry szczęk szpady, którą Alec cisnął w mroczny korytarz.

– Idź po nią, ty psie. Aportuj na rozkaz!

I Derek zrobił to. Podbiegł do szpady, a potem podniósł ją i odszedł pospiesznie, nie oglądając się za siebie.

Lily patrzyła na Aleca przez dłuższą chwilę. Dyszał gwałtownie z wściekłości, zaciskał pięści, a mięsień coraz wyraźniej drgał mu na policzku. Był tak niesamowicie spięty, że wyglądało, jakby miał zaraz pobiec za Derekiem, aby dokończyć tego, co zaczął.

Korciło ją, żeby doń podejść, i zrobiła to. Ujęła jego wielkie, piękne ramię w dłonie, czując, jak mięśnie tężeją pod jej dotknięciem.

– Nie musiałeś mnie bronić.

– Co takiego? – spytał i spojrzał na nią.

– Przed Derekiem. On tu nie zawinił.

– Co ty mówisz? – Zmarszczył mocno brwi, a Lily przez chwilę dziwiła się, czy nie powiedziała czasem tego w jakimś innym języku.

– To był mój błąd. Przecież pozowałam mu do tego obrazu. Zaufałam mu. Ja… – zawahała się – ja myślałam, że…

Objął ją za ramiona. Trzymał ją za nie tak, jak o tym marzyła. Mocno, aż do

bólu.

– Słuchaj, Lillian Hargrove. Nie zrobiłaś nic złego. To nie był błąd. Kochałaś go.

– A jednak nie. Teraz to widzę. – Zaśmiała się cierpko. – Chyba powinnam ci podziękować za to, co mi uświadomiłeś.

– Jak? – spytał.

Zastanowiła się.

– Jak?…

– Jak to widzisz teraz?

– Teraz już wiem, czym jest miłość. Jak ją poznać. I co bym dla niej zrobiła.

Zamknął oczy, gdy to powiedziała. Odwrócił głowę.

– Musimy wracać na górę. Mam przed sobą trudne zadanie. Został nam tylko jeden dzień na odnalezienie obrazu.

Wypuściła go z objęć, słysząc te słowa. Czuła zawartą w nich nadzieję. Rozumiała ich znaczenie. Wciąż się spodziewał, że go odnajdzie i wycofa z wystawy. I że ją wyzwoli.

Było doprawdy ironią losu, że przedtem błagała go o wolność. Że żądała, by dał jej pieniądze, bo chciała dzięki nim zyskać niezależność. Żeby pozwolił jej wyjechać gdzieś, a sam wrócił do Szkocji, pozwalając jej dokonać własnych wyborów. Pójść własną drogą. Zmierzyć się z własnym losem.

A teraz, gdy jej to umożliwił, chciała tylko jednego: żeby należeć do niego.

„Kocham cię nieprzytomnie”.

– Alec…

Nie wiedziała, o czym ma mówić dalej. O tym, że chce z nim być? O tym, jak go zdobyć?

Nie była zdolna ani do pierwszego, ani do drugiego, a on, nie zwracając na nią uwagi, wspinał się już na schody, przeskakując po dwa stopnie na raz. Starała się dorównać jego długim krokom. Kiedy zbliżali się do korytarza wiodącego ku lożom, wyprzedził ją o kilka metrów. Minął jednak lożę Westów właśnie w chwili, gdy Sesily wysunęła z niej głowę, chcąc odszukać Lily.

– Co ty masz na sukni? – Przyjaciółka otworzyła szeroko oczy. – Dobry Boże! Czy to krew?

Lily dopiero tera zauważyła plamę na ramieniu. Pobrudziła piękną błękitną suknię, kiedy Alec schwycił ją mocno, mówiąc, że to, co się stało w przeszłości nie jest jej winą.

A krwawił z jej przyczyny.

– Czy to krew Hawkinsa? – spytała Sesily. – Wrócił na scenę, ale wygląda, jakby zaciął się w policzek, a o tym chyba nie ma mowy w sztuce. Choć, prawdę

mówiąc, nie przywiązywałabym do tego większej uwagi. Przyznam ci się, że lubię od czasu do czasu zabawiać się w czarownicę, ale jeszcze bardziej podoba mi się myśl o Alecu raniącym Hawkinsa w policzek.

– To nie krew Hawkinsa, tylko Aleca.

– Do diabła! – wyszeptała Sesily.

– Nie powinnaś tak często przeklinać.

Sesily spojrzała na nią gniewnie.

– Czy chcesz mi powiedzieć, że to niestosowne dla damy?

Lily pokręciła głową.

– Doprawdy, nie jestem wzorem przyzwoitości.

– Znakomicie. Niech licho porwie każdego, kto chce, żebym tego nie robiła. Czasami brzydkie słowo bardzo pomaga.

Lily przytaknęła jej. A potem, po dłuższym milczeniu, powiedziała ledwo dosłyszalnie:

– Niech to szlag trafi.

Sesily wciąż na nią patrzyła, a Lily dojrzała w jej spojrzeniu współczucie.

– Co się stało?

A wtedy, w korytarzu Teatru Hawkinsa – jedynym miejscu w Londynie, gdzie powinna była okazać stoicki spokój – Lily zaczęła płakać. Wszystko przepadło. Obraz zostanie wystawiony i nie można na to nic poradzić. No i jeszcze coś.

– On mnie kocha nieprzytomnie.

Sesily przekrzywiła głowę.

– To nie brzmi tak źle.

– Tylko że wciąż mnie nie chce. Uważa, że nie jest mnie wart.

Z jakiegoś groteskowego powodu.

– Cóż to za powód?

– Nie wiem. Może gdyby mi powiedział… – Lily otarła łzy. – Ale on nie chciał tego zrobić.

Sesily skinęła głową.

– W takim razie powinnaś go do tego zmusić.

– Czy on wygląda na człowieka, którego łatwo do czegoś zmusić?

Sesily zareagowała natychmiast.

– Nie, raczej na kogoś, kto skoczyłby do Tamizy, gdybyś go tylko poprosiła.

Lily znów zaczęła płakać.

– Spytałam go, czy mnie chce – a on odmówił.

– Bo wszyscy mężczyźni to tumany. Zasługują na to, żeby ich powiesić za kciuki w St. James Park i wystawić na ukąszenie pszczół.

– Jaką ty masz wyobraźnię! – zdumiała się Lily.

Sesily zdobyła się na wymuszony uśmiech.

– Można sobie od czasu do czasu pofantazjować.

Zaśmiały się obie, ale wtedy drgnęła zasłona i pani West wychyliła zza niej głowę.

– Ach, widzę, że panna Hargrove wróciła. – Rozejrzała się po korytarzu. – A pani książę?

– On nie jest moim księciem – odparła Lily.

– Nie jest, nie jest, ale kiedyś nim zostanie – odparła cierpko żona dziennikarza, a potem dodała: – Pewnie się pani nie udało?

– Z Alekiem?

Jedna z blond brwi uniosła się w górę.

– Miałam na myśli obraz.

Lily zaczerwieniła się po uszy.

– Ach tak, obraz. Nie, nie potrafiliśmy go znaleźć.

Georgiana po chwili wahania powiedziała.

– Po pierwsze proszę mi mówić po imieniu. „Pani West” brzmi jak nazwisko przełożonej szkoły dla dziewcząt z północnej Anglii. Po drugie szkoda, że książę okazał się niemądry. Tylko że moim zdaniem wszyscy mężczyźni są tacy, póki nie nabiorą rozumu. Ci najlepsi potrafią go nabrać.

Po chwili dodała:

– A po trzecie może zechcesz przyjąć do wiadomości, że obraz ma być zawieszony nad podium jutro po południu, kiedy wystawę zamknie się na noc. Pozostanie zakryty aż do następnego dnia rano.

Lily nie zrozumiała należycie tej informacji i milczała, póki piękna młoda kobieta nie powiedziała z uśmiechem:

– Wiem z całą pewnością, że dzisiejszej nocy jedno z okien wychodzących na tyły będzie otwarte. Do dwunastej trzydzieści.

– A więc ty?… – spytała zaskoczona Lily.

Georgiana skinęła głową dostojnie, jak królowa.

– Gdyby ode mnie wszystko zależało, ten nędznik zostałby wyeliminowany z wystawy, od kiedy stałoby się jasne, że cię wykorzystał. Obojętne mi, czy obraz jest piękny, czy nie. Jego twórca to łajdak.

Lily nie potrafiła znaleźć słów, tak była zaskoczona.

Natomiast Sesily znalazła je bez trudu.

– Świetnie! Czyż to nie cudowne?

– Nie lubię, kiedy mężczyźni wykorzystują kobiety – rzekła Georgiana z

pozorną obojętnością. – Mam więc nadzieję, że mu się odwzajemnisz. A teraz muszę wracać do loży. Sądząc po szramie na twarzy Hawkinsa i krwi na twojej sukni, ten łobuz chyba więcej się nie pokaże na scenie.

Miała już wejść do loży, gdy usłyszała:

– Milady…

Georgiana odwróciła się.

– Jak zdołałaś…

Georgiana jeszcze raz się ironicznie uśmiechnęła.

– Nie tylko mój mąż ma rozległe koneksje. – Po czym zniżyła głos, tak by tylko Lily mogła ją usłyszeć. – Żony znanych ludzi muszą trzymać się razem. Mam nadzieję, że nie zapomnisz o mnie, kiedy już będziesz księżną.

Potem zniknęła za kotarą loży, a echo jej słów zawisło w korytarzu jak obietnica.

Lily odetchnęła głęboko, nie mogąc oderwać oczu od kotary, wciąż się jeszcze kołyszącej. Przez wiele lat nie miała przyjaciół, chociaż za nimi tęskniła. A teraz się ich nagle namnożyło. Było ich tylu, że poczuła się wreszcie pełnym, prawdziwym człowiekiem.

No, nie ze wszystkim.

Nigdy nie czułaby się tak bez Aleca.

Chciał dać jej wybór? Dać jej wolność?

No to ją sobie weźmie. A także dokona wyboru.

Najłatwiejszego, jakiego kiedykolwiek dokonała.

20. Działania znaczą więcej od słów

Alec cały następny dzień – ostatni przed wystawą – wywracał Londyn do góry nogami. Robił, co mógł, żeby tylko znaleźć przeklęty obraz, a tym samym uratować Lily i jej przyszłość.

Aż wreszcie wezwał do siebie Stanhope'a.

Hrabia zjawił się, najwyraźniej bardzo ciekaw, w najobszerniejszej bawialni miejskiej rezydencji Numeru Dziewiątego. Rozejrzał się po półkach i gablotach pełnych figurek, przeciągnął palcem po porcelanowym słoniu na niskim stoliku i powiedział:

– Nie wiedziałem, że Wasza Wysokość jest kolekcjonerem.

Alec nie okazał rozbawienia.

– Nie mogę znaleźć tego obrazu.

– Przypuszczam, że jutro będzie to łatwe.

Alec o mało nie pękł ze złości. Czy nikt w tym mieście nie rozumie, że to jedyna szansa, by Lily uniknęła skandalu?

No, niekoniecznie jedyna.

Właśnie dlatego Stanhope znalazł się tutaj. Alecowi zaś serce podjechało aż do gardła.

– Trzeba, żeby pan ją stąd zabrał.

– Nie rozumiem.

– Nie będę powtarzał dwa razy.

Chyba zresztą nie mógłby tego zrobić.

Stanhope bez pytania podszedł do kredensu.

– Szkockiej? Czy czegoś innego?

Alec nigdy jeszcze nie potrzebował bardziej takiego trunku.

– Niech pan nalewa.

Hrabia napełnił dwa kieliszki i podał jeden z nich Alecowi, nim siadł na niskiej sofie pokrytej kapą z frędzelkami.

– Gdzie mam się z nią, pańskim zdaniem, udać?

Nigdzie.

– Do Szkocji.

– Czy pan się lepiej nie nadaje do tego szczególnego zadania?

O mało się nie załamał, kiedy to usłyszał.

Pragnął pokazać jej Szkocję. Pragnął, żeby poczuła kropelki wody z Firth of Forth na swojej skórze. Pragnąć stać wraz z nią na dzikich pustkowiach Highlands i wdychać jej zapach, póki nie złączy się na zawsze w jedno z wonią wrzosów i mirtów.

Pragnął leżeć koło niej na pledzie w świetle słońca i kochać się z nią pod niebem i górami, póki nie wykrzyknie na głos jego imienia. Pragnął zestarzeć się razem z nią w domostwie pełnym ich szczęśliwych dzieci i wnuków w tych czerwonych bucikach, które ukrywała przed wszystkimi.

Tylko że nie był jej godzien.

– Trzeba jej kogoś lepszego ode mnie.

– Myśli pan, że tym kimś jestem ja?

– Widziałem was razem. Pan… – Urwał, nienawidząc tego, co teraz powie. – Pan sprawił, że się uśmiechała.

Chciał, żeby uśmiechała się zawsze. Do mężczyzny, na którego zasługiwała.

– To dość szczególny talent. – Stanhope pociągnął łyk trunku, a potem rozkaszlał się paskudnie. – Powinienem był się spodziewać, że w tym domu wszystko będzie do luftu.

Alec nie roześmiał się. Nie miał już siły.

– Jest pan przyzwoitym człowiekiem, Stanhope, choć już niemłodym, no i bez dziedzica. A także bez fortuny. A Lily jest… – Upił nieco whisky, radując się jej piekącym smakiem.

– …perfekcyjna – dokończył za niego Stanhope. – Z obrazem czy bez niego.

Alec przymknął oczy, z wdzięcznością i zarazem z nienawiścią. Pragnął, żeby była perfekcyjna tylko dla niego. Przytaknął jednak hrabiemu.

– Istotnie.

– Cała rzecz w tym, że ona się w panu zakochała.

Alec spojrzał na niego zaskoczony.

– Mogę sprawić, żeby dziewczyna się uśmiechała, Warnick, ale to nic takiego. Pan może jej dać szczęście, trzeba się tylko zdecydować. – Odstawił kieliszek na niski stolik i wstał. – Przykro mi, ale muszę odrzucić tę ofertę, mimo że jest niezwykle kusząca.

Alec również wstał. Pełen rozpaczy, lęku i radości. Ale powiedział:

– A posag?

Stanhope odetchnął głęboko. Nie wahał się.

– Nie jest tego wart. Nie chcę mieć tragedii miłosnej na sumieniu. Są inne dziedziczki. Słyszałem, że przyjechało tu na sezon mnóstwo zamożnych Amerykanek. – Urwał, po czym dodał: – Jeśli pan pozwoli…

– Tyle pan już powiedział, a teraz się waha?

– To jest Londyn, mamy rok 1834. Wszystko da się załatwić w jeden sposób. Ma pan rację – i jednocześnie się myli.

Alecowi zaczęło walić serce.

– Jaki to sposób?

– Niech pan nie czyni z niej hrabiny poślubionej dla pieniędzy, tylko księżnę poślubioną z miłości. Nic się bardziej ludziom nie podoba niż historia Kopciuszka.

Otworzył drzwi bawialni, natykając się na wiekowego kamerdynera. Przeszedł koło niego, a w holu odwrócił się i spojrzał na Aleca.

– Mam nadzieję, że Wasza Wysokość będzie tym księciem. Lily zasługuje na to, co najlepsze.

I w ten sposób wszystko się rozleciało. Alec przybył przed dziesięcioma dniami do Londynu, żeby odegrać rolę niechętnego opiekuna i szlachetnego zbawcy. Żeby uratować reputację Lily, wydać ją za mąż i wrócić do siebie, do życia bez niej. Do życia, które go przedtem satysfakcjonowało.

Ale potem ją spotkał i wszystko diabli wzięli.

No i zawiódł ją pod każdym względem.

A także, co gorsza, zakochał się w niej.

Wziął list z idiotycznej srebrnej tacy kamerdynera i otworzył go. Miał złe przeczucia. Wiedział, że czeka go coś jeszcze gorszego.

Musisz się ze mną zobaczyć. Dzisiejszej nocy, wpół do dwunastej.

Poniżej widniała wskazówka, gdzie ma to nastąpić. Przy stajniach na tyłach Akademii Królewskiej. Alec zrozumiał, o co jej chodziło, i poczuł się niesłychanie dumny. Była piękna, bystra i dzielna jak żołnierz.

Chciała się uratować na własną rękę. Osobiście. W dodatku nie tylko siebie, ale też opinię wszystkich innych o sobie. Za jednym zamachem.

Gdybyż mogła uratować i jego.

Kilka godzin później zatrzymał kariolkę za stajniami na zapleczu Akademii Królewskiej, skrytym w nocnym mroku. Celowo przyjechał wcześniej, żeby być tam przed nią i ocenić szanse tego niebezpiecznego przedsięwzięcia.

Zsiadł z kozła, wpatrzony w budynek. Miał wielką ochotę zrobić to samemu, bez niej.

Powinien był jednak znać ją lepiej.

Już tam bowiem była; wysunęła się z mroku w sposób tak naturalny, jakby zawsze w nim przebywała. Królowa Nocy.

Królowa w spodniach i czapce nasuniętej tuż nad oczy.

Od jak dawna tam była? Przecież mogło jej się stać coś złego. A on przybyłby zbyt późno, żeby ją uratować. Znów mu się coś nie udało.

Chyba nigdy mu się nie uda.

Podszedł do niej, pełen rozdrażnienia i pożądania.

– Gdzie to jest? – spytał, wciągając ją z powrotem w mrok, z dala od wścibskich oczu.

Ujęła go za rękę. Zadała mu dotkliwy cios zwykłym dotknięciem, kiedy powiodła dłonią po bandażu na jego nadgarstku.

– Zraniłeś się zeszłej nocy.

– No i co z tego?

– Zrobiłeś to dla mnie. – Ucałowała bandaż, a jemu boleśnie ścisnęło się serce. Spojrzała na niego spod daszka czapki. Dałby wszystko, byle tylko ujrzeć jej oczy. Ale one były nie dla niego.

– Chciałam jego z kolei wystawić na pośmiewisko.

A nie siebie? Nie za wszystko, co jej Hawkins zrobił?

Ścisnęło go w gardle. Usiłował się pohamować, choć niczego nie pragnął bardziej niż wzięcia jej w ramiona.

– Wezwałaś mnie, pisząc ledwie parę słów na skrawku papieru. Przyszłaś tu sama, w ciemności. Czy chcesz popełnić jakieś przestępstwo?

Ani myślała ustąpić.

– Nie po raz pierwszy, a Wasza Wysokość również. – Uśmiechnęła się i jej białe zęby błysnęły w mroku. – Ale po raz pierwszy nam się powiedzie.

Chryste. Jakże ją kochał.

– Bądź ostrożna, bo ściągniesz na nas coś złego.

– Nie. – Spoważniała. – Nikt mi też nie zdoła nic zarzucić.

Nim zdołał spytać ją o wyjaśnienia, podeszła pod okno. Widział ją teraz od tyłu. Spodnie opinały ją wręcz nieprzystojnie, ale perfekcyjnie. Zaschło mu w ustach, gdy patrzył, jak wspinała się na palce, bezskutecznie usiłując zajrzeć do środka.

– Znowu w spodniach?

Odwróciła się i ostentacyjnie przyjrzała jego pledowi.

– Ktoś z nas dwojga musi je nosić, nie uważasz?

Ależ mu się odcięła.

– Myślisz, że nie zdołam tego zrobić w kilcie?

Patrzyła na niego przez dłuższą chwilę i już myślał, że nie zdoła mu

odpowiedzieć, ale w końcu stwierdziła:

– Myślę, że możesz zrobić, co tylko chcesz, ubrany, jak ci się tylko spodoba.

Gorąco zapragnął przycisnąć ją do ściany i dać jej poznać wszystko, co tylko mógł zrobić.

Powstrzymał się jednak, bo mieli tu przecież coś do zrobienia.

– Musisz mnie podsadzić.

– Co takiego?

– Po to mi jesteś potrzebny. – Uśmiechnęła się, jakby to było najzwyklejsze żądanie. – Musisz podsadzić mnie, żebym mogła się tam dostać i otworzyć drzwi. To konieczne.

– Nie wejdziesz tam sama.

– Cóż mi się może stać? Myślisz, że spadnie na mnie jakaś rzeźba? – Westchnęła, widząc, że spojrzał na nią gniewnie. – Nie mogę przecież podsadzić ciebie, Alec.

Pchnął okno, które z miejsca otworzyło się na oścież.

– Skąd wiedziałaś, że będzie otwarte?

– Od przyjaciółki – odparła uśmiechnięta.

Kochał jawną, triumfalną satysfakcję w jej głosie. Zapragnął, żeby miała setki przyjaciółek. Nawet i tysiące. Byle tylko była już zawsze szczęśliwa.

„Może pan jej dać szczęście”.

Wolał zapomnieć o słowach hrabiego.

– Zaprzyjaźniłaś się?

– I to z dobrą przyjaciółką – przytaknęła.

– Czyżby przyjaciółka, która zachęca do przestępstwa, była kimś dobrym? – spytał zgryźliwie.

– Podsadź mnie, Alec. Nie możemy tu stać przez całą noc.

Odepchnął ją i uchwycił się parapetu.

– Spotkamy się przy drzwiach.

– Alec! – powiedziała z niedowierzaniem. – Ten gzyms biegnie całe sześć stóp nad ziemią, a ty masz na sobie kilt. Nie zdołasz…

Jednym susem wskoczył na gzyms. Wlazł do środka przez otwarte okno, a potem wyjrzał przez nie i popatrzył na nią. Stała z otwartymi ustami. Nie mógł odmówić sobie przyjemności i spytał:

– Coś ty takiego mówiła?

Spojrzała na niego ze złością.

– Moja przyjaciółka też myśli, że jesteś idiotą!

Musiał się roześmiać.

– Pewnie ma rację.

A potem powtórzył.

– Spotkaj się ze mną przy drzwiach.

Niecałe dwie minuty później zrobiła to, ale zaraz po wejściu cofnęła się.

– Chwileczkę. Omal nie zapomniałam.

Wróciła z dużym, zawiniętym w tkaninę obrazem pod pachą.

– To mój pożegnalny prezent dla Dereka – wyjaśniła, widząc jego zdziwienie.

Wziął od niej pakiet.

– Chodźmy. – Wyjęła świecę i krzesiwo z kieszeni spodni.

– Świetnie cię przygotowano – stwierdził.

Nim zdołała odpowiedzieć, dodał:

– Pozwól mi zgadnąć. Sesily?

– Obraża mnie pan, sir – odparła rozbawiona. – Jestem dobrze obeznana ze skandalami. Przygotowałam się samodzielnie.

No jasne, że tak. Przyglądał się, jak zapala świecę. Płomień rzucił ciepły blask na jej piękną twarz. A potem Alec podążył za nią przez sale o ścianach pokrytych zbyt wielu obrazami, by można było przyjrzeć się któremuś dokładniej.

– Czyste szaleństwo – wyszeptał. – Jakże ktokolwiek może wypatrzyć pojedyncze płótno w tym bezmiarze malowideł? Czy to już nie zakrawa na skandal?

Nie odwróciła się. Weszli w główną galerię, długą, imponującą, z podium na końcu i zasłoną ponad nim.

– Myślisz, że z miłości do sztuki żądają skandalu? Mają niemało sztuki wszędzie naokoło. Ale plotki bardziej ich interesują niż ona. – Wskazał na ścianę. – To inne wielkie dzieło na tej wystawie. Constable.

Zatrzymał się, żeby rzucić okiem na pejzaż, niewielki i ledwie widoczny w mroku. Spojrzał na pakiet w jej ręce, o wiele większy od tej akwareli.

– Obraz, którego szukamy, nie jest chyba taki mały?

– Nie jest.

– No, oczywiście – mruknął. – Hawkins niczego nie robi połowicznie.

– Mojej urody nie można chyba należycie ukazać w małym formacie.

– Ciemność wyostrza ci język – zauważył kwaśnym tonem.

Odwróciła się i podeszła do podium.

– Może raczej moja panika.

Podeszła do skraju podium i zawahała się. Chwycił ją za łokieć.

– Lily?

– Tutaj okryłam się hańbą. – Alec patrzył, jak dotknęła podium i roześmiała się

cicho. – Zresztą myślę, że nawet zrobiłam to wcześniej. Ale właśnie tu wszystko nagle jasno ujrzałam, jakby ktoś oświetlił rzęsiście to wnętrze niby salę balową, a ona zamieniła się nagle w kloakę.

– Nie zhańbiłaś się, tylko on cię zhańbił. To różnica.

– Nie w tym przypadku. Nie byłam dzieckiem. Wiedziałam, co robię, Alec. Wiedziałam, że pewnego dnia może z tego wyniknąć skandal. Ale nie dbałam o to. Nie chciałam należeć do nikogo poza Derekiem.

Wyobraził ją sobie razem z Hawkinsem i poczuł nagle zazdrość: jej słowa były jak gwałtowny cios. Ten człowiek wykorzystał ją bez żadnych zahamowań. Nigdy nie był jej godny. Nigdy na nią nie zasługiwał.

– Świat krańcowo pogardza kobietami, które zrobiły taki błąd, jak ja – ciągnęła. – Piękność to grzech, jeśli nie uświęci jej małżeństwo. – Spojrzała ponad podium, ku miejscu, gdzie wisiała zasłona, gruba i nieruchoma, kryjąc pod sobą jej hańbę przed ludzkim wzrokiem. – Ani jedna osoba nie podała w wątpliwość jego roli w tej sztuce. Zyskał same pochwały. Powiedz mi, czy zrobiłam coś gorszego niż on?

– Nie – odparł, pragnąc złagodzić dotkliwy ból i niepokój w jej głosie. – Nie zrobiłaś niczego złego.

Uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Dobre towarzystwo myśli inaczej.

– Do diabła z nim.

– A co ty zrobiłeś złego, Alec? – spytała, unosząc brwi.

Znów zadała to pytanie. Prosto z mostu i chytrze. Będzie musiał na nie w końcu odpowiedzieć.

Ale nie tu. Nie w tej chwili.

Pokręcił tylko głową.

Przyglądała mu się uważnie, światło świecy rzucało odblask na jej piękną twarz.

– A co powiesz, jeśli ci powtórzę twoje słowa? Że to nic złego?

Odwrócił od niej wzrok, niezdolny spojrzeć jej w oczy.

– Powiem, że się mylisz.

– Bo ty jesteś mężczyzną, a ja kobietą?

– Bo zrobiłem coś dużo gorszego niż ty.

– Wierzysz w to?

– Tak.

– A przecież oboje popełniamy teraz przestępstwo. Z mojego powodu. Nie z twojego.

Nie miał zamiaru jej odpowiadać.

Jeszcze nie.

– No, to popełnijmy je i skończmy raz z tym.

Przez chwilę myślał, że będzie się z nim spierać i przeczyć mu. I obawiał się, że gdyby tak zrobiła, powiedziałby jej wszystko tutaj, wśród setek obrazów, na tym przeklętym podium Wystawy Królewskiej.

Ale ona tylko postawiła na nim świecę i wyjęła mu z rąk pakiet, po czym weszła na podium i powiedziała:

– Proszę cię, odwróć się teraz.

Zrobił tak bez wahania. Obiecał jej to i chciał dotrzymać słowa, mimo że, jak wiedział, tracił teraz jedyną szansę, żeby zobaczyć malowidło i na własne oczy przekonać się, czy naprawdę jest piękne. Nie musiał go jednak oglądać, żeby o tym wiedzieć. Przedstawiało Lily, a więc niewątpliwie musiało być wspaniałe.

Musiało jednak zblednąć w porównaniu z nią samą.

Stał zatem bez słowa i słyszał szmer wełnianych spodni ocierających się o jej skórę, szelest płótna, gdy przykucnęła i rozwijała z niego obraz przyniesiony ze sobą. Słyszał też, jak wstrzymała na moment oddech, gdy zdejmowała akt ze ściany i wieszała na jego miejscu coś innego. Potem znów przykucnęła, żeby owinąć go tkaniną.

Kiedy się podniosła, poczuł taką złość, że zapragnął być jednym z tych obrazów – kawałkiem płótna w ramach, dotykanym jej palcami, delikatnie, lecz z determinacją.

– Możesz już spojrzeć – powiedziała przyciszonym głosem, a on odwrócił się, słysząc w jej głosie nie ulgę, lecz rozbawienie. Stała tyłem do niego, podparłszy się pod boki, a on spojrzał na ścianę – i wybuchnął śmiechem.

Powiesiła na miejscu aktu wizerunek Klejnota.

Odstąpił kilka kroków w tył, żeby lepiej widzieć wspaniałą, wymierzoną Derekowi Hawkinsowi karę. Pies spoczywał dostojnie na poduszce z czerwonego atłasu, światło lśniło na jego smukłych, szarych łapach, wysadzaną drogimi kamieniami koronę miał lekko przechyloną na łbie.

Lily odwróciła się ku niemu; w jej szarych oczach błyszczało rozbawienie.

– Chyba powinien nam być niezwykle wdzięczny za ten piękny dar.

– Myślę, że nawet zbyt hojny. Względem Hawkinsa i wszystkich innych. Bez wątpienia spodoba mu się ten wybór, skoro tak bardzo pragnął zaprezentować tutaj swoje arcydzieło.

– Na oczach wszystkich – dodała.

– Doprawdy oddaliśmy wszystkim wielką przysługę.

– Ten prezent urodzinowy wynagrodzi mi wszystkie inne, których nie dostawałam przez całe lata. – Lily uśmiechnęła się do niego. – Dziękuję ci.

Podszedł do niej, niezdolny się jej oprzeć. Podniecenie i wszystko, co robili tej nocy, popychało go ku niej. Gdy jego atletyczna postać znalazła się tuż przy niej, śmiech Lily zamarł. Uniosła ku niemu głowę, a on ujął jej twarz w dłonie i przesunął kciukami po kształtnych kościach policzkowych.

– Lubię, jak się śmiejesz – powiedział, niezdolny powstrzymać się od tego wyznania.

Przytuliła jego obandażowaną dłoń do twarzy jedną ręką.

– A ja lubię twój śmiech. Chciałabym cię rozbawiać każdego dnia.

Alec zamknął oczy. Mieli zatem jednakowe życzenia. Wsunęła mu palce drugiej ręki we włosy i dodała ledwo dosłyszalnym szeptem:

– Spróbuję, Alec. Pozwól, żebym spróbowała.

Przez chwilę wyobrażał sobie, z dłonią Lily w swojej ręce, jej gardłowy śmiech i zaskakującą siłę. Widział ją tuż koło siebie, podziwianą, adorowaną, całowaną.

A potem nakrył jej usta swoimi i przestało to być wyłącznie sprawą wyobraźni.

Nie było w tym nic gwałtownego – i właśnie dlatego zawróciło mu to niesłychanie w głowie – tylko miękkiego i powolnego, jakby mieli całe życie na dogłębne, wzajemne poznanie. Jakby w tej chwili stali z uśmiechem w ogrodzie własnego domu, otoczeni dziećmi. Jakby w ułamku sekundy ujrzeli przyszłość, gdy będą mieli dla siebie więcej czasu.

Było to coś absolutnie doskonałego.

I to go właśnie najbardziej ujęło, zwłaszcza gdy zacisnęła palce na jego włosach, odchylając mu głowę ku tyłowi, by mogła nabrać tchu, wymawiając rozchylonymi wargami jego imię, z tym cudownym oddechem, który zdołałby go krzepić przez całe życie.

– Daj mi spróbować – szepnęła znowu, z wargami tuż przy jego ustach, kusząco.

Tak.

Proszę. Tak.

Ale to nie było możliwe. Odpowiedź brzmiała „nie”.

A on zamierzał powiedzieć jej wszystko, żeby dowieść tego ich obojgu.

Oderwał się w końcu od niej i podniósł akt, starannie zawinięty przez nią w jakąś tkaninę. Wsadził go pod pachę, wyciągnął ku niej rękę, delektując się sposobem, w jaki podeszła do niego, swobodą, z jaką wsunęła dłoń w jego własną. Splotły się obie dłonie tak mocno, jakby to była najnaturalniejsza rzecz na świecie.

Nie wypuścił jej też, kiedy szli w milczeniu przez galerię, zatrzymując się tylko raz, żeby mogła zabrać świecę. Na zewnątrz wsadził ją do kariolki, wsuwając obraz pod ławeczkę. Gdy zajął miejsce za nią i zaciął konie, nie oparł się chęci ponownego ujęcia jej za rękę. Czuł jej ciepło i siłę w swoim uścisku.

W połowie drogi na Berkeley Square splotła palce swoje i jego, a on zastanawiał się, czy będzie zdolny do tego, by puścić jej rękę. Nie zrobił tego ani po przyjeździe do stajni, gdy zeskoczył z kariolki, ani wtedy, gdy stawiał ją na ziemi, ani nawet nie wtedy, gdy wyjął obraz. Zrobił to dopiero, gdy stajenny wybiegł, by zająć się pojazdem, nie zwróciwszy uwagi na to, kto z nim przyjechał.

Weszli do rezydencji tylnym wejściem. Psy powitały ich w cichej i ciemnej kuchni, machając ogonami i wywieszając języki. Hardy wyglądał na bardziej uszczęśliwionego niż w ostatnich dniach tym, że widzi ich razem.

Alec rozumiał go. On też czuł się szczęśliwszy z tego powodu. Kiedy już przywitali się z psami, wziął ponownie Lily za rękę i zaprowadził ją do jej maleńkiego pokoiku pod schodami. Wyglądał dokładnie tak jak wtedy, gdy go opuściła, pełen książek, papierów i z jedwabnymi pończochami wiszącymi w nogach łóżka.

Postawił obraz na podłodze i wsparł go o jej kuferek. Dostrzegł, że jest zaskoczona.

– Tutaj? – spytała.

– Tak. To jedyne miejsce w tym domu – a zresztą i we wszystkich innych – które jest pełne ciebie.

– Zbyt pełne mnie. Nie zmieścimy się tu obydwoje.

Rzeczywiście tak było. Bo kiedy jej powie wszystko o sobie, nie będzie go więcej chciała widzieć. A on wówczas odejdzie, bo nie będzie tu dłużej miejsca dla niego.

Wydawała się rozumieć, o czym on myśli, mimo że nie powiedział tego głośno. Zmarszczyła brwi i sięgnęła po jego drugą rękę, jakby mogła go zatrzymać, jeśli będzie ściskać ją dość mocno.

Ale nie mogłaby go zatrzymać. Nie wtedy, gdy…

– Powiedz mi – wyszeptała cicho. – Cokolwiek by to było.

Odetchnął głęboko, wiedząc, co się stanie, kiedy pozna prawdę. Nienawidził tej prawdy. A potem puścił jej ręce i zrobił, o co prosiła.

Powiedział jej wszystko.

21. Wszystko jest piękne w miłości i w podopiecznej

*O*puściłem Szkocję jako dwunastolatek.

Lily nie wiedziała, co on jej właściwie wyzna, ale tego się nie spodziewała. Dodał zatem:

– Powinienem raczej powiedzieć, że uciekłem ze Szkocji jako dwunastolatek.

Rozpaczliwie pragnęła go dotknąć, zapewnić, że zrozumie wszystko, cokolwiek jej powie; że niezależnie od tego, co się niegdyś zdarzyło, zawsze go zrozumie. Tylko że przez ostatnie dziesięć dni dowiedziała się już tyle o Alecu Stuarcie, by wiedzieć, że dotknięcie nic mu nie da i tylko zwiększy przygniatające go brzemię. Złożyła więc dłonie razem i siadła na brzegu malutkiego łóżka, jakby wszystko to było całkowicie normalne.

– Moja matka opuściła nas, kiedy miałem osiem lat. – Spojrzał na swoje ręce, wielkie, silne i piękne. – Ledwie ją sobie przypominam, ale pamiętam, jak ojciec przyjął jej odjazd. Był zły i rozżalony. A kiedy zmarła ledwie kilka miesięcy później…

Lily za nic nie chciała go nakłaniać, żeby mówił dalej.

Alec zebrał myśli i ciągnął:

– Posłaniec przyniósł list i ojciec przeczytał mi go na głos. Nie okazał żadnych uczuć. A moje go nie obchodziły.

Lily zamknęła oczy. Był wtedy dzieckiem. Nieważne, jaką się okazała matką, ale w końcu nią była.

– Alec – powiedziała, pragnąc, żeby znalazł się bliżej niej. Drgnął i spojrzał jej w oczy.

– Uderzysz się w głowę, jeśli nie będziesz uważał.

Dałaby wszystko, żeby wybrał sobie miejsce tuż koło niej. On jednak wolał małe krzesełko przy biurku, które wyglądało na jeszcze mniejsze, gdy na nim usiadł. Wpatrywała się z niego, zwłaszcza w jego kolana, lekko rozchylone.

– Mów dalej.

– Pamiętałem tylko tyle, że mówiła wciąż o Anglii. O tym, jak jej tam było dobrze. Jak ją kochała. O ile Anglia była lepsza od Szkocji.

– Przypuszczam – zauważyła rozbawiona – że potrafiła wymienić trzy cechy, którymi górowała nad Szkocją.

Uśmiechnął się nieznacznie kątem ust.

– Chyba więcej niż trzy. – Spoważniał. – Dziwne, ale mi jej brakowało. Nieważne, że nie była najlepszą z matek. A więc ja również zatęskniłem za Anglią. – Zaśmiał się. – Wiem, że trudno w to uwierzyć.

– Ty, który krytykujesz wszystko, co angielskie?

– Nie wszystko. Okazało się, że jednak coś angielskiego lubię.

Zrozumiała, że mówi o niej. On jednak nie pozwalał się jej nad tym zastanawiać.

– Chciałem udać się do Anglii. W ślad za nią. Zobaczyć kraj, który kochała i za którym tęskniła tak mocno, że zostawiła własne dziecko, byle tylko znów tam wrócić.

Przerwał, jakby się zagubił w tej opowieści, palcami jednej z dłoni odnalazł bliznę na drugiej. Tę, którą zawdzięczał ojcu. Patrzyła na jego ręce przez dłuższą chwilę, pragnąc złagodzić jego żal. Ale w końcu spytała tylko:

– No i co?

– Ojciec nie chciał się zgodzić. Przysiągł, że się mnie wyrzeknie. Że mnie wydziedziczy. – Serce Lily zaczęło bić gwałtownie. – Ale ja o to nie dbałem. Pisałem do wszystkich ludzi, jakich tylko mogłem znaleźć. Do dalekich krewnych – mój ojciec też zresztą miał jakichś angielskich przodków; nie powinno cię to dziwić, skoro byłem osiemnastym z kolei pretendentem do tytułu księcia.

Zaśmiała się.

– Pewnie tak samo mu się do tego tytułu nie spieszyło.

– Rzeczywiście – przyznał.

– No i? – spytała znowu.

– Jeden z dalekich krewnych przysłał list. Zaprosił w nim mnie, smarkacza, do siebie. No i udało się. Miałbym miejsce w szkole. Ojciec postąpił tak, jak obiecał – powiedział mi, żebym się nie ważył wracać do domu. Nie dbałem również o to. Czesne w części opłacał mój hojny krewniak. – Uśmiechnął się i potarł zabliźnioną raną o kark, wyglądając nagle jak chłopiec, którym wtedy był. – Pewnie jeden z tych siedemnastu. Co za ironia losu.

Lily wyobraziła sobie, jak imponująco musiał wyglądać wśród uczniów: przystojny, wysoki i najlepszy w każdym ze sportów.

– Pewnie byłeś ogromnie popularny wśród kolegów.

Uniósł raptownie głowę, spojrzał brązowymi oczami prosto na nią.

– Nienawidzili mnie.

Niemożliwe.

– Jakże to…

– Byłem wysoki, chudy, sama skóra i kości – ot, szkocki zuchwalec. A oni mieli godne szacunku tytuły, odwieczne włości i więcej pieniędzy, niż można sobie wyobrazić. Byłem intruzem, a oni o tym wiedzieli. Chcieli mnie nauczyć moresu. No i wybili ze mnie arogancję.

Odczuła te słowa jak razy, o których mówił, ale mimo to pokręciła głową.

– Byli dziećmi. Nie mogli przecież…

– Dzieci bywają najgorsze – powiedział. – Dorośli przynajmniej wiedzą, kiedy się trzeba pohamować.

– No i co?

– Przez pierwsze trzy lata nie miałem wyboru. Byłem biedny, musiałem szorować podłogi i myć okna w czasie, kiedy się nie uczyłem, żeby zapłacić za to, czego nie obejmowało czesne. A oni potrafili wyniuchać, że nie śmierdzę pieniędzmi. – Uśmiechnął się, zatopiony we wspomnieniach. Mogła sobie wyobrazić młodego Aleca, chłopca samotnego i spragnionego towarzystwa. Było to coś dobrze jej znanego.

Coś, czego nikomu by nigdy nie życzyła.

– Tylko King się nade mną nie znęcał.

Pożałowała, że nie ma przy nich markiza Eversleya; chętnie by mu podziękowała za jego młodzieńczą życzliwość. Czuła jednak, że to jeszcze nie koniec.

Alec pochylił się ku przodowi, wsparł łokcie na kolanach i zwiesił głowę w dół, jak na spowiedzi. A Lily poczuła lęk i żal na myśl o chłopcu, jakim wtedy był.

– Co się zdarzyło po trzech latach? – spytała, nie mogąc się powstrzymać.

Zaśmiał się smutno.

– Urosłem.

Pokiwał głową, znękany, i ciągnął dalej nie patrząc na nią, jakby opowiadał tę historię tylko własnym, mocno splecionym rękom.

– O więcej niż trzydzieści centymetrów. W ciągu kilku miesięcy. Zrobiłem się wyższy od każdego z nich. No i silniejszy. – Zamilkł, a potem spojrzał na nią. – Wiesz, że kiedy się rośnie, to boli?

Pokręciła głową, zaskoczona.

– W jakim sensie?

Znowu ujrzała jego uśmiech i zapragnęła, żeby mógł tak samo się uśmiechać, gdy oboje będą już starzy.

– Fizycznie. Boli cię i już. Jakby kości nie radziły sobie same ze sobą. Ale teraz, kiedy mnie spytałaś, myślę, że boli też w innym sensie. Człowiek zmienia się wyraźnie, nie jest dłużej tym, kim był. A później zmienia się jeszcze bardziej.

Przerwał i wyszeptał:

– Później zmieniłem się jeszcze bardziej.

– Alec…

Ciągnął dalej, jakby jej nie słysząc, jakby nie mógł zacząć od nowa, gdyby przestał teraz mówić. Lily zacisnęła wargi, pragnąc się zmusić do słuchania.

– Przeszli od znęcania się nade mną do szydzenia ze mnie, dokuczania mi, kpienia z tego, że w ogóle istnieję… do nienawiści. Bo nie byli już w stanie dać mi rady. To ja wtedy mogłem im wszystkim dać radę. Byłem…

Wyciągnęła ku niemu ręce, domyślając się słów, jakie teraz wypowie. Słyszała je od niego wiele razy. Schwyciła go mocno za dłonie.

– Nie wymawiaj tego przezwiska. Nienawidzę go.

Spojrzał jej w oczy, aż zrozumiała, jak bardzo i on go nienawidzi.

– Muszę je wymówić, Lily – powiedział cicho. – Bo do mnie pasuje. Bo jest ze mnie Szkocki Brutal.

Pokręciła gwałtownie głową.

– Nie jesteś nim! Nigdy nie spotkałam kogoś, kto by mniej zasługiwał na to miano.

– Wyłamałem drzwi przy naszym pierwszym spotkaniu.

Wzdrygnęła się na wspomnienie okazanej wtedy przez niego siły.

– Chciałeś się dostać do mnie. Żeby mnie chronić.

Przez chwilę sądziła, że Alec jej zaprzeczy. Ale on zajrzał jej tylko głęboko w oczy i odparł z całą szczerością:

– Tak, chciałem cię chronić.

– No i zrobiłeś to.

Odwrócił wzrok. Spojrzał na pończochy nad łóżkiem, zostawione tam przez nią, gdy uciekła.

– Nie zrobiłem. Nie byłem do tego zdolny.

Splotła jego palce ze swoimi w desperacji.

– Mylisz się!

– Musiałabyś to zrobić sama.

– Nie – powiedziała, zmuszając go, żeby nie odwracał od niej wzroku. – Nie rozumiesz? Dałeś mi siłę, żebym mogła to zrobić. Chciałeś dać mi wolność? Możliwość wyboru? Dałeś jedno i drugie. Bez ciebie…

Przerwał jej.

– Byłem brutalem, Lily.

– Nie! – zawołała. – Krzywdzili cię. Ty im tylko oddawałeś pięknym za nadobne.

– O, tak. Jak wcielony diabeł. Chciałem, żeby wszyscy się przekonali, że nie będę już dłużej ich ofiarą. Że gdyby się na mnie porwali, mogą stracić wszystko.

Zgodziła się z nim. Czuła dumę z niego jako chłopca. Wiedziała, że nie powinna życzyć cierpienia grupce smarkaczy, ale też cieszyła się, że znalazł sposób, by ich pognębić.

– W porządku.

Znów się smutno zaśmiał i jeszcze raz pokiwał głową.

– Inaczej będziesz myśleć, kiedy usłyszysz resztę.

Próbował wyswobodzić ręce z jej uchwytu, ale nie pozwoliła mu. Ujęła je jeszcze mocniej.

– Nie!

Spojrzał na nią z zaskoczeniem i czymś znacznie bardziej niepokojącym w oczach, co przypominało strach.

– Zostaniesz tutaj. A ja razem z tobą.

Zobaczyła, że go to ubodło i że zaczerpnął głęboko tchu. Postanowił się wówczas odegrać.

– Nie mogli mnie pokonać, wygrać ze mną – powiedział cicho. – A wtedy ich siostry zrobiły to za nich.

Była czymś najpiękniejszym, co kiedykolwiek widział. Mógłby tak siedzieć bez końca i patrzeć na nią. Zanadto jednak kochał Lily, by zatrzymać ją przy sobie na zawsze, wyznał jej więc prawdę, wiedząc, że ta go od niego odstręczy. Wiedząc, że w ten sposób jej udowodni, jak bardzo nie jest jej godny. Że może znaleźć kogoś nieskończenie lepszego.

„Pan może jej dać szczęście, trzeba się tylko zdecydować”.

Słowa Stanhope’a były najgorszym rodzajem fałszu. Pięknego fałszu. Na tyle kuszącego, żeby zniszczyć i jego, i kobietę, którą przyrzekł chronić. A więc gdy zmarszczyła brwi, zaniepokojona jego słowami, wyłożył to jaśniej.

– Szkołę miałem opłaconą, ale wszystko inne sporo kosztowało. Jedzenie, picie, bielizna, pranie. Nagle okazało się też, że nie mogę już dostać pracy, dzięki której przedtem zarabiałem. Pewnie kucharzom i pomywaczom dobrze za to zapłacono. A ja nie miałem za co żyć, nie mając pieniędzy.

Przypomniały mu się miesiące, kiedy zrozpaczony, głodny i zły leżał w ciemności, nie wiedząc, co dalej począć.

– King chciał od czasu do czasu przynosić mi po cichu jedzenie i dawać bieliznę do prania razem ze swoją, ale ja byłem dumny, a to wyglądało…

– Przyjaźń – szepnęła. – Pragnął to robić z przyjaźni.

I tak właśnie było. King zawsze nad nim czuwał. Tylko że…

– Wyglądało to na litość.

Przytaknęła mu bez słowa. Ujrzał zrozumienie w jej oczach. I smutek.

– Trudno czasem uwierzyć, że się zasługuje na coś lepszego.

– Nie porównuj nas. Ty nigdy nie byłaś…

– Czym?

Rozgoryczenie obecne w tym pytaniu sprawiło, że ujawnił swój sekret. Wstał i strząsnął z siebie jej ręce. Nie mógł znieść teraz jej dotyku. Najgorsze, że był tu, u niej. Chłonęła każde jego słowo, a on ledwie mógł się poruszać w tym pokoju, gdzie zdolny był zrobić najwyżej jeden czy dwa kroki.

Wreszcie stanął i przejechał ręką po włosach. Westchnął głęboko i powiedział:

– Peg przyszła do mnie, kiedy miałem piętnaście lat.

Wyczuł, że zesztywniała na dźwięk tego imienia. Oraz całej reszty słów.

– To było w Dniu Świętego Michała.

– Zawsze na świętego Michała – powiedziała cicho, ale on jej nie zrozumiał. Nie dała mu jednak szansy, żeby się spytał.

– Mów dalej.

– Była starszą siostrą innego chłopca, bardzo piękną. Unikałem odwiedzin krewnych, wmawiając sobie, że muszę się uczyć.

– Próbowałeś tylko ignorować to, czego nie miałeś.

Spojrzał na nią uważnie.

– Tak.

Uśmiechnęła się ze smutkiem.

– Znam to dobrze.

Nie zwrócił uwagi na porównanie i ciągnął:

– Chodziła za mną wszędzie. W bibliotece nie było nikogo… no i wtedy tam weszła.

– Ile lat miała? – spytała Lily.

– Była już na tyle duża, że mogła bywać na sezonie. A także wiedziała, czym byłoby dla niej małżeństwo. – Pomyślał o lordzie Rowleyu, rozpustnym i bogatym jak król. – Podeszła do mnie i…

– Mogę sobie wyobrazić, co zrobiła.

– Nie możesz. – Musiał powiedzieć to na głos, żeby mogła się przekonać, że nie są dla siebie. Że nigdy nie byłby jej wart.

– Kiedy było po wszystkim, zachowałem się tak, jak według mnie należało postąpić. Powiedziałem, że pójdę do jej ojca. Że się z nią ożenię.

Lily słuchała go w napięciu, a on nienawidził tego, że widziała go na wskroś. Tego, że rozumiała go lepiej, niż ktokolwiek przedtem.

– Odmówiła.

Odwrócił się i spojrzał w okno, na ciemne dachy Londynu.

– Wydrwiła mnie.

Urwał i tylko się zaśmiał tym swoim niewesołym śmiechem.

– Jasne, że mnie wydrwiła.

Chwycił się za gardło. Chciał znaleźć się gdziekolwiek, gdzie nie musiałby przeżywać na nowo odrażającej przeszłości.

– Była córką wicehrabiego. Miała wyjść za hrabiego. A ja byłem ubogim Szkotem bez tytułu. Głupcem, z którym można było co najwyżej dogodzić sobie.

– Nie! – wyszeptała Lily.

Nie odwrócił się. Nie mógł. Zaczął mówić do tego miasta za oknem.

– No, nie byłem już całkiem biedny – powiedział, jakby gubiąc się we wspomnieniach. – Zostawiła mi dziesięć funtów. Miałem przez cały miesiąc za co jeść.

– Alec – powiedziała. Była teraz tuż za nim. Wstała z łóżka. Słyszał rozpacz w jej głosie. Musiał się odwrócić. Spojrzeć na nią. Wyjawić jej prawdę.

Zrobił to, widząc łzy w jej oczach. Nienawidził ich i kochał jednocześnie. Jakże inaczej mogłoby wyglądać jego życie, gdyby to Lily znalazła go w bibliotece przed laty. A tymczasem…

– A potem zaczęła podsyłać mi przyjaciółki. Arystokratyczne dziewczęta, które szukały sposobności, żeby sobie niezgorzej poświntuszyć. Żeby wytarzać się w błocie, na co miały wielką ochotę. Żeby ich dosiadł Szkocki Brutal.

Wiedział, że te słowa ją zaszokują. Nienawidził siebie za to, ale musiał powiedzieć jej wszystko do końca.

– Opłaciły mi całe moje utrzymanie w szkole. A ja służyłem im za męską dziwkę. Pewnie powinienem się cieszyć, że nie czułem tak dojmującego wstydu, jakiego by musiała doświadczać w tej sytuacji kobieta. Uwielbiały mnie. Szeptały czule moje imię, jakbym był ich ukochaną zabawką. Przelotną igraszką. Peg lubiła mawiać, że byłem idealnym pierwszym i najgorszym ostatnim, jakiego sobie można wyobrazić.

– Nie obchodzi mnie to, co mówiła.

Nie chodziło mu o Peg. Wskazał na kuferek Lily.

– Kiedy mówiłem ci, że nie jestem ciebie wart, wcale nie żartowałem. Nie było

w tym także fałszu. Te białe ubranka, którym haftowałaś rąbki z taką miłością i oddaniem, te buciki o podeszwach z czerwonej skórki przeznaczone były dla dzieci innego mężczyzny. A suknia ślubna? Kto inny powinien ją z ciebie zdjąć. Jakiś mężczyzna nieskończenie lepszy ode mnie.

– Zrozum mnie, Lily – błagał ją. – Nie możesz za mnie wyjść. Jestem nędznym bydlęciem. Ale ty możesz teraz poślubić kogoś innego. Godnego ciebie. – Wskazał na obraz. – Ta rzecz… to malowidło, którym mieli cię zniszczyć… nie ciąży już na tobie. Możesz teraz pójść własną drogą, bo skandal już ci nie grozi. Jaką tylko chcesz. Nie widzisz tego? Jedyne, co mogę ci dać, to możliwość wyboru.

Otwierała już usta, żeby mu odpowiedzieć, ale gwałtownym gestem nakazał jej milczenie.

– Nie! Nie wybieraj mnie. Jakże możesz nie widzieć prawdy? Nigdy bym się dla ciebie nie nadawał. Nigdy nie mógłbym cię chronić, choć tylko dlatego przyjechałem do Londynu. No i nie dałem rady. Nie potrafiłem cię uchronić przed plotkami. Przed Hawkinsem. Dobry Boże, o mały włos nie stratował cię koń w Hyde Parku. Nie powinienem był cię nawet dotykać.

Czekał, żeby się z nim zgodziła. Żeby go osądziła.

Żeby sobie poszła.

A kiedy wstała, zmusił się, choć z trudem, żeby na nią spojrzeć. Tylko że ona nigdzie nie poszła. Zamiast tego podeszła do niego. Cofnął się, chcąc tego uniknąć, zbyt zgnębiony, żeby jej dotykać. Pokoik był jednak zbyt mały, a ona okazała się godnym przeciwnikiem.

Nie dotknęła go wcale.

Zrobiła coś gorszego. Zaczęła wyjmować szpilki z włosów, pozwalając, by opadły jej na ramiona niby kasztanowaty jedwab. Zaschło mu w ustach, nim się odezwała:

– Chciałabym jeszcze coś ci powiedzieć, jeśli zdołam.

Całkiem jakby mógł powstrzymać tę waleczną księżniczkę w stroju ulicznika od zrabowania jego przeklętego serca.

– Przekonanie, że ten pierwszy jest najważniejszy, to wielki błąd. Drugi też taki nie jest. Ani żaden z następnych. A ci, co byli wcześniej, nie znaczą więcej niż ten jeden, którego się wybierze na zawsze. Ludzie wmawiają nam to kłamstwo, ale ty nauczyłeś mnie widzieć lepiej.

Spojrzała na niego z taką miłością, że zaparło mu oddech.

– Wysłuchałam tego, co mówiłeś. Czas teraz, żebyś ty wysłuchał mnie. Czy mam ci mówić, co pomyślę, kiedy się już zestarzeję i będę wspominać moje życie? Że to nie był tamten. A kiedy sobie przypomnę o moim skandalu, będę go

wspominała z wdzięcznością, bo dzięki niemu poznałam ciebie. Ale nie poświęcę mu wiele uwagi, bo będę zbyt zajęta myśleniem o tobie. O dniach, kiedy się spieraliśmy, i o nocach, kiedy mogliśmy być razem. O całych godzinach, które spędzałam owinięta w twój pled. I w twoich objęciach. O tym, że patrzyłeś na mnie, jakbym była jedną jedyną kobietą na ziemi.

Tylko że nie dla niego.

Położyła mu ręce na piersi, gdzie serce biło tak, jakby chciało z niej wyskoczyć.

– A także o tym, jak mnie obejmowałeś. I o tym, jak ja cię kochałam. – Po chwili ciągnęła: – Powiedz mi więc, Alecu Stuarcie, silny i wspaniały człowieku, który wszystko zawdzięczał sobie, nim został księciem… – mówiła, gotowa zniszczyć go do cna tymi słowami i spojrzeniem – …o czym będziesz myślał, kiedy się zestarzejesz?

Wszystko poza tym pytaniem niespodziewanie straciło znaczenie.

– O tobie – odparł i wyciągnął ku niej ręce. A może zrobiła to ona? Nieważne. W każdym razie znalazła się w jego objęciach.

Powiedział prawdę. Myślałby tylko o niej.

– Tylko o tobie. Zawsze o tobie.

Nawet gdyby to miała być jedna jedyna noc.

– Nic się nie liczy – stwierdziła zdecydowanym, stanowczym głosem. – Ani przeszłość, ani skandal. Wszystko jest bez znaczenia, skoro mamy siebie nawzajem.

Potem go pocałowała, a on uniósł ją w ramionach, tak mocno otoczony jej nogami, jakby nie chciała się znaleźć nigdzie indziej, tylko tam.

I tak się właśnie stało.

Wrócił z nią do łóżka, posadził ją na jego skraju, a sam ukląkł przy nim. Odepchnęła go jednak i odsunęła się.

– Nie. Nie chcę widzieć cię na kolanach.

– Polubisz to, kiedy ci pokażę wszystko, co zamierzam z tobą zrobić w tej właśnie pozycji – powiedział, sięgając wargami ku miękkiej, ciepłej skórze na jej szyi, nim pozwoliła mu dotrzeć nimi do jej podbródka i koniuszka ucha.

– Pozwól, żebym cię wielbił. Nie pożałujesz tego.

Znów pocałował ją w same usta i zachwyciło go westchnienie, jakie wydała, omdlewając pod jego dotykiem, jakby nie mogła mu się oprzeć.

Podobnie jak on jej.

Trwali tak oboje, póki jej ręce nie odnalazły jego barków i póki znów nie odepchnęła go od siebie.

– Nie chcę, żebyś klęczał, Alec – powtórzyła – tylko żebyś był przy mnie.

Wsunął dłonie w jej włosy.

– Jestem przy tobie, kochanie. Nie mógłbym być nigdzie indziej.

– Nie rozumiesz mnie. Nie chcę, żebyś klęczał gdzieś koło mnie, tylko żebyśmy znaleźli się razem.

Kiedy ją w końcu zrozumiał, poczuł się tak, jakby otrzymał cios prosto w głowę. Przysiadł na piętach, na podłodze jej malutkiego pokoiku pod schodami, i przez dłuższy czas na nią patrzył, aż wreszcie zaczerwieniła się i spytała:

– Czy mnie rozumiesz? Chciałabym, żebyśmy byli zupełnie razem.

Uznała, że są równi sobie.

Że przestali być opiekunem i podopieczną.

A także księciem i zwykłą dziewczyną.

Dusiło go w gardle tak bardzo, że zdołał jedynie wykrztusić:

– Rozumiem.

Kolejny raz go zdruzgotała.

Wiedziała, że mówił prawdę, uśmiechnęła się więc, szeroko i promiennie, nim uklękła na łóżku, zrzucając z siebie przebranie, kurtkę i koszulę, tak sprawnie, jakby zdejmowała z siebie męskie odzienie dziesiątki razy – odsłaniając strome piersi, gładkie i wspaniałe, jak brzoskwinie ze śmietanką.

Poczuł, że ślina mu napływa do ust, i zaczął się przyglądać jej włosom, spływającym kaskadą z ramion. A ona sięgnęła z kolei ku jego spodniom.

Przyglądał się jej, czując, że nie zdoła tego dłużej wytrzymać.

– Przestań! – mruknął gniewnie, wpatrzony w jej długie, piękne palce.

Zatrzymała się.

Przetarł usta grzbietem dłoni, pragnąc jej aż do bólu. I lękając się jej.

– Zrobisz to? – szepnęła.

Z wysiłkiem przeniósł spojrzenie na jej twarz.

Uśmiechnęła się, ale nie tym kokieteryjnym uśmieszkiem, jaki widywał u innych kobiet w tej sytuacji, tylko o wiele bardziej niebezpiecznym. Wyglądała na szczęśliwą. A także na śmiałą.

„Pan może jej dać szczęście. Trzeba się tylko zdecydować”.

Odrzucił tę myśl. Nie chciał mieszać w to Stanhope’a. Ale wtedy nachyliła się ku niemu i przestał myśleć o Stanhopie.

– Może byś mi w końcu powiedział, co masz zamiar ze mną zrobić?

Zalał go bezmiar pomysłów, co też ona by z nim mogła zrobić, gdyby tego zapragnął. Z nim i ze sobą. Dzieliło go od tego pół tuzina guzików przy spodniach.

I zrobił, czego chciała.

– Rozepnij je.

Uśmiechnęła się, całkowicie zadowolona.

– Z przyjemnością.

Spodnie gdzieś się podziały, nim zdołał zachwycić się zręcznością jej palców, i przeleciały przez pokój, odsłaniając nogi, które obiecywały jednocześnie grzech i zbawienie. Położyła się na wznak, jednym smukłym ramieniem osłaniając piersi, a drugie kładąc na pięknym, krągłym brzuchu i zakrywając nim miejsce, którego pragnął najbardziej ze wszystkiego na świecie.

– No, dalej, Wasza Wysokość! – zakpiła, wiedząc, że każdym ruchem i każdym uśmiechem czyni go coraz bardziej szalonym z pożądania. – Co jeszcze mogę dla pana zrobić?

– Otworzyć się przede mną.

Nawet jego samego zaskoczyło to żądanie, a jej wargi rozchyliły się ze zdziwienia. Przez chwilę sądził, że posunął się za daleko. Zrobiła jednak to, czego chciał, rozchylając swoje piękne biodra najszerzej, jak tylko mogła to zrobić na wąskim łóżku. Nie uniosła jednak ręki.

– Ale z ciebie psotnica – zdziwił się.

– Może Wasza Wysokość zechciałby dokładniej wyszczególnić swoje życzenia? – spytała z uśmiechem.

Była wspaniała.

– Pragnę cię – powiedział po prostu.

Zdjął spinkę z ramienia, pozostawiając jednak pled na miejscu, a ona otworzyła szeroko oczy, ledwo dostrzegalnie zaciskając palce.

Mógłby zresztą wcale tego nie zauważyć, skoro radował się jej widokiem, cały zesztywniały i rozpalony.

Po kilku sekundach nie miał już nic na sobie.

Znów otworzyła szeroko oczy na widok tego, co mogła teraz ujrzeć, i – niech to licho! – oblizała wargi, ze wzrokiem wlepionym w niego.

– A to dopiero szczególne.

– Odsuń tę rękę, dziewczyno – powiedział, wpatrzony w nią i zachwycony widokiem jej wspaniałej nagości. – Żebym mógł dokładniej na ciebie spojrzeć.

– Tylko spojrzeć? – zdziwiła się. – Czy to jakiś rodzaj szkockiego półśrodka?

Rozbawił go ten żart i zaczął mówić z jeszcze silniejszym niż zwykle akcentem.

– Kiedy ci się dobrze przyjrzę, dziewczyno, to cię tam pomacam, a jak cię pomacam, pewnie ci się to spodoba, idę o zakład.

Zaśmiała się na te słowa swobodnie i gwałtownie, całkiem jak w Highlands.

– Myślę, panie Stuart – wyszeptała, cofając rękę i odsłaniając sekretne runo o zdumiewająco kasztanowatym odcieniu – że kiedy mnie pan tam pomaca, właśnie

panu się to spodoba.

No i miała rację. Był najszczęśliwszym z ludzi. Przez całą noc.

Żeby doznać tego szczęścia, położył się tuż przy niej i zaczął robić wszystko, co jej przyrzekł, szepcząc do niej przez cały czas, odsłaniając jej sekrety w małym pokoiku i jednocześnie kochając się z nią. „Jakie miękkie", mówił jej do ucha, przesuwając wargami po skórze jej szyi. „Jakie wilgotne", liżąc koniuszek ucha i biorąc go jednocześnie w zęby; wsuwał palce w fałdy jej skrytego miejsca, wilgotnego od pożądania, i mówił „jakie ciepłe", a potem raz za razem tam wracał, póki nie wygięła się pod nim, a on wtedy przechodził do jej piersi.

Przeciągał po nich językiem, długo i powoli, nim ujmował stwardniały czubek wargami, ssąc go miękko i rytmicznie, a ona wyprężała się wtedy na łóżku jak struna, z jedną ręką wsuniętą w jego włosy, a drugą odnajdującą jego, silnego i pewnego, póki nie osiągnęła cudownego szczytu spełnienia.

Było to naprawdę wspaniałe. Cała poróżowiała z rozkoszy, z nadmiaru doznań. A gdy opadła bezwładnie, szepcząc jego imię i otwierając oczy, by spojrzeć w jego oczy, mógł wręcz dojrzeć bezładny chaos jej myśli.

Jeszcze raz przyciągnęła jego usta do własnych warg, całując go powoli, głęboko, gruntownie.

Gdy wypuściła go z objęć, powiedział: – Pragnę to zrobić jeszcze raz.

Otworzyła szeroko oczy, a jej wargi ułożyły się w literę „o". Tym razem rozgarnął jej uda ramionami, a potem jednym z nich uniósł ją ku swoim ustom. Kochał ją rękami i ustami, póki nie otworzyła się na niego w jego objęciach, szepcząc jego imię, a potem wykrzykując je głośno.

A gdy raz jeszcze opadła bezwładnie na łóżko, pokrył delikatnymi pocałunkami jej brzuch i wyszeptał:

– Lily, zawsze będziesz dla mnie wszystkim. Zawsze. Tylko ty. – zaczęła wolniej oddychać. A wtedy on mruknął znowu: – Jeszcze raz! – Przywarł ustami do jej najskrytszego miejsca, lśniącego, różowego i nasyconego.

– Alec – wyszeptała, ledwie mogąc odnaleźć właściwe słowa. – Proszę. Kochany, a co z tobą?

Całkiem jakby istniało na świecie cokolwiek, co mogłoby dać mu większą rozkosz, niż jej smak na jego wargach, dźwięk jej głosu w jego uszach i to, że mógł dotykać jej ciała rękami.

Jeszcze jeden, ostatni raz.

– Jeszcze raz – powiedział. – Jeszcze raz. – A potem znów kochał się z nią długimi, płynnymi ruchami, łagodnie i powoli. Wielbił ją i dawał jej rozkosz, póki nie odnalazła własnego rytmu, poruszając się zgodnie z ruchami jego rąk i z

własnym pożądaniem. Póki ponownie nie doznała spełnienia, długiego i wspaniałego, z dłońmi w jego włosach i jego imieniem na ustach.

Właśnie to było tym, o czym pragnąłby myśleć, kiedy już się zestarzeje.

Zdruzgotał ją więc rozkoszą.

Leżała bezwładnie na łóżku, niezdolna ruszyć się, a nawet myśleć, kiedy ułożył się obok niej i objął ją, całą drżącą, osłabłą od jego rąk, ust i słów. Zatonęła wręcz w jego wielkich, ciepłych ramionach, którymi ją obejmował.

– Zdradziłeś mnie – rzuciła wprost w jego szeroką pierś, pocierając policzkiem o sztywne włosy na niej, niezdolna zdobyć się, by to powiedzieć z większym przekonaniem. – Mieliśmy być razem ze sobą.

– I byliśmy.

Pokręciła głową.

– Nie doznałeś tego co ja.

Pocałował ją w czoło.

– Doznałem czegoś najwspanialszego w całym moim życiu, kochanie. Śpij teraz.

Całkiem jakby mogła w tej chwili spać koło jego twardego, długiego ciała u swego boku, które całe było obietnicą. Nie zamierzała spać, póki on nie dozna tego, czego powinien był doznać równie dogłębnie jak ona.

Póki ona mu tego nie da.

– Nie! – szepnęła, przesuwając dłonią po jego piersi, zachwycona tym, że muskuły jego torsu prężą się pod jej dotknięciem, a on jęczy głucho z pożądania. – Mam inne zamiary.

– Lily. – Wypowiedział jej imię w migotliwym blasku świecy, jedną z rąk zatrzymując jej dłoń, gdy jej palce zbliżyły się do miejsca, gdzie miękkie włosy były coraz gęstsze. – Przecież ty chyba nie…

Wtuliła twarz w jego ciepło, składając pocałunek na jego piersi. A potem drugi i trzeci, póki nie zaczął głośno dyszeć. Póki nie wyczuła pod swoimi wargami uderzeń jego serca. Dopiero wtedy zaczęła go czcić i wielbić, zataczając kręgi wysuniętym językiem, dopóki całe jego ciało nie napięło się jak cięciwa łuku.

A wtedy, gdy zaczęła sunąć wargami w dół po jego torsie, jego wolna ręka uniosła się ku jej włosom, on zaś wymówił jej imię niskim, gardłowym, wspaniałym głosem. Sądziła, że zamierzał ją powstrzymać, ale wtedy dotarła już do jego brzucha, tchnąc w niego swoim oddechem, on zaś zaczął cały drżeć pod jej dotykiem i – na całe szczęście – zapomniał o tym, że miał ją pohamować.

Wtedy cofnęła rękę, umożliwiając sobie dostęp do miejsca, do którego za wszelką cenę pragnęła dotrzeć. Odchyliła się w tył, zachwycona rozmiarami i siłą

tej jego części, rozkoszując się świadomością, że w tym momencie całkowicie należał do niej, podczas gdy jej ślina napłynęła do ust, a palce wręcz świerzbiły z ochoty, by go dla siebie zagarnąć.

Potem przesunęła wargami po całej długości tej twardej, zesztywniałej części jego ciała, a on wygiął się cały na łóżku z przekleństwem, ona zaś delektowała się swą siłą. Dumą z tego, że teraz ten mężczyzna należał tylko do niej, ale najbardziej z tego, że była w stanie dać mu wszystko, czego pragnął.

Polizała sam czubek, a słony i słodki zarazem smak kusił ją w chwili, gdy Alec wypowiedział głuchym szeptem jej imię i wyciągnął ku niej ręce, wplatając palce w jej włosy – nie ciągnął jej ani nie odpychał, tylko kołysał ją z niemal niemożliwą do zniesienia delikatnością.

– Jeszcze raz! – wyszeptała, powtarzając jego słowa, a on wydał jeszcze głębszy pomruk, zaciskając na niej palce; ona zaś rozchyliła usta i wzięła go w siebie, powoli, głęboko. Wielbiła to, że czuje w sobie jego twardą prężność, i pożądanie, które w nim płonęło.

Płonęło również i w niej, gdy dyszał, doznając tego samego uniesienia, jakiego doświadczyła ledwie kilka minut wcześniej.

Nigdy w życiu nie pragnęła niczego bardziej niż tego, by mu je dać, a pragnienie to sprawiło, że brała go w siebie coraz szybciej i silniej. Igra z tempem i z doznaniami, odnajdywała miejsca, które pobudzały go jeszcze gwałtowniej, i zawzięcie usiłowała doprowadzić Aleca na sam szczyt.

Jego dłonie zacisnęły się mocno w jej włosach.

– Nie mogę… Lily… błagam… jeśli ty nie… nie byłbym w stanie, żeby…

Po czym schrypniętym głosem wyszeptał, donośnie i gwałtownie:

– Lily.

– Nie chcę, żebyś się zatrzymał – odszepnęła. – Nie chcę, żebyś się hamował. Pragnę, byś mi to dał. Wszystko. Pozwól, żebym się tym nacieszyła.

Wyszeptał jej imię prosto w mrok małego pokoju. Przepełniała ją siła namiętności i własne pożądanie, kiedy zdołała odnaleźć rytm, który niósł ich oboje ku szczytowi, a on oddawał się jej cały, mamrocząc coś po gaelicku, aż wreszcie, z jej imieniem na ustach, doznał spełnienia.

Wielbiła go, gdy się w nie osuwał, nim w końcu uniósł ją, by mogła lec koło niego. Trzymał ją w ramionach, sunął dłońmi po jej nagiej skórze, szeptał wciąż coś w swoim przecudnym, melodyjnym języku w jej włosy, przeplatał słowa miękkimi pocałunkami, póki nie zaczęła trząść się z zimna. A wtedy naciągnął na oba ich ciała kołdrę.

– To było… – powiedział ledwo dosłyszalnie, choć w jej uszach słowa te

zabrzmiały głośniej niż wszystkie inne. A choć nie dokończył zdania, uśmiechnęła się i ucałowała jego pierś.

– Zgadzam się.

– Lily – szepnął znowu, a jego potężne ręce wciąż się poruszały, dając jej ciepło, miłość i bezpieczeństwo. – Moja Lily.

Zamknęła z westchnieniem oczy.

– Twoja.

Ręce jego znieruchomiały na dźwięk tego słowa, lecz ona ledwo zdołała to odczuć, bo po chwili znów zaczął ją gładzić długimi, powolnymi ruchami, a była to pociecha, jakiej nigdy przedtem nie doświadczyła.

– Śpij – powiedział, ale coś w tym słowie sprawiło, że poczuła niejasny niepokój; była jednak zbyt wyczerpana, by na to zwrócić uwagę. Zbyt nim nasycona, by zdołała myśleć o chwili, gdy mogło go już przy niej nie być. Gdy już by jej nie dotykał. Gdy już by przestał być częścią niej samej.

Jego ręce nadal ją gładziły, póki nie mogła się już dłużej opierać senności. Zamknęła oczy i przytuliła się doń mocno z ostatnią cichą prośbą.

– Bądź tu rano. Zaczniemy wtedy na nowo.

A potem, zasypiając już, dodała:

– Nie opuszczaj mnie. Bądź tutaj.

Bądź mój.

Jakieś dwie godziny później obudziła się w mroku, zziębnięta i osamotniona, pod kołdrą własnego łóżka na Berkeley Square. Zasłony były rozsunięte, ale noc londyńska nadal trwała w najgłębszej, czarnej jak sadza ciemności tuż przed świtem.

Usiadła, chcąc zapalić świecę stojącą na stoliku koło łóżka, lecz nim jeszcze rozbłysł jej płomień, wiedziała już, co się stało.

Odszedł.

Rozglądała się ze łzami w oczach po tym pokoju, który wybrała niegdyś, kiedy czuła się tak bardzo samotna, a teraz pełnym wspomnień o nim. O jego dotyku. O jego pocałunkach. O jego przeszłości, która zniszczyła go, mimo że zarazem uczyniła z niego mężczyznę.

Zostawił ją.

Przełożyła nogę poza krawędź łóżka, a Hardy zbudził się i zaskomlał ze zdumienia, budząc również Angusa, śpiącego na progu.

Poczuła gwałtowny przypływ nadziei. Psy były tutaj. A zatem jej nie zostawił.

Czuła jednak, że wcale tak nie jest.

Położyła dłoń na wielkim łbie Hardy’ego i spojrzała w jego wierne, psie oczy.

– Gdzie on jest?

Pies westchnął tęsknie, a Lily zrozumiała znaczenie tego żałosnego dźwięku lepiej niż wszystkiego, co dotąd usłyszała w życiu.

Odszedł. Sądził niewątpliwie, że powinna zostać bez niego.

Że może żyć bez niego.

Wtedy dostrzegła list. Na biurku, wsparty o jej wciąż jeszcze niedokończony obrazek, w kopercie o dobrze jej znanym kolorze kości słoniowej. Napisał go na jej papeterii. A przy liście stała para dziecięcych bucików o podeszwach z czerwonej skórki.

Zostawił ją.

Lily, lękając się prawdy, sięgnęła po kopertę z jej imieniem nakreślonym śmiałym, zamaszystym pismem.

Otworzyła go.

Dostaniesz posag. Pieniądze, jakie ci się należą, także. No i, rzecz jasna, ten obraz. Zrób z nim, co zechcesz.

Zostawiam ci Angusa i Hardy'ego. Polubiły cię od początku i potrafią cię chronić lepiej ode mnie, choć wcale ci ich nie potrzeba. Zawsze byłaś na tyle silna, żeby sama zapewnić sobie bezpieczeństwo.

Jesteś najcudowniejszą kobietą, jaką znałem, piękną, namiętną i bezgranicznie pełną siły. Żaden mężczyzna nigdy nie będzie cię wart, zwłaszcza ja. Prosiłaś mnie kiedyś o wolność, Lily, i choć okazałem się nędznym opiekunem, mogę ci ją dzisiaj dać. Wolno ci więc opuścić to miejsce lub też zostać w nim. Możesz być królową Londynu i świata. Możesz wieść teraz życie, jakiego pragnęłaś i o jakim marzyłaś. Z małżeństwem, dziećmi i małymi nóżkami w tych bzdurnych czerwonych butkach.

Wybierz, co tylko chcesz.

Będę o tobie myślał, Lily, nie wątp w to. Teraz i zawsze.

Przyjmij życzenia w dniu urodzin, mo chridhe.

Alec

Łzy napłynęły jej do oczu.

Opuścił ją.

Lillian Hargrove była samotna przez większą część życia. Od kiedy odumarł ją ojciec, żyła pod kuchennymi schodami w książęcej rezydencji, pomiędzy olśniewającym światem arystokracji a światem zwykłych ludzi. Przyzwyczaiła się do samotności w tym pokoiku, w tym domu, pędząc tu połowiczne życie pozbawione marzeń, aż wreszcie skandal zagroził nawet i jemu.

A potem Alec Stuart wyłamał drzwi i przyrzekł, że ją ochroni.

Zmieniło się i jej życie, i marzenia. Teraz wiązały się wyłącznie z nim. On jednak uznał, że nie jest ich wart.

Przez całe życie lękała się samotności. Długich lat życia bez dzielenia go z nikim. Teraz znała już prawdę. Zamieniłaby całe to samotne życie, którego tak się obawiała, na jeden dzień z Alekiem. Bez wahania.

Rozumny człowiek miałby księcia Warnick za szaleńca.

Zostawił ją. Jak Endymion, który wolał wieczny sen od życia z ukochaną boginią. Lily uznała, że rozumie już jego wybór. W końcu senne marzenia mogą być przeraźliwie realne.

Ale teraz, gdy trzymała Aleca w ramionach, śmiała się razem z nim, kochała z nim – marzenia były niczym w porównaniu z rzeczywistością.

Spojrzała na obraz owinięty płótnem, wsparty o kuferek, gdzie niegdyś kryła przed innymi swoje marzenia, zdruzgotane przez skandal.

Skandal, dzięki któremu poznała Aleca.

Skandal, który on ją nauczył znosić bez wstydu.

Nie mógł jej opuścić. Nie teraz, kiedy tak bardzo go potrzebowała. Nie teraz, kiedy tak bardzo go pokochała.

Nie teraz, kiedy w pełni urzeczywistnił jej marzenia.

Jeśli chciał, by te małe buciki mogły się na coś przydać, powinien, do licha, sprawić, żeby nie stały puste.

22. Lily leży naga!

Cały Londyn chciał być obecny na końcowej Wystawie Królewskiej – dlaczego zresztą miałoby być inaczej? Fama arcydzieła Hawkinsa rozeszła się wszędzie dzięki krzykom gazeciarzy i szeptom w salonach.

Ale Londyn przyszedł tam nie po to, by obejrzeć dzieło sztuki, tylko dla skandalu.

Dla Prześlicznej Lily ukazanej tak, jak ją Pan Bóg stworzył.

– Doprawdy, to straszne, co on zrobił – usłyszał Alec tuż przy sobie, gdy przeciskał się przez tłum. – Żadna dziewczyna nie zasłużyła sobie na coś podobnego. – Słowa pozornie wyrażały współczucie, ale podszyte były tak lubieżną satysfakcją, że zgrzytnął zębami.

– Nie powinna była pozować do tego obrazu, jeśli nie chciała, żeby go pokazywano publicznie – padła pełna głębokiej pogardy odpowiedź, a on zrozumiał, że niedobrze zrobił, przychodząc na wystawę, bo chętnie by zamordował każdą osobę źle mówiącą o Lily.

Łatwo kogoś oskarżać o skandal, gdy własne brudne sprawki są tajemnicą.

Przedostał się z trudem ku podium w holu wystawowym.

– O, już jest – powiedziała jakaś kobieta niedaleko niego dostatecznie głośno, by ją usłyszał, ale na tyle cicho, by nie można stwierdzić, że odnosiło się to bezpośrednio do niego. – Jej opiekun.

– Podobno okropny z niego człowiek – stwierdziła jakaś niewiasta i zachichotała z zadowoleniem. – Wcale się nie dziwię. Spójrz na niego. Ubrany jak barbarzyńca, a są tu przecież damy. Widać mu kolana!

– Ale jakie ładne nogi – odparła pierwsza z jednoznaczną insynuacją.

Nie była to najwytworniejsza uwaga, jaką kiedykolwiek usłyszał, zważywszy, że obie damy rozdrażniła już sama jego obecność, lecz Alec puścił ich słowa mimo uszu. Nie mógł przecież zamordować wszystkich plotkarzy Londynu, chociaż zrobiłby to ze szczerą chęcią. Za niecałą godzinę mógłby już siedzieć w swojej kariolce, gnając na złamanie karku Wielkim Północnym Traktem ku domowi.

Nie, nie ku domowi.

Nigdy nie znajdzie się znów w domu, póki Lily będzie gdzie indziej.

Odchrząknął, gdy o tym pomyślał. Tak, w domu. Anglia zawsze go niszczyła, a tego dnia wcale nie było inaczej. Doprawdy, gdyby przez ostatnie dziesięć dni nie robił czegoś innego, Anglicy udowodniliby mu, jak słuszne było ojcowskie przekleństwo.

Nieważne, że opuszczał kobietę, którą kochał.

„Wszyscy, których kochałam, opuszczali mnie".

Powiedziała mu to na samym początku, kiedy chciał ją przekonać, żeby została. Żeby stawiła czoło Londynowi. Żeby wyszła za kogoś innego. Że on ją uratuje. I że przysiągł sobie wyszukać jej mężczyznę, którego mogłaby kochać. Który nie zbrukałby jej swoją przeszłością i dał jej wszystko, o czym zawsze marzyła.

Tak. Opuścił ją. Ale po to, żeby zaznała lepszego życia. Takiego, które pozwoliłoby jej otworzyć ten przeklęty kuferek i spożytkować wszystko, co w nim było, gdyby tylko chciała. Takiego, które dałoby jej idealnego, dżentelmeńskiego bohatera, kochającą rodzinę, a potem żyłaby długo i szczęśliwie, tylko że on…

Tylko że on dałby wszystko, żeby być częścią tego życia.

Gdy przyjechał do Londynu dziesięć dni wcześniej, zażądała od niego wolności. Wyboru. A ostatniej nocy dał jej jedno i drugie.

Hol był pełen ludzi i wszyscy wyciągali szyje, żeby dojrzeć podium na końcu długiej, rozległej sali, Alec zaś był rad, jak nigdy przedtem, ze swojego wzrostu. Nie musiał tego robić. Był na tyle wysoki, by widzieć druzgocącą klęskę Hawkinsa ze swojego miejsca. A choć miał szczerą chęć przecisnąć się na sam przód i rąbnąć go pięścią w twarz, dobrze wiedział, że chce ujrzeć odsłonięcie Klejnota, później zaś odejść wśród powszechnego szoku i niesłychanego zdumienia.

A potem chciał wrócić do Szkocji.

I zapomnieć o tym miejscu.

Kłamca.

Drgnął niespokojnie na myśl o tym i skrzyżował ręce na piersi.

– Czy sądzisz, że przyszedł tutaj, żeby wyzwać Hawkinsa na pojedynek? – spytał jakiś mężczyzna tuż koło niego.

– Ze względu na Hawkinsa mam nadzieję, że nie. Spójrz tylko na tego człowieka.

– Nie bez racji nazywają go Szkockim Brutalem.

– Może jednak powinien go wyzwać? – odparł przewidująco pierwszy z rozmówców.

Alec zacisnął zęby. Pojedynki były dobre dla porywczych smarkaczy. Miał inne plany co do Hawkinsa. Gdy tak stał, czekając na przybycie tego nadętego łajdaka,

Hawkins otrzymał właśnie wiadomość, że Upadły Anioł odmówił mu członkostwa; Duncan West miał z pewnością wpływowych przyjaciół.

Wkrótce też miano ogłosić podobną wiadomość – że kilku bardzo zamożnych arystokratów, w tym książę Warnick, ma zamiar założyć nowy teatr. Rywalizowałby z Teatrem Hawkinsa i bardzo by mu utrudnił znalezienie patrona dla własnego.

Ale tego ranka Hawkins miał doznać najgorszej kary. Otrzymać ostry, błyskawiczny cios w arogancką twarz. Alec przyszedł tu, żeby to właśnie zobaczyć.

Bo nie zdołał zdobyć Lily, ale mógł ocalić jej honor.

Wtedy właśnie Hawkins, z bardzo zadowoloną miną, wszedł na podwyższenie wraz z jakimś innym Anglikiem, a tłum ucichł i w tej ciszy można było usłyszeć tylko bicie serca Aleca.

– Jak państwo wiedzą – zaczął starszy mężczyzna – Akademia Królewska wybrała jedno tylko dzieło, by je pokazać ostatniego dnia dorocznej ekspozycji – dzieło, które, jak uważamy, tak wymownie dowodzi jakości brytyjskiej sztuki, że od razu po wystawie wejdzie do zbiorów British Museum, potem zaś objedzie cały kraj. W tym roku artystą, któremu przyznano ten wielki zaszczyt, jest Derek Hawkins.

Ani jednym słowem nie wspomniano, że Hawkins w zamian za ów zaszczyt zniszczył czyjąś reputację.

Ani jednym też słowem nie wspomniano, że był również ostatnim osłem.

Hawkins wyprężył się dumnie, czując, że skupił na sobie powszechną uwagę, Alec zaś pomyślał, że nigdy jeszcze żaden mężczyzna bardziej nie zasłużył na to, co go teraz spotka.

A potem Hawkins zaczął mówić. Coś o geniuszu. O darze dla świata. O swoim nadzwyczajnym talencie. Wreszcie powiedział:

– Szkoda tylko, że nie ma tu modelki, byście państwo sami porównali obydwie, żywą i namalowaną, i przekonali się, że mój talent przeobraził mosiądz w bezcenne złoto.

Puszczenie go z torbami – to jeszcze za mało.

Zasłużył sobie na powolną, bolesną śmierć.

– A więc, moi drodzy admiratorzy, nie będę już dłużej nadużywał waszej cierpliwości!

Hawkins odstąpił ku tyłowi i energicznie wykrzyknął:

– Prezentuję wam *Dar piękności*!

Gdy ten wyjątkowo arogancki tytuł odbił się echem od ścian, Alec poczuł, że

naprawdę raduje go ten poranek. Gdy bowiem opadnie zasłona i ukaże się Klejnot, zadowolona mina Dereka Hawkinsa zrzednie i poniesie on ostateczną klęskę.

Zasłona opadła, a w holu zapanowało takie milczenie, że można byłoby usłyszeć dźwięk szpilki padającej na ziemię. Tłum oniemiał z zachwytu.

Nie dzięki Klejnotowi.

Dzięki Lily.

Zwróciła obraz! A było to arcydzieło.

Leżała na sofie w mrocznym pomieszczeniu, a światło igrało na jej przepięknej skórze, na wszystkich wypukłościach i zagłębieniach jej cudownego ciała, podkreślonych przez zręczną technikę malarską i barwy, tak że wydawało się wprost niewiarygodne w swojej absolutnej doskonałości. Ale nie jej ciało przyciągało uwagę Aleca, tylko twarz, patrząca prosto na widza. Bez nieśmiałości czy wstydu. Bez wahania. Jakby ukazana na obrazie chwila dotyczyła jedynie dwóch osób – Lily i widza.

Ten obraz należał do niej bardziej, niż kiedykolwiek do Hawkinsa.

Nie było czego żałować.

Zwróciła go.

No, oczywiście. Był to czyn kobiety, która nie zamierzała się wstydzić. Która nie chciała wywołać skandalu bez jej zgody. A choć malowidło było oszałamiające, bladło w porównaniu z nią samą, wspaniałą i niezrównaną.

Przepełniła go duma.

Nie powinien był nigdy pozwolić jej odejść. Nie po ujrzeniu tego aktu najwyższej odwagi, która raz na zawsze natchnęła go, by jej dorównać. Pragnął spędzić przy niej całe życie, starając się być mężczyzną, na którego ta dzielna, silna i piękna kobieta zasługiwała. Był zbyt samolubny, pozwalając, by dostała się komukolwiek innemu.

Nie wróci do Szkocji. Wróci do niej.

A kiedy jej powie, co o niej myślał, gdy skradała się nocą ulicami Londynu, wtedy zdobędzie ją na nowo.

Jeśli bowiem odsłonięcie tego portretu miało jakieś znaczenie, to takie: jego Lily byłaby niezmiernie nieszczęśliwa, gdyby ją opuścił.

Co oczywiście oznaczało akt krańcowej głupoty.

Chciał jej to wynagrodzić. Chciał przekonać ją, żeby również wybrała jego, a on ją poślubi i spędzi resztę życia na wynagradzaniu jej tego. Z największą radością. I dopiero gdy zauroczony oszałamiającym obrazem trwał w bezruchu, mając świadomość, że jest on niczym w porównaniu z kochaną przez niego kobietą, przypomniał sobie, co przyrzekł Lily. Że nigdy na to malowidło nie spojrzy.

Oczywiście, miała rację. Ono nie było dla niego.

Podobnie jak dla wszystkich innych.

Gdy sobie to uświadomił, odwrócił się od portretu.

A potem ruszył na jej poszukiwanie. Żeby ją odnaleźć. Żeby ją poślubić. Żeby ją kochać.

Nie uszedł daleko, bo już tam była. Czekała na niego.

I miała na sobie jego pled.

Stała, wyprostowana i dumna jak bogini, nie dbając, że inni tkwią nieruchomo przed jej aktem. Nie rozglądała się wokoło i nie patrzyła na podium. Tylko na niego, a on pragnął krzyknąć donośnie z zachwytu nad jej niewzruszoną koncentracją.

Przeszyły go dwa równie gorące pragnienia – by natychmiast wziąć ją w ramiona i unieść jak najdalej od ciekawskich oczu Londynu, a także by ją objąć i całować, póki żadne z nich nie będzie w stanie myśleć. Potem zaś pójść z nią do najbliższego proboszcza.

Nie miał ze sobą specjalnego zezwolenia na ślub. Jeszcze jeden powód, żeby znienawidzić Anglię. Do diabła z zapowiedziami. Nie będzie na nie czekał.

Chyba pojadą prosto do Szkocji.

Oparł się jednak chęci, żeby wsadzić ją natychmiast do kariolki, a to z powodu innej emocji, jawnie widocznej w jej przepięknych szarych oczach.

Lily była wściekła.

– Nie chcę twoich pieniędzy – powiedziała, biorąc się pod boki, całkiem jakby to wszystko nie działo się na oczach całego Londynu. Jakby pół tuzina głów nie obróciło się ku niej, gdy tylko zaczęła mówić. – Zresztą moich także.

Była nie tylko zła. W oczach miała jeszcze coś innego. Coś na kształt strachu.

Nienawidził tego i pragnął to przegnać. Zbliżył się ku niej, ale podniosła ostrzegawczo dłoń, powstrzymując go samym spojrzeniem, niczym królowa.

– A już z całą pewnością nie chcę twoich psów.

Podszedł bliżej, słysząc to łgarstwo – na tyle blisko, że mógłby już jej dotknąć. Że mógłby ją schwycić, gdyby zaczęła uciekać.

– Rozpaskudziłaś je, rzucając im resztki ze stołu – powiedział półgłosem. – No i teraz już należą do ciebie, moja droga.

Wtedy łzy stanęły jej w oczach.

– Nie nazywaj mnie tak!

Zabolały go te słowa i wyciągnął ku niej ręce. Cofnęła się o krok.

– Nie. Nie śmiej mnie teraz dotykać. Mam ci coś do powiedzenia.

– W takim razie powinnaś przestać płakać, bo nie sądzę, żebym mógł na to

patrzeć i nie dotknąć cię.

Starła pojedynczą łzę z policzka.

– Nie chcę twoich darów. Nie chcę też, żebyś mnie gdzieś odsyłał, żebym mogła wybrać nowe życie. Ja wybrałam to życie.

Skinął głową.

– Możesz kiwać głową nade mną, jakbyś o tym wiedział przez cały czas! – Podniosła głos, a on usłyszał w nim siłę. – On nie zniszczył moich marzeń tym obrazem, Alec.

Teraz to rozumiał. Przedtem nie.

– Ten obraz to nie ja, tylko olejna farba i płótno. Niech go sobie weźmie. Niech oni go sobie wezmą – powiedziała, wskazując smukłą ręką na tłum. – Niech go obwożą po całym świecie, bo to wcale nie będę ja. Ale ty… – urwała, a potem jej ton nagle złagodniał. Wstrzymał dech, słysząc w jej słowach oskarżenie. – Ty zniszczyłeś moje marzenia.

Te słowa sprawiły, że ogarnął go przemożny strach.

Wyciągnął ku niej ręce.

– Nie! – Powstrzymała go. – Ty mnie opuściłeś. Ileż razy mówiłeś mi, że niepotrzebnie czuję wstyd? Że zasługuję na więcej? Na coś lepszego? Na mężczyznę, który jest mnie wart? Miałeś rację. Zasługuję na te wszystkie rzeczy. Bardziej niż na to.

Strach zamienił się w zgrozę. Dobry Boże, ona zamierzała go rzucić!

Alec walczył z trudem o oddech, jakby całe powietrze uleciało z galerii.

A potem Lily powiedziała:

– Wiesz, dlaczego zwróciłam obraz? Bo nie mogę zaprzeczyć, że coś ze mnie w nim jest. Bo nie zamierzam się go wstydzić. Bo ty mnie nauczyłeś, żeby się go nie wstydzić. Nie wstydzę się mojej namiętności. Moich wyborów. Nie wstydzę się mojej przeszłości, Alec.

Nie powinna się jej była wstydzić.

Otwierał już usta, żeby to powiedzieć, ale ona dodała:

– A z pewnością nie wstydzę się też ciebie.

Znów mógł oddychać.

– Chcesz, żebym dokonała wyboru? Pozwól mi wybierać.

Znów skinął głową. Powrócił mu głos.

– Zrób to. Wybierz.

Podeszła na tyle blisko do niego, by mógł dojrzeć srebrzysty błysk w jej pięknych szarych oczach.

– Wybrałam to wszystko, do licha. Skandal. Szkocję. Psy. Pełen przeciągów

zamek. Burnsa zamiast Szekspira. Ale przede wszystkim wybrałam ciebie, Alecu Stuarcie, tumana, idiotę, tchórza, kapuścianego głąba. – Urwała, a potem dodała: – Wbrew rozsądkowi.

Wybrała go.

Ta cudowna wariatka wybrała w jakiś dziwny sposób jego.

Był najszczęśliwszym z ludzi w całym chrześcijańskim świecie.

Wyciągnął znów ku niej ręce, niezdolny oprzeć się pragnieniu, by jej dotknąć. Ujął czule w dłonie jej twarz i przyciągnął ją ku sobie, tak by się zetknęła z jego twarzą, nie mogąc znaleźć słów w gwałtownym przypływie radości.

– Lily.

Uchwyciła go za dłonie.

– Opuściłeś mnie.

Te słowa, łagodne i zarazem bolesne, groziły, że go zranią.

– Kochanie…

Pokręciła głową.

– Zostawiłeś mnie. Znowu zostałam sama. Tylko że tym razem było to gorsze. Tym razem wiedziałam już, czym jest brak samotności. Wiedziałam, czym jest miłość.

Nie umiał na to odpowiedzieć. Zrobił więc jedyną rzecz, jaką był w stanie, nie chcąc, by się zniechęciła.

Puścił ją i ukląkł.

Otworzyła szeroko oczy.

– Co ty…

Ale teraz przyszła jego kolej, żeby mówić.

– Myślałem, że cię ratuję – zaczął cicho, patrząc ku niej, wielbiąc każdy centymetr jej ciała, pragnąc jej z desperacją, która wręcz przeszywała go całego; dziwił się nawet, czy nie zasłabnie. – Kiedy tu przybyłem, sądziłem, że cię ochronię. Że odegram rolę opiekuna. Zbawcy.

– Nie potrzebowałam zbawcy.

– Nie, *mo chridhe*. Nie ty. To ja tego potrzebowałem. To ty mnie zbawiłaś. Ty mnie uratowałaś, Lily.

Wyciągnęła do niego ręce.

– Alec…

Pochylił głowę, rozpaczliwie pragnąc jej dotyku.

– Należę do ciebie, moja miła, ciałem i duszą. A kiedy się zestarzeję, nie chcę jedynie myśleć o tobie. Chcę być z tobą. Chcę cię kochać.

– Wstań, mój drogi – powiedziała, a kiedy uniósł ku niej wzrok, dodała niemal z

płaczem: – Proszę cię, Alec.Wstań.

Wstał więc, wyprostował się cały i znów ujął jej twarz w dłonie, zwracając ją ku sobie, by mogła doń dotrzeć jej odpowiedź, wyszeptana tak cicho, że ledwie ją dosłyszał.

– Ty – wyznała. – Ty.

– Zawsze – odparł. – I na zawsze.

A potem pocałował ją, długo i mocno, unosząc ją w ramionach, póki własnymi rękami nie objęła go za szyję. Wtedy uniósł ją nad posadzką w geście miłości, który trwał jednocześnie wieczność i mgnienie. Rozdzielili się dopiero wtedy, gdy obojgu zabrakło tchu, lecz Alec nie postawił Lily na ziemi, tylko przygarnął ją do siebie mocno i ukrył twarz w ciepłym zagłębieniu jej szyi, oddychając głęboko, żeby pohamować gwałtowny łomot serca.

Roześmiała się, a on uniósł głowę.

– O co chodzi?

– Zdaje się, że wszyscy na nas patrzą.

Pokręcił głową.

– Nie. Zanadto się wpatrują w obraz.

– Jak to zrobiłaś? – spytał.

Uśmiechnęła się szeroko.

– Zgadnij.

– Sesily – mruknął.

– Ktoś mnie w końcu musiał wesprzeć – odrzekła z prostotą. – Ale…

– Och, jesteście siebie warte – przerwał jej. – Co z ciebie za ziółko! Czy zdajesz sobie sprawę, że wymordowałbym połowę londyńczyków za to, że chcieli cię oglądać nagą?

– Chyba jednak nie zrobiłbyś tego, skoro nikt teraz nie patrzy na malowidło.

Odwrócił się w stronę zatłoczonej po brzegi sali, która miała oglądać legendarne arcydzieło Dereka Hawkinsa. Ani jeden widz nie patrzył jednak w tamtą stronę. Wszyscy, jak jeden mąż, odwrócili się ku tyłowi.

Zwróceni ku o wiele ciekawszemu tematowi plotek.

Alec uniósł brwi.

– Wciąż się jednak gapią na ciebie. Ale ja o to nie dbam.

– W każdym razie patrzą na to, co mam na sobie. – Znów się uśmiechnęła. – Nadal wywołuję skandal, tyle że ubrana.

– Nonsens. – Pocałował ją po raz kolejny, długo, powoli, tak że kobiety wokół nich aż jęknęły z wrażenia. – Książęta nie mogą wywoływać skandalu.

– Nawet gdybyśmy bardzo próbowali?

– No cóż, jeśli ktoś mógłby go zrobić, moja droga, to tylko ty.

– Potrzebowałabym partnera.

– Bez wątpienia byłoby to męczące zadanie, ale nie widzę sposobu, żeby go uniknąć.

Przywarła ustami do jego warg. A potem spytała:

– Kiedy mamy wziąć ślub?

– Po czterech dniach możemy dotrzeć do Szkocji, jeśli wyjedziemy teraz.

Uśmiechnęła się, a jemu zaparło dech.

– W takim razie sądzę, że już najwyższy czas, żebyś zabrał mnie do domu.

Dar piękności podróżował po całej Anglii i po kontynencie europejskim, na Wschodzie dotarł aż do Petersburga, a na Zachodzie do Nowego Jorku. Pokazywano go w największych salach i muzeach świata, sławiono jako niezwykłe arcydzieło, godne współzawodniczenia z *Moną Lisą*.

Dar piękności różnił się jednak od innych sławnych obrazów. Nie był portretem bezimiennej muzy, tylko podobizną Lillian Stuart z domu Hargrove, osiemnastej księżny Warnick i bohaterki skandalu z 1834 roku.

Gdziekolwiek go wystawiano, tam również opowiadano jego historię. Ich historię. Historię Prześlicznej Lily i księcia, tak w niej zakochanego, że przerzucił ją sobie przez ramię i zabrał do Szkocji w ostatnim dniu Wystawy Królewskiej, pod czujnym i zawistnym wzrokiem całego Londynu.

Nic dziwnego, że nikt nie potrafił zapamiętać nazwiska artysty.

Epilog.
Miasto szaleje z radości!
Książę i księżna znów w Londynie!

Dziesięć miesięcy później

Drzwi bawialni pomiędzy pokojami pana i pani domu na Berkeley Square 45 otworzyły się na oścież, uderzając o ścianę, gdy książę Warnick wniósł tam swoją księżnę przez próg.

– Alec – szepnęła z radością i lękiem jednocześnie – ktoś może usłyszeć!

– Nie martw się – mruknął, zamykając drwi i przytulając ją mocno do siebie. – Powinnaś być mi wdzięczna, że ich nie wyłamałem, wchodząc z tobą do środka. Uściśnij mnie, żono.

Lily objęła go za szyję, z radością czując dotyk jego dłoni na staniku sukni. Chętnie by ją z siebie zdarła.

– O co ci chodzi?

– Tańczyłaś dzisiaj ze zbyt wieloma mężczyznami – powiedział tuż przy jej ustach. – Wszyscy chcieli rzucić okiem na królową sezonu. Nie podobało mi się to. Przeklęci Anglicy! A Stanhope był kroplą, która przepełniła kielich.

Rozbawiło ją to. Hrabiego Stanhope'a należało się obawiać najmniej ze wszystkich mężczyzn w Anglii, zwłaszcza teraz, kiedy znalazł sobie uroczą młodą wdówkę, podobno całkiem zamożną. Wnioskując z tego, jak czule byli w siebie wpatrzeni w rogu sali balowej, najwyraźniej nie zwracając wcale uwagi na otoczenie, Lily uznała, że to bardzo dobre małżeństwo. Całkiem jak jej związek.

Odsunęła się w tył, żeby spojrzeć na męża. Światło księżyca wpadało do sypialni.

– A kiedyś chciałeś mnie wydać za jednego z tych Anglików.

– Było to błędne przekonanie.

– Istotnie – odparła, a on pocałował ją mocno i odsunął się od niej tylko po to, by przeciągnąć ustami po jej podbródku, póki nie westchnęła z zadowoleniem:

– Potrzebowałam tego.

Zaśmiał się cicho.

– Czyżbym cię zaniedbywał, kochanie? – spytał, a jego dłonie powędrowały ku jej spódnicom; Lily wręcz tęskniła za jego dotknięciem, a różowy jedwab posuwał się coraz bardziej w górę. – Tylko przez kilka godzin, ale z chęcią podwoję moje starania.

– Robisz to doskonale, Wasza Wysokość – powiedziała i westchnęła nagle, gdy jego silne dłonie dotknęły jej skóry ponad pończochami. – Tylko że kobieta w środku Anglii potrzebuje niekiedy smaku Szkocji.

Znieruchomiał na te słowa i uniósł głowę, a oczy koloru whisky odnalazły jej wzrok w mroku.

– Coś ty powiedziała?

Uśmiechnęła się.

– Wiem, że jesteśmy tu dopiero od tygodnia, ale mnie już brakuje domu.

W ciągu dziesięciu miesięcy od wyjazdu z Londynu Lily zadomowiła się w Dunworthy. Poznając niuanse majątkowej gorzelni, zachwycała się ciepłym szkockim latem i owijała w wełnę z zamkowych owiec zimą – kiedy nie ogrzewał jej mąż, co zresztą zdarzało się rzadko. Nachyliła się ku kolejnemu pocałunkowi i dodała:

– A ty… ty masz w sobie ten smak.

– Lubisz go? – spytał, ona zaś poczuła się zaskoczona jego zwątpieniem. Ostatnim razem zadał jej identyczne pytanie całe miesiące wcześniej, kiedy owładnęło jego myślami tak bardzo, że zaofiarował się odwieźć ją do Anglii, gdyby miało to uczynić Lily szczęśliwą.

Ale Anglia nie czyniła jej wcale szczęśliwą. Nie tak jak on. Pocałowała go znowu, świadomie udając, że nie rozumie, o co mu chodzi.

– Tak, mój mężu. Lubię twój smak. Bardzo.

Miejsce zwątpienia zajęło pożądanie.

– Miałem na myśli Szkocję, ty figlarko.

Wytrzymała jego spojrzenie.

– *Aye, mo chridhe*. Bardzo to lubię.

Słowa wypowiedziane doskonałym gaelickim wywołały w nim pomruk uznania. Westchnął i donośnie.

– W takim razie po co my, u licha, tu jesteśmy?

– Bo masz siostrę, która cię błagała, by pojawić się w sezonie.

Cate z zachwytem przyjęła Lily w Dunworthy, kiedy przyjechali z Londynu, niezmiernie uradowana tym, że ma siostrę. Całkiem podobnie zresztą, jak i Lily.

Obydwie szybko się zaprzyjaźniły i po kilku tygodniach Alec zgodził się, by Cate wystąpiła podczas wymarzonego sezonu.

Nie przyszło mu do głowy, że będzie to wymagało kilkumiesięcznego pobytu w Londynie.

– No to zostawmy ją tutaj i jedźmy do domu.

– Nie. Widziałeś, jaka była szczęśliwa dzisiejszego wieczoru?

– Nie – skłamał. – Spędziłem cały wieczór z wami oboma i pragnąłem wyłoić wielkim kijem męskich mieszkańców Londynu. – Pocałował ją znowu, mocno i z miłością. – Wróćmy do domu, dziewczyno. Chcę się z tobą kochać pośród mgły.

Drgnęła, słysząc te słowa.

– W Londynie też jest mgła.

– Ale nie szkocka.

Śmiech jej zamienił się w długi pomruk, gdy jego ręce znów się poruszyły i wślizgnęły wyżej, ku miejscu, gdzie ogromnie pragnęła poczuć ich dotknięcie.

Zaklął cicho i soczyście.

– Księżno?

– O co chodzi?

– Czemu nic nie masz pod spodem?

– Właśnie z tego powodu. – Westchnęła.

– I nie powiedziałaś mi tego na balu? Czy zdajesz sobie sprawę, co mógłbym zrobić, gdybym o tym wiedział? Moglibyśmy zbezcześcić kilka bawialni Eversley House.

– Taki był właśnie mój zamiar – odparła, pragnąc, żeby mąż posunął się jeszcze nieco wyżej. – Ale natknęłam się na przeszkodę. – Urwała. – Chciałam upewnić się, że Cate zostaną przedstawione odpowiednie osoby, no i książę Montcliff…

– Jaki znów Montcliff?

– Jestem naprawdę dumna z siebie. Książę Montcliff dał sto tysięcy funtów na ufundowane dziś wieczór stypendium.

Z myślą o własnym dzieciństwie i przeszłości Aleca Lily rzuciła się w wir pracy, chcąc, by dzieci pozbawione pieniędzy i koneksji miały środki na zapewnienie sobie takiej przyszłości, jakiej pragnęły. Te, które na to zasługiwały. Pragnęła dać taką możliwość jak największej ich liczbie. A zaskakująca donacja księcia Montcliff uczyniła tego wieczoru ów cel dużo bardziej realnym.

Jej słowa zrobiły wrażenie na Alecu.

– Sto tysięcy? Naprawdę?

Wyciągnęła ku niemu dłoń i dotknęła lekko jego włosów i skroni.

– Nadzwyczajne, prawda? Pomyśl o tym, ilu teraz mogą dokonać wyborów.

Pomyśl o wolności, jaką zyskują.

Pochylił głowę pod jej dotknięciem, po czym wziął ją ponownie w ramiona.

– To ty, moja droga, jesteś nadzwyczajna.

Zarumieniła się, słysząc tę pochwałę.

– Najwyraźniej spodobała mu się myśl współdziałania z nami. Czy wiesz, że jesteśmy faworytami socjety, kochanie? Co za rozczarowanie. Sądzę, że skandal byłby czymś bardziej pobudzającym.

– Hm. To rzeczywiście rozczarowanie – powiedział z roztargnieniem, obracając ją twarzą ku drzwiom i mozoląc się nad guzikami z tyłu jej sukni. – Jeśli chcesz wiedzieć, zadowolony jestem, że cię zgorszyłem.

– Jeśli to nie przeszkadza Waszej Wysokości…

– Ani trochę – odparł, bawiąc się jej uchem. – Chętnie bym rzucił okiem tam, gdzie nie ma tej bielizny. – I zaczął rozpinać guziki. – Czy musi ich być tak dużo?

Zaśmiała się.

– Trzeba ci haczyka do nich.

– Wypraszam sobie – rzucił, udając obrażonego. – Nie potrzebuję niczego w tym rodzaju. – Jego ręce powędrowały w górę sukni i Lily nabrała gwałtownie tchu, gdy potężnie szarpnął jej strojem, tak że guziki rozprysły się po całym pokoju.

– Zniszczyłeś mi zupełnie suknię – jęknęła, nie dbając zresztą o to ani trochę.

– Mogę ci kupić tuzin innych – odpowiedział, gdy suknia osunęła się jej do stóp niczym jedwabny krąg. – Warto było tak zrobić. Odwróć się.

Uczyniła to, dumna i nieustraszona, chciwie spragniona jego wzroku. Jego dotyku.

I jego samego.

– Jesteś cudowna.

Uśmiechnęła się, rumieniec pokrył jej policzki.

– Mam tu coś dla ciebie.

Uniósł brwi.

– Widzę to.

Uśmiechnęła się jeszcze szerzej.

– Myślę o czymś innym.

Ujęła go za rękę i poprowadziła do drzwi sypialni księżnej, będącej raczej garderobą i prywatnym gabinetem niż miejscem do spania, co było właściwsze, bo łóżko zajmowały w tej chwili psy.

Dwa potężne szare ogony zaczęły gwałtownie wywijać z radości na ich widok; Alec podszedł do łóżka, żeby powitać Angusa i Hardy’ego, a Lily zbliżyła się do biureczka w kącie pokoju.

Zapaliła świecę, odsłaniając małe pudełko, które pozostawiła tam właśnie na tę chwilę. Uniosła je i zwróciła się do męża ze słowami:

– Jakiś tydzień temu porozmawiałam z Bernardem.

– Kochanie, muszę powiedzieć, że kiedy stoisz całkiem nago w świetle świecy migocącym na twojej zachwycającej skórze, niekoniecznie pragnąłbym z tobą mówić o naszym doradcy prawnym.

– Tak się składa, mój mężu, że jutro są twoje urodziny.

Szybko policzył w pamięci dni.

– No, rzeczywiście.

– A my z pewnością powinniśmy poważnie porozmawiać o tym, czemu skrywałeś przede mną tę informację. Zamierzam podobnie postąpić wobec twojej siostry. Nie potrzebowałabym wówczas pytać doradcy prawnego o coś takiego. Ale, chwała Bogu, Bernard wiedział.

– O, tak. Zawsze uważałem, że ma mnóstwo zalet.

Roześmiała się, słysząc tę oschłą uwagę, a on podszedł bliżej i wskazując na pudełko, spytał:

– Czy to mój prezent?

– Istotnie.

– Mogę go otrzymać?

– A czy na niego zasługujesz? – zażartowała.

Oczywiście, że zasługiwał. Nie znała nikogo, kto by zasłużył na niego bardziej.

Spoważniał.

– Powiedz mi tylko, co mogę zrobić, żeby na niego zasłużyć, moja droga, a uczynię to z przyjemnością.

Poczuła gwałtowne pożądanie, wyobrażając sobie wszystko, co mógł jej dać. I to, czym mogła mu się odwzajemnić. Zaczęła szybko oddychać, a on podszedł jeszcze bliżej i wyjął jej z rąk pudełko, mówiąc jednocześnie cicho i uroczyście:

– Nie chcę prezentów. Tylko ciebie.

Pokręciła głową, żeby pohamować własne pożądanie.

– Nie – odparła. – Otwórz to.

Zrobił tak, uniósł wieczko małego, kanciastego pudełka i zajrzał do środka. Lily wpatrzyła się w jego przystojną twarz, jeszcze piękniejszą w słabym blasku świecy, w jego wargi, które już wygięły się w przewidującym uśmiechu.

Potem jednak uśmiech znikł, ustępując miejsca zmieszaniu.

A jeszcze później zaskoczeniu.

A wreszcie radości, gdy sięgnął w głąb pudełka i wyjął stamtąd parę malutkich białych bucików o podeszwach z czerwonej skórki.

Radość i uwielbienie widniały w jego oczach, gdy powiedział:

– Twoje buciki.

– Już nie moje – odrzekła z uśmiechem.

Alec ukląkł, a potem zaczął całować miękką skórę jej brzucha, szepcząc coś po gaelicku do dziecka, które się w nim rozwijało.

– Dałaś mi już tak wiele – powiedział. – A teraz…

Lily sięgnęła dłońmi ku jego głowie, delektując się swoim dumnym, silnym Szkotem – mężczyzną, który dał jej wszystko, o czym kiedykolwiek marzyła. Objęła go. Kochała go.

Trwali przy sobie przez długi czas, póki książę Warnick nie wstał i nie zaniósł jej do wspólnego, bardzo solidnego łoża, a potem kochał się z nią tak długo, jak tylko mógł, chcąc się jej odwdzięczyć.

Od Autorki

Inspiracją do tej książki i wszystkich innych powieści z serii *Skandale i Nicponie* dostarczyły mi współczesne plotki o celebrytach, gdyż ich czytelnicy – podobnie jak ja – po cichu je uwielbiają, co „US Weekly", „TMZ" i „Tatler" od razu zauważyły. *Skandale i Nicponie* są moim dziełem, ale prasa bulwarowa istnieje od dawna. Zdjęcia gołych kobiet wydają się dziś czymś stosunkowo nieszkodliwym, ale wystarczy pomyśleć o telefonach komórkowych i niedawnych skandalach z taśmami, żeby stwierdzić, że im bardziej coś się zmienia, tym bardziej pozostaje takie samo. Wiele inspiracji zawdzięczam kobietom, które w ostatnich latach zdołały przeciwstawić się wywlekaniu na światło dzienne różnych tajemnic, podobnie jak Lily.

Seria *Skandale i Nicponie* nie mogłaby powstać bez obszernych, fascynujących zbiorów New York Public Library i British Library obejmujących plotkarskie rubryki gazetowe od dawna drzemiące w ich archiwach. Jeśli chodzi o tę książkę, muszę też podziękować archiwom Królewskiej Akademii Sztuki, liczącym już 248 lat, które wciąż prezentują publiczności współczesną sztukę brytyjską podczas dorocznych letnich wystaw. Należy też zaznaczyć, że wprawdzie informacje co do osób powiązanych z wystawiennictwem oraz malowideł zgadzają się z historyczną prawdą, to motyw dzieła wybranego na wystawę objazdową i eksponowanego ostatniego dnia wystawy stacjonarnej jest wyłącznie dziełem mojej inwencji.

Podobnie jak wszystkie moje książki, byłaby ona o wiele słabsza, gdyby nie Carrie Feron (która nigdy się nie myli), Nicole Fischer, Leora Bernstein i wyjątkowy wręcz zespół redaktorów wydawnictwa Avon Books, takich jak: Liate Stehlik, Shawn Nicholls, Pam Jaffee, Caroline Perny, Tably McSmith, Carla Parker, Brian Grogan, Frank Albanese, Eileen DeWald oraz Eleanor Mikucki. Specjalne podziękowania należą się Lucii Macro za wspaniałą konwersację o wszystkich najlepszych fragmentach romansu. No i oczywiście na mnóstwo wyrazów wdzięczności zasługuje niezrównany Steve Axelrod.

Dziękuję Lily Everett za wyczerpującą kwerendę na temat celebrytów, Carrie Ryan i Sophie Jordan za to, że zawsze odpowiadały na telefony, mojej siostrze

Chiarze za to, że była pierwszą czytelniczką tej powieści, a Ally Carter za to, że była ostatnią.

Ericowi dziękuję zaś za to, że okazał się najlepszym z ludzi. V. życzę śmiałego stawiania czoła skandalom i czerpania z tego siły. A moim nadzwyczajnym czytelnikom składam podziękowania za to, że zawsze podejmują wspólną podróż ze mną. Nic bez Was!

Przypisy

[1] Czyli około 197 cm i 127 kilogramów (wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza).

[2] William Szekspir *Romeo i Julia*, II, przeł. Józef Paszkowski.

[3] William Szekspir *Jak się wam podoba*, III, 5, przeł. Leon Ulrich.

[4] William Szekspir *Romeo i Julia*, I, 5, przeł. Józef Paszkowski.

[5] Tamże.

[6] William Szekspir *Makbet*, IV, 35, przeł. Maciej Słomczyński.

[7] *trousseau* (franc.) – wyprawa ślubna.

[8] William Szekspir *Makbet*, I, 3, przeł. Józef Paszkowski.

[9] Celtycka władczyni Brytanii, która walczyła z Rzymianami.